

PROJEKT: DMITRY GLUKHOVSKY

UNIwersum
METRO
2033

TULLIO AVOLEDO

KRUCJATA DZIECI



TULLIO AVOLEDO
KRUCJATA DZIECI

przekład
Piotr Drzymała

Tytuł oryginału
La crociata dei bambini

Copyright © Dmitry Glukhovsky, 2013–2017

Copyright © Tullio Avoledo, 2014

All rights reserved. The moral law of the authors has been asserted

Pomysł serii Uniwersum Metro 2033 © Dmitry Glukhovsky, 2009–2017

Przekład z języka włoskiego

Piotr Drzymała

Projekt okładki

Ilja Jackiewicz

Projekt logotypu serii

Jacek Doroszenko, www.doroszenko.com

Redakcja

Piotr Mocniak

Korekta

Aleksandra Jastrzębska-Wiktor, Tomasz Brzozowski

Konwersja

Tomasz Brzozowski

Copyright © for this edition Insignis Media, Kraków 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ta jest dziełem wyobraźni. Nazwiska, postacie i wydarzenia zostały wymyślone przez autora i są fikcyjne. Wszelkie podobieństwo do zdarzeń, miejsc lub osób rzeczywiście istniejących obecnie lub w przeszłości jest czysto przypadkowe.

ISBN 978-83-65743-63-3



Insignis Media

ul. Lubicz 17D/21–22, 31-503 Kraków

telefon / fax +48 (12) 636 01 90

biuro@insignis.pl, www.insignis.pl

facebook.com/Wydawnictwo.Insignis

twitter.com/insignis_media (@insignis_media)

instagram.com/insignis_media (@insignis_media)

Snapchat: [insignis_media](#)

Mojemu rodzeństwu

Auf die Erde voller kaltem Wind
Kamt ihr alle als ein nacktes Kind.

*Na ziemię zdjętą wichrem zimnym
przybyliście jako dzieci nagie.*

Bertolt Brecht, *Von der Freundlichkeit der Welt*

*Mam także inne owce,
które nie są z tej owczarni.*

Ewangelia wg św. Jana, 10:16

סוצמצ

Cimcum

Prolog

Mężczyzna, którego zwiadowcy z Miasta odnaleźli porzuconego w śniegu niczym zepsutą zabawkę, wyglądał na umierającego.

Patrzyli na niego w osłupieniu. Nigdy jeszcze nie widzieli tak starego człowieka. Wydawał się martwy jak zwęglone pnie drzew wzdłuż drogi.

Stracił dużo krwi. Zbyt dużo, żeby przeżyć.

Dlatego nieśli go do schroniska bez najmniejszej dbałości, jak coś zupełnie bezwartościowego.

Matka Miłosierdzia pokręciła głową, kiedy go zobaczyła. Opatrując mu rany na nodze i na biodrze, uznała, że nie przeżyje nocy. W swoim pokoju ozdobionym ludzkimi czaszkami i starymi, wypchanymi w szpitalu peryferyjnym zwierzętami, Matka długo wypowiadała magiczne formuły, zanim uciekła się do ostatecznej próby: do zapomnianego rytuału, którego tajemnicę znała tylko ona.

– DEFIBRYLATOR! ŁADUJ!

Nacisnęła mocno rękami klatkę piersiową obcego.

Nagie ciało mężczyzny było nieruchome i trupio blade.

Szczupłe młode twarze, słabo oświetlone wątkim płomieniem świecy, pochyliły się, żeby lepiej widzieć. Po chwili odskoczyły wystraszone donośnym okrzykiem Matki.

– ŁADUJ!

Kolejny wstrząs, jeszcze silniejszy niż poprzedni.

Leżące na ziemi ciało drgnęło.

– TRACIMY GO! DAJCIE MI WIĘCEJ ENERGII!

Cała dwunastka pielęgniarzy podała sobie dłonie, tworząc krąg. Ostatnia, a zarazem najmłodsza z nich, Albachiara, wyciągnęła prawą rękę i uścisnęła dłoń obcego. Lewą rękę splotła z dłonią swojego brata Michelego, zwanego Miką.

– ŁADUJ! – wrzasnęła znowu Matka na cały głos.

Wszystkich jakby przeszły błyskawica. Mika, a zaraz po nim Albachiara, poczuli pulsowanie energii, coś na kształt błękitnej kuli przepływającej po plecach i ramieniu, pozostawiającej za sobą wrażenie mrowienia i przechodzącej aż do dłoni leżącego na szpitalnym łóżku mężczyzny.

Artretyczne palce Matki jeszcze raz nacisnęły pierś konającego.

Mika przyglądał się tej scenie przepełniony strachem.

Ciałem wstrząsnęło, jakby rzeczywiście przeszył je prąd.

Wagant, szef zwiadowców, opowiadał im kiedyś o elektryczności. Czym była, co dawała. Dla nich była magią z zamierzchłych czasów.

To, czym jesteśmy teraz, mówił, to tylko symboliczna energia. A tamta była prawdziwa: mogła cię spalić jak piorun.

Była we wszystkich domach, w ścianach. Jak ta moc, którą mamy w żyłach, pod skórą. Energia była bogiem tamtych czasów. To ona je stworzyła. I ona je zniszczyła.

Matka zmierzyła Mikę surowym spojrzeniem, jakby wspomnienia chłopca zostały wypowiedziane na głos i naruszyły świętość obrzędu.

Potarła dłonią o dłoń, aby wytworzyć magię zwaną „elektrycznością”.

Potem zbliżyła dłonie do piersi mężczyzny.

Wszyscy wiedzieli już, że to ostatnia próba.

Musiał być wielkim grzesznikiem. Nic nie mogło go ocalić.

Dokładnie tak powie Matka, zanim zamknie mu oczy i wytnie nożem na czole dwanaście pionowych kresek, które oznaczają go na podróż ku Ofiarowaniu. Symbol, który nazywała „kodem kreskowym”.

Położyła dłonie na torsie obcego. Zimne zakrzywione palce zamknęły się w puchar.

W powietrzu słyhać było jakieś skwierczenie. Czuło się ozon. Niemożliwe, a jednak.

– DAJCIE MI WIĘCEJ ENERGII! SKONCENTRUJCIE SIĘ MAKSYMALNIE! RAZ, DWA, TRZY: ŁADUJ!

Tym razem wstrząs był potężniejszy, niż Mika i pozostali mogli się spodziewać. Albachiara bezwiednie aż jęknęła.

Plecy obcego wygięły się nagle w łuk. Mężczyzna wydał z siebie niehumaniczny krzyk, a z ust wyciekł mu strumień gęstego, czarniawego płynu. Oczy otworzyły się szeroko i wbiły niewidzące spojrzenie w sufit. Były białe, zamglone.

Jak oczy ryby smażonej na ogniu, powie tej nocy Mika swoim kolegom w pokoju zabaw.

Choć żaden z nich, rzecz jasna, nie widział nigdy ryby. Było to po prostu powiedzenie zasłyszane od dorosłych.

Z ust obcego znowu chlusnął czarny strumień, a po chwili nieco jaśniejszy, cuchnący żółcią.

Ślepe spojrzenie spoczęło na obecnych. Na kręgu utworzonym z ich twarzy.

Tyle że oczy nie wyglądały na ślepe. Zdawały się widzieć.

– Jak się nazywasz? – spytała Matka swoim skrzeczącym, ptasim głosem.

– John Daniels. Ojciec John Daniels – wyszeptał obcy i zemdlął.

1 | Przeżyje?

– Przeżyje? – zapytał Rządca, patrząc krzywo na mężczyznę leżącego pod brudnym kocem.

Matka pochyliła głowę, kręcąc włosy lalki, którą nosiła zawieszoną na naszyjniku. Lalka była smukła, miała blond włosy. Kiedyś takie lalki nazywano Barbie. Na tym samym naszyjniku wisiały jeszcze głowy jedenastu innych Barbie.

Matka i Rządca byli sami w szpitalu peryferyjnym. Sami w złowieszczym towarzystwie obcego.

– Przeżyje. Nie wiem, jak to możliwe, ale przeżyje. I może dla niego to wcale nie jest dobra wieść. Jest coś dziwnego w tym człowieku. Coś bardzo dziwnego. Są jakieś duchy wokół niego, i to duchy, które chyba wychodzą z niego samego.

Nigdy nie widziałam takiej aury.

Rządca już chciał powiedzieć, że te historie o aurach były dobre dla nieoświeconych Obywateli, a nie dla kogoś z jego wykształceniem, ale się nie ośmielił. W Mieście wszyscy odczuwali lęk przed Matką Miłosierdzia. To ona leczyła, ona wysyłała do Wuja, kiedy nadchodził twój czas. Obecna Matka pochodziła z Wysokich Domów, dziesięć godzin drogi od Miasta. Zawsze tak było. Matki Miłosierdzia zawsze pochodziły z innego miasta. Decyzje, jakie musiały podejmować, rzeczy, które były zmuszone czasem robić, byłyby trudne do wykonania dla kogoś, kto znał wszystkich w mieście. Jak zawsze Matka była z zewnątrz. Tak było niezmiennie od

dnia wielkiego grzmotu.

– Wiesz już, skąd jest?

Kobieta pokręciła przecząco głową. Naszyjnik z kości, który miała na sobie i który nazywała „stetoskopem”, wydał suchy dźwięk, coś jak odgłos kości rzucanych na zielone sukno w kasynie.

– Nie jest człowiekiem z miasta. Przybywa na pewno z daleka.

I, jakby na potwierdzenie swoich słów, spomiędzy fałd szaty zręcznym ruchem wyjęła zawiniątko. Rozwinęła chusteczkę. Oczom Rządcy ukazało się coś, co zaparło mu dech w piersiach.

– ZABIJ GO! – wrzasnął tak głośno, że Matka aż podskoczyła. – ZABIJ GO! – powtórzył piskliwym ze strachu głosem.

Cofnął się z pianą na ustach, jakby go ugryzł Stwór Nocy. Jego palec wskazujący mierzył w leżącego pod kocem obcego.

Matka poderwała się przestraszona reakcją chłopaka. Szata, którą nazywała „albą” – długa, niegdyś biała suknia z tkaniny – rozdarła się na boku i ukazała kolejne naszyjniki ze szczurzych czaszek. Jej ramię błyskawicznym ruchem powstrzymało dłoń Rządcy próbującą wyszarpnąć stary pistolet z kabury.

– Nie rób głupstw.

Rządca warknął coś, starając się wyrwać z uchwytu Matki. – To morderca!

Matka szukała właściwych słów, żeby mu odpowiedzieć, gdy z legowiska doszedł do ich uszu słaby, chrapliwy głos obcego: – Nie... jestem... mordercą.

Jego białe oczy wbiły się w Rządcę. Później skierowały się ku prawej dłoni Matki. Palce uzdrowicielki otworzyły się same, jakby były niezależnym od niej bytem, ukazując przedmiot, który zrobił tak piorunujące wrażenie na Rządcy: była to kulka z szarego ciężkiego metalu o średnicy kilku centymetrów, prymitywnie uformowana na kształt oka.

Dłoń obcego uniosła się. Złamany paznokieć palca wskazującego

skierował się w stronę dłoni Matki, w stronę ołowianego oka, którego mężczyzna nie mógł widzieć.

– To... nie moje... Wziąłem je... ludziom, którzy... mnie napadli.

– Ilu ich było?

Suche wargi obcego wykrzywiły się w ponurym uśmiechu.

– Jak dla mnie... za wielu.

– To oni cię oślepiłi?

– Nie. To... nie oni. To... było... wcześniej.

Ręka mężczyzny opadła bezwładnie na zniszczony koc.

– Dajcie mi pić. Mam sucho w gardle.

Matka przystawiła mu do ust misę. Woda była mętna i miała straszny zapach, ale obcy wypił ją do ostatniej kropli.

Rządca zdjął rękę z kabury pistoletu.

– Jeśli jesteś ślepy, to skąd wiesz, co się naprawdę stało? Skąd wiesz, ilu cię napadło?

Obcy uśmiechnął się i utkwiał puste spojrzenie w twarzy Rządcy.

– Wiem, i tyle.

Chłopak podrapał się po brodzie, wprowadzając zamieszanie w lokalnym gnieździe wszy.

– Wyjdź – rozkazał Matce.

– Ale...

– Nie dyskutuj.

Kobieta zagryzła wargi, pochyliła głowę i wyszła.

Rządca przykucnął obok legowiska obcego.

– Najpierw powiedz mi, skąd przychodzisz.

– Gdy ci powiem, nie uwierzysz.

– Pozwól, że sam o tym zdecyduję.

– Przychodzę z Wenecji.

– Z Wenecji? A co to jest Wenecja?

– Takie miasto.

– Nie ma miasta o takiej nazwie. Znam wszystkie miasta, żadne nie nazywa się tak, jak mówisz.

Mężczyzna leżący pod szarym, brudnym kocem westchnął.

– A co wiesz o świecie, który jest na zewnątrz?

Rządca wypiął dumnie pierś.

– Podróżowałem. Znam miasta Wysokich Domów i te, które żyją wokół Żelaznych Wrót.

– Co masz na myśli, kiedy mówisz „miasto”?

Rządca wzruszył ramionami.

– Czym jest dla ciebie „miasto”? – nalegał obcy.

– Daj spokój. Każdy to wie.

– Ale powiedz.

– Miasto... no, miasto to masa ludzi, którzy są razem. Tak jak my.

– Masz na myśli „plemię”.

– Nie! Plemię to... to tak jak piraci albo Indianie. To tylko kupa dzikusów. A miasto jest wtedy, kiedy zbierają się razem cywilizowani ludzie.

– A ty jesteś szefem tego... „miasta”? Jesteś burmistrzem?

– Nie. Jestem Rządcą. Nie ma burmistrza, gdy jest Stan Zagrożenia. Kiedy się skończy, wybierzemy burmistrza, będą wybory i plakaty i wszystko, co trzeba. Ale na razie mamy tylko Rządcę, którym jestem ja.

Ślepe oczy obcego lustrowały powoli ściany groty, jakby widziały. Przytaknął.

Rządca patrzył na niego zafascynowany.

– Ilu was jest? – spytał obcy.

– Po co ci ta wiedza?

– Myślisz, że mógłbym was skrzywdzić, gdybym to wiedział? To taka ważna informacja? Jestem sam, jestem ranny.

Jestem ślepy. Co ja wam mogę zrobić? Przypuszczam, że przed tą izbą stoi przynajmniej dwóch strażników gotowych przebić mnie włóczniami,

gdy tylko spróbuję stąd wyjść.

– Trzech – skłamał Rządca. – Strażników jest trzech. I nie mają włóczy, tylko pistolety – dodał, starając się, żeby te słowa zabrzmiały dumnie.

Obcy pokręcił głową.

– Jest ich dwóch. Młodych i niedoświadczonych, z włóczyniami. Tego młodszego boli brzuch, już dawno powinien pójść do latryny, ale boi się, że go ukarzesz za opuszczenie posterunku. Radzę ci go puścić, bo inaczej nie będzie tu czym oddychać.

Rządca wytrzeszczył oczy.

– Co do ich pistoletów – ciągnął nieznajomy – to imitacja broni. W moich czasach mówili na to straszaki. Robią dużo hałasu, ale żadnej krzywdy.

Zamknął oczy. Te dziwne białe oczy, od których Rządca chodziły ciarki po plecach.

Obcy zapytał szeptem: – Ile masz lat?

– Po co chcesz wiedzieć?

– Powiedz mi, proszę, ile masz lat.

– Dwadzieścia pięć-wydukał Rządca.

Obcy zamyślił się dłużej, gdy to usłyszał.

Twarz tamtego poczerwieniała ze zdenerwowania pod rzadką młodzieńczą bródką.

– Czemu się tak denerwujesz? – zapytał obcy uprzejmie.

– Nie denerwuję się.

– Ale twój pot nie kłamie – skwitował obcy. – No to jak? Z ilu osób składa się wasze miasto?

– Dlaczego miałbym ci to powiedzieć?

– Dlatego że pytam. I dlatego że nie jestem w stanie wykorzystać tej informacji przeciwko wam. Spójrz tylko na mnie.

Rządca potulnie posłuchał. Nigdy nie widział tak starego człowieka.

Najstarszą osobą w Mieście była Matka Miłosierdzia, a przed nią Mama, która uratowała ich w Stanie Zagrożenia. Ale Mama miała zaledwie dziesięć lat więcej od zbłąkanych dzieci.

Ten człowiek był naprawdę stary.

Jego długa zaniedbana broda przypominała Rządcy bohatera pewnej historii, którą opowiadała Mama – historii mężczyzny, który polował na wielkiego białego wieloryba, tropiąc go aż na krańcach świata.

– Nie jestem aż taki stary – odezwał się obcy, jakby mu czytał w myślach.

– Ile masz lat?

– W czasach Zagłady, które ty nazywasz Stanem Zagrożenia, byłem mniej więcej w twoim wieku. Każdy nazywa to inaczej, ale chodzi o to samo. Dzień, w którym wszystko zostało stracone oprócz nadziei, choć i tej pozostało niewiele.

Wydaje się, że ludzkie nasienie zdane jest na zatracenie...

Rządca się zachnął.

– Nie mam czasu na głupstwa. Spróbuj odpowiedzieć precyzyjnie. Chcę wiedzieć, kim jesteś i dokąd szedłeś, zanim natknąłeś się na Synów Gniewu. Zakładając, że wszystko odbyło się tak, jak mówisz.

– Nazywacie ich Synami Gniewu? Dobra nazwa. Bili mnie z modlitwą na ustach. A choć modlili się po łacinie, to byli niczym diabły. Znałem tylko jednego człowieka równie szalonego: kaznodzieję, który jeździł olbrzymią ciężarówką z kościołem w jej wnętrzu. Tyle że jego kościół torturował i zabijał. David Gottschalk-taksię nazywał. Połączenie kata i kaznodziei. Na ołtarzu jego kościoła widziałem taki symbol jak ten.

– Mówisz o tym oku, tak?

– Tak. Zastanawiam się, czy Gottschalk i Synowie Gniewu nie wyznają tego samego bluźnierczego kultu.

– Nie obchodzi mnie to. Odpowiedz na moje pytanie.

Daniels westchnął.

– Żeby odpowiedzieć na twoje pytanie, powtórzę jeszcze raz, że powiedziałem prawdę: przybywam z Wenecji.

Przeszedłem pieszo setki mil. Szedłem do Rzymu. Tyle że kiedy przebyłem ćwierć drogi, musiałem zmienić trasę i trafiłem tutaj.

– Wciąż używasz słów bez sensu. Mów, z jakiego miasta przyszedłeś i dokąd zmierzałeś. Chcę nazw, które znam. Mów o dniach podróży, a nie o milach, cokolwiek by to nie było.

Obcy znów westchnął.

– Wenecja to miasto. Nie w waszym rozumieniu. Miasto, o którym mówię, składa się z ulic, domów i pałaców. Czekaj, nie przerywaj mi. Ale daj mi się jeszcze napić.

Rządca nalał wody z dzbana i zbliżył misę do ust księdza, który pił bardzo wolno, niemal nabożnie.

Kiedy skończył pić, uśmiechnął się.

– Nie ma nic lepszego od wody. Tylko musicie bardziej uważać na to, co pijecie. Wasza woda jest bardzo zanieczyszczona. Możecie się poważnie pochorować.

– Jeśli tobie nie szkodzi, to tym bardziej nam, młodym.

– To twoje zdanie.

Już dawno Rządca nie rozmawiał z kimś, kto najwyraźniej uważał się za równego mu poziomem. Przywykł do wydawania rozkazów, nie był gotowy na to, by ktoś się z nim równał. Te nieliczne sytuacje, w których przytrafiło mu się coś podobnego, miały miejsce z niewolnikami, żołnierzami przybyłymi z innych miast, którzy wpadli na ten fatalny pomysł, by rzucić wyzwanie Miastu. Rozmawiał z nimi przed Ofiarowaniem, czasami przez całą noc, próbując zebrać jak najwięcej informacji. Z tamtymi mężczyznami i kobietami Rządca dyskutował jak z równymi sobie. Ale pamięć ostatniej wojny była już odległa. Miastu od lat nikt już nie rzucał wyzwania.

– Ilu was jest? – nalegał obcy.

– To ja tu zadaję pytania – odparował Rządca. – Ta „Wenecja”, o której mówisz, jest silnym miastem?

– Nie, chociaż w pewnym sensie tak.

Młody mężczyzna wpadł w szal.

– Dość tego! Albo będziesz mówił, albo ofiaruję cię Wujowi!

Obcy zamilkł. Jego ślepe oczy długo wpatrywały się w pełne gniewu oczy Rządcy. Po chwili zdecydował się mówić.

– Dawno temu było to jedno z najpotężniejszych miast na świecie. Jego flota panowała niepodzielnie na Morzu Śródziemnym. Jego pałace ociekały złotem i kamieniami szlachetnymi. Później przyszedł upadek. W czasach Zagłady było już tylko cieniem własnej minionej chwały.

– Czyli nasze miasto jest większe od twojej Wenecji.

– Możliwe. Gdybyś tylko zechciał mi powiedzieć, ilu was jest i jaką macie broń...

Ręka Rządcy znów powędrowała do kabury.

– Odpręż się – szepnął obcy, wzdychając. – Za bardzo się asekurujesz. Jaką krzywdę może ci zrobić taki starzec jak ja?

– Byłeś praktycznie martwy, kiedy cię tu przynieśli. Jakim cudem tak szybko z tego wyszedłeś? I jak zdobyłeś ten symbol Synów Gniewu?

– Nie przestajesz zadawać pytań, a nie przyszło ci do głowy spytać, czy czasem nie jestem głodny.

– Najpierw odpowiedz. Jeśli będę zadowolony z twoich odpowiedzi, dostaniesz jeść. Inaczej ofiaruję cię Wujowi.

Obcy pokręcił głową.

– Już drugi raz o nim mówisz. To chyba możesz mi powiedzieć: kto to jest ten „Wuj”?

Rządca wydawał się zaskoczony tym pytaniem.

– Nie wiesz, kto to jest Wuj? Myślałem, że wszyscy to wiedzą, że wiedzieli nawet przed Stanem Zagrożenia. Wuj to istota, która jest tam, na zewnątrz. Jest jeden, ale kiedy jest dobry, nazywamy go Wujem z Ameryki.

Kiedy zaś jest zły, staje się Wujem Festerem. Dobry Wuj mieni się tysiącem kolorów. Wściekły – brzydnie, rosną mu pazury i kły, robi straszne rzeczy dzieciom...

– Macie dzieci?

– NIE ZADAWAJ WIĘCEJ PYTAŃ! – wrzasnął Rządca tak głośno, że jeden ze strażników odsunął zasłonę zamykającą wejście do szpitala, żeby sprawdzić, co się dzieje.

– Wszystko w porządku. Wracaj na miejsce – rozkazał mu ostro Rządca.

Chłopak z włócznią posłuchał. Ostrze broni zrobione było ze starego kuchennego noża zaostrzonego tak, że we wprawnych rękach stawało się śmiercionośnym narzędziem. Ale Daniels wątpił w to, że jego właściciel zdoła zrobić z niego właściwy użytek. Dłonie chłopaka drżały, a twarz nosiła ślady skrajnego niedożywienia.

– Od jak dawna ten chłopak nie je nic treściwego? – zapytał półgłosem.

Odpowiedź Rządcy zionęła złością.

– Od ostatniego Ofiarowania. Módl się, żeby tej nocy nie było kolejnego.

2 | Ostatnie ofiarowanie

John Daniels, słysząc te słowa, zadrżał.

W podróży przeżył wiele okropności, ale największą, z jaką musiał się mierzyć aż nazbyt często, byli ludzie zmuszeni do pożywania się mięsem bliźnich. Kościół Nowego Watykanu, niewielka społeczność kierowana przez kardynała kamerlinga Albaniego w katakumbach Świętego Kaliksta, potępiał kanibalizm – groziła za to kara śmierci.

Ale Kościół nie zawsze był w stanie zapewnić przestrzeganie prawa. Nie poza swoimi granicami.

A czasami nawet i w swoich granicach.

Chodziły słuchy, że rodzina Morich, która jako pierwsza zajęła katakumby i kwestionowała władzę Kościoła nad tym olbrzymim podziemnym schroniskiem, splamiła się w przeszłości także i tym strasznym grzechem. Ale Mori stali ponad prawem, tak ludzkim, jak i boskim. Ojciec Daniels zastanawiał się nieraz w trakcie swojej podróży, jak zmienił się układ sił w Świętym Kalikście pod jego nieobecność. Czy Albaniemu udało się wytłumaczyć przed Morimi z fiaska wyprawy do Wenecji? Wyprawy mającej wrócić do domu ze skarbem Świętego Marka, na który Mori się ślinili, ale przede wszystkim obliczonej na sprowadzenie do Rzymu, dobrowolnie lub pod przymusem, Patriarchy, którego obecność była niezbędna do zwołania konklawe i wyboru papieża po dwudziestu latach sediswakancji. Papieża, którym rzecz jasna zostałby Albani, kardynał kamerling, rządzący Kościołem przez dwadzieścia lat od śmierci ostatniego

arcybiskupa Rzymu.

Kiedy Daniels wyruszał wraz z konwojem Gwardii Szwajcarskiej ze schronu Świętego Kaliksta, równowaga polityczna Nowego Watykanu była co najmniej niepewna. Autorytet Kościoła ustępował pola władzy Morich. To dlatego Albani poczuł się w obowiązku zarządzenia tej wyprawy, pomimo olbrzymiego ryzyka i absolutnego braku pewności co do jej skutków.

Ilekcio ojciec Daniels wspominał Albaniego, czuł przypływ nienawiści: uczucia niezgodnego z jego powołaniem.

A jednak nie mógł na to nic poradzić. Odkąd odkrył zdradę Albaniego, odkąd zrozumiał, że misja była przykrywką i że jej prawdziwym celem było zniszczenie Wenecji wraz z Patriarchą przy użyciu bomby atomowej, John poświęcił się jednej jedynej sprawie, jaką było powstrzymanie zbrodniczej ręki kardynała.

Spotkanie z Patriarchą poruszyło nim do głębi.

To, co odkrył pośród ruin Wenecji, było zbyt piękne i tajemnicze, by mogło zostać zniszczone przez ludzkość. Żeby móc to osądzić, najpierw należało to zrozumieć. Być może był to dar, a nie zagrożenie.

Ta podróż zmieniła go na wiele sposobów. Stracił wzrok, ale zyskał zdolność odczuwania empatii wobec istot, które kiedyś potępilby bez chwili zastanowienia. Jego wiara nie dość, że przetrwała okropności podróży, to wyszła z niej zahartowana niczym klinga. Choć pewnie Albani przeraziłby się na widok nowego kształtu tej klingi.

Młodzieniec, który kazał się nazywać Rządca, spojrział w twarz Danielsa.

– Co jest? – zapytał w reakcji na jego milczenie. – Bawisz się ze mną w kotka i myszkę?

Na te słowa po twarzy księdza przebiegł skurcz. Kąciki jego ust uniosły się dziwnie w górę, od miesięcy nie miał takiej miny.

John Daniels wybuchnął głośnym śmiechem. W oczach chłopaka

malowało się zdumienie.

– A kiedyś ty widział kota?

Rządca poczerwieniał.

– Tak się po prostu mówi.

– Ja kota widziałem w Wenecji – wyszeptał Daniels. – Dziwny to był kot. Tak jakby był i jakby go nie było jednocześnie.

– Jak Kot– Dziwak z Cheshire? – wymknęło się chłopakowi.

– Jak Kot– Dziwak z Cheshire – potwierdził ksiądz. – A kiedy byłem chłopcem, miałem prawdziwego kota. Rasy maine coon, prążkowany, jak tygrys. Miał na imię Angel. A więc znasz *Alicję w Krainie Czarów*?

Rządcę zdziwiło to pytanie.

– Jasne! Wszyscy znają tę historię.

Daniels wolał nie zaprzeczać.

– Ten wenecki kot musiał być słynnym „kotem Schrodingera”.

– Czyim kotem?

– Nieważne, zapomnij. Wenecja to dziwne miejsce. Miejsce, które zmienia cię w środku. Ale ten schron... to wasze miasto... też niczego sobie. To mówiłeś, że ilu was jest?

– Nic nie mówiłem. I żebym nie musiał ci powtarzać, że nie masz zadawać pytań.

– Macie kogoś do leczenia chorych. Kobietę, która mną się zajmowała.

Rządca wypiął dumnie pierś.

– Tak. Mamy Matkę Miłosierdzia. I mamy Rządcę-to ja. Mamy kino, i bibliotekę, i...

– Jak? Kino?

– Tak. Inne miasta nie mają nic takiego. To żałośni...

– Barbarzyńcy...?

– Gorzej. To piraci. I Indianie.

– „Piraci i Indianie” mówisz?

Rządca spojrzał badawczo na Daniela, próbując wychwycić ślad kpiny

lub domyślić się pytania. Ale wyglądało na to, że ksiądz przyjął jego słowa normalnie. Dziwny był ten Daniels. Naprawdę dziwny. Miało się wrażenie, że dużo wie.

Byłoby doprawdy szkoda, gdyby umarł, zanim przekaże Miastu swoją wiedzę.

– Pokażesz mi to kino? I bibliotekę? – spytał ksiądz.

– Kiedy poczujesz się lepiej. Teraz nawet nie utrzymasz się na nogach.

– Już czuję się lepiej.

Rządca uciął krótko tę zbędną dyskusję, która mogła go jedynie rozżłościć.

– Teraz odpoczywaj. Przyślę tu Matkę. Ona się tobą zajmie, dopóki nie będziesz mógł wstać. Wtedy zobaczę, czy będę miał czas, żeby ci pokazać Miasto. Musisz wiedzieć, że jestem bardzo zajęтым człowiekiem.

Nie pozostawiając staremu czasu na odpowiedź, bez słowa pożegnania, odsunął zasłonę zamykającą wejście do szpitala i wyszedł.

Ledwo minął czas potrzebny na zaczerpnięcie dziesięciu oddechów, a w pomieszczeniu pojawiła się Matka Miłosierdzia. W rękę trzymała miskę z odrapanym brzegiem, z której wydobywała się niewiarygodna woń, tak intensywna, że zdominowała smród izby. Nos Johna Danielsa od dawna nie czuł takiego aromatu. Aż poleciała mu ślinka.

Po chwili z przerażeniem zdał sobie sprawę, skąd brał się ten zapach.

Rosół.

Wywar z mięsa.

– Jedz. Nie rób takich min – napomniała go Matka. – Jeśli nie będziesz jadł...

Nie dokończyła.

Jeśli nie będę jadł, to co mi się stanie? Co chciałaś powiedzieć? – zastanawiał się ojciec Daniels. – *Jeśli nie będziesz jadł, to nie urośniesz? Jeśli nie będziesz jadł, to przyjdzie babok? Przyjdzie Wuj?*

Kobieta podstawiała dymiącą miskę pod nos księdza. Poruszyła nią kilka

razy, aż aromat zupy zrobił swoje.

Kiedy usta Danielsa dotknęły brzegu miski, kiedy pierwszy łyk rosółu spłynął do gardła, pociekły razem ślina i łzy, kapłan pił, a w duchu przeklinał siebie samego, i znowu pił, łapczywie, wielkimi haustami, a z każdą kroplą pożywnego płynu wlewającego się do jego ciała wypowiadał słowa przeprosin i modlitwy – i nie umiał powiedzieć, które skierowane były do Boga, a które do istoty, którą się żywił.

– Co mam zrobić z tym człowiekiem? – zapytał Rządca, zwracając się do fotografii.

Zawieszona na ścianie jego pokoju zdjęcie przedstawiało Matkę Miasta. Oprawne było w ogromną barokową ramę.

Zbłąkane dzieci znalazły ją w jednym ze sklepów dzielnicy. Stare drewno wiło się dekoracjami aniołków i kiści winogron.

Zapewne zdobiło portret jakiegoś szlachcica, wielkiego kondotiera, a może nawet papieża. Zdjęcie Mamy, maleńki kolorowy kwadracik, ginęło wśród tego przepychu.

Odpowiedzialność od zbyt dawna ciążyła jak głaz na wątych barkach Rządcy. Chętnie przekazałby tę funkcję innym, ale to nie wchodziło w grę. Jego urząd był dożywotni.

– Kiedy mnie wybierałaś, wiedziałaś, na co mnie skazujesz? – zapytał zdjęcia, które w pewnym sensie przypominał: coś bardzo małego zamkniętego w nieproporcjonalnie wielkiej ramie. – Wiedziałaś, z czym będę się musiał zmierzyć?

Domyślałaś się wagi wyborów, konsekwencji moich decyzji? Mówiłaś zawsze, że mnie kochasz, że jestem twoim cudownym synkiem, i tak mnie wynagrodziłaś?

Łzy obficie spływały mu po policzkach.

Mama nie odpowiadała. Jakżeby mogła? Na łożu śmierci powiedziała mu coś, co Rządca zachował tylko dla siebie.

Czego nikt w Mieście nie powinien usłyszeć.

Tam, na zewnątrz, czai się straszny świat. To nie moja wina, Don. Nie zrobiłam nic złego. Moją jedyną winą jest to, że was uratowałam. Powinnam była pozwolić wam umrzeć. A później sama się zabić. Tak byłoby lepiej. Płynąć z nurtem rzeki, zamiast walczyć z prądem. Próbowałam ratować życie w umierającym świecie. Popełniłam błąd. Żeby was uratować, musiałam dokonywać strasznych wyborów. Musiałam pozbawić się wszelkich skrupułów, poświęcić własne przekonania. Musiałam robić rzeczy straszne, żebyście przeżyli...

Mama uratowała pewną cenną rzecz z czasów przed Stanem Zagrożenia. Niewiarygodne, że tak delikatny przedmiot nadal działał. Nazywała to „piórem wiecznym Montblanc”.

Tego dnia, w ostatniej godzinie swojego życia, Mama przekazała Donowi zawiniątko z piórem wiecznym i dwie drogocenne buteleczki z atramentem.

Na piórze wygrawerowane były złotymi literami jej imię i nazwisko: Francesca Vitali.

To mój prezent na zakończenie studiów, powiedziała, zamykając drżące palce Dona na tym niezwykle cennym darze.

Weź. Ty jesteś teraz nowym Rządcą.

Dlaczego ja, Mamo? Czemu nie Wagant?

Wagant się nie nadaje. Możesz na niego liczyć, ale to nie jest właściwy człowiek do tego zadania. Możesz mu ufać.

Będzie wykonywał twoje rozkazy, i to perfekcyjnie. Ale to nie jest właściwy człowiek, żeby prowadzić moje zbłąkane dzieci.

Ale tyle mu zawdzięczamy. To niesprawiedliwe, że wybierasz mnie.

Wagant zrozumie. Zobaczysz. Problemy będą z innymi.

Wstrząsnął nią napad takiego kaszlu, że aż zgięła się wpół z bólu. Jak scyzoryk Waganta, którego małe ostrze otwierało się o sto osiemdziesiąt stopni. To legendarne ostrze, które pewnego dnia uratowało ich od ludojadów. Mama zgięła się wpół jak ten scyzoryk z tnącym ostrzem tak

często, że przypominała kartkę papieru.

To też była symboliczna rzecz. Taka relikwia z przeszłości.

Tego dnia, siedem lat temu, umierając, Mama ofiarowała mu swój dar i wymówiła słowa, które uczyniły Dona Rządcą Miasta.

Dbaj o moje dzieci- wyszeptała ledwo słyszalnym głosem.

Chwilę potem dobiły ją gorączka i ostatni spazm kaszlu. Zgasła jak płomień dopalającej się świecy, który rozbłyskiwał w kałuży rozlanego wosku, rzucając na ściany upiorne cienie.

Prowadź ich. Broń. Pocieszaj, gdy poczują się samotni. Karz, kiedy będzie trzeba, ale pamiętaj, że są jak twoje dzieci.

Kiedyś będziesz miał też swoje. Widziałam, jak Sara na ciebie patrzy. Pewnego dnia urodzi ci dzieci, ona albo inna.

Pamiętaj-jakkolwiek byś ich nie kochał, musisz jeszcze bardziej kochać te, które...

Jej oczy zamknęły się na dłużej z bólu.

Kiedy znów zaczęła mówić, jej głos był słaby jak szelest liści niesionych przez wiatr.

Donowi przyszła na myśl grecka dziewczyna, która tak nikła z miłości, że został z niej tylko głos. Kiedy była bliska śmierci, bogowie zlitowali się i zamienili ją w cykadę.

Litość...

Prawie nic nie zostało z Mamy.

Kiedy znów otworzyła oczy, nie dokończyła na wpół urwanego zdania. Chwyliła dłoń Dona cienkimi jak odnóża pająka palcami i pogładziła ją. Jej usta poruszały się wolno, niemal niezauważalnie. Don wyłowił spośród łez i łkania Mamy słowa piosenki dla dzieci, którą śpiewała im na dobranoc, gdy byli mali. Coraz słabszy głos intonował kołysankę do samego końca. Potem usta zamilkły, i nie było już Mamy.

Don wybuchnął niepohamowanym płaczem. Położył głowę na ramieniu Mamy, zalewając je łzami.

Czuwał przy niej znieruchomiła cała noc, gdy jej ciało stygło, a usta coraz bardziej się otwierały, nadając jej twarzy idiotyczny wyraz.

O świcie, gdy po ciemności nastąpiła szarość, Don wstał pośród zapachu choroby i wypalonych świec, jaki panował w pokoju śmierci. Popatrzył na Mamę z góry, z dziwnym uczuciem. Spokojny, zdystansowany. To, co leżało pod kołdrą, nie było już Mamą. Było ciałem, którym należało zadysponować dla Ofiarowania.

Kiedy wyjął z etui drogocenne wieczne pióro, nie był już Donem.

Był nowym Rządcą.

Ci, którzy weszli do pomieszczenia, zrozumieli to natychmiast. Spojrzeli błyszczącymi oczami na martwą Mamę i na stojącego obok niej chłopaka, po czym skłonili się, oddając im honory. Zawołali resztę i wszyscy razem przyklękli wokół łoża, aby być świadkami tej chwili. Uroczystym, wolnym gestem Rządca odkręcił zatyczkę pióra. Pochylił się nad Mamą i po chwili zawahania nakreślił na jej lodowatym czole dwanaście pasków kodu kreskowego. Piórem, nie nożem. Skóra była gładka. Nie było już na niej zmarszczek bóleści, które znaczyły ją w ostatnich chwilach życia. Znaki wyszły precyzyjne, doskonałe.

Rządca wypowiedział formułę pożegnania i wyznaczył czterech Obywateli, którzy mieli zająć się przygotowaniem Ofiarowania. Oczywiście Waganta. A poza nim: Niedźwiedzia, Vasca i Malutkiego.

Czwórka wybrańców podeszła do łoża. Naciągnęli brzegi prześcieradła i zawinęli w nie ciało Mamy, po czym w ciszy położyli je sobie na ramionach.

Rządca wybrał Waganta, bo wiedział, że w tej sprawie może liczyć na dowódcę wojowników, a innych dlatego, że byli najmniej inteligentni w Mieście. Wymienili z Wagantem porozumiewawczy znak, i ciało zostało wyniesione.

Znak, którego pewnie nie zauważył nikt inny w pomieszczeniu, był prawdziwą inwestyturą Dona. Teraz pozostawało mu już tylko ją

sformalizować.

Pierwszym Obywatelem, który powstał, był Drzewo. Nazywali go tak z powodu jego chudości, która upodabiała go do jedyne drzewa, jakie wszyscy pamiętali. Czarnego, zwęglonego. Widać je było z ostatnich pięter na dziedzińcu Miasta. Pień, od którego odchodziły dwa konary, niczym ramiona w błagalnej modlitwie. Chłopak zwany Drzewem był dokładnie taki sam. Don przeczuwał, że to on będzie źródłem problemów. Był młody, w Mieście nie mógł liczyć na poparcie zbyt wielu osób. Ale był też jednym z najbardziej obłudnych Obywateli, i to stanowiło zagrożenie.

– Mama nie żyje – powiedział Drzewo, zwracając się nie do Dona, lecz do pozostałych. – Musimy wybrać nowego Rządcę.

Don pokręcił przecząco głową.

– Mama wybrała mnie.

– A kto tak twierdzi? Ty, Don? – odparował z wyzywającą miną.

Don pokazał wszystkim wieczne pióro.

Drzewo pokręcił głową.

– Mogłeś jej to zabrać siłą. Albo ukraść. Dlaczego nikogo nie wezwałeś, Don? Dlaczego zostałeś sam przy jej łożu śmierci? Skąd mamy wiedzieć, że nie zabrałeś jej pióra, gdy była już martwa?

Niełatwo było zachować spokój. Chłopak czuł jak wzbiera w nim gniew.

– Jak mnie nazwałeś? – Tamten zrobił zdziwioną minę. – Nie nazywam się już Don. Odtąd będziesz mnie nazywał „Rządcą”.

Popatrzyli sobie w oczy, jak dzieciaki, które rzucają sobie wyzwanie w zabawie.

Gdyby był sprytniejszy, gdyby lepiej rozegrał swoje karty, młodszy z chłopaków mógłby odwołać się do Obywateli, przypominając im, że nie było zasad sukcesji po jedynej istniejącej dotąd Rządczyni. Ale to nie był inteligentny chłopak.

Dla Miasta byłby to fatalny wybór.

W końcu Drzewo pochylił głowę. Warknął coś przy tym między zębami.

– Co tam mruczysz?

– Nic.

– „Nic...”, a dalej?

– Nic, Rządco – wykrztusił w końcu tamten, nie podnosząc wzroku.

Don zwrócił się do Obywateli.

Pokój był jednym kręgiem zapłakanych twarzy, oczu i zębów, które błyszczały jak klejnoty pośród łachmanów.

To mój lud, pomyślał Rządca i poczuł, jak serce zaczyna mu mocniej bić. Stare pióro było jak berło w jego dłoni.

– Czy jeszcze ktoś spośród was uważa, że wciąż się nazywam Don? – zapytał mocnym i pewnym głosem, choć duszę przeszywały mu ból i strach.

Obywatele pokręcili głowami jeden po drugim.

Jeden po drugim przemaszerowali przed nowym Rządcą, ściskając mu dłoń z lekkim ukłonem.

Ostatnim, który oddał mu honory, był Drzewo. Na dłoni Dona zacisnęły się jego lodowate, spocone palce.

Chwilę później chłopak z nieodgadnionym uśmiechem na ustach odwrócił wzrok i wyszedł z pokoju.

Biedny Drzewo, pomyślał Rządca, gładząc kciukiem zdjęcie Mamy. *Biedny, głupi, durny Drzewo*.

Tego samego wieczoru, kiedy Miasto rozbrzmiewało odgłosami lamentów po śmierci Mamy, a woń palonego mięsa wdzierała się do korytarzy i pokoi, wywołując łzawienie, Rządca szepnął trzy słowa do ucha Waganta. Ten nawet nie przytaknął. Wyszedł z pokoju lekkim krokiem, jak duch.

Następnego ranka towarzysze z pokoju Drzewa obudzili się i zobaczyli, że go nie ma. Musiał odejść, zabierając ze sobą, co jego. Tak przynajmniej

im powiedziano. I tak oni sami opowiedzieli to innym.

Na ich miejscu Rządca zapytałby, jakim cudem Drzewo wyszedł z Miasta bez maski przeciwgazowej.

Może i zastanawiali się nad tym, ale nie uznali za stosowne o to zapytać.

Rządca pokręcił głową.

Westchnął i pogłodził jeszcze raz zdjęcie, które z roku na rok płowiało coraz bardziej.

Ciekawe, przemknęło mu przez myśl, czy kiedyś ktoś pogłodzi tak moje zdjęcie.

Nie. Uśmiechnął się. To się nie zdarzy. Przecież nie ma moich zdjęć.

Może zrobią portret. Albo rysunek. Mężczyzna o złym spojrzeniu, z rogami i widłami. Potwór pożerający dziecko.

Odwrócił się plecami do ramy, by zmierzyć się z ciemnością korytarza.

3 | Pierścień, aby nad nimi panować

Przebudziwszy się, John Daniels nie zdziwił się widokiem Rządcy siedzącego przy jego legowisku. Już we śnie rozpoznał jego zapach – ostry, ale nie przykry.

Ostatnie dwadzieścia lat to było prawdziwe nagromadzenie nieprzyjemnych zapachów-od fetoru rozkładu poprzez swąd palonego drewna, aż do najbardziej swojskiego odoru schronów, czyli mieszanki spleśniałego kartonu, mokrej tkaniny i niedomytych ciał. Od czasu do czasu zapach krwi, intensywny nawet wtedy, gdy się o nim tylko pomyśli. Czuł go aż nazbyt często w swojej podróży z Rzymu do Wenecji, a jeszcze częściej podczas pieszego powrotu. Czasem to była jego krew, częściej zaś tych, którzy próbowali stanąć pomiędzy nim a jego celem. Wieczorem, kiedy zatrzymywał się w jakimś niepewnym schronieniu, by odpocząć w podróży, zdejmując rękawice, za każdym razem wachał sobie dłonie z obawą, że wyczuje smród gangreny. Ręce miał niemożliwie zmasakrowane. Rzemienie sań powyrzynały mu rany głębokie niczym stygmaty, czyli coś, co dotykało (czy też było błogosławieństwem, w zależności od punktu widzenia) niektórych świętych, kiedy na ich dłoniach pojawiały się rany Chrystusa ukrzyżowanego.

Metaliczny zapach krwi był dobrym zapachem. Oznaczał, że rany nie są zainfekowane. John otwierał wtedy puszkę z drogocennym sadłem i smarował je przed zabandażowaniem.

Zapach sadła też był dobry. Grunt to nie zastanawiać się, z jakiego

zwierzęcia pochodziło. Dostał trzy puszki od kupca napotkanego u wrót Ravenny, najbardziej na północ wysuniętego przyczółka Państwa Kościelnego, którego Nowy Watykan był tymczasową stolicą. Ponura podziemna stolica państwa, które na mapie półwyspu zaznaczyło się oderwanymi plamami: jedno miasto tu, jakiś przyczółek sto kilometrów na północ. Wszystkiego kilkaset osób rozsianych w takich odległościach, że informacje docierały po tygodniach, jeśli nie po miesiącach.

Kupiec okazał się uczciwy. To, co przed Zagładą wydałoby się dziwne, stało się normalnością; uczciwość była teraz warunkiem koniecznym przetrwania. W zamian za sadło i garść informacji na temat Nowego Watykanu – w większości mało wiarygodnych – John dał mu złoty pierścień: jeden z tych, które znalazł w kieszeni, wracając z Wenecji.

Pierścień należał do tych, które każdego roku doża, wenecki władca, wrzucał do wody z Bucentaura podczas uroczystości zaślubin Wenecji z morzem¹. Alessia, ta tajemnicza Alessia, zebrała całą garść tych pierścieni, by mu je ofiarować. John był przekonany, że je wyrzucił, ale kilka dni później, na początku swojej podróży powrotnej, odnalazł je w kieszeni kurtki wraz z sygnetem papieskim, Pierścieniem Rybaka. Wciąż pamiętał wrażenie, jakie na nim zrobił widok sygnetu na palcu kapitana Gwardii Szwajcarskiej, który się chwalił, że zdarł go ze z mumifikowanej ręki ostatniego papieża.

Teraz pierścień już nic a nic nie obchodził Johna Danielsa. Całkowicie stracił swoją symboliczną wartość. Był dla niego zwykłym kawałkiem metalu, nadającym się co najwyżej do wymiany na coś przydatnego do przetrwania. Był jak wszystkie inne pierścienie, które odnalazł w kieszeni.

Choć pewnie – mimo że myśl ta drażniła go – wymieniłby go na żywność, wodę czy lekarstwa w ostatniej kolejności.

- Cześć, Don – wyszeptał, nie otwierając oczu.
- Skąd znasz moje imię, cudzoziemcze?
- Dlaczego tak do mnie mówisz? Powiedziałem ci, jak się nazywam.

- Za to ty musiałeś ukraść moje imię, choć nie wiem, jak to zrobiłeś.
- „Ukraść” ... Mocne słowo.
- Nie podałem ci go, więc musiałeś sam sobie wziąć. Wiedz, że Miasto pilnuje swoich nazw.
- Ja nazywam się John Daniels.
- A ja Rządca. Zapamiętaj. „Rządca”, a nie tak jak mnie nazwałeś. To imię było moje przedtem. Ale już do mnie nie należy. – Pochylił się. Wziął prawą dłoń Daniela i przyjrzał się jej. – Jak mogłeś doprowadzić sobie rękę do takiego stanu?
- Ciągnąłem sanie. Mniej więcej przez trzy miesiące. Rządca wybuchnął śmiechem.
- Kpisz sobie ze mnie? Trzy miesiące? Chyba trzy dni.
- Trzy miesiące – powtórzył Daniels dobitnie.
- Chłopak podrapał się po rzadkiej brodzie. Próbował się domyślić z miny obcego, czy ten z niego kpi, czy rzeczywiście mówi prawdę.
- Przestań ze mnie kpić – zdecydował w końcu.
- Ani myślę.
- I gdzie niby są te sanie? Zwiadowcy, którzy cię znaleźli, nie widzieli żadnych sań.
- Ukradli mi je.
- Ach tak! A kto ci je ukradł? Ci, co cię prawie utłukli?
- Nie, nie oni. Inni, z tego samego bractwa. Inne twarze, ta sama rasa.
- Synowie Gniewu?
- Zdaje się, że tak ich właśnie nazywacie.
- A co takiego wiozłeś na tych saniach? Prezenty dla grzecznych dzieci?
- Daniels się uśmiechnął.
- Tylko jeden prezent, na dobrą sprawę. I to dla bardzo niegrzecznego człowieka. Niestety, ukradli.
- Przynosisz prezenty niedobrym?

– To zależy od prezentu.

– A ten skradziony? Co to był za prezent?

– Głowica termojądrowa. Z tych małych. Nazywano je taktycznymi. Teoretycznie miały być przenośne, ale kiedy ją ciągniesz taki szmat drogi w takich warunkach, to zmieniasz zdanie na temat pojęcia „przenośny”.

Rządca spojrział w martwe oczy starca.

– Nikt nie może przebywać w pobliżu bomby atomowej przez trzy miesiące.

– Na tej zasadzie nikt nie może podróżować przez trzy miesiące za dnia, nie sądzisz? A jednak ja podróżowałem.

– Nabijasz się ze mnie. Wystarczy jeden dzień na zewnątrz, żeby umrzeć.

– Niezupełnie, ale to, co mówisz, jest dość bliskie rzeczywistości.

– Więc kłamiesz.

– Nie. Błędna dedukcja, drogi Watsonie.

Rządca osłupiał na dźwięk tego nazwiska.

– Ztwojej reakcji wnoszę, że znasz przygody Sherlocka Holmesa – powiedział Daniels.

– Tak. Ty też?

– Pewnie. Przeczytałem wszystkie jako chłopiec. Tak jak *Moby Dicka* i *Przygody Tomka Sawyera*...

– Tego ostatniego nie znam. Co to jest?

– Powieść Marka Twaina.

Rządca wydawał się rozczarowany.

Umysł Daniela, który sondował myśli tamtego, wzdrygnął się wobec gwałtownego przypływu frustracji zabarwionej agresją.

– Ale znam ją na pamięć – skłamał instynktownie.

Myśli chłopaka zbłękitniały.

– Poważnie? A jakie jeszcze znasz książki?

– Wszystkie.

To słowo było jak najryzykowniejszy rzut kośćmi, jaki John Daniels mógł wykonać.

Ale skutek był dobry.

Myśli chłopaka rozbłysły lśniąca bielą przeplatana srebrem i złotem.

– Naprawdę? Znasz je wszystkie? To wspaniale. Jesteś czarodziejem!

– Coś w tym rodzaju.

– Chodź. Zaprowadzę cię do Miasta.

– To my nie jesteśmy w Mieście?

– Nie. Idziemy, pokażę ci naszą bibliotekę.

– Nie jestem gotowy.

Wokół głowy chłopaka zapaliły się nagle małe czerwone ognie. Tańczące płomienie złości.

Od jakiegoś czasu John Daniels widział wszystko w taki właśnie sposób: jako kontury otoczone migoczącymi aurami.

Tak było od dnia, w którym natknął się na Mnicha. Odkąd okazało się, że ta niezwykła istota podziela jego pogląd. Pogląd na to, co działo się w Rzymie. W zamian za swoje dary to osobliwe stworzenie zabrało mu naprawdę wiele. Czas miał pokazać, czy na tej wymianie zyskał, czy może jednak stracił.

Płomienie wokół twarzy Rządcy wciąż rosły.

– W porządku – rzucił pospiesznie John. – W porządku, zgoda, już idę.

Z trudem uniósł się na łokciach, później na dłoniach, żeby usiąść. Dużo go to kosztowało. Zakręciło mu się w głowie i pewnie padłby jak długi, gdyby nie chwyciły go ręce chłopaka.

– Pomóż mi... wstać...

Ciało Daniela było wątłe. Lekkie jak kokon. W świecie, który znał tylko szczupłych, ciało kapłana było tak nikłe, że chłopak zaniemówił. Podniósł go bez najmniejszego trudu, pomagając mu się wesprzeć na sobie.

Daniels był nagi, jeśli nie liczyć brudnych bandaży zakrywających rany.

– Gdzie jest... moje ubranie?

Rządca poprowadził Johna małymi kroczkami do narożnika szpitala, w którym Matka zostawiła ubranie obcego.

Porządnie złożone, ale, rzecz jasna, niewyprane. Jednak nie cuchnęło. Rządcę zadziwił zapach, jaki wydzielalo. Neutralny, a jednocześnie pełen najprzeróżniejszych woni.

John uśmiechnął się, łapiąc chłopaka na tej myśli. Kiedyś jeden z jego przyjaciół, student MIT, wyjaśnił mu przy piwie, jak zlikwidować dźwięk innym dźwiękiem.

Jeśli dwie fale dźwiękowe są identyczne poza tym, że mają przeciwną fazę, znoszą się nawzajem. Czyli jeżeli chcesz wyeliminować jakiś dźwięk, musisz po prostu wytworzyć jego przeciwieństwo, które zniesie się z uciążliwym hałasem.

Dźwięk i antydźwięk dają ciszę.

John nic nie zrozumiał z tej lekcji, ale przypomniał ją sobie, gdy poczuł w nozdrzach woń swoich ubrań. Zionął z nich przeraźliwy odór, owszem. Pleśń, błoto i ekskrementy. Ale był też antyzapach śniegu, ognia w zaciszu jakiejś piwnicy, ciepłej zupy ziemniaczanej. Antyzapach przyjaźni zawartej w obozowisku i antyzapach wymienianego towaru: sadła do smarowania nabojów, tytoniu z otwieranych blaszanych puszek zamkniętych od dwudziestu lat...

Ale szczególnie zapach śniegu.

A dokładniej – zapachy. Bo zapach śniegu nigdy nie był taki sam. Zmieniał się w zależności od miejsca. Gdzieś pośród ruin śnieg trącił czymś metalicznym. Gdzie indziej John wyczuwał woń zwiędłych liści, choć było to niemożliwe, bo – jak wiedział z własnego doświadczenia – cała roślinność znikła z powierzchni ziemi. Nie było już pół roku, tylko jedna długa, śmiertelna zima nuklearna.

A jednak...

A jednak śnieg trącił czasem zwiędłymi liśćmi – gdy był dzieckiem, zagrabiano je na stosy w ogrodach, które później palono.

I rzeczywiście, innym zapachem, który czuł od czasu do czasu, był swąd liści palonych w ognisku.

Mózg podpowiadał mu, że zapachy te były tylko majakiem, że nic takiego nie istnieje, że śnieg jest tylko śniegiem, zalatuje popiołem i jest trujący. Ale jego serce nie chciało poprzestać na tej upiornej powierzchowności – próbowało odnaleźć w niej przeszłość, czar poranków spędzonych z nosem przy szybie, za którą wirowały płatki śniegu...

Zapiął wszystkie guziki kurtki. Zauważył, że w izbie musiało być lodowato, bo z ust wydobywała mu się para. Od dłuższego już czasu nie odróżniał ciepła od zimna, ale udawał, żeby nie wzbudzić podejrzeń innych.

Ubrał się, nie angażując w to myśli. Palce same wszystko zrobiły: wybrały ubiór i go wdziały, wciągnęły wojskowe buty, jedną z najcenniejszych rzeczy, jakie miał. Po Zagładzie nie robiono już takich. Poczł zazdrość Rządcy. Kiedyś tak sfatygowane buty dawno by wyrzucono. Były całe podrapane, miejscami skóra nosiła prawdziwe blizny. Ale pozostawały bezcennym skarbem. Niektórzy byliby zdolni zabić, żeby je mieć. Ale nie Rządca. Nie on. Przynajmniej nie teraz. Teraz chłopak drżał z podniecenia jak dziecko w Wigilię Bożego Narodzenia. Przesępował z nogi na nogę, zniecierpliwiony tak długim ubieraniem się starego.

– Skończyłeś? Możemy już iść?

– Możemy – westchnął Daniels.

Jego nowa percepcja – zmysł, którego ludzie nie mieli (a może już nie mieli albo jeszcze nie mieli) – ukazywała mu długi korytarz o wilgotnych ścianach. Wzdłuż korytarza ustawione były wiadra i miski, w których zbierała się woda filtrowana przez coś, co wyglądało jak stare pończochy. John widział już coś takiego podczas podróży, widział też uprawy grzybów identycznych lub bardzo podobnych do tych, które zajmowały kilka pomieszczeń przy szerokim korytarzu. Były też miejsca nieco lepiej oświetlone, z półkami, na których stały naczynia z rosnącymi roślinami:

cebula, ziemniakami, soją, fasolą, a nawet kilkoma niewydarzonymi pomidorami. Anemiczna zieloność liści ledwo zaznaczała się w tym mizernym świetle. Ale i tak ta ektoplazmatyczna zieleń postrzegana przez jego nowe zmysły wydała mu się cudem.

W innym pomieszczeniu, w połowie długości korytarza, John wyczuł oznaki rozgorączkowanego, kłębiącego się życia.

Zza krat metalowych klatek uważnie wpatrywały się w niego oczy stworzeń przypominających wielkością koty.

John wciągnął powietrze w nozdrza.

Szczury.

Pokręcił głową na wspomnienie rozdarcia, jakiego doznał poprzedniego wieczoru przy pierwszym łyku rosołu. Nie żeby mięso szczura specjalnie go pociągało. Ale alternatywa – w zasadzie jedyna alternatywa – była zdecydowanie gorsza.

Mentalny obraz przeszedł w podczerwień, ukazując jakieś dwadzieścia stworzeń – chudych, choć w dobrym zdrowiu – rojowisko ogonów i szczekanie kłów, które zdradzało ich nienasyconą żarłoczność. Cofały się w najdalszy kąt swojego więzienia, by rzucić się z całym impetem na kraty klatki.

Rządca dostrzegł przestrach księdza.

– Spokojnie. Klatki są solidne.

Ciągnął Johna za kołnierz kurtki, nie zważając na to, że ten jest ślepy i ranny. Biegł, jakby przed czymś uciekał.

W korytarzu nie spotkali żywego ducha.

Uspokój się, powiedział kobiecy głos w jego mózgu. *Tu jest bezpiecznie. Uspokój się.*

Kolejny równie szeroki korytarz skręcał w prawo. Rządca wszedł do niego, ciągnąc za sobą Johna.

Nieliczne pochodnie na ścianach wystarczały chłopakowi, aby poruszać się w tej podziemnej przestrzeni, olbrzymiej w porównaniu

z klaustrofobicznym środowiskiem Świętego Kaliksta. Johnowi, z natury rzeczy, światła w ogóle nie były potrzebne. Jedyne, co widział, to złociste, zmieniające swój kształt kule, tańczące niczym duchy świetlne pod wpływem powietrza, które obaj wprawiali w ruch na swojej drodze.

Z korytarza wchodziło się do dziesiątek identycznych pomieszczeń. W jednym z nich dwóch mężczyzn w plastikowych ponczach i maskach gazowych zbierało grzyby ze ściany czymś w rodzaju szczotek i wrzucało je do małych koszyków zawieszonych na biodrach.

Kiedy pokonali kolejny zakręt, znaleźli się u szczytu schodzącej w dół rampy pomalowanej w żółte pasy. Farba złuszczyła się już prawie zupełnie od ludzkich stóp i upływu czasu.

Rampą zeszli w dół, a później jeszcze jedną, identyczną jak poprzednia. John pojął wtedy, gdzie się znajdują.

W piętrowym garażu podziemnym.

A pomieszczenia rozlokowane wzdłuż korytarza były prywatnymi garażami. Uchylne bramy zniknęły. Zapewne przydały się do czegoś innego. Może przetopiono je na broń i narzędzia.

John zrozumiał, gdzie się one podziały kilka minut później, za ostatnim zakrętem.

Wjazd zablokowany był stalową ścianą.

Na ścianie wisiała metalowa tablica.

Przy swoim odmienionym widzeniu John z trudem zrozumiał znaczenie dziwnych ilustracji i liter.

Tablica przedstawiała schemat piętra.

Według rysunku za ścianą rozciągała się olbrzymia przestrzeń: otwarty parking, tak duży jak całe piętro.

Na ścianie wymalowana była czerwona cyfra: 3.

Oznaczała poziom, na którym się znajdowali.

Wyjęte bramy poszczególnych garaży były zespawane i tworzyły dwie ściany zaporowe. Pas zewnętrzny i pas wewnętrzny, sięgający prawie po

strop. Z płyt pierwszego ogrodzenia wystawały na zewnątrz żelazne ostrza skierowane ku górze. Tworzyły doskonałą, groźnie wyglądającą przeszkodę. Za tym pierwszym pasem zapory znajdowała się przestrzeń o szerokości dwóch metrów, mogąca pomieścić ze trzydzieści osób obrony schowanych za półtorametrowymi płytami, nad którą wisiała na zaostrzonych palach płatanina drutu kolczastego. Dopiero za nią wznosiła się druga zapor.

Tu płyty zespawane były nie tylko jedna na drugiej wżwyż, ale i warstwowo, a na górze pozostawiono wąskie wysokie otwory. John ocenił, że zapor musiała mieć jakieś pół metra grubości. Strażnicy stali na podwyższeniu, z głowami wychylnymi przez okienka, niemal dotykając nimi stropu. John doliczył się ich sześciu, uzbrojonych w coś, co wyglądało na broń myśliwską.

Rządca stanął z rozstawionymi nogami przed jedynymi drzwiami prowadzącymi do pierwszego ogrodzenia.

Dwóch chłopaków w ponczach podobnych do tego noszonego przez zbieraczy grzybów otworzyło drzwi zawieszane na dobrze naoliwionych zawiasach. Oni też byli uzbrojeni, ale tylko w pistolety. Zasalutowali przed Rządcą i spojrzeli badawczo na jego gościa, kiedy ten przechodził obok nich.

Przestrzeń pomiędzy dwoma ścianami była czysta. W metalowych szafkach trzymano broń i amunicję. Były zamknięte, ale dla Johna nie stanowiło to problemu. Mógł odczytać ich zawartość w umysłach strażników. To była stara broń, naładowana emocjonalną energią, która pokrywała ją czerwienią niczym farba fluorescencyjna.

Sportowe łuki, oszczepy, miecze, parę pistoletów.

Nic specjalnego, jak na arsenał.

Za to drugie drzwi to było już coś zupełnie innego. Duże wrażenie. Masywna konstrukcja ze skreconych płyt, ważąca pewnie z tonę. Wydawało się, że nie ruszysz jej w dziesięciu, a tymczasem wystarczył

ciężar dłoni jednego chłopaka, który otworzył ją jak drzwi lodówki za starych czasów.

Weszli. Metalowa ściana była gruba na ponad czterdzieści centymetrów. Prawie idealnie odgadł jej grubość.

Schronieni za takimi płytami wartownicy mogli odeprzeć każdy atak, a później wycofać się, zamykając za sobą okienka metalowymi zasuwami.

Ten, kto zaprojektował taki system obronny, znał się na rzeczy, pomyślał John.

– Nie doceniłem was, kiedy zobaczyłem twoich niedzielnych wojowników tam na górze.

– Nie ty jeden.

John już miał go spytać, dlaczego konstrukcje obronne znajdują się wewnątrz, a nie na zewnątrz siedliska, gdzie przestraszyłyby każdego nieprzyjaciela. Ale Rządca powiedział mu to sam, niepytany.

– Nie chcemy, żeby na zewnątrz ktoś wiedział, jak dobrze zabezpieczone jest Miasto. Bo mogłaby mu przyjść ochota na zdobycie go. Dlatego na zewnątrz pokazujemy mało. I nasi... goście... widzą tylko to, co chcemy im pokazać.

– A szpital nie jest dla was ważny?

Rządca wzruszył ramionami. Uśmiechnął się.

– To nie jest właściwy szpital. Mamy drugi, tu, na dole, w Mieście. Prawdziwy.

– To dlatego ten na górze jest bardziej jak grota niż jak schronienie?

– Jasne – odrzekł z wyższością Rządca. Drzwi drugiej zapory zamknęły się za ich plecami. Przestrzeń znajdującą się przed nimi skrywały czarne zasłony z grubego, ciężkiego materiału. Rządca odchylił brzeg jednej z nich i wprowadził Johna do środka.

¹ Bucentaur był wspianąłą połączoną galerią dożów weneckich, którą wypływali oni każdego roku w dzień święta Wniebowstąpienia Pańskiego, aby obchodzić uroczystości zaślubin z morzem (przyp. aut.).

4 | Biblioteka

Gdyby John Daniels normalnie widział, byłby oszołomiony jasnością olbrzymiej przestrzeni za zasłoną.

I ciepłem.

Wielka Zagłada pogрузzyła świat w ciemności i zimnie. Takie warunki stały się dla ludzkiej egzystencji normą.

Zetknięcie z tą ogromną podziemną przestrzenią stanowiło więc niezwykle doświadczenie.

Było tam przynajmniej osiemnaście stopni, a światło pochodziło z długich paneli zawieszonych na suficie. Ktoś żyjący w czasach przed zniszczeniem świata uznałby to światło za przyćmione. A powietrze za zimne i wilgotne. Ale teraz było to coś nadzwyczajnego.

Światło paneli ukazywało całą wystawność podziemnego wnętrza. A raczej tego, co w tych nędznych czasach uchodziło za wystawność.

Ludzie o zdrowym wyglądzie krzatali się przy budkach w miejscu wyglądającym na targ.auta i furgony zmieniono w sypialnie, a starą przyczepę kempingową w coś na kształt baru z wielkim szyldem z wypisanym gotykiem: ADMIRAŁ

BENBOW.

– I co? Podoba ci się nasze Miasto? – zapytał Rządca z dziecięcym entuzjazmem w głosie. Ale po chwili na jego twarzy pojawił się grymas. – Wybacz. Zapomniałem, że nie widzisz.

– Nie musisz przeproszać. I nie trzeba widzieć, żeby wiedzieć, jakie

macie szczęście. Czuję ciepło. I światło.

Wypowiadając te słowa, ojciec Daniels poczuł się nieswojo. Przed Wielką Zagładą mało kto powiedziałby, że jest ciepło przy osiemnastu stopniach. A już z pewnością nikomu nie wydałoby się mocnym to światło z sufitowych paneli.

Ale po upadku cywilizacji wiele rzeczy uważanych kiedyś za normalne stało się teraz prawdziwym cudem.

– Budynek nad naszymi głowami powstał na krótko przed Stanem Zagrożenia. Miał kilka tygodni. Zbudowano go na jakąś imprezę. Targi czy coś takiego. Zdaje się, że nazywała się Expo. Miała demonstrować cuda techniki. I faktycznie – konstrukcja przetrwała w doskonałym stanie, część rzeczy działa do dziś. Na przykład światło, chociaż z roku na rok jest coraz słabsze. Izolacja cieplna była najwyższej jakości. Wytrzymały też wszystkie szyby. To dlatego możemy wchodzić aż na ostatnie piętro. Widok jest stamtąd przepiękny. Znaczy, przepraszam...

– Mówiłem ci już, że nie ma za co przepraszać. Owszem, chętnie wszedłbym na ostatnie piętro.

– Zobaczymy. Znaczy, miałem na myśli...

Daniels machnął zniecierpliwiony ręką. Ale jego usta się uśmiechały.

– Przestań już z tym zakłopotaniem. Proszę. Powiedz mi lepiej, co tu w ogóle działa.

– Dobra. No to światła i okna. Cała reszta psuła się stopniowo. Dziesięć lat temu to tu się nieźle żyło. Było nawet ogrzewanie. I woda bieżąca.

Chłopak podrapał się po brodzie. Pierzchające we wszystkich kierunkach wszy w sposób wymowny zademonstrowały konsekwencje wszystkich tych awarii.

– W porównaniu z innymi miejscami, które widziałem, i tak jesteście szczęściarzami. Możesz mi wierzyć. Ale chciałbym w takim razie wiedzieć, dlaczego powiedziałeś mi, że strażnik źle się czuje z głodu. Dlaczego powiedziałeś mi o Ofiarowaniu?

Rządca roześmiał się.

– Chciałem cię nastraszyć.

– Więc nie zjadacie swoich zmarłych?

– Nie. Chłopak jest chory, bo złapał jakiegoś wirusa na zewnątrz. Wirus – tak się to nazywa, prawda?

– Tak. Więc czym jest to Ofiarowanie?

– Mama nas tego nauczyła. Wyczytała o tym w jakiejś książce. Później ci pokażę. Znaczący...

– Rozumiem. Nie przepraszaj.

Szli przez rozległe podziemie.

Nie wszystkie panele oświetleniowe działały. Tu i ówdzie, w ciemniejszych miejscach, stały konstrukcje od posadzki po sam strop. Wyglądały na gigantyczne półki z najróżniejszych materiałów: drewna, blachy, plastiku. Na każdej półce znajdowały się materace. Na niektórych poziomach spali ludzie zawinięci w pościel zrobioną niemal z samych łąt.

– Śpimy na zmiany. Jedna brygada zawsze patroluje obrzeża Miasta, druga okolice, i są jeszcze dwie grupy zwiadowców. Jak ta, co cię znalazła.

– Udaje się wam jeszcze na coś trafić?

– Nie na żywność, jeśli o to ci chodzi. Już od dłuższego czasu jej nie ma. Ale czasem natykamy się na prawdziwy skarb.

Zaopatrzyliśmy się w niezłą ilość materiału w sklepie żelaznym o dwa kwartały stąd. Potrzebowaliśmy trzech miesięcy na opróżnienie go i zniesienie wszystkiego do Miasta. Ale jedzenia nie ma. Wina i alkoholi jest, ile chcesz, ale Mama zabroniła nam pić, więc używamy tego jako towaru wymiennego. Na przykład Matka Miłosierdzia, którą mamy teraz, kosztowała nas sześć skrzynek wina i dziesięć butelek whisky. To był świetny interes, ale może ty i tobie podobni z zewnątrz bylibyście innego zdania.

John Daniels nie odpowiedział. Był zbyt zajęty rejestrowaniem szczegółów, które udało mu się uchwycić. Na przykład zupełny brak osób

starszych był kolejnym elementem obrazu Miasta, jaki sobie tworzył.

Były dzieci, ale niezbyt wiele. Opiekowały się nimi matki. Było też coś, co wyglądało na szkołę. Nauczycielka – jedna z najstarszych kobiet, jakie Daniels widział dotąd w Mieście – zapisała na tablicy kilka włoskich słów i kazała je głośno powtarzać całej klasie, którą stanowiły dzieci w różnym wieku. Daniels obiecał sobie, że zapyta o tę dziwną rzecz pod koniec całego obchodu, który zaprowadził ich do osobliwej konstrukcji, na samym końcu starej hali garażowej.

Wyglądała jak plastikowy domek, z tych, które kiedyś ustawiano na placach zabaw dla dzieci. Tyle że o wiele większy, przynajmniej dziesięć metrów na dziesięć, i wysoki po sam strop. Pomalowany był w żywe kolory: czerwony dach, żółte ściany, a drzwi i okna – jaskrawozielone.

Rządca wyjął z kieszeni ogromny klucz i wsunął go z namaszczeniem do zamka o równie imponujących rozmiarach.

Drzwi się otworzyły.

– Chodź – powiedział, kierując Daniela w stronę progu.

Gdy weszli, zapalił najpierw jedną lampę naftową, a potem kolejno wszystkie inne podobne lampy wiszące na ścianach.

– Witamy w naszej bibliotece – oznajmił triumfalnie.

Danielsa zamurowało.

Na wszystkich ścianach stały niskie półki z rzędami książek. Czuć było ostrą woń pleśni, a na zielonej wykładzinie, która być może miała imitować łąkę, kwitły plamy wilgoci.

A więc to jest ta słynna biblioteka, pomyślał rozczarowany John Daniels.

Same książki dla dzieci. Z kolorowymi okładkami i dziecięcymi ilustracjami.

Wyczuł dumę Rządcy i usiłował się uśmiechnąć.

Przeciągnął palcami po grzbietach książek. Ale nie mógł wyraźnie dojrzeć liter.

Wziął do ręki jedną z nich, lekką jak piórko.

– Co to jest? – zapytał.

– *Moby Dick*.

To była cieniutka książka.

Kiedy Daniels czytał je na studiach, dzieło Melville'a miało jakieś osiemset stron.

– A więc to jest biblioteka?

– Tak.

– A macie jeszcze jakieś inne książki?

– Tak, w innych pomieszczeniach Miasta, ale są nudne. Prawie same liczby.

– Zatem uczycie się tutaj. Wychowaliście się na tych książkach.

– Tak. Mama ciągle nalegała, żebyśmy się uczyli.

– Rozumiem. A gdzie teraz jest Mama?

Cień, jaki przebiegł przez twarz chłopaka, wyprzedził odpowiedź.

– Opuściła nas. Siedem lat temu.

– Czyli umarła?

– Tak. Za jej życia Miasto kwitło.

– Zdaje się, że i teraz dobrze sobie radzicie.

– Och, ale to nic w porównaniu z tym, jak się mieliśmy wtedy. –

Chłopak westchnął. Usiadł na jednym z miniaturowych jaskrawych taborecików. – Opowiedz mi o Tomku Sawyerze.

/ co teraz?, pomyślał Daniels.

Czytał tę książkę, kiedy był mały. Pamiętał tytuł, treść – jedynie z grubsza. A chłopakowi powiedział, że zna ją na pamięć tylko przez instynkt przetrwania.

Zamknął oczy.

Nic się nie zmieniło. Jego widzenie nie zależało od gałek ocznych.

Wycofał się w głąb umysłu. W tym celu uciekł się do sztuczki, której nauczył go Mnich.

Wyobraź sobie, że jesteś rybą, która pływa tuż pod powierzchnią wody w wielkim jeziorze.

Wyobraź sobie, że nagle pojawia się drapieżnik. Niedźwiedź.

Wyobraź sobie, że rzucasz się wszystkimi siłami w głąb jeziora. Schodzisz coraz niżej, płyniesz w stronę dna, gdzie woda jest mroczna jak płaszcz ciemności.

Umysł Johna Danielsa spłynął na dno jeziora.

Wszystko tonęło w mroku, ale gdzieś w oddali to pojawiało się, to znikało malutkie światło.

John popłynął w jego stronę.

To było ognisko. Najpierw pojawiło się jego rudawy blask, a później lśnienie gwiazd na niebie czarnym jak aksamit.

To już nie było na dnie jeziora, lecz nad jego brzegiem, na małej polanie.

Jakaś zakapturzona postać pochyliła się, żeby podsycić ogień, wzruszając żar gałązką.

John zbliżył się absurdalnie lekkim krokiem.

Jak na filmach z człowiekiem na Księżycu. Jakby się poruszał przy mniejszej grawitacji.

– Witaj, John. Czekałem na ciebie – odezwała się postać w kapturze.

I zaprosiła go gestem ręki, żeby usiadł obok.

Trawa była miękka, chłodna. John poczuł, że ma ściśnięte gardło.

Od tak dawna nie czuł dotyku trawy. Bał się, że ją zgniecie. Chociaż wiedział, że niczego wokół niego nie ma, a złudzenie jest doskonałe.

Musnął trawę dłonią. Na jego palce, łaskocząc go, wspiął się świerszcz. Powietrze było ciepłe, pachniało roślinnością i dymem z palonego drewna.

– Przebyłeś długą drogę od naszego ostatniego spotkania.

Daniels pokiwał głową.

– Długą drogę, z której na długo zboczyłem.

Mężczyzna w kapturze wzruszył ramionami.

– Każdy krok w naszej podróży ma sens. Każde pozorne zejście z drogi jest w rzeczywistości częścią podążania nią. Nie było żadnego zbaczania w twojej podróży.

– Może i tak.

– Wróciłeś, znaczy potrzebujesz mnie.

– Czyżbyś jeszcze nie wiedział?

– Może i wiem. Ale chciałbym to usłyszeć od ciebie.

– Potrzebuję cię, Mnichu.

– Znów mnie tak nazywasz...

– Nie przedstawiłeś się. Dopóki nie zdradzisz mi swojego imienia, będę cię tak nazywał.

– Jak chcesz. Widziałeś dzisiaj gwiazdy?

Daniels podniósł głowę. Droga Mleczna płynęła nad nimi jak rzeka światła. Tak piękna, że zapierała dech w piersiach.

– Brakuje ci gwiazd? – zapytał szeptem Mnich.

– Bardzo.

– Pewnego dnia znów zaświecą nad ziemią. I wiesz co? Ludzie nawet tego nie zauważą. Tak jak nie zauważali przed katastrofą. No więc? Czego ode mnie chcesz?

– Przecież wiesz. Powiedziałem chłopakowi, że znam masę książek na pamięć, a to nieprawda.

– Jak możesz mówić, że to nieprawda?

– Bo nie pamiętam ani słowa z *Tomka Sawyera*.

– Jesteś tego pewien? Przecież czytałeś.

– Wiele lat temu.

– Więc gdzieś tu jeszcze musi być. Spróbuj zajrzeć do środka. – Palec wskazujący Mnicha, nienaturalnie długi i kościsty, skierował się ku leżącej na kamieniu torbie podróżnej. – Otwórz ją, śmiało.

John zrobił, co mu kazano. Jego dłoń wsunęła się między fałdy materiału.

Palce zamknęły się na jakimś twardym przedmiocie.

Wyjął go.

To była książka. Jakieś stare wydanie oprawne w skórę.

Otworzył.

Przeczytał tytuł.

Przygody Tomka Sawyera.

Rozdział pierwszy.

– Przeczytaj na głos – nakazał Mnich.

– „»Tomek! – Cisza. – Tomek! – Brak odpowiedzi. – Gdzie się u licha podziewa ten chłopak? Tomek!«. Zsunąwszy okulary na czubek nosa, starsza pani rozejrzała się ponad nimi po pokoju, potem przesunęła je na czoło i popatrzyła spod szkieł. Rozglądając się za czymś tak znikomym jak mały chłopiec, bardzo rzadko, a właściwie nigdy nie raczyła patrzeć bezpośrednio przez szkła. Okulary nosiła bardziej dla fasonu niż z rzeczywistej potrzeby-z równym powodzeniem mogłaby oglądać świat przez parę fajerek. Teraz robiła wrażenie stropionej, ale już po chwili oznajmiła głosem niezbyt groźnym, choć donośnym na tyle, by mogły ją usłyszeć wszystkie meble w pokoju: »Niech no ja cię dopadnę...«¹. John miał już przewrócić stronę, kiedy Mnich wyrwał mu książkę z rąk i rzucił w ogień.

– Co robisz?

– Ta książka nie jest ci potrzebna.

– Jest!

– Nie, już ją znasz.

– Nieprawda!

– Już ją znasz! – powtórzył osobnik w kapturze apodyktycznie, niczym ojciec do niesfornego dziecka. Tą samą gałązką poruszył kartki książki w ogniu. Płomienie strzeliły w górę, ale twarz pod kapturem pozostała niewidzialna. Jakby pochłaniała światło.

– Wracaj, skąd przyszedłeś – rzucił obcesowo Mnich. – Twoja prośba

została wysłuchana.

John odczuł coś na kształt szarpnięcia. Jak wtedy, gdy w wieku osiemnastu lat dał się namówić przyjaciółce na skok na bungee. Poczuł się teraz dokładnie tak jak w chwili, gdy elastyczna lina szarpie cię z powrotem w górę i masz wrażenie, że wzbijasz się w niebo.

Umysł Johna Daniela wypełnił się światłem, a uszy dźwiękiem. Wybuch światła, przebłysk dźwięku.

Inne miejsce.

– ...że mogę na tobie polegać – kończył Rządca.

Minęła ledwie sekunda, odkąd John pogрузzył się w czarnej wodzie swojego umysłu.

– Opowiedz mi tę historię – nalegał chłopak.

John opuścił głowę. Podnosił ją z powrotem bardzo wolno. Czuł, że ogarnia go dziwne uczucie.

Odchrząknął i zaczął opowiadać: – „Przygody Tomka Sawyera. Rozdział pierwszy. »Tomek! – Cisza. – Tomek! – Brak odpowiedzi. – Gdzie się u licha podziewa ten chłopak? Tomek!« – Zsunawszy okulary na czubek nosa, starsza pani rozejrzała się ponad nimi po pokoju, potem przesunęła je na czoło i popatrzyła spod szkieł. Rozglądając się za czymś tak znikomym jak mały chłopiec, bardzo rzadko, a właściwie nigdy nie raczyła patrzeć bezpośrednio przez szkła. Okulary nosiła bardziej dla fasonu niż z rzeczywistej potrzeby – z równym powodzeniem mogłaby oglądać świat przez parę fajerek. Teraz robiła wrażenie stropionej, ale już po chwili oznajmiła głosem niezbyt groźnym, choć donośnym na tyle, by mogły ją usłyszeć wszystkie meble w pokoju: »Niech no ja cię dopadnę...«. Urwała w pół zdania, bo gdy schylona zaczęła szturchać pod łóżkiem kijem od szczotki, musiała nabrać tchu, by móc akcentować głośnym okrzykiem każdy sztych. Nie wywołało to jednak żadnego poruszenia, jeśli nie liczyć ucieczki wystraszonego kota."²

Ręce Rządcy wystartowały do oklasków.

Oczy chłopaka błyszczały z radości.

– Znasz całą na pamięć? Całą? My nie mamy tej książki!

Daniels skinął twierdząco głową.

– Ja ją mam, i mam dużo innych. Są wszystkie we mnie. Tu, w mojej głowie.

– Chcę, żeby wszyscy posłuchali, jak opowiadasz historię Tomka Sawyera. Dzisiaj wieczorem urządzimy publiczne czytanie. Zabawimy się.

– Jak sobie życzysz. Ale teraz oprowadź mnie po tej bibliotece. Chcę zobaczyć, co macie, a czego wam brakuje.

Chłopak wziął Daniela pod rękę. Czytał mu na głos tytuły książek z pierwszej półki. Same bajki dla dzieci. Przydatne do nauki alfabetu. Więcej obrazków niż tekstu. Drugi regał mieścił więcej tomików, prostych historii, w sam raz dla dzieci ze szkół podstawowych. John kazał się zaprowadzić do półki, którą Rządca nazywał działem dla dorosłych. Ale na dobrą sprawę były to książki dla młodzieży. Cała seria krótkich powieści kryminalnych inspirowanych przygodami Scooby– Doo albo historyjki o gadającej myszy zwanej Geronimo Stilton.

Powieści z cyklu o Harrym Potterze były najdojrzalszymi książkami biblioteki. Nie było pozycji encyklopedycznych. Ani jednego atlasu czy słownika.

– Proszę... Nie jest nam potrzebny żaden atlas – powiedział Rządca z uśmiechem, pokazując z dumą wielki geopolityczny globus.

John Daniels podszedł do plastikowego globusa. Przeciągnął dłonią po jego powierzchni. Pod palcami przemknęły potężne niegdyś kraje: Chiny, Rosja, Stany Zjednoczone...

Quomodo sedet sola civitas..³ Nic z tego już nie istnieje, pomyślał.

Gdyby pomalować ten globus prawdziwymi kolorami, wyszłoby szara kula, jednolita kołdra z chmur, pod którymi tli się żar atomowego zniszczenia...

Żadnych krajów, żadnych sond wystrzelonych dla zbadania kosmosu,

żadnych samolotów, które pozostawiałyby bruzdy na martwym niebie planety.

Słońce stało się naszym wrogiem.

Deszcz stał się naszym wrogiem.

Po policzku spłynęła mu łza, torując sobie drogę w wielodniowym zaroście.

*Quomodo sedet sola civitas/plena populo...*⁴ – Żle się czujesz? – spytał Rządca zaniepokojony.

– Nie. To tylko chwila. Już przeszło.

– I co sądzisz o naszej bibliotece?

– Jest z pewnością największa, jaką widziałem po... po Stanie Zagrożenia...

I do tego najbardziej bezużyteczna, miał ochotę dodać. Ale nie zrobił tego.

– Była naszą szkołą – rzekł z dumą chłopak.

– I czymś jeszcze. Sposobem na pamiętanie starych czasów. Czasów, które kiedyś powrócą.

– Tak mówisz? – na Rządcy słowa księdza zrobiły najwidoczniej duże wrażenie. – Ależ tak! Ludzkość odnajdzie jeszcze drogę do wielkości. Musimy tylko przeczekać tę zimę, kiedy znów będzie można żyć na powierzchni. Mama zawsze mówiła, że to tylko kwestia czasu.

Daniels zdjął niespiesznie rękę z globusa.

– Mówiłeś, że macie też kino. Pokażesz mi?

– W tej chwili niczego nie gramy. Ale jeśli chcesz, to ci pokażę. Teraz jest chyba próba. Wieczorem wystawiamy *Gwiezdne wojny*.

¹ Tłum. Zbigniew Batko.

² Tłum. Zbigniew Batko.

³ „Jakże samotnie siedzi miasto...” Lamentacje Jeremiasza 1,1 (przyp. tłum.).

⁴ „Jakże samotnie siedzi miasto / pełne ludu...” Lamentacje Jeremiasza 1,1 (przyp. tłum.).

5 | Star Wars for Dummies

Siedząc w ostatnim rzędzie kina, John Daniels słuchał z niedowierzaniem dialogów z filmu, który oglądał po raz ostatni jako chłopiec w świecie już nieistniejącym, w towarzystwie przyjaciół, których już nie było, którzy od dwudziestu lat byli zapewne radioaktywnym pyłem na wietrze albo częścią jałowej ziemi, która zajęła miejsce zielonych łąk Massachusetts.

Na scenie dwóch chłopców odtwarzało role Luke'a Skywalker'a i Dartha Vadera.

- Przejdź na ciemną stronę Mocy, a razem zapanujemy nad światem!
- Nie! Nigdy! Wolę śmierć!
- Luke, posłuchaj: ja jestem twoim ojcem, a ty moim synem.

Chociażby z tytułu relacji odwrotnej, uśmiechnął się Daniels. Był pewien, że dialogi filmowe były mniej patetyczne od deklamacji scenicznych tego tak zwanego kina. Ale i tak był zafascynowany entuzjazmem aktorów, energią, jaką wkładali w odegranie sztuki napisanej w epoce równie od nich dalekiej jak Grecja Ajschylosa i Arystofanesa.

Darthem Vaderem był ubrany na czarno dwudziestolatek, w masce z *papier mache*, która wymownie świadczyła o tym, że kostiumowiec nigdy nie widział filmu. Podobnie musiało być ze scenarzystą. Dialogi brzmiały jak wyjęte z pamięci chorego na alzheimera, z częstymi wtrętami z innych części serii.

Niezależnie od tego John setnie się ubawił. Aktorzy nadrabiali brak

profesjonalizmu entuzjazmem, a odtworzony tekst był miejscami ciekawszy od oryginału. Aspekt edypowy zupełnie zignorowano na rzecz przesłania nadziei, które przeorientowało zupełnie finał, gdy Luke, Darth Vader i Han Solo prowadzą szarżę rebeliantów i Ewoków (a właściwie dwóch rebeliantów i jednego Ewoka, przesympatycznego chłopaka bardzo zaangażowanego w swoją rolę) na Gwiazdę Śmierci. Już sama końcowa sarabanda z tańcem dobrych i złych świętujących zwycięstwo Mocy warta była ceny biletu, jak powiedział do Rządcy po zakończeniu spektaklu.

– Ale czy tekst jest zgodny z oryginałem? – zapytał z niepokojem chłopak.

– Niezupełnie. Ale według mnie, w pewnym sensie jest nawet lepszy.

– Poważnie?

– Tak.

– Nie mógłbyś... nam pomóc w odtworzeniu oryginalnych dialogów?

Gwiezdne wojny to klasyka w naszym repertuarze.

John pokręcił głową.

– Mamy ważniejsze sprawy.

– Mamy? Ty i kto?

– Ja i ty.

Siedzieli w gabinecie Rządcy. Wzrok Johna nie pozwalał mu na rozróżnienie wszystkich szczegółów. Było biurko, było biurowe krzesło na kółkach. Poza tym dwie stare szafy, które kiedyś służyły do przechowywania dokumentów.

– W środku jest historia Miasta – powiedział z dumą chłopak.

John udał, że jest pod stosownym wrażeniem.

Była tylko jedna rzecz, której sensu nie mógł uchwycić w tym obrazku pozornej normalności sprzed wojny.

Monumentalna barokowa rama zawieszona na ścianie, pusta, jeśli nie liczyć małego prostokąta w samym środku, który John odbierał jako mozaikę kolorowej mgły.

– Czujesz się wystarczająco na siłach? – zapytał Rządca.

– Tak.

– Matka mówi, że twoje ozdrowienie nie jest normalne.

John uśmiechnął się.

– A co jest normalne w tych czasach?

– Racja. Miałem pięć lat, kiedy wybuchł Stan Zagrożenia. Nie pamiętam zbyt wiele. Ale pamiętam, że było cieplej, i że nie było Stworów Nocy.

– Tak je nazywacie?

– Bo co? A ty jak je nazywasz?

John wzruszył ramionami.

– Mają różne nazwy, zależy od miejsca. Stwory Nocy pasuje doskonale.

– Spotkałeś kiedyś takiego?

– Tak. A ty?

Chłopak wzdrygnął się.

– Nie. Ale zwiadowcy czasami się na nie natykają. Wagant mógłby ci opowiedzieć takie historie, że ciarki chodzą po plecach. Osobliwość tych stworzeń nie zna granic.

– To prawda. Ale niekoniecznie musimy bać się tego, co osobliwe.

Rządca uśmiechnął się.

– Nie uważasz, że w twoich ustach brzmi to dość interesownie?

John Daniels zaczynał nabierać podziwu dla tego młodego chłopca, który wziął na siebie tak ciężkie zadanie. W jego aurze dostrzegał mieszankę niezdecydowania i stanowczości, co sprawiało, że czuł do niego sympatię. Chłopak nie był urodzonym przywódcą, ale zgodził się nim zostać. Odpowiedział na wezwanie czasów.

– Powiedz mi jedną rzecz. Czy te Stwory Nocy zrobiły wam krzywdę?

Chłopak podrapał się po brodzie.

– Nie. Znaczący... nie bezpośrednio. Ale nie można znieść ich obecności. Wchodzą ci do głowy. Kiedy są blisko, czujesz się dziwnie. – Machnął

ręką. – Ale co ja ci tu opowiadam? Przecież wiesz to pewnie lepiej ode mnie.

– Chętnie pogadałbym z tym Waganem. Kim jest? Kimś w rodzaju dowódcy waszego wojska?

– Kimś w tym rodzaju. Nie mamy wojska. Miasto jest strefą zdemilitaryzowaną i zdenuklearyzowaną.

Pomylił się trzy razy, wymawiając te trudne słowa, które John uważał za martwe i pogrzebane w przeszłości.

– Można z nim porozmawiać?

– W tej chwili jest na zewnątrz. Wróci jutro, ale będzie zmęczony. Będziesz mógł z nim porozmawiać pojutrze.

W międzyczasie opowiesz *Tomka Sawyera* klasie maluchów.

W jego głosie nie było już tonu prośby.

John potaknął.

– I może znajdziesz też czas, żeby opowiedzieć mi, co robisz tak daleko od domu. Zakładając, że to, co już powiedziałaś, jest prawdą.

– Jest prawdą.

– Więc z tym większą niecierpliwością czekam na twoją opowieść. A teraz mów, o jakich to ważnych sprawach chcesz ze mną rozmawiać?

John podniósł rękę.

– Jestem dość zmęczony. Musiałbym się przespać parę godzin.

Ale Rządca nie był w ciemię bity.

– Nie sądzę, żebyś naprawdę potrzebował snu.

– Powiedzmy, że potrzebuję przerwy na naładowanie akumulatorów.

– Ile godzin ci trzeba?

– Dajmy na to trzy?

– W porządku. Odprowadzę cię do szpitala i wpadnę po ciebie za trzy godziny.

– Dziękuję. Och, i jeszcze jedno. Jeśli moje rachunki się zgadzają, jutro powinna być niedziela.

Rządca wzruszył ramionami.

– Możesz mi znaleźć jakieś odpowiednie miejsce na mszę? I możesz powiedzieć swoim ludziom, że jutro rano o dziewiątej odprawiam mszę i że każdy, kto chce, może w niej uczestniczyć?

Rządca pomyślał chwilę.

– Dam ci jedno pomieszczenie. I powiem Miastu o twojej mszy. Ale nie spodziewaj się dużej frekwencji. W naszych stronach Bóg wyszedł z mody.

John uśmiechnął się.

– Bóg nigdy nie wychodzi z mody. Bywa, że staje się czymś dla koneserów, ale nigdy nie wychodzi z mody. – Wstał. – Nie fatyguj się, żeby mnie odprowadzać. Sam trafię.

6 | Lekcja pod gołym niebem

Trzy kilometry na północ od Miasta, niebezpiecznie blisko Strefy zakazanej, Wagant i jego ekipa wędrowali, zmagając się z wiatrem.

Zamieć smagała po oczach, wdzierała się porywami wiatru pod kaptury. Szkła masek ciągle zachodziły parą, a ciężkie plastikowe poncza utrudniały ruchy. Ciągnięcie sań było prawdziwym wyczynem, bo wyprawa okazała się wyjątkowo udana i bogaty łup ciążył niemiłosiernie. Supermarket, początkowy cel podróży, był pusty, ale na parkingu zewnętrznym duża zaspą śniegu przy narożniku sklepu miała okazać się saniami. Teraz ciągnęli je w stronę Miasta.

Sanie załadowane były wszelkim dobrem.

Zięb zamroził cenne konserwy mięsne, tuńczyka i jeszcze cenniejsze butelki z oliwą z oliwek.

To, z jakiego powodu skarb znalazł się w ich rękach, stało się jasne, gdy tylko odśnieżyli sanie.

Obok zrabowanego towaru leżały trzy trupy mężczyzn. Beładne ułożenie ciał, głębokie rany od pazurów, a zwłaszcza zastygłe w przerażeniu twarze pozwoliły Wagantowi zrozumieć natychmiast, co się stało.

– Stwory Nocy-szepnęła Daniela.

Była odważną dziewczyną. Przerażenie w jej głosie musiało dodatkowo podziałać na dowódcę zwiadowców.

– Jak myślisz, skąd są? – zapytał.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Trudno powiedzieć. Wygląda, jakby tu byli od dawna. Nie mają żadnych znaków plemiennych. Żadnych barw. Mogą być skądkolwiek.

Wszystkie trzy trupy były uzbrojone. Dwie strzelby myśliwskie i jeden pistolet. Najwyraźniej nie zdołali ich użyć.

Wagant znalazł przy nich garść kul do pistoletu i cztery naboje do strzelb.

W kieszeniach mieli monety. Dziwne, wybite z dwóch rodzajów metalu. Ten w środku wyglądał jak złoto, ale to nie było złoto. Wagant schował je do kieszeni. Nie były już nic warte, ale zachowa je na pamiątkę.

Tego dnia byli we czworo. Dwoje nowych, na swoim pierwszym zwiadzie, poradziło sobie lepiej, niż się spodziewał.

Teraz ciągnęli sanie ze zdumiewającą energią. Już rozkoszowali się chwilą, kiedy opowiedzą kolegom o znalezionym skarbie.

Wagant uśmiechnął się na wspomnienie swojej pierwszej wyprawy. Minęło dużo czasu, ale w pamięci pozostawała żywa, jakby to było wczoraj.

Zanurzył się w tych odległych czasach, i wtedy zdarzyło się to, czego się nie spodziewał.

Kiedy go zobaczył, stwór siedział na jakimś głazie.

Wagant zauważył go dopiero wtedy, gdy ten potrząsnął skrzydłami, zrzucając śnieg, którym był przykryty, i stanął wyprostowany, wysoki na prawie trzy metry.

Nie odebrali żadnego sygnału zapowiadającego tę obecność. Nawet poczucia niepokoju, które pojawiało się zawsze w takich sytuacjach.

Ani on, ani Daniela nie zdążyli wyciągnąć broni. A dwaj chłopcy nawet o tym nie pomyśleli. Stali przyklejeni do sań plecami, jakby chcieli je ochronić przed górującym nad nimi monstrem.

Stworzenie badawczo zwracało w ich stronę czarną, pozbawioną mimiki twarz. Można by powiedzieć, że przyglądało im się z pokojowym

nastawieniem. Bez wrogich zamiarów.

Wagant dał pozostałym znak, by się nie ruszali i zachowali spokój. Dwaj nowi pewnie tego nawet nie zauważyli. Stali jakby zamknięci w skorupie. Ale Daniela zrozumiała. Wyjęła rękę z kieszeni i znieruchomiła, jakby mróz ściał ją na miejscu.

Stworzenie nadal im się przyglądało, a Wagant przyglądał się stworzeniu. Pierwszy raz znajdował się tak blisko jednego z tych paskudztw. Patrzenie na nie przez celownik karabinu było jednak czymś zupełnie innym.

Ciało stwora wydawało się zbudowane nie tyle z mięśni, ile z czegoś gładkiego jak plastik. Również w miejscu, w którym powinien mieć genitalia, stwór miał gładkie łono.

Stworzenie poruszyło lekko skrzydłami. Może to był jakiś mimowolny odruch. Ale była w tym taka potęga, że Wagantowi zaparło dech w piersiach.

Stali tak długo. Bez ruchu. W milczeniu. Śnieg znów przykrył czarne ramiona stwora. Błede rozproszone światło nie wydobywało cieni. Wszystko wyglądało jak na obrazku.

Potem obrazek się zmienił. Stwór wyciągnął nogę. Elegancki krok, niemal taneczny. Teraz jego pazury były o niecały metr od Waganta. Mężczyzna nie poruszył się nawet o milimetr. Ale wewnątrz przygotowywał się już do walki, aby dać innym choćby jedną cenną minutę na próbę ucieczki. Nie żeby się łudził. Te stworzenia były niezmiernie szybkie. Ale on był przecież dowódcą wyprawy. Był odpowiedzialny za całą grupę. A powinność nie miała nic wspólnego z rachunkiem prawdopodobieństwa.

Niezależnie od tego, że być może był o krok od śmierci, nadal korzystał z niebywałej okazji, by przyjrzeć się tej istocie rodem z koszmarów.

Dłoń stwora miała cztery palce. Była to zdecydowanie dłoń, nie łapa. Ale nie miała przeciwstawnego kciuka. Nie mogłaby użyć żadnej broni.

Zresztą, do czego mu broń? Nie potrzebował niczego takiego. Wystarczyły paznokcie, czarne i lśniące jak reszta ciała, ostre niczym brzytwy. Jego stopy tonęły w śniegu. Wagant zastanawiał się, czy i one wyposażone są w takie pazury. Sądząc po śladach, jakie stwory zostawiały na ciałach swoich ofiar, przypuszczał, że tak. Ale nie miał najmniejszej ochoty sprawdzać tego na własnej skórze.

To było coś niesłychanego, niedorzecznego, znaleźć się tak blisko tego stwora. Wagant wyciągnął rękę. Jakby jego ramię poruszało się spontanicznie z własnej woli.

W reakcji stworzenie cofnęło się.

Wagant zrobił wtedy najgorszą rzecz, jaką można było zrobić w takiej sytuacji.

Zrobił krok do przodu.

Daniela spojrzała z przerażeniem na przyjaciela podchodzącego do monstrum, które wyciągało groźnie pazury. I wtem – nie do wiary! – stwór wzbił się w powietrze. Rozpostarł skrzydła niczym demon z antycznego fresku i pofrunął w górę z niezwykłą jak na tak potężne ciało prędkością.

Zawisł w powietrzu z dumną obojętnością przed oczami osłupiałych ludzi.

Jeden z dwójki nowych sięgnął po pistolet, ale Wagant powstrzymał go stanowczym gestem.

Stwór nie musiał się wysilać, by pozostawać w powietrzu. Od czasu do czasu machał jedynie skrzydłami. Ruch potężnych błon skórnych wzbijał w mroźnym powietrzu tumany śniegu.

Wisiał tak i patrzył na nich, i choć wydawało się, że nie ma oczu, Wagant czuł na sobie wzrok monstrualnego stwora.

Na mgnienie chwili umysł stworzenia otworzył się i ludzie mogli ujrzeć siebie samych poprzez jego zmysły.

Byli ciemnymi sylwetkami w aureolach różnokolorowego światła. Przyglądając się sobie jak w magicznym lustrze, zrozumieli, że kolory te

oddawały stan ich ducha. Zobaczyli strach i ciekawość. I brak jakiegokolwiek woli walki.

Jednocześnie poczuli to, co stworzenie odczuwało wobec nich.

Ciekawość, ale i atawistyczną odrazę. W oczach tej istoty to oni byli potworami.

Chwila minęła. Mocnymi i szybkimi uderzeniami skrzydeł stworzenie wzbiło się wysoko i zniknęło w zawiei.

Czworo Obywateli spojrzało po sobie, nie dowierzając, że im się upiekło. Dwaj nowi wybuchli histerycznym śmiechem. Wagant uciał to, wymierzając policzek wyższemu z nich.

– Przestańcie. Idziemy. Przed nami jeszcze szmat drogi.

To spotkanie wstrząsnęło nim bardziej, niż chciał i mógł przyznać. Spotkania ze Stworami Nocy, albo, jak sam je nazywał w duchu, z Potworami, były niezwykle rzadkie. W dwóch przypadkach, kiedy zdarzyło mu się natknąć na te dziwne stworzenia, oglądał je przez celownik karabinu. Nie strzelił ani w jednej, ani w drugiej sytuacji. „Nie rób tego, jeśli nie musisz”, tak brzmiała jego dewiza. Trzymanie się zasad było najważniejszą rzeczą, by przetrwać w czasach, w których przyszło im żyć.

Pierwszą swoją zasadę Wagant zachowywał dla siebie. Nauczył się jej w swojej tajemnej bibliotece, na ostatnim piętrze wieży, w podziemiach której żyło (a raczej, jak sam utrzymywał, sądziło, że żyje) Miasto. Pewnej nocy znalazł książki. W ciemnościach ostatnie piętro było w miarę bezpieczne. Słońce, mimo że ciągle ukryte za całunem chmur, stanowiło śmiertelne zagrożenie od chwili Wielkiego Wybuchu. Jak mu wyjaśnił Isaac, to przez ozon, a dokładniej – przez jego brak. Kolejny skutek wojny. Zakładając, że to rzeczywiście wojna rozpieprzyła ten świat. Z tego, co wiedzieli, mógł to być równie dobrze wynik błędu. Albo inwazji obcych – ta hipoteza wyjaśniałaby też obecność Potworów.

W swojej osobistej bibliotece, dobrze ukrytej w tapicerce kanapy, Wagant miał wiele książek, które kiedyś określono by mianem dobrych:

wielkich klasyków, jakąś encyklopedię i trochę prac naukowych – wszystko to dzielił z Isaakiem. Ale przede wszystkim miał dużo komiksów Marvela i DC. Od dzieciństwa, odkąd odkrył ten azyl w chmurach, który nazywał w myślach Twierdzą Samotności, przeczytał je tyle razy, że się zużyły. Od superbohaterów nauczył się najważniejszej rzeczy, żeby przetrwać w nowym świecie. Wykorzystując swoje specjalne moce, superbohaterowie walczyli często przeciwko potworom podobnym do tych, które krążyły wokół Miasta. On nie miał żadnych mocy nadprzyrodzonych. Ale miał postaci, z których mógł czerpać inspiracje, swoisty panteon, w którym Thor i Spiderman zajmowali miejsce tego niewydarzeńca Jezusa. Świat, w którym żył, balansował między tą pieprzoną spustoszoną planetą a fikcyjnym uniwersum jego bohaterów. Wagantowi sprawiało coraz więcej trudności określenie, który z tych dwu światów jest dla niego bardziej rzeczywisty: ten niezmienny, fantastyczny, do którego uciekał po wyprawach, czy ten tak zwany rzeczywisty, świat z koszmaru, w którym twoi towarzysze mogli w każdej chwili zginąć, więc lepiej było nie przywiązywać się do nikogo, jeśli nie chciałeś cierpieć.

Spojrzał ukradkiem na Danielę. Podobała mu się. Była w porządku, no i była ładna. Bardzo mu się podobała, i to był jeszcze jeden powód, żeby trzymać się od niej z daleka. Historie jego bohaterów nauczyły go, że miłość jest niebezpieczna. Kochać kogoś znaczy w jakiś sposób od niego zależeć. Bać się o niego. Cierpieć z powodu jego straty.

Konieczność myślenia o drugim stwarzała śmiertelne zagrożenie w świecie, który nie wybaczał niezdecydowania.

Czy też powolności.

– Może byśmy się tak pospieszyli, ślimaki jedne, co?

– Te sanie są za ciężkie...

– Miasto żywi was i daje wam schronienie. Nie macie najmniejszego prawa do narzekań!

– Dlaczego nam nie pomożesz, zamiast prawić kazania?

To były słowa Lorenza. Zdjął pasy pociągowe i stał przy saniach z założonymi rękami i wyzywającą miną.

Wagant nie spodziewał się tego. Zawsze myślał, że jeżeli kiedykolwiek pojawią się jakieś zatargi, to ich źródłem będzie Franco.

Dał znak Danieli, żeby się zatrzymała. Zdjął plecak. Oparł strzelbę o sanie.

– Coś powiedział?

Lorenzo popatrzył na niego niepewnie.

– Pytam cię, co powiedziałaś?

Nowy próbował złapać spojrzenie Franca, później Danieli. Ale przyjaciel odwrócił głowę, a dziewczyna patrzyła na niego z miną, która nie zwiastowała niczego dobrego.

– Czekam na odpowiedź.

– Nic nie mówiłem.

Wagant pokręcił głową.

– Nieprawda. Coś jednak powiedziałaś. Przypomnieć ci? Powiedziałaś: „dlaczego nam nie pomożesz, zamiast prawić kazania”.

Powieki chłopaka trzepotały jak skrzydła odlatujących ptaków. Wymamrotał coś pod nosem.

– Co tam gderasz?

Nowy poczerwieniał.

– Powiedziałem, że cię przepraszam.

– Przykro mi, ale to za mało.

Bez żadnego uprzedzenia Wagant rzucił się na kompana i zaczął go policzkować, a później okładać pięściami. Uderzał coraz mocniej. Ciosy były mierzone – w twarz, w żebra. Kiedy otrzymał kopniaka w jądra, chłopak padł na kolana, wyjął z bólu. Zanim zwałił się na ziemię, Wagant zdążył jeszcze dosięgnąć kolanem jego podbródka.

Biedak padł na plecy jak martwy.

Wagant spojrział na niego z pogardą. Założył z powrotem plecak,

podniósł strzelbę.

– Jeśli nie wstanie w ciągu dwóch minut, zostawiamy go tutaj – rzucił do Franca. – A sanie pociągniesz sam.

To była chwila prawdy. Franco był o wiele większy i mniej inteligentny od Lorenza. Jego reakcji nie można było przewidzieć. Ale od tej reakcji zależało, czy wrócą do domu żywi i z ładunkiem.

Franco spojrział na Waganta. Później na dłużej wbił oczy w ziemię. Wreszcie schylił się i, nacierając twarz Lorenza śniegiem, zdołał go ocucić.

Chłopak był zapuchnięty, ale nie miał ran. Największy ból czuł w jądrach. Wagant jednak postarał się, żeby za bardzo go nie pokiereszować. Franco popatrzył na niego z zakłopotaniem. Spuścił wzrok i włożył na siebie uprząż.

Daniela odetchnęła z ulgą.

Kiedy dwaj nowi ruszyli z saniami, dziewczyna dołączyła do Waganta.

– Wiesz o tym, że któregoś dnia, prędzej czy później, jeden z nich cię zabije? – szepnęła mu do ucha.

Wzruszył ramionami.

– Kiedyś i tak trzeba umrzeć.

Dziewczyna spojrzała na niego skonsternowana tymi swoimi oczami błękitnymi jak niebo, którego już nie było, i jak morze, i jak niektóre błękitne kwiaty, których też już nie było. Nic nie odpowiedziała, ale zrobiło się jej nieskończenie żal tego silnego, samotnego chłopca.

Lorenzo powoli odzyskał siły i tempo marszu się poprawiło.

Z ośnieżonego wzgórzka, który kiedyś był domem, skrzydlata istota widziała wszystko, co zaszło. Ją też przykrywała biała peleryna, przez którą trudno byłoby ją odróżnić od posągu. Pozbawiona mimiki twarz nie była w stanie wyrażać uczuć. Kiedy ludzie znaleźli się daleko, nagłym i potężnym uderzeniem skrzydeł wzbija się w powietrze i zniknęła, jak po przebudzeniu znika senny koszmar.

7 | Łamiąc pustkę w palcach

Pokój, który Rządca udostępnił mu na odprawienie mszy, był malutki, ale i tak okazał się za duży. Nie przyszedł nikt. To miejsce zapewne nie znało wielu rozrywek, ale najwyraźniej myśl o uczestnictwie we mszy nikogo nie rozpałała.

W chwilach, kiedy przygotowywał się do odprawienia nabożeństwa, John Daniels potrafił jeszcze myśleć o sobie jako o ojcu Danielsie.

Począł jeszcze dziesięć minut i postanowił zacząć.

Wyjął z plecaka wszystko, co potrzebne, i rozłożył na chwiejnym stolyczku, który mu udostępnił. Hostii, rzecz jasna, nie było. Gdyby była, msze cieszyłyby się nadzwyczajnym powodzeniem. Ale chleb był przeżytkiem.

Jak Kościół katolicki, pomyślał z gorzką świadomością.

Rozłożył na blacie stołu względnie czystą serwetkę, kieliszek i talerzyk.

Komunia była teraz czymś czysto symbolicznym.

Kiedyś wymagano od wiernych wiary w to, że hostia i odrobina wina są ciałem i krwią Chrystusa. Dzisiaj potrzeba dodatkowego aktu wiary: wyobrażenia sobie, że w mojej pustej dłoni jest hostia, a w pustym kieliszku wino.

Odprawił mszę z takim poczuciem zniechęcenia, jakiego nie miał nigdy dotąd, nawet w najczarniejszych chwilach.

Było mu wstyd za swój stan ducha. Pomyślał o kapłanach z przeszłości, o tych, którzy podtrzymali wiarę i obrzędy w najciemniejszych okresach

historii. Pomodlił się do swojego Boga o siły, aby mógł im dorównać. Choć wiedział, że nie jest z tej samej gliny. Jego wiara była niepewna jeszcze przed Zagładą. Pamiętał dzień, na wiele lat przed końcem świata, kiedy przeczytał o masakrze dokonanej przez szaleńca. Trzydzieścioro dwoje dzieci między szóstym a dziesiątym rokiem życia skoszonych serią z karabinu maszynowego w Ameryce.

John wykrzyczał wtedy Bogu w myślach: *Gdzie byłeś, kiedy ten potwór wycelował broń w niewinne istoty?*

Ale jakaś jego część, silniejsza od wszelkich wątpliwości, odpowiedziała mu na to pytanie.

To człowiek, a nie Bóg, zabił te dzieci.

Bóg miał się zaopiekować ich duszami, ale nie mógł ingerować w wolną wolę zabójcy. Tak tłumaczyłby to wszystkim, którzy by go o to spytali. Ale w głębi duszy wołał, żeby Bóg wyciągnął rękę z nieba i wyrwał skurwielowi serce, zanim ten zdążył choćby jeden raz wystrzelić.

Nie pozwolił jednak, aby te wątpliwości zmaciły świętość mszy. Odprawił liturgię krok po kroku z największą uważnością. Jego ręce sprawowały obrzęd z pamięci, bez udziału wzroku. Było coś krzepiącego w powtarzaniu tych rytualnych gestów.

Ale kiedy odmawiał *Ojciec nasz*, modlitwę, która liczyła sobie tysiąc siedemset lat, coś zaczęło w nim pękać.

– „Przyjdź królestwo Twoje...”

Ale przecież świat nie należał już do Boga ani do człowieka.

– „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj...”

Ale jakiego chleba? Świat nie miał już nigdy poznać chleba. „Jedzcie z tego wszyscy, to jest ciało moje” stało się zdaniem, które należało brać dosłownie...

– „I nie wódź nas na pokuszenie...”

Pokusa przetrwania – nawet za cenę zabójstwa, gwałtu, kradzieży: dokładnie w tej kolejności, od zbrodni mniejszej do większej. Bo odebrać

życie, w tym królestwie ciemności i śmierci, jest grzechem mniej ciężkim od kradzieży...

– „Ale nas zbaw ode złego...”

Jakby to było w ogóle możliwe w świecie, w którym zło zagraża nam przy każdym oddechu, od każdego promyka światła, przy każdym spotkaniu. Nie ma już miejsca, w którym moglibyśmy się schronić. Wróg jest nawet w nas samych.

Zło zwyciężyło.

John westchnął.

– „Bo Twoje jest królestwo, potęga i chwała na wieki. Amen.”

– Amen – odezwał się głos od progu pokoju.

Rządca wszedł do środka.

– Skończone? – zapytał.

John pokręcił przecząco głową.

Tamten przeprosił i zrobił dwa kroki w tył.

Stał tak i słuchał ostatnich zdań mszy, uśmiechnął się tylko, kiedy ojciec Daniels udzielał błogosławieństwa wiernym, których nie było. Nie przeżegnał się.

Kiedy ksiądz skończył pakować do plecaka przybory do odprawiania obrzędu, chłopak z powrotem wszedł do pokoju.

– Mogę z tobą teraz porozmawiać?

– Tak. O co chodzi?

– Nie miałeś za dużej widowni.

– Msza to nie spektakl.

– Chcesz powiedzieć, że nie jesteś rozczarowany?

– Chcę powiedzieć, że to nie ma znaczenia. Przynajmniej dla mnie.

Miałeś mnie o coś spytać?

– Chciałem ci przypomnieć o twoich czytelnicznych obowiązkach. *Tomek Sawyer*. Jedna grupa dziś rano i dwie po południu.

– Dobrze.

– Ale to powinien być twój dzień wolny.

– Niedziela jest moim dniem „roboczym”, gdyby co.

– A, tak. Jest jedna sprawa, o której musiałbym z tobą pogadać. Matka Miłosierdzia mówiła mi, że w nocy rozmawiasz z jakąś kobietą.

– Nie ma w tym nic dziwnego.

– Ale, widzisz, rzecz w tym, że tej kobiety nie widać.

– To dla mnie nie problem. Pewnie zauważyłeś, że jestem ślepy.

Rządca pokręcił głową.

– Ja jednak mówię o czymś ociupinkę innym. Nie próbuj mnie kiwać. Matka mówi, że kobieta jest niewidzialna. Ale doskonale słyhać jej głos. Krótko mówiąc, wygląda na to, że w twoim pokoju jest kobieta. Ale gdy ktoś wchodzi, jesteś sam.

– To byłoby piękne, gdyby było prawdziwe.

– A ty twierdzisz, że nie jest?

– Tego nie powiedziałem.

Chłopak prychnął zirytowany.

– Powiesz mi wreszcie prawdę, księżu? Jest w twoim pokoju kobieta czy nie?

– Nie.

– Więc czyj głos słyszała Matka? Z kim rozmawiałeś?

– Zapewne mówiłem przez sen – odrzekł Daniels.

Rządca spojrzał na niego badawczo. Ksiądz dostrzegł w jego aurze bezradność i palący gniew. Ale chłopak zagrał uprzejmego.

– W porządku. Nie mówmy już o tym. Jeśli chcesz ze mną iść, zaprowadzę cię do czytelnii.

– Trafię sam do biblioteki.

– Ale my nie idziemy do biblioteki.

Przeszli inną częścią Miasta, do której dotarcie wymagało pokonania labiryntu korytarzy zbudowanych z blaszanych płyt zwieńczonych kratami po sam sufit. Ojcu Danielsowi przypominało to ciągi barierki przed

wejściami na stadion albo na pokład samolotu na lotnisku.

– Ten, kto zaprojektował to miejsce, musiał być fanem *Pac- Mana*– skomentował.

Rządca obejrzał się.

– Znasz *Pac- Mana*? – zapytał ze zdumieniem na twarzy.

– Nie osobiście.

– Nie kpij sobie ze mnie. Znasz tę grę?

– Jasne. Chociaż gdy byłem w twoim wieku, praktycznie nikt już go nie pamiętał. Przeżył jedynie jako gra na smartfon.

– Co to jest smartfon?

– Powiedzmy, że to był taki telefon, ale robił parę innych rzeczy. Mogłeś sobie obejrzeć film, posłuchać muzyki, pograć. Połączyć się z internetem.

Rządca zaczerwienił się. John pomyślał, że to ze wstydu. Ale w rzeczywistości poczerwieniał z dumy.

– Moje imię. To, które mi dała Mama. To jest imię bohatera jednej gry wideo.

– Ach tak?

– Tak. *Donkey Kong*.

Daniels z trudem zachował powagę, przytakując nieszczercze. Próbował nie myśleć o małpie z gier Nintendo, od której wziął imię Rządca, aby nie wybuchnąć śmiechem.

– Dlaczego zbudowaliście coś takiego?

– To pomysł Isaaca. Isaac jest naszym naukowcem. Zaraz się z nim spotkasz.

Co dziesięć kroków przejście blokowała metalowa bramka. John zwiedził wystarczającą liczbę średniowiecznych zamków, by zdawać sobie sprawę, że to konstrukcja obronna. Bramki, osłonięte metalowymi płytami do wysokości głowy, stanowiły wystarczającą ochronę przed każdym napastnikiem. A gdyby bramka puściła, broniący mogli cofnąć się do

kolejnego stanowiska obronnego. John naliczył czternaście takich zapór wzdłuż jedynej drogi dostępu do betonowego bloku znajdującego się w środku tego metalowego labiryntu.

– Co trzymacie w tej fortecy? Wasz skarb?

– W pewnym sensie – odrzekł Rządca z uśmiechem.

Ostatniej bramki pilnowało dwóch strażników uzbrojonych w karabiny maszynowe. Za bramką wchodziło się do czegoś na kształt bunkra z metalowymi drzwiami, za którymi były kolejne: pancerne, grube na przynajmniej siedem centymetrów.

Weszli do środka.

Dwadzieścia par oczu podniosło się, żeby na nich spojrzeć.

Dwadzieścioro dzieci poderwało się na równe nogi, salutując Rządcy. Za nimi trzej starsi chłopcy uśmiechnęli się na widok Johna Daniela. Nietrudno było odgadnąć, który z nich to Isaac. Czarnoskóry piętnastolatek z wielką czupryną kędzierzawych włosów, w skleconych z drutu okularach z grubymi szklami. Z tego, jak mrużył oczy, można było domyślić się, że nie mają odpowiedniej mocy.

Przy ścianie stały dwa krzesła, przed tablicą, na której ktoś napisał kredą: PRZYGODY TOMKA SOJERA John chwycił małe kawałek kredy, niewiele większy od paznokcia. Zmazał grzbietem dłoni słowo SOJERA i napisał SAWYERA.

I usiadł.

Spojrzenie jego oczu pokrytych złowieszczym bielmem wolno przesunęło się po twarzach stojących przed nim dzieci.

– Siadajcie – powiedział.

Wszyscy obecni w sali usiedli na ziemi. Z najstarszymi włącznie.

– *Przygody Tomka Sawyera* to dość długa książka. Nie mogę opowiedzieć wam jej całej dzisiaj.

Któreś z dzieci podniosło nieśmiało rękę. Zanim zaczęło mówić, spojrzało po innych, aby nabrać odwagi.

– Jesteś ślepy. Nie możesz czytać. Skąd mamy wiedzieć, że powiesz nam naprawdę to, co jest napisane w *Przygodach Tomka Sawyera*? Skąd mamy wiedzieć, że mówisz tak, jak jest w książce?

Aura Rządcy zadrżała. Ale John go uprzedził.

– Dobrze pytanie. A nawet bardzo dobre. Jak ci na imię?

– Dario.

– Widzisz, Dario, rzecz w tym, że czasami musimy zaufać innym. Po prostu musimy. Nie mamy wyboru. Ja sam nie przeżyłbym, gdybym nie nauczył się, jak ważne jest zaufać komuś, kogo masz obok siebie. Kiedyś, żeby wytrenować w ludziach zaufanie do innych, robiło się takie ćwiczenie: kilka osób stawało za tobą, splatało ręce, ty musiałeś przewrócić się w tył, a one miały cię złapać. Dziś takie jest całe nasze życie. Ryzykujemy nim każdego dnia, kilka razy dziennie, i gdybyśmy nie ufali innym, gdybyśmy nie ufali tym, którzy należą do naszej grupy, nie moglibyśmy po prostu żyć. A ty masz rację, wiesz? Przecież mnie nie znasz, nie wiesz, czy możesz mi zaufać. Dobrze, że mi nie dowierzasz. Proszę cię tylko o to, żebyś posłuchał. Sam zrozumiesz, czy to, co wam opowiem, będzie tylko majaczeniem obcego ślepcy, czy też, jak cię zapewniam, prawdziwe, autentyczne słowa geniusza pióra, jakim był Mark Twain. Dziękuję za twoje pytanie, Dario.

Chłopiec uśmiechnął się nieśmiało.

Rządca dał mu znak, że może z powrotem usiąść na starej błękitnej wykładzinie, która przykrywała część posadzki jak zużyty dywan.

John Daniels odchrząknął. Aura wokół grupy jego słuchaczy emanowała skupieniem, ciekawością, szczęściem.

Modulując głos najlepiej jak potrafił, zaczął opowiadać historię wymyśloną przez amerykańskiego pisarza ponad sto pięćdziesiąt lat wcześniej. Drzewa, domy, światło słońca nabierały w jego słowach życia, a on poczuł, że aura słuchaczy wspiera jego opowieść, tak jak dyrygent odczuwa harmonię z muzykami nawet z zamkniętymi oczami. Śmiali się

i duzi, i mali. I marzyli, i słuchali oczarowani historii osadzonej wświecie, którego nigdy nie zaznali. W świecie otwartym i pełnym światła, sprzed Zagłady.

Gdyby ludzkość zdołała skolonizować inne planety, to właśnie tak dzieci lub wnuki kolonizatorów słuchałyby historii o ziemi oddalonej o lata świetlne, pomyślał John.

Kiedy skończył opowiadać, pod koniec trzeciego rozdziału, cisza wydała się olbrzymią próżnią, w której trzepotanie skrzydeł muchy wydałoby się ogłuszające. Po chwili dał się słyszeć w tej ciszy płacz jednego z dzieci. Dwoje innych, chłopczyk i dziewczynka w wieku mniej więcej dziesięciu lat, podniosło się na ścierpnięte od wielogodzinnego siedzenia nogi. Przytulili chłopczyka, który płakał im teraz w ramionach, i próbowali go uspokoić. Dziewczynka kołysała małego, tak jak zrobiłaby to matka. Szeptala mu coś na ucho, może śpiewała. Po chwili płacz ustał.

Pozostałe dzieci patrzyły na Johna Danielsa z mieszaniną zachwytu i strachu. Nie mógł ich widzieć, ale odbierał ich aury.

W college'u, w Ameryce, John mieszkał w jednym pokoju z kolegą, który pewnego dnia na imprezie naćpał się jakimś świństwem. Poranny dół następnego dnia był straszny. Jakby spadł z emocjonalnego urwiska, trudno było opisać to inaczej. Od uczucia pustki, jakim emanował teraz John wobec siedzących przed nim dzieci, aż bolało serce.

– To nie koniec historii. Jutro opowiem wam kolejne cztery rozdziały. Usłyszycie, jak Tomek czyta *Kazanie na Górze*.

Rozśmieszysz was do łez. Wiecie, wybrał je, dlatego że są w nim najkrótsze wersety...

W pierwszym rzędzie nieśmiało podniosła się mała rączka. Jakieś dziecko w ubranku ze szmatek. Na jego bluzie ze zgrzebnego płótna ktoś wszył skrawek starej koszulki z obrazkiem Kaczora Donalda.

– Panie Daniels...

– Tak?

– A co to jest skazanie na górze?

I znów John z trudem powstrzymał śmiech.

– Kazanie. Kazanie to taka mowa. Jezus wygłosił je na jednej górze, dlatego tak się nazywa. Chcecie posłuchać?

Dzieci popatrzyły po sobie z onieśmieleniem, po czym kilkoro z nich potaknęło.

Ojciec John Daniels pochylił głowę. Z jego ust popłynęły słowa stare, lecz mocne, jakby były nowe: „Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem do nich należy królestwo niebieskie. Błogosławieni, którzy się smucą, albowiem oni będą pocieszeni. Błogosławieni cisi, albowiem oni na własność posiadą ziemię...”.

Po migotaniu ich aur John rozpoznał zmiany nastroju dzieci pod wpływem wypowiedzianych przez niego zdań.

A ogromne wrażenie, niczym uderzenie pioruna, wywarła na nim ich reakcja na te słowa: „Wy jesteście światłem świata.

Nie może się ukryć miasto położone na górze. Nie zapala się też światła i nie stawia pod korcem, ale na świeczniku, aby świeciło wszystkim, którzy są w domu. Tak niech świeci wasze światło przed ludźmi, aby widzieli wasze dobre uczynki i chwalili Ojca waszego, który jest w niebie”.

Kiedy wypowiadał te słowa, od tych rozczochranych brudnych główek, od wymizerowanych ciałek wzniosło się ku górze złote światło. Wyglądało to tak, jakby każde z dzieci otaczała aureola, niczym na obrazach ze świętymi. Serce Johna zabiło mocniej. Musiał przerwać.

Emocjonalna fala, która przeszła przez jego słuchaczy, osłabła i opadła, aż całkiem zniknęła.

Serce księdza uspokoiło się, powracając do normalnego rytmu.

Dziecko z pierwszego rzędu znów podniosło rękę. Tym razem bez żadnego onieśmielenia.

– Panie Daniels, a kim jest Jezus?

Rządca był wściekły.

– Nie wydaje mi się, żeby Jezus był postacią z *Przygód Tomka Sawyera*. I żeby wszystkie te głupstwa, które mówiłeś, były w książce.

Niemal biegł przed siebie, nie dbając o to, czy John dotrzymuje mu kroku. Otwierał z agresją żelazne bramki, trzaskając nimi. Tylko wewnętrzne widzenie pozwoliło księdzu uniknąć uderzenia jednej z tych ciężkich płyt.

– Tylko wspomniałem o *Kazaniu na Górze*. To oni poprosili, żebym o tym powiedział.

– Tylko jeden chłopiec. Gdyby cię poprosił o pistolet, też byś mu dał?

– Nie mam pistoletu.

– Wiesz doskonale, o co mi chodzi. To, co powiedziałeś, jest niebezpieczne.

– Nie rozumiem dlaczego.

Rządca odwrócił się gwałtownie ze wściekłą miną, stając twarzą w twarz z Johnem.

– Nie rozumiesz dlaczego? Powiem ci dlaczego. Dlatego że religia sprowadza jedynie nieszczęścia. Wojny, prześladowania. Jestem pewien, że nawet Stan Zagrożenia to wina religii.

– Tego nie wiemy.

– Nazwij to aktem wiary – rzucił chłopak drwiąco.

Ostatnie słowo wymówił tonem najwyższej pogardy.

– Ale nie udało mi się wyrządzić wielkiej szkody. Zabrałeś mnie, zanim zdążyłem odpowiedzieć na pytanie – zaoponował John.

– Oczywiście, że ci przeszkodziłem. Tutaj twój Jezus nie jest mile widzianym gościem.

John nagle przystanął. Rządca w swojej furii przeszedł jeszcze z pięć kroków, zanim się obejrzał.

– To nie jest mój Jezus – powiedział ksiądz twardym tonem. – I nie potrzebuję od ciebie przepustki, żeby znaleźć się w tych murach.

Chłopak zawrócił pełen gniewu. Dłonie miał zaciśnięte w pięści. Jego

aura była czarna jak chmura burzowa.

Stanął przed Danielsem, który nie cofnął się nawet o milimetr. Wyglądali jak dwa kamienne posągi. Tylko para z ust świadczyła o tym, że to dwie żywe osoby. Korytarz nie był tak ciepły jak pomieszczenie, w którym John opowiadał dzieciom historię Tomka Sawyera. Tamto miejsce było jak cieplarnia. Jak inkubator. Teraz John rozumiał już doskonale, dlaczego Miasto tak obsesyjnie chroniło tę przestrzeń. To był naprawdę ich skarbiec, a skarbem były nasiona nowego pokolenia.

Nie po raz pierwszy na tym etapie swojej podróży ojciec John Daniels czuł ból i miał straszne poczucie winy z powodu piękna wspólnoty, którą przybył zniszczyć.

– Nie mów mi tu więcej o Jezusie i innych wynalazkach twojego Kościoła, księżu – warknął Rządca. – Nie w murach mojego Miasta. W przeciwnym razie...

– W przeciwnym razie?

Chłopak nie odpowiedział. *W przeciwnym razie będę się musiał tobą zająć*, pomyślał. *Tak jak zająłem się Drzewem i innymi, którzy przyszli po nim. Ludźmi, którzy swoim zachowaniem i wywrotowymi ideami zagrażali porządkowi i trwaniu Miasta.*

Johnowi, który potrafił odczytać aurę chłopaka jak partyturę utworu muzycznego, nie umknęła żadna z tych myśli.

Oddanie Rządcy Miastu było absolutne, ale nie do końca czyste: spod płaszczyka zdecydowania i ducha poświęcenia przebijała ambicja dowódcy, a przede wszystkim pragnienie, by uważano go za zbawcę wspólnoty. Serce Dona nie było diamentem, lecz kwarcem z domieszką złota i żelaza z licznymi śladami rdzy.

– W przeciwnym razie możesz odejść.

– Nie mogę odejść.

– Pokażalesz, że możesz sam o siebie zadbać.

John Daniels pokręcił przecząco głową.

- Nie w tym rzecz.
- Nie? A w czym?
- W tym, że was potrzebuję.

Rządcę zatkało.

– To znaczy, że nie przybyłeś tu przypadkiem? Że twoje rany były fortelem? To dlatego wyzdrowiałeś tak szybko...

– Nie, to nie tak. Byłem naprawdę ranny. Ale to Bóg mnie do was doprowadził.

Aura chłopaka rozbłysła czerwonym płomieniem sprzeciwu.

– Oszukałeś nas. My cię uratowaliśmy, a ty chciałeś jedynie nas wykorzystać do swoich celów! Twój Kościół nie ma dość miejsca? Weź sobie jakieś inne miasto w okolicy! Jest tu parę bogatszych i ludniejszych. Czegokolwiek szukasz, łatwiej i więcej tego czegoś znajdziesz gdzie indziej.

John wolno pokręcił głową, ze stanowczością większą niż jego wewnętrzne przekonanie.

– Jeżeli Bóg poprowadził mnie tutaj, to znaczy, że jesteście dobrym wyborem.

– Nie potrzebujemy twojego Boga! Odejdiesz natychmiast!

– Może źle zrozumiałeś. To Bóg was potrzebuje.

Dłoń Rządcy trafiła Daniela prosto w twarz. Ksiądz czuł zbliżający się policzek. Mógł go uniknąć, ale tego nie zrobił.

Zatoczył się do tyłu, jednak nie upadł. Chłopak chwycił go za klapy kurtki.

Na ramieniu Rządcy pojawiła się jakaś dłoń, powstrzymując go. Dłoń wysokiego, silnego chłopaka o twarzy naznaczonej wielkim zmęczeniem.

Wagant nie odezwał się słowem. Pokręcił jedynie głową.

Rządca odepchnął księdza, a ten przewrócił się na ziemię.

Wagant znów wyciągnął dłoń, by pomóc mu wstać.

– Dziękuję – wyszeptał Daniels.

– Nie dziękuj. Słyszałem, co mówisz. Don ma rację. Nie potrzebujemy ani ciebie, ani twojego Boga. I wiemy, jak postępować z tymi, którzy próbują nas wykiwać.

Rządca przytaknął nerwowo. Wagant był jedyną osobą, która nadal nazywała go Donem. Jedyną, której Rządca na to pozwalał.

– Będzie więc lepiej dla wszystkich, jeżeli wyjaśnisz nam teraz, czego od nas chcesz – podsumował dowódca zwiadowców.

– Tak, będzie lepiej – dodał Rządca i zaraz tego pożałował, bo ten powtórzony tekst, wypowiedziany w dodatku aroganckim tonem, tylko pomniejszał jego rolę przywódcy. To on powinien był zażądać wyjaśnień, podyktować księdzu reguły obowiązujące w Mieście. Ale jego władza opierała się na równowadze, której Wagant stanowił zawsze właściwą przeciwwagę.

John Daniels przeniósł swoje ślepe spojrzenie na Waganta. Chłopak miał subtelne, niemal delikatne rysy twarzy.

Próby zapuszczenia brody nie dały pożądanego efektu w postaci wyglądu twardziela w stopniu, w jakim by sobie tego życzył. Na wewnętrzne oko Daniela, blond włosy i orli nos świadczyły o obcym pochodzeniu, prawdopodobnie ze Wschodu, co sugerował również z lekka azjatycki kształt oczu, o zielonym kolorze, który kiedyś określano kolorem liści, ale o którym świat po Zagładzie już dawno zapomniał. Nie było już zieleni na powierzchni planety, a pod jej powierzchnią istniała jedynie w oczach takich jak u Waganta. Zdecydowane, inteligentne oczy, które badały twarz Johna Daniela, jakby doszukiwały się w niej tajemnych myśli i prawdziwych intencji.

– Powiem wam wszystko – odezwał się ksiądz. – Ale nie tutaj. Zaprowadź mnie do swojego schronu.

Waganta zamurowało. Skąd ten obcy wiedział o jego schronie?

Rządca zmarszczył brwi, nie rozumiejąc.

– W dzień nie można tam pójść – odparł sucho Wagant.

- Więc zaprowadź mnie tam w nocy.
- O co chodzi z tym schronem? – zapytał Rządca.
- O nic.
- Właśnie powiedział coś o jakimś schronie.

Wagant spojrział mu spokojnie prosto w oczy.

Rządca zamilkł.

Na ustach zwiadowcy pełgał uśmiech. Ale Wagant często się uśmiechał, zanim zabił. Uśmiechem, który gasł wraz z życiem ofiary. Rządca widział kiedyś, jak wyjmuje ostrze noża z piersi jakiegoś człowieka i nie przestaje się uśmiechać.

Nie obstawał przy tym pytaniu. Powiedział jedynie: – Jeżeli macie gdzie iść, to ja też chcę tam być.

Wyglądało na to, że Wagant rozważa, jak rozwiązać tę sytuację. Po chwili zwrócił się bezpośrednio do księdza: – Dlaczego chcesz iść na górę? Możesz ze mną porozmawiać tu i teraz.

– Nie. Muszę ci coś pokazać. I jeśli o mnie chodzi, to wolałbym, żeby Rządca poszedł z nami. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, rzecz jasna.

Wagant wzruszył ramionami.

– Dla mnie w porządku. Więc pogadamy dziś w nocy. Ale pamiętaj, chcę prostych i uczciwych odpowiedzi.

W przeciwnym razie wrócisz z góry lotem ptaka.

8 | Stairways to Heaven

Wchodzenie po schodach w ciemnościach nie było problemem dla Johna Danielsa.

Przecież nie wzrok go prowadził. Tylko ten nowy zmysł, dziwny, hybrydowy, który dostał od Mnicha w zamian za oczy.

Wielu uznałoby tę wymianę za niekorzystną.

Szli w górę, trzymając się poręczy schodów służbowych. Schody były wąskie. Dwudziestokondygnacyjny budynek zaprojektowano naprawdę awangardowo: windy pasażerskie i towarowe zasilane były z tych samych ogniw fotowoltaicznych co oświetlenie i ogrzewanie budynku. Tyle że elektronika i automatyka domowa nie mogły działać bez konserwacji. Nie przez dwadzieścia lat.

Pierwsza zepsuła się centrala obsługi wind. Śnieg i brud gromadzące się na panelach słonecznych, a przede wszystkim brak dostatecznego światła dokonały reszty.

John dowiedział się tego wszystkiego od Rządcy, gdy pokonywali w ciemności kolejne biegi schodów.

Miasto nie posiadało noktowizorów. Używali świec w osłonkach z przejrzystego plastiku. Taki rodzaj pochodni, równie genialnej, co przygnębiającej. Wszystko tu wyglądało, jakby było zaprojektowane przez dziecko. Ale według Johna błędny był przede wszystkim sposób rozwiązywania problemów. Jaki sens miało chronienie dzieci w tym labiryncie z żelaza, jeżeli w ich schronie nie było nawet śladu żywności ani

alternatywnej drogi ucieczki? Gdyby wróg dostał się do Miasta, ludzie schronieni w tym prymitywnym bunkrze umarliby z głodu i pragnienia. A woda? Zbieranie tej, która przesiąkała przez mury, nie było już samo w sobie wielkim wyczynem. Ale przecież nawet jej odpowiednio nie filtrowali. Ani nie gotowali.

A jednak w głosie chłopaka, który szedł za nim po schodach, dało się słyszeć wielką dumę. Rządca nie przestawał wychwalać zasobów Miasta. Za to Wagant wcale się nie odzywał. Szedł szybko przed nimi, pewnym krokiem.

Schody były puste.

Na drzwiach znajdujących się na różnych poziomach widniały napisy z określeniem rodzaju zapasów: sklepy, żywność, materace, drewno. Wzrok Johna nie pozwalał na odczytanie cyfr wskazujących wielkość zapasów, ale wystarczyła mu aura Rządcy, który spoglądał na te oznaczenia, żeby zrozumieć, że stan zasobów jest krytyczny.

Dlatego był skonsternowany lekkim, optymistycznym tonem głosu, jakim chłopak opiewał dobrobyt Miasta. *Okłamuje tylko mnie czy siebie samego też?*, zastanawiał się John, wysłuchując kolejnej entuzjastycznej litanii, jaką chłopak intonował na każdym piętrze.

– ...a tutaj był jeden z największych w Mieście sklepów z zabawkami. A tam zaraz sklep sportowy. Prawie cała nasza broń pochodzi właśnie stamtąd.

Oto łuki sportowe. Potężna broń, ale w dobrze wyszkolonych rękach. Kompletnie bezużyteczna w przypadku tych tak zwanych wojowników, których John tu spotkał.

Zwiadowcy to całkiem inna bajka. Ci rzeczywiście byli wojownikami. Wyszkolił ich Wagant. Popatrzył z ukrytym podziwem na idącego przed nim chłopaka, rozgarniającego ciemności z godną zachwyty pewnością siebie. A jednak– John odczytywał go jak otwartą książkę – targwały nim sprzeczne uczucia. Podczas ostatniej ekspedycji poza mury doszło do

jakiegoś dziwnego spotkania. Miało to związek ze Stworami Nocy. Zdarzyło się coś, co kazało chłopakowi zwątpić w swoją misję. John odczuwał to bardzo wyraźnie. We właściwym czasie powinien z nim o tym porozmawiać. Wagant był kamieniem węgielnym budowli, którą John właśnie projektował.

Zazdrościł obu chłopakom zwinności i wytrzymałości. O ile chroniły go nieznanne moce, to ciało Johna było stare.

W świecie sprzed Zagłady byłoby inaczej – wtedy pięćdziesiąt lat uważano za wiek średni. Ale w świecie, jaki pozostawiła po sobie katastrofa, niewielu dożywało tych lat, a już mało kto w zdrowiu.

Wchodzili od ponad pół godziny ciemnymi schodami, kiedy Wagant postawił pochodnię na podłodze i kluczem zawieszonym na szyi otworzył masywne pancerne drzwi.

Gest, którym zaprosił Johna i Rządcę do środka, był gestem pana domu.

Penthouse był prawdziwym cudem. Nawet po dwudziestu latach zapuszczenia widoczne było jego bogactwo i fakt, że nikt nie potraktował tego miejsca jako kopalni materiałów. Wystrój zdawał się nienaruszony. Miało się złudzenie, że wystarczy zaświecić światła, żeby cofnąć się w czasie, do chwil sprzed katastrofy, która pogrążyła ludzkość w chaosie.

John skierował się ku oszkleniu, które stanowiło cały jeden bok olbrzymiego penthouse'u.

Na zewnątrz nie padał śnieg. Taki krótki czas uspokojenia, którego przeznaczeniem było lada chwila się skończyć.

To był dla niego idealny moment.

Łagodne, rozproszone światło słońca zachodzącego za całunem chmur pozwalało dostrzec szczegóły widoku: inne wieżowce po obu stronach Miasta, ciemną połąć dachów na peryferiach, nad którymi górowały drapacze chmur.

Jakkolwiek jego zmodyfikowany wzrok postrzegał mgliście szczegóły, obraz całości był jasny.

Dał znak pozostałym dwóm, żeby do niego podeszli. Poprosił ich, żeby nazwali miejsca, które znają.

– Miasto Innych – odrzekł Rządca, wskazując drapacz chmur po lewej stronie.

– Miasto Zapomnianych Błędów – rzucił Wagant, który wskazał budynek po prawej stronie.

– Tam, dziesięć godzin drogi stąd, są wysokie Budynki. Wyższe od tych. To stamtąd pochodzi nasza Matka Miłosierdzia. Ale stąd ich nie widać.

Ulice przykrywała gęsta mgła, która sięgała trzeciego piętra budynków. Z niższych domów ledwo widoczne były jedynie dachy, i to nieliczne. Co było najniżej, Bóg jedyny raczył wiedzieć. Wiele mediolańskich domów było już tylko wielkimi nagrobkami pokrytymi śniegiem.

– Muszę wiedzieć, gdzie jest centrum miasta – powiedział John tonem tak oschłym i konkretnym, że Rządca aż się wzdrygnął. Można by pomyśleć, że powiedział to ktoś zupełnie inny.

– Przecież centrum Miasta jest tu. Pod naszymi stopami.

John Daniels pokręcił głową.

– Nie mówię o waszym Mieście. Mówię o tym, które tu kiedyś było. Które stąd widać. Miasto, do którego należą te przedmieścia.

Rządca wyglądał na szczerze zdumionego. Rozłożył ręce z miną kogoś, kto nie zrozumiał pytania.

– W porządku – wtrącił się Wagant. – Już wiem, o co ci chodzi. Te budynki i domy, które widzisz, kiedyś należały do miejsca zwanego Mediolanem.

– Wiesz, gdzie jesteśmy w stosunku do centrum tego miejsca?

– Nie rozumiem pytania.

– Szukam centrum Mediolanu. Takiego czegoś z kamienia i z żelaza, z dwiema wielkimi arkadami. Kiedyś mówiono na to dworzec centralny.

– Nie znam. Może chodzi ci o Żelazne Wrota?

– Opisz mi je.

Wagant spojrział w pustkę za oknem. Żadnego światła, żadnego śladu ruchu. John pomyślał, że podobnie czuliby się w stacji kosmicznej na jednym z księżyców Jowisza. Nieliczne budynki, które wciąż stały wokół nich, były martwe i zimne jak skały w próżni kosmicznej.

– Żelazne Wrota są wysokie na trzech wojowników. Zamykają olbrzymi budynek, w którym żyje bardzo potężne miasto.

– I są tam wielkie arkady, tak jak mówiłem?

– O ile wiem, budynek za Żelaznymi Wrotami jest prostokątny. Nigdy nie słyszałem o arkadach.

– Trzeba ci wiedzieć, że nikt z nas nie był w środku – dodał Rządca.

– Pokaż mi, gdzie jest. Kierunek – poprosił John Waganta.

Chłopak wskazał bez wahania punkt na horyzoncie.

– Budynek, którego szukam, można rozpoznać po starych posągach, które przed nim stoją. A spod dwóch arkad wychodzą tory. To takie żelazne równoległe szyny. Coś jak drogi z żelaza – dodał John, kiedy zdał sobie sprawę, że słowo „tory” nie mówi nic żadnemu z nich.

Obaj pokiwali głowami.

– Posągi są. Ale nigdy nie widziałem tych torów, o których mówisz – skonkludował Wagant.

John Daniels znów odwrócił się ku ogromnej przeszklonej ścianie.

Nie powiedział ani słowa, gdy ostatni promień słońca gasł we mgle, a ciemność – absolutna ciemność – zaczęła wypełniać horyzont.

Długo tak milczał.

Potem, nie odwracając się, wymówił trzy słowa: – Zostaw nas samych.

I nic więcej. A jednak Wagant zrozumiał, że obcy, ten dziwny ślepy ksiądz, który widzi bez oczu, chce porozmawiać tylko z nim.

Z równą jasnością Rządca zrozumiał, że wyprasza się go z pomieszczenia. Już miał zaprotestować, ale Wagant uprzedził go, zwracając się do księdza: – Jeśli z tobą rozmawiam, powiesz mi, po co

przybyłeś do Miasta?

– Tak.

– Odpowiesz na wszystkie moje pytania?

– Tak.

Wagant chwilę wazył swoją decyzję.

Wreszcie powiedział do drugiego: – Zostaw nas samych.

Rządca poczuł się dziwnie. Wobec wszystkich innych, w innej sytuacji, zaprotestowałby. Ale czuł, że między obcym a Wagantem nie ma dla niego miejsca. Że należy zostawić ich samych. Jakby w jakiejś części jego mózgu dręczyły go bez końca te trzy słowa: „zostaw ich samych, zostaw ich samych, zostaw ich samych...”.

Jak hipnotyczna mantra, której nie można się oprzeć.

Z otwartymi ustami, trzymając się ścian, by się nie potknąć, Rządca wyszedł z penthouse'u i zamknął za sobą ciężkie pancerne drzwi.

Na schodach, ze zgaszoną świecą, żeby oszczędzać воск, po raz pierwszy usłyszał hałasy. Wiatr gwizdał gdzieś przez niedomknięte okno, zawodząc upiornie. Budynek pracował pod naporem wichury, trzeszcząc przy tym niczym kości szkieletu.

Don skulił się w swojej watowanej kurtce, zamykając oczy. Jeżeli ktoś lub coś miało go zabrać, to nie chciał o tym wiedzieć do samego końca.

9 | Oczy Mordoru

- Zgaszę świecę – powiedział cicho Wagant.
- Zgaś – odrzekł John. – Dla mnie bez różnicy. Mogę usiąść?
- Nie na tej kanapie. Usiądź na tamtej.

Wagant poślinił palec wskazujący oraz kciuk i zgasił świecę. Dlatego nie zobaczył uśmiechu, jaki pojawił się na ustach księdza.

– To tam trzymasz swoją osobistą bibliotekę? – spytał John, kiedy zrobiło się ciemno.

Wagant wzdrygnął się.

- Nie wiem, o czym mówisz.
- Są w kanapie. Choć nie rozumiem dlaczego. Przecież tu nikt nie przychodzi. Żaden przyjaciel, żadna dziewczyna.
- Nic o mnie nie wiesz.
- Możliwe. Widzę, że oprócz komiksów czytasz książki historyczne.
- Twoje sztuczki nie przerażają mnie.
- Nie chcę cię przerazić. Chcę z tobą porozmawiać. Jesteś na to gotowy?

- Myślisz, że boję się z tobą rozmawiać?
- Ciągłe mówisz o strachu, przerażeniu. Czym ja cię mogę przestraszyć? Stary poraniony ślepiec...

Wagant usiadł na kanapie naprzeciwko księdza.

– Posłuchaj mnie dobrze. Ja nie wiem, jakie masz zdolności i skąd je wzięłeś. Magia nie robi na mnie wrażenia. Tam, na zewnątrz, widziałem

rzeczy niewiarygodne. Niemożliwe. Widziałem stworzenie o wiele dziwniejsze od ciebie. I ciągle tu jestem. I powiem ci jeszcze jedno. Odkąd jesteś wśród nas, twoje życie wisi na włosku, a jest nim sposób, w jaki się zachowujesz. Nie lekceważ Rządcy. Wystarczy jedno jego słowo, nawet gest, i twoje życie się skończy.

– I to ty położysz mu kres?

Wagant wzruszył ramionami. Ten gest stał się najbardziej powszechny w świecie, który przeżył katastrofę.

– Ja albo ktoś inny. Dla ciebie bez różnicy. Jednego możesz być pewny: jak to się stanie, nie będziesz mógł wrócić. Nie widziałeś nigdy Ofiarowania.

– Za to ty – tak. Opowiedz. Jestem ciekaw.

Chłopak zaśmiał się kpiąco. Pochylił głowę.

– Ciało kroi się na kawałki w wannie albo na foliowej płachcie, żeby nie zmarnować ani kropli krwi. Te kawałki kroi się na jeszcze drobniejsze, coraz mniejsze. Mięsa używa się do karmienia zwierząt. Szczurów, robaków. Robaki są ważne.

Kości są mielone na paszę. Zachowujemy jedynie czaszki. Już oczyszczone przez robaki. Mamy ich pełny pokój.

Wagant mówił jak automat, głosem, który brzmiał wręcz niczym obcy. Jakby czytał jakiś spis. Kiedy podniósł głowę, jego głos się zmienił. Był niższy, bardziej emocjonalny.

– To Mama nauczyła nas Ofiarowania. Na początku było inaczej. Nie mieliśmy zwierząt ani roślin do uprawy.

Ofiarowanie...

John wyczytał w jego umyśle to, co nie chciało mu przejść przez gardło.

Tak, na początku Ofiarowanie było czymś zdecydowanie innym.

John to zobaczył, tak jak zobaczył wiele innych rzeczy we wspomnieniach chłopaka.

Poczuł litość i podziw zarazem dla drobnej dziewczyny, która wzięła na

siebie odpowiedzialność za to osamotnione przedszkole, za dzieci powierzone jej opiece i za te starsze, które trafiły tam jak rozbitkowie w kilka dni po katastrofie.

Szkoła podstawowa znajdująca się w kompleksie budynków obok przedszkola zawaliła się. Przeżyła garstka. Same dzieci.

Żaden z nauczycieli nie pozostał przy życiu. Dzieci nie były w stanie trafić do domu, wiele z nich pozostawało w katatonii wskutek szoku, krążyły po ulicach niczym zombie i nieuchronnie trafiły pod drzwi jedynego budynku, który się ostał na ulicy. Kiedy w oba lotniska miasta trafiły bomby, osiemdziesiąt procent mediolańskiej zabudowy runęło w efekcie fali uderzeniowej. Niewiele mniejszy odsetek mieszkańców zginął tego dnia i w kolejnych tygodniach, kiedy z nieba zaczął padać brudny śnieg niosący niewidzialną śmierć. Przedszkole ocalało przypuszczalnie dzięki nowoczesnej konstrukcji.

A może, co jeszcze bardziej prawdopodobne, przez czysty przypadek.

Francesca Vitali w dniu Wielkiej Zagłady miała dwadzieścia dwa lata. Była nauczycielem pomocniczym. Zajmowała się kilkorgiem trudnych dzieci. Pozostałe cztery przedszkolanki odeszły pierwszego dnia z zamiarem powrotu do domu, żeby zająć się rodzinami. Słuch o nich zaginął.

Opieka nad trzydziestką dzieci nawet w normalnych warunkach byłaby wyzwaniem ponad wszelkie siły.

A w chaosie, jaki zapanował w tych dniach, była po prostu czymś absurdalnym.

Już pierwszego dnia skończyło się w przedszkolu jedzenie. Choć nie mogli tego wiedzieć, to tak samo było w całej reszcie miasta. Zapasy żywności były ograniczone, często pogrzebane pod stosami gruzu supermarketów. Sklepy, które się ostały, opróżnili szabrownicy.

Drugiego dnia przestała też kapać z kurków woda. Dwójka dzieci zmarła, plując krwią. Te, które włączyły się najdłużej po ulicach, w deszczu

śmierci. Trzeciego dnia, zamiast długo wyczekiwanej pomocy, zjawilo się pięciu mężczyzn uzbrojonych w noże i kije.

Zza niewidzących oczu mózg ojca Daniela absorbował z pamięci Waganta i Rządcy, zwiniętego w embrion na ciemnych schodach, historię dziewczyny, która uratowała Miasto.

Piątka mężczyzn zniewoliła przedszkole. I Franceskę.

Gwałcili ją po kolei. Robili to na wszystkie sposoby. Ledwo przeżyła. Ale nawet w bólu i upokorzeniu jej myśli biegły do dzieci. Zwłaszcza do najsłabszych.

Nikt nie mógł spodziewać się takiego okrucieństwa. Kiedyś dorośli byli źródłem bezpieczeństwa, pomocy.

Tych pięciu to byli silni faceci. Nie jedli od trzech dni.

Wieczorem czwartego dnia z jadalni unosił się zapach pieczonego mięsa.

I piątego.

I szóstego.

I każdego dnia powtarzał się gwałt na dziewczynie, związanej na podłodze, zmuszonej do leżenia w brudzie po tych mężczyznach, którzy ją lizali i gryźli z wargami ociekającymi tłuszczem.

Siódmego dnia, kiedy ocalałe dzieci były już bliskie głodowej śmierci, bo żadne nie chciało jeść resztek mięsa i kości rzuconych na podłogę jak dla sfory psów, jeden ze złych mężczyzn wrócił do przedszkola ze skrzynką pełną butelek whisky.

Tego wieczoru pięciu bydlaków spiło się do nieprzytomności, rzygając alkoholem i ludzkim mięsem. Ich szef zasnął między udami Franceski.

Popelnili bład.

Jeden jedyny.

Wybrali na kolację nie to dziecko, co trzeba.

Wagant od kilku dni medytował nad tym, jak uciec z tego miejsca. W przeciwieństwie do innych dzieci nie pogodził się z losem. W wieku

dziesięciu lat był najstarszy w grupie, i najwyższy. Ale kiedy wybierali go ze spizarni – jak w duchu nazywał pokój, w którym ich zamknęli – pochylił się, żeby wyglądać na mniejszego i bardziej otumanionego.

Nikommu nie przyszłoby do głowy, żeby przeszukać dziecko. A już w szczególności dziecko nieszkodliwe, półżywe z głodu.

Mężczyzna, który po niego przyszedł, zalatywał alkoholem. Trzymał chłopca na plecach, niosąc go jak jagnię na rzeź.

Wagant, który wtedy nie nosił jeszcze tego imienia, wyjął ukradkiem z kieszeni scyzoryk.

Odebrał go kiedyś w szkole starszemu chłopakowi, łobuzowi, który mu uprzykrzał życie.

To było jego trofeum, jego duma.

Otworzył nóż i bez chwili wahania wbił ostrze w udo niosącego go do kuchni mężczyzny. Ten zaklął i padł na kolana.

Zanim zwałił się zupełnie na ziemię, Wagant wpakował mu ostrze noża w oko. To był udany cios.

Poważnie osłabiony chłopiec miał szczęście, bo kucharz tej bandy stał do niego odwrócony plecami. Zdobyłym właśnie kijem bejsbolowym Wagant wymierzył mu straszny cios w skroń. A kiedy ten leżał już na ziemi, uderzył jeszcze raz, i jeszcze raz, aż zrobił mu z głowy papkę, i ciało przestało drgać jak od elektrowstrząsów.

Czy Wagant myślał o tym, co robi, kiedy to robił?

Nie. Zrobił to, i tyle.

Dwóch kolejnych znalazł w pokoju obok.

Scena zupełnie groteskowa. Obaj siedzieli na małych dziecięcych krzeselkach z głowami na ławce. Zalani w trupa.

Podnosząc kij, Wagant pomyślał o ograch z Mordoru.

Plugawe stworzenia, kanibale.

Nie ludzie.

Głowy oparte na ławce wyglądały, jakby leżały na pniu w oczekiwaniu

na topór.

Pierwszy bandyta nawet nie zauważył, jak przeszedł ze snu do śmierci. Drugi zdążył jedynie otworzyć oczy i złapać skoncentrowane spojrzenie chłopca, zanim opadł kij, i wszystko przykryła ciemność pełna czerwonego bólu.

Został ostatni. Wagant wiedział, gdzie go znaleźć.

Z jednej strony zmęczony, z drugiej rozgorączkowany tymi czterema zabójstwami, szedł cicho w stronę pokoju, z którego dochodziły jęki i rżenia.

Uchylił drzwi.

Szef bandziorów leżał na nauczycielce. Ze spodniami opuszczonymi do połowy ud. Poruszał się w górę i w dół. Choć chłopiec nie mógł tego wiedzieć, wypity w nadmiarze alkohol uniemożliwiał erekcję.

Wagant podszedł drobnymi krokami, uważając, by zrobić to bezszelestnie.

Zdradziło go zachowanie Franceski.

Otworzyła zapuchnięte od bicia oczy i zobaczyła chłopca z uniesionym zakrwawionym kijem bejsbolowym. Jej ciało zareagowało instynktownie, co nie uszło uwagi leżącego na niej oprycha.

Wagant zobaczył, jak bydlę się odwraca i spogląda na niego z grymasem dzikiego rozbawienia.

Innego pewnie by to sparaliżowało.

Ale Wagant wyprowadził cios z boku i trafił bydlaka centralnie w twarz, tak że typ poleciał na ścianę. Uderzył jeszcze parę razy, dopóki tamten nie znieruchomiał.

Mógł go zabić, ale nie zrobił tego.

Miał co do niego inne plany.

Ponieważ nie wiedział nic o węzłach i nie miał ani kawałka sznura, żeby go związać, zrobił jedną inteligentną rzecz: kijem bejsbolowym połamał bandycie najpierw ręce, a potem nogi na wysokości kolan. Jeżeli

kanibal budził się na chwilę, to tylko po to, by natychmiast znów stracić przytomność.

Kiedy skończył, chłopczyk, który kiedyś miał się nazywać Wagant, pochylił się nad nauczycielką. Rozpłakał się, widząc, w jakim jest stanie. Rozpłakał i zaczerwienił, bo dziewczyna była naga, a między nogami miała krew i brud. Płakał, a jego łzy spływały po oślinionym policzku dziewczyny, sprawiając, że przyszła do siebie.

Francesca Vitali otworzyła zapuchnięte oko na tyle, na ile mogła. Zobaczyła pochylonego nad sobą chłopca i zrobiła coś, co rozradowało Wagantowi serce.

Uśmiechnęła się.

Nie powiedziała nic. Była zbyt zmalretowana, by mówić. Potem przechyliła głowę i zobaczyła, co chłopiec zrobił z hersztem oprawców. Pokiwała aprobowczo głową. Z jej spuchniętych porozrywanych ust z trudem spłynęły te słowa: – Zabij pozostałych.

– Już to zrobiłem – odpowiedział Wagant.

– Są jakieś inne żywe dzieci?

– Tak.

– To dobrze – wyszeptała.

I zemdląca.

Obudziła się na prowizorycznym legowisku zrobionym z trzech zestawionych łóżeczek, w których dzieci odpoczywały po południu w przedszkolu. Wagant czuwał przy niej.

– Ile czasu spałam? – zapytała.

– Dwa dni.

– Dwa dni... – powtórzyła Francesca na pół przytomna. – Co się stało?

– Uwolniłem pozostałe dzieci.

– Mają się dobrze?

– Tak.

I dodał: – A nawet pojedliśmy.

Podniósł z podłogi talerz. Było na nim kilka kości, obgryzionych do czysta.

Francesca podniosła obolałą rękę do twarzy. Nadgarstki miała pokiereszowane od sznura, którym była związana przez wiele dni. Na policzku miała bandaż. Na złamanym nosie-plastry.

– Zdezynfekowałem panią – powiedział chłopiec. – Chciałem panią umyć, ale nie mamy wody. A środek dezynfekujący akurat był.

Właśnie, to ten zapach czułam, pomyślała Francesca. I zmartwiła się nagle.

– Z Claudią wszystko dobrze? I z Giacomem?

Przez te dwa dni chłopczyk, którego kiedyś nazwą Wagantem, nauczył się imion wszystkich dzieci.

Pokręcił głową.

– Nie ma ich już.

– Co znaczy: „Nie ma ich już”?

– Ich pierwszych wzięły te bydlaki.

Francesca nie musiała już o więcej pytać. Kiedy ją gwałcili, chwalili się tym, co jedli. To logiczne, że Claudia i Giacomo, wymagający największej opieki, zostali zabici na samym początku. Byli tak bezbronni.

Jak baranki.

– Pomóż mi wstać – powiedziała do Waganta.

– Jest pani jeszcze zbyt słaba. Musisz pani jeść.

– Zjem później.

Owinięta w pościel z Kubusiem Puchatkiem, wsparta na ramieniu chłopca, który ją uratował, Francesca z trudem wstała na nogi i utykając, przeszła ciemnym korytarzem prowadzącym do sali, w której dzieci trzymały swojego więźnia.

Było zimno. Zimno jak w lodówce. Przez rozbite okna wpadało mroźne powietrze.

Pięć ciał leżało na podłodze jedno obok drugiego, nagie i sine, o niemal

błękitnej skórze.

Środkowe zwłoki nagle wydały z siebie jakieś rżenie. Z wszystkich pięciu ciał to było najbardziej zmalretowane.

Zostało opatrzone, ale nie żeby je wyleczyć, tylko żeby było trwalsze.

– Przyjmij tę ofiarę, Mamo – wyszeptał Wagant, nie wiedząc, że tymi słowami tworzył właśnie za jednym zamachem religię i władzę Miasta. W jego dłoni wielofunkcyjny scyzoryk wydawał się prawdziwą bronią.

Francesca wzięła nóż. Wydawał się jej ciężki jak z ołowiu. Zrobiła jeden krok w kierunku herszta bandziorów. Pochyliła się nad nim.

Scyzoryk wypadł jej z ręki.

Mężczyzna nie miał już oczu. W ich miejscu zionęły pustką dwa kraterzy oblepione krwią. Dwie rany przyżegane ogniem.

Całe ciało nosiło ślady nacięć, było obdarte ze skóry. Kolorowe pinezki powbijano w całą twarz, a na czaszce tworzyły ozdobne meandry. Głowa mężczyzna została użyta jako plansza okrutnej mozaiki.

Bydlę nie miało już rąk ani stóp.

Z ud i ramion zostały wycięte długie i cienkie pasy mięsa.

Wzrok Franceski powędrował ku czerwonemu podbrzuszu mężczyzny.

To, co zobaczyła, omal nie przyprawiło jej o omdlenie.

– Nie rób tego więcej – rozkazała Wagantowi, kiedy byli znowu sami.

– Nie zrobiłem tego sam. I zrobiliśmy to dla ciebie.

– Nie musisz więcej tego robić. Jesteś dzieckiem.

– Już nie – odparował z dumą.

Francesca popatrzyła mu prosto w oczy.

Były zimne jak stal. Jak diament, szlachetny kamień, którego nic nie może zadrapać.

– Sama się nim zajmę – rzekła.

Chłopiec pokręcił głową.

– To już załatwione.

Tych pięciu to było pierwsze Ofiarowanie.

Dzieci nigdy nie zadawały pytań o pochodzenie mięsa, które jadły. Były przyzwyczajone do hamburgerów. Pewnie nie powstała im nawet myśl, że te soczyste klopsiki były z mięsa jakiegoś zwierzęcia.

Kiedy Francesca wydobrzała, zaczęła organizować wyprawy do sąsiednich domów, coraz to poszerzając zasięg poszukiwań. Nie natknęli się nigdy na ocalałych ludzi. Ten rejon miasta był niegdyś przebudowywany na Expo, było tu więcej placów budowy niż zamieszkałych domów.

Plac zabaw przy przedszkolu był spalony. Z drzew zostały same zwęglone kikuty, jak zużyte wykałaczki. Wszystkie urządzenia do zabawy były niesprawne. W małym domku, niegdyś kolorowym, leżał trup psa, zbyt zepsuty, żeby mógł się przydać. Wszystko pokrywał nalot tłustego popiołu.

Francesca nie była w ciemię bita. Od razu zrozumiała, co się stało. Przy użyciu cerat z jadalni przygotowała kombinezony do wychodzenia na zewnątrz. Foliowe worki zakładane były na buty, a po wyprawie pozostawiane na zewnątrz.

Najważniejszą rzeczą była woda.

Znaleźli ją w domu z wyważonymi drzwiami. Ten, kto go złupił, nie uznał wody za rzecz ważną. Były trzy opakowania po sześć butelek. Francesca, Wagant i pozostali dwaj chłopcy z ekspedycji podzielili ciężar między siebie. Przy odpowiednim racjonowaniu miało im to wystarczyć na dwa dni.

Delikatna, poraniona dziewczyna, na którą wszyscy mówili Mama, zrozumiała, że woda jest pierwszym problemem do rozwiązania.

Tylko pierwszym.

Ale w nowym świecie, do którego zostali rzućeni, do problemów należało podchodzić właśnie w taki sposób.

Jeden na raz.

To Wagant znalazł budynek, który miał się stać Miastem, kiedy ich

zapasy spadły do zera.

Znajdował się niewiele przecnic od przedszkola. Był imponujący, iglica z lustrzanego szkła pomiędzy dwoma innymi drapaczami chmur. Był nowiusieńki. Nikt jeszcze nigdy w nim nie mieszkał. Inauguracja miała nastąpić czterdzieści osiem godzin po tym, jak nastąpił koniec świata.

Drzwi wejściowe były zamknięte, ale znaleźli sposób na to, żeby dostać się do środka od podziemi.

Parking zrobił na nich wrażenie. Olbrzymi, trzykondygnacyjny. Aut było mało. Samochody stróżów i personelu, który wykonywał prace wykończeniowe: elektryków, malarzy. Poza tym – gigantyczna pusta przestrzeń, w której każdy dźwięk brzmiał wielokrotnie głośniej. A przede wszystkim był prąd.

Podobnie jak dwa bliźniacze budynki obok, tak i ten zbudowano według kryteriów ekologicznych. Pompy ciepła wykorzystywały podziemne warstwy wodonośne do pracy urządzeń grzewczych i klimatyzacji. Izolacja cieplna była praktycznie idealna. Były zapasy wody mineralnej, choć niewystarczające na dłuższą metę. Na szczęście, jakkolwiek doskonale zbudowany, obiekt miał kilka wad. Przecieki wody w podziemiach, które w normalnych warunkach zostałyby usunięte przez firmę budowlaną, okazały się błogosławieństwem. Tak jak szczury, które pojawiły się później.

I grzyby.

John Daniels miał wiele współczucia dla mężczyzny, który przed nim siedział. Który, choć wyrósł w świecie przemocy, pozostawał w rzeczywistości dzieckiem, zmuszonym do wzięcia na siebie zbyt wielkiej odpowiedzialności.

W oczach Waganta były łzy.

John widział je w ciemności jak wstęgi stopionego srebra.

Wagant pociągnął nosem.

– Nie było łatwo. Szczególnie na początku.

– Wiem – wyszeptał Daniels.

– Nie zawsze można wybrać między dobrem i złem. Czasami musieliśmy wybierać między złem i jeszcze większym złem.

Milczeli przez chwilę.

Potem głos Johna Danielsa wyłonił się z cienia, jasny i bliski, jakby mówił w samej głowie Waganta: – Nauczyłeś się czegoś ze swoich książek?

Chłopak skrzywił się z goryczą.

– Masz na myśli coś pożytecznego? Nie. Niczego. Ludzie z tamtych czasów nie wiedzieli nic o tym, jak stawić czoło czemuś takiemu.

– A nie pomyślałeś, że może jednak tak nie jest? Może po prostu rzecz w tym, że nie trafiłeś jeszcze na właściwe książki?

Wagant pokręcił głową.

– Sądzę, że w książkach z tamtych czasów nic dla nas nie ma. Książki, które by nam się do czegoś przydały, trzeba by napisać teraz. Ale nikt już nie pisze. Nie ma już książek.

Z ciemności dobiegło westchnienie. Ale w tym mroku zabrzmiało jak syk węża.

W szyby uderzyła fala gradu. Wagant się wzdrygnął. Ale zaraz odzyskał kontrolę. Jego głos zabrzmiał zdecydowanie i pewnie: – Powiedz mi, czego od nas chcesz, księżu. Czego chcesz od Miasta.

– Przyszedłem, żeby was zwerbować.

– Zwerbować? Do czego? Przecież nie jesteśmy żołnierzami.

– Do najważniejszej misji, jaką tylko możesz sobie wyobrazić. Do krucjaty.

– Coś takiego!

– Wiesz, co to krucjata?

– Pewnie, że wiem. Paru dostojników wiodących stado obszarpańców do Palestyny. Walczą z Arabami i zdobywają różne takie jak na przykład Grób Święty czy Jerozolima. Siedzą tam jakiś czas, dopóki nie zostaną

wypędzeni.

– Więc czytasz nie tylko komiksy.

– No jasne. Czyli chcesz nas wciągnąć w coś takiego? W krucjatę? Idziemy do Palestyny?

John wyczytał w umyśle młodego mężczyzny, że „Palestyna” i „Jerozolima” są dla niego jedynie nazwami. Wagant nie był nawet w stanie znaleźć ich na mapie.

– Nie. Nie idziemy tak daleko. Cel krucjaty znajduje się tu, w mieście.

John wstał. Podszedł do okna. Oczy Waganta przyzwyczyły się już do ciemności. Może ponad otulającą ziemię kołdrą z chmur była teraz pełnia księżyca? A może ludzkość przyzwyczała się do nowego świata ciemności? Pośród cieni kładących się w dole pod nimi – obaj to wiedzieli – istniało jakieś życie, wykrzywione, niezrozumiałe. Koszmarne stwory nękały ulice starego świata, deptając kości niezliczonych umarłych. Wśród rzeczy, które Wagant wyczytał podczas swojego chaotycznego odkrywania przeszłości, była jedna, która uderzyła go bardziej niż inne: w świecie przed atomową apokalipsą żyło siedem miliardów ludzi.

Liczba niewyobrażalna.

Popatrzył na stojącego przy oknie starca – tak o nim myślał – z mieszaniną podziwu i strachu. Niezwykły człowiek, który żył kiedyś w świecie zaludnionym przez siedem miliardów ludzi. Latających w powietrzu, mogących rozmawiać z drugim końcem planety. Ludzi, którzy dotarli aż na Księżyc.

John Daniels uśmiechnął się, wyłapując tę myśl.

– A ja uważam, że dużo bardziej niezwykłą osobą jesteś ty, który żyjesz w świecie takim jak ten.

Wagant wzdrygnął się jak ugodzony pięścią. Wbił wzrok w plecy księdza.

– Nie czytaj mi w myślach.

– Nic na to nie poradzę. Ale jeśli chcesz, mogę nauczyć cię sztuczek,

które sprawia, że nikt nie będzie ci czytał w myślach.

Wagant zrobił podejrzliwą minę.

– Nikt? Nawet ty?

– Nawet ja.

– A niby dlaczego miałbyś mnie uczyć czegoś takiego?

John westchnął.

– Bo cię potrzebuję. Muszę cię mieć u swego boku podczas krucjaty.

– A ty znów z tą krucjatą. A niby z kim mamy walczyć?

Z muzułmanami? Z potworami?

– Z Synami Gniewu.

Waganta zamurowało.

– Oszalałeś – wykrztusił.

– Dlaczego?

– Nikt nie może walczyć z Synami Gniewu.

– Ja walczyłem.

Chłopak skwitował śmiechem tę niedorzeczność.

– O mało cię nie zabili.

– Tak, ale nie widziałeś, jak oni wyglądali...

Wagant nie zrozumiał.

– To tylko takie zawadiackie powiedzenie – uściślił Daniels. – Jakby ktoś chciał powiedzieć: „za to ja uderzyłem go twarzą w nogę”.

Wyraz twarzy Waganta zionął teraz zupełną pustką.

– Nieważne – westchnął ksiądz. – Powiedz, co sądzisz o moim planie.

– Jakim planie?

John odwrócił się.

Przez chwilę Wagant miał wizję jakiejś przeźroczystej postaci nałożonej na ciemną sylwetkę księdza, jakby od ciała Daniela odrywała się lekko dusza młodej kobiety, bardzo pięknej, o ile Wagant mógł to zauważyć w tak krótkim czasie trwania zjawiska, bo w mniej niż sekundę.

– O planie, który ci zaraz przedstawię. Posłuchaj mnie uważnie...

10 | Danina

Kiedy obaj wyszli, Rządca wydało się, że ich głowy błyszczą w ciemnościach. Pomyślał, że to tylko psikus jego umysłu. Albo oczu, które zbyt długo pozostawały w mroku. Był przemarznięty. Z trudem się podniósł. Trzeszczały mu kości. *Brak ruchu*, pomyślał.

John Daniels mógłby mu powiedzieć, że nie w tym rzecz. Już przy pierwszym spotkaniu odczytał z ciała chłopaka oznaki nieuleczalnej choroby. Rządca miał przed sobą nie więcej niż rok życia. I miał to być rok pełen cierpienia.

John zrobił, co tylko mógł, żeby opóźnić ten proces. Musnął swym umysłem parę nerwów tak, żeby nie przewodziły bólu. Przestroił funkcje kilku zespołów komórkowych. Spowolnił wzrost innych.

Więcej zrobić nie mógł. Mnich nie pozostawił mu złudzeń co do zakresu jego nowych zdolności.

Będiesz w pewnym sensie mechanikiem. Będiesz mógł uregulować mechanizm najlepiej jak się da, ale nigdy nie będziesz w stanie zupełnie go naprawić. Albo zrozumieć, jak działa. Będziesz musiał się tym zadowolić.

Ale i tak był to dla niego niesłychany dar.

Z początku opierał się. Był przecież tylko istotą ludzką. Jak mógł choćby pomyśleć, żeby czynić cuda?

Mnich uśmiechał się z tej wątpliwości.

To nie są „cuda”. To tylko głębszy poziom świadomości. W ludziach drzemie ukryty olbrzymi potencjał, są w nich niebываłe dary pod pokładami

niepamięci, niczym klejnoty w głębokiej jaskini. Nie ma nic magicznego czy nadprzyrodzonego w tym, czego cię nauczę. Poznasz jedynie sztukę odnajdywania zdolności, które rodzaj ludzki posiada, ale o nich zapomniął. Ewolucja, credo w końcu przyjęte przez twój gatunek, jest czymś dziwnym: rozwinięcie jakiejś rzeczy oznacza zawsze rezygnację z jakiejś innej, poświęcenie innych możliwości. To tak jakby istoty ludzkie dysponowały tysiącami elementów konstrukcyjnych, ale wykorzystywały jedną dziesiątą z nich do budowania swoich zdolności. A skąd wiadomo, że inne elementy nie dałyby lepszych rezultatów? Ja tylko nauczę cię, gdzie szukać tych alternatywnych elementów, dam ci klucz do skrzynki, w której są schowane.

I to właśnie zrobił.

Wiele rzeczy, które w oczach innych wydałyby się magią lub cudem, było w rzeczywistości talentami zapomnianymi przez rodzaj ludzki.

John pamiętał jeszcze swoje zdumienie, kiedy spostrzegł, że Stwory Nocy nie mają oczu, a jednak zachowują się, jakby widziały. Takie samo zdumienie okazywali teraz inni wobec jego zdolności widzenia pomimo ślepoty. W jego świadomości, świadomości człowieka przemienionego, Stwory Nocy nie wydawały się już monstrami i dziwadłami, a jedynie swobodnymi wariacjami na temat rasy ludzkiej.

W podróży John często rozmyślał o chrześcijańskim pojęciu ciała wywyższonego: ciała umocnionego, stającego się wręcz zdolnym do cudów. Było to pojęcie bliskie Kościołowi, lecz John zawsze je ignorował na rzecz spraw banalniejszych, ale też bardziej powszechnych. A teraz ta idea, idea ciała wywyższonego, siłą torowała sobie drogę w jego umyśle i domagała się uwzględnienia.

Johnowi było żal Rządcy, chłopaka, który musiał dojrzeć zbyt szybko, który potrafił utrzymać w ryzach całą wspólnotę, jednak za olbrzymią cenę poświęcenia siebie samego. Nie zaznał przyjemności. Nie cieszył się też szacunkiem swoich podwładnych. Jego decyzje często wzbudzały niechęć.

Zadanie, jakie na siebie wziął, nie było proste. Ale on wykonał je najlepiej, jak potrafił. A teraz umierał. Kiedy już oddał całego siebie swoim ludziom, miał umrzeć, nie pozostawiając po sobie potomstwa, nie zaznawszy nawet miłości. *Tak jak ja*, pomyślał John.

Co mogę dla ciebie zrobić? Jak mogę cię wynagrodzić za to, co zrobiłeś, a tym bardziej za ból, który ci sprawię?

W końcu znalazł dla niego dar.

Tak jak znajdujemy czasami coś głęboko w kieszeni: drobną monetę lub suszony owoc.

Umieścił w mózgu Dona wizję. Miała mu się ukazać w ostatniej chwili życia, towarzysząc mu w drodze do tego, co John wyobrażał sobie jako raj. A jeśli nie było żadnych zaświatów, to pozostanie mu właśnie ten dar: złudzenie, tylko złudzenie, które jednak sprawi, że poczuje się lepiej, które da mu poczucie odpuszczenia grzechów i podpowie, że wszystko, co zrobił, było słuszne, było piękne, było wspaniałe.

Miał umrzeć szczęśliwy.

To wszystko, co mógł mu ofiarować.

Pogodną śmierć.

A to, co miało przyjść później, *aeterna Christi munera*, wieczne dary Chrystusa, leżało już w gestii Boga, nie jego. Tak wielkie cuda były poza jego zasięgiem.

Rządca ucieszył się na widok Waganta i Danielsa.

Uśmiechnął się. W tej chwili nie liczyło się już, że zostawili go za drzwiami, na chłodzie i w ciemnościach.

– Dziękuję, że na nas zaczekałeś – odezwał się John.

– Dowiedziałeś się, czego od nas chce? – spytał cicho Rządca z niepokojem w głosie.

– Tak – odrzekł Wagan.

Po czym bez słowa zapalił swoją świecę i zaczął schodzić po schodach.

Dopiero później, w biurze Rządcy, opowiedział mu to, co usłyszał od

Danielsa.

Chłopak słuchał go osłupiały w zupełnej ciszy.

– To niemożliwe – wykrztusił w końcu. – To straszne.

– Musimy to zrobić.

– Ale dlaczego? To będzie koniec Miasta...

Wagant pokręcił głową. Sprawiał wrażenie konia, który nie był jeszcze gotowy, by przystać na lejce.

– Są rzeczy większe od Miasta. Ważniejsze. To tak jak kiedyś wezwanie pod broń. Nie mogłeś nie pójść. Zostawiałeś rodzinę i pracę, i wszystko. Szedłeś i koniec. To jest jak wojna.

– To nie nasza wojna!

– Przykro mi, ale się mylisz. Widziałem pewne rzeczy. Daniels mi je pokazał. To się stanie, jeśli mu nie pomożemy.

– Co może być straszniejszego niż koniec Miasta? – spytał zdesperowany Rządca.

I dostał od Waganta odpowiedź.

W swoim pokoju John Daniels pakował plecak. Był on lżejszy niż wtedy, kiedy ksiądz tutaj przybył. Dawniej wracało się z podróży z walizką cięższą niż przed wyjazdem. Dzisiaj było inaczej. Nowy świat pozbawiał cię wszystkiego. Rozbierał do kości. Zabierał ci marzenia i nadzieje, a w zamian pozostawiał niewiele: haust powietrza, trochę jedzenia, spotkanie z innymi zagubionymi duszami.

John od razu się zorientował, że zza zasłony wiszącej w wejściu do jego pokoju obserwuje go jakieś dziecko. Poczul to jako niewrogą obecność, pełną ciekawości i starania, by nie narobić hałasu.

– Możesz wejść – powiedział cicho.

Chłopiec wzdrygnął się zaskoczony.

– Masz na imię Michele, prawda?

Malec skinął głową, nieświadomy, że ślepiec nie mógł tego zobaczyć.

– Tak, ale wszyscy mówią na mnie Mika.

Miał bardzo ciemne oczy. Niewiele tylko jaśniejsze od włosów. John pomyślał, że w jego żyłach musi płynąć arabska lub maghrebska krew.

– Już cię gdzieś widziałem – powiedział.

Chłopiec nieśmiało potwierdził.

– Byłeś wśród tych, którzy mnie uratowali. Tymi dziwnymi psychowstrząsami...

Czarne oczy wyszły z orbit. Nie zrozumiał.

– Kiedy zrobiliście ten krąg – wyjaśnił John.

Chłopiec uśmiechnął się.

– A ta dziewczynka podobna do ciebie to twoja siostra? – spytał ksiądz.

– Tak.

– Jak ma na imię?

– Albachiara.

John uśmiechnął się.

– Jesteś z tych, co to słowa trzeba z nich wyciągać wołami, co?

Chłopiec przyglądał mu się długo z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Potem spytał: – Jak się nazywa ta pani, co jest z tobą?

John spojrzał na niego.

– To tyją widzisz?

– Czasami. Ale nie za dobrze. Była z tobą, kiedy robiliśmy krąg?

– Tak sądzę.

– No właśnie. Więc nie myliłem się. Nie widziałem jej dobrze. Teraz widać ją lepiej.

– Jest tutaj? W tej chwili?

– Tak. Jest blisko ciebie. Uśmiecha się.

– Nazywa się Alessia.

– To twoja przyjaciółka?

– Tak. Poznałem ją w Wenecji.

– I przyszła za tobą aż tutaj?

– Na to wygląda. Powiedziałeś o niej komuś?

Chłopiec pokręcił głową.

– Czy ona jest jak duch? – zapytał po chwili.

– Nie. W rzeczywistości to dużo bardziej skomplikowane. Ja sam nie rozumiem, kim ona jest-westchnął. – I nie mogę jej zobaczyć, odkąd jestem ślepy. Widzę inne rzeczy, ale jej nie. Słyszę tylko jej głos. Tu, w głowie.

– Dziwny jesteś.

– Tak. Nawet nie wiesz jak bardzo.

– Czy ta pani jest dobra?

John zastanowił się chwilę.

– Chyba można powiedzieć, że nie jest ani dobra, ani zła. Jak my wszyscy.

– To dlatego jej się nie boję. Duchy w historiach straszą. A ona nie.

Chwilę milczeli.

– Kiedy Matteo spytał cię o Jezusa...

John Daniels spojrział uważnie na chłopca, czekając, aż dokończy zdanie.

–... powiedziałeś, że Jezus ma plan dla wszystkich, i że może przez Stan Zagrożenia...

John uśmiechnął się.

– Bóg zmiata bezużyteczne plany i bierze na warsztat plan pierwotny...

– Tak. Właśnie tak powiedziałeś. Ale ja nie zrozumiałem.

– To trudne do wyjaśnienia. Łatwiej to poczuć.

– Myślisz, że ja kiedyś też będę mógł czuć tak jak ty? Możesz mnie tego nauczyć?

John pokręcił głową.

– Nie opłaca ci się. Ja zapłaciłem za to oczami.

– Jak to się stało?

– Pewnego dnia ci opowiem.

– Pewnego dnia? To znaczy, że zostajesz z nami?

– Nie. To znaczy, że wy idziecie ze mną.

Rządca był wściekły. Trzasnął pięścią w blat swojego biurka.

– Nie spodziewałem się, że dasz się wciągnąć temu szaleńcowi.

– Nikomu nie daję się wciągnąć. Mówię ci tylko, dlaczego uważam, że powinniśmy go posłuchać.

– Jesteśmy bezpieczni tutaj.

– Nikt nie jest bezpieczny raz na zawsze. Nawet kiedyś nie było się bezpiecznym. Jak myślisz, że jesteś bezpieczny, to znaczy, że już nie jesteś.

– Bzdura.

– Plan tego człowieka jest dobry.

– Ten plan jest szalony.

Wagant ściszył głos.

– Myślisz, że gdyby Miasto wiedziało o twoim układzie z Synami Gniewu, uznałoby ten wybór za mniej szalony?

Rządca przyjął cios.

– Tylko ja i ty wiemy o tym układzie. I ja nikomu nie powiem.

Wagant roześmiał się.

– Rozumiem, że dla ciebie Niedźwiedź i Malutki się nie liczą. Myślisz, że nie zastanawiają się nigdy, dla kogo są te paczki, które wynoszą każdego piątku z Miasta?

Rządca nie był głupi. Nie obawiał się Niedźwiedzia i tego drugiego – powierzchowność wojownika sąsiadowała u nich z mózgiem mikroba. Wraz z Vaskiem, który już nie żył, ci dwaj opóźnieni byli ulubieńcami Mamy, i tylko to uratowało ich od Ofiarowania w czasach, gdy Miasto balansowało na krawędzi upadku. Przydawali się do najgorszych robót. Nie zadawali sobie nigdy pytań, bo przecież ciekawość wymaga jakiejś minimalnej liczby szarych komórek. Byli idealni również do tego, co Rządca nazywał „brudną robotą”. Nie mówili, bo zwyczajnie nie pamiętali tego, co robili godzinę wcześniej.

Tym, którego Rządca się obawiał, był Wagant.

Człowiek najbardziej mu potrzebny był dla niego jednocześnie

najbardziej niebezpieczny. Wiedziało rzeczach, które wyjawione mogły położyć kres jego rządowi i pogrążyć Miasto w chaosie.

– Przecież wiesz, że musiałem pójść na ten układ – wymamrotał, zły na siebie o ten przyciszony, niemal beczący głos, którym wypowiedział te słowa.

– A ty wiesz, że ja miałem inne zdanie. I muszę sprostować. Jest jeszcze jedna osoba, która o tym wie. Ojciec Daniels.

– To niemożliwe.

– Wiele rzeczy wydaje się niemożliwymi, a jednak ten człowiek je robi. Rządca przygryzł dolną wargę. Wagant tego nienawidził. Chętnie by go sprął, wykrzyczał mu w twarz, że nie jest już dzieckiem.

Ale on był Rządcą. Jego funkcji należał się szacunek. Wszystkich, bez wyjątku.

Wagant nie mógł jednak powstrzymać się od szczerości wobec niego.

– Dobrze wiesz, że ten układ nie może długo się utrzymać. Ludzie zastanawiają się, jak to jest, że produkcja żywności nigdy tak dobrze nie szła, a racje zostały obcięte już trzy razy w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Wśród zwiadowców zaczyna krążyć pogłoska, że ktoś odkłada część produkcji spożywczej jako swoje prywatne zapasy...

– Jak śmia?

– Słuchają burczenia swoich pustych żołądków.

Rządca był teraz jak mysz zapędzona do kąta. Zaciśnięte na dolnej wardze zęby upuściły z niej kroplę krwi.

– Spróbuję... mogę spróbować pogadać z Synami Gniewu... Powiedzieć, że to przejściowy problem. Myślę, że zgodzą się na zmniejszenie daniny przez kilka tygodni...

– Już kiedyś próbowałeś. Pamiętasz?

Rządcę przeszedł dreszcz. Jasne, że pamiętał.

To on prowadził pierwszą ekspedycję z tygodniową daniną.

Spotkali się z Synami Gniewu w umówionym miejscu, na starym

skrzyżowaniu smaganym wiatrem. Na słupach po sygnalizacji świetlnej wisały gołe manekiny. Na wietrze i w śniegu tańczyły ponury taniec, makabryczny Totentanz.

Skrzypienie i trzeszczenie manekinów stanowiło posępny podkład tego spotkania.

Opancerzony pojazd Synów Gniewu zajmował triumfalnie sam środek skrzyżowania. Z rury wydechowej wydostawał się ciemny, śmierdzący dym.

Ludzie z Miasta ustawili się przed światłami pojazdu, jak nakazano im wcześniej.

Szef bandytów wychylił się z kabiny i zeskoczył na drogę.

Był mały, o oczach fretki, z których patrzyło mu fałszywie miłe spojrzenie. Ubrany na czarno od stóp do głów.

Emanował poczuciem swobodnej pewności siebie.

Zdjął maskę, żeby lepiej widzieć. Końcem szpicruty podniósł plandekę na skrzynkach. Westchnął z rozczarowaniem i pokręcił głową.

– Nie, nie, nie, nie. To nie tak. Tu nie ma nawet połowy tego, co nam jesteście winni. Domyślam się, że to dlatego raczyłeś się fatygować tu osobiście.

Rządca skłonił z pokorą głowę.

– Właśnie. Przyszedłem...

Tamten przerwał mu gestem.

– Teraz ja mówię. Niech zgadnę. Przyszedłeś, żeby nam powiedzieć, że macie problemy i że nie możecie utrzymać wyznaczonej kwoty dostawy. Przyszedłeś osobiście prosić o rabat. A może o odroczenie.

– Myśleliśmy rzeczywiście o drobnym przedłużeniu terminu...

– Powiedziałem ci już, że teraz ja mówię.

– Przepraszam.

– Nie szkodzi. Jesteśmy kulturalnymi ludźmi.

Odwrócił się do swoich ludzi. Rozłożył ramiona i lekko się skłonił,

stając na palcach, jak baletnica. Potem znów odwrócił się do wysłańców Miasta.

Na jego ustach nadal gościł uśmiech. Ale teraz był jakiś inny. Małe oczka patrzyły twardo. Kłuky spojrzeniem jak szpilki.

Zrobił trzy kroki do przodu. Wyciągnął rękę i położył ją najpierw na ramieniu Niedźwiedzia, później Malutkiego i Vasca. Potem przyszła kolej na Waganta. Palce bandyty badały wartość umięśnienia.

Wagant pozostał niewzruszony.

Syn Gniewu długo patrzył mu w oczy. Potem zwolnił uścisk i stanął przed Vaskiem.

Błękitne oczy opóźnionego w rozwoju chłopaczyska spojrzały na niego przyjaźnie.

– Ile mięsa jesteś nam winien tym razem, chłopcze? – zapytał bandzior, nie patrząc na Rządcę. Jego łapa w rękawiczce testowała mięśnie torsu i brzuch Vasca.

– Trzy... Trzydzieści kilo-wyjąkał Rządca.

– Trzy... Trzydzieści kilo. Świetnie. A ty ile ważysz?

– Nie wiem – odparł Vasco.

– Tak na oko, rzekłbym jakieś osiemdziesiąt kilo. Więc zróbmy tak: wisicie nam trzydzieści kilo, i płacicie pięćdziesiąt mandatu. Znaczy, że zabieramy tego zwierzaka i jesteśmy kwita..

Rządca zapomniał języka w gębie, ale był Wagant.

– Nie możecie go zabrać.

– Chyba możemy. Właśnie to robimy.

– Dajcie nam trochę czasu. Dostaniecie to, czego chcecie.

Tamten się uśmiechnął.

Ludzi z Miasta przeszedł dreszcz.

Zęby mężczyzny były tak spiłowane, że wyglądały jak zęby rekina.

– Potrzeba nam czasu – wybełkotał Rządca.

– Domyślam się. Więc zróbmy tak. Daję wam dwadzieścia cztery

godziny na doniesienie mięsa i innych brakujących rzeczy. Wtedy odbierzecie sobie z powrotem przyjaciela. Jeżeli się nie zjawicie, zatrzymamy sobie ten kawał wołowiny, i póki co będziemy kwita. A, zapomniałbym: wasza kwota mięsa na przyszły tydzień została właśnie zwiększona o dwadzieścia pięć procent. Wasze szczury to prawdziwy smakołyk. Przykro mi, że nie będziecie mogli jeść ich więcej. Ale wasza wspaniałomyślność służy dobrej sprawie.

Nie pozostawiając czasu na odpowiedź, herszt bandy odwrócił się od ludzi Miasta i pociągnął za sobą Vasca jak wołu na powrozie.

Długo się o to kłócili. Wagant wrzeszczał, walił pięściami w mur, groził. Ale Rządca pozostał niewzruszony. Nie mogli pozbawić się kolejnej partii żywności.

– Więc pozwolimy im zjeść Vasca?

– Nie jest powiedziane, że... że to zrobią – zaproponował słabo Don.

– NIE JEST POWIEDZIANE, ŻE TO ZROBIĄ? – Wagant spojrzał na niego z pogardą. – Najwyższy czas wyrównać rachunki z tymi bandytami. Skończyć z tym raz na zawsze. Nigdy nie będziemy tak silni jak teraz. Tamci skazą nas na głód. Niedługo nie będziemy w stanie się ruszać. A co dopiero walczyć.

– To, co proponujesz, nie wchodzi w grę – uciął krótko Rządca. – Nie mamy tyle siły, żeby zwyciężyć z Synami Gniewu.

– Może i tak. Ale przynajmniej umrzemy, walcząc.

– Co za bzdura. Mówisz jak idiota. Ja odpowiadam za was wszystkich. Nie mogę narażać Miasta. Pomyślałeś o dzieciach?

– Dzieci umrą z głodu, jeżeli nadal będziemy karmić te bestie.

– Nieprawda! Wiesz, że projekt zwiększenia produkcji rolnej jest już w dobrym punkcie. Potrzeba nam tylko trochę szczęścia w ekspedycjach i dojdziemy do siebie.

– Więc nie chcesz uratować Vasca.

– Nie mogę!

Rządca pochylił głowę, a Wagant kręcił swoją. Zawiedziony i wściekły.

– Vasco jest jednym z moich ludzi. Nie mogę mu pozwolić umrzeć w ten sposób.

– Bierz swoich ludzi i idź znaleźć jakąś żywność, jeżeli chcesz się na coś przydać.

– Sam ich poprowadź na zewnątrz, jak chcesz!

Wagant wyszedł z furią w oczach, trzaskając drzwiami tak mocno, aż mury zadrżały.

Następnego dnia, w porze wyznaczonej na spotkanie z Synami Gniewu, Wagant leżał na dachu jednego ze zniszczonych budynków w pobliżu skrzyżowania. Patrzył przez lunetę strzelby myśliwskiej, celując w głowy manekinów zawieszonych na słupach sygnalizacji. Jego gniew był zimny jak lód. Śnieg pokrywał białą plandekę, w którą owinął się, żeby pozostać niewidocznym.

Zmierzchało. Wiatr świszczął, przypadkiem lub za sprawą magii naśladując ludzki płacz. Wagant wystawiony był na setki niebezpieczeństw, mogły na nim spocząć setki wrogich spojrzeń, ale on widział tylko skrzyżowanie i upiorną kolekcję wiszących na słupach manekinów, które tańczyły wolno w porywach wiatru.

Poprzedzony basowym warkotem przypominającym warczenie tygrysa, pancerny pojazd bandytów wyłonił się wolno z wirującej zawiei. Jego cztery reflektory wyglądały jak jakieś monstrualne oczy.

Wagant wycelował w jedną z lamp. Po chwili uniósł lekko celownik, szukając miejsca kierowcy.

Pancerna maszyna zatrzymała się na środku skrzyżowania, z włączonym silnikiem.

Po niespełna minucie drzwi pasażera się otworzyły.

Szef bandytów, ten sam, który zabrał Vasca, wyskoczył na ulicę. Rozglądał się nerwowo dookoła z dużą ostrożnością.

Jakby to miało coś zmienić, Wagant uśmiechnął się, kadrując

w celowniku głowę bandyty. Była wąska, wydłużona jak u dobermana. Maską przeciwwgazową zwisała z jednej strony. Plastikowy kaptur poncza zarzucony był na ramiona.

Mężczyzna musiał mieć z pięćdziesiąt lat. Ale jego ruchy były płynne, niemal hipnotyczne.

Wagant zarejestrował siłę bocznego wiatru. I skorygował cel lekko w lewo. Ucho bandyty było nabite trzema pierścieniami z czarnego metalu.

Syn Gniewu stanął pośrodku skrzyżowania; oparł ręce na biodrach i przyjął prawdziwie zawadiacką postawę.

Odwrócił głowę od lewej do prawej strony, zanim wydał z siebie odgłos, który zmroził krew w żyłach Waganta.

Bandzior beczał jak przestraszona owca. Potem przecesał wzrokiem ciemność przed sobą, jakby wiedział, że ktoś go obserwuje pod osłoną nocy. Wyjął coś z kieszeni kurtki i rzucił z pogardą w śnieg. Obliznął usta niczym pies.

Wagant wycelował w czoło sukinsyna.

Strzelaj, pomyślał, przyglądając się szyderstwu na wyszczerzonym pysku kanibala. *Strzelaj i skończ z tym. Olej konsekwencje.*

Palec wskazujący zaczął z wolna naciskać na spust.

Ale bandzior zniknął, i Wagant nie miał pojęcia, jak to się stało.

Chwilę wcześniej miał go na muszce, a teraz już go nie było.

Pojazd opancerzony wycofał się jednym szarpnięciem w śnieżną zawieruchę. Światła reflektorów przygasały, w miarę jak się oddalał.

Właściwy moment minął.

Wagant zaczął płakać, z czołem w śniegu.

Zszedł na dół dopiero po dwóch godzinach, w kompletną ciemność. Wbrew swojemu instynktowi myśliwego, który nakazywał mu zachować ostrożność, Wagant uznał, że jest zmęczony ciągłym ukrywaniem się. Poszedł wprost na środek skrzyżowania, przywołując w pamięci miejsce, w którym upadł przedmiot wyrzucony przez oprycha.

Schylił się i wyciągnął rękę.

Podniósł z ziemi coś różowego, jakby z plastiku.

Zbliżył do oczu.

To było ludzkie ucho.

Wspominając ten dzień, Wagant czuł w sobie jednocześnie frustrację i instynkt zabójcy.

Próbował się opanować. Wsunął dłonie do kieszeni, zamiast zacisnąć je na szyi Rządcy.

Jakaś jego część doznała radości, kiedy zobaczył trupioblada twarz tego palanta na wieść o tym, że ojciec Daniels wie wszystko o jego układzie z Synami Gniewu.

– Jak to odkrył? – wybełkotał Don, rozglądając się nerwowo wokół siebie, jakby się bał, że ksiądz zmaterializuje się w ciemności.

Wagant roześmiał się.

– Zastanawiasz się, skąd to wie ktoś, kto potrafi widzieć bez oczu?

Tamtemu opadła szczęka.

– Chcesz powiedzieć, że wyczytał nam to z myśli?

– Ujmijmy to tak: nikt mu o tym nie powiedział, a jednak on wie. Sam to sobie zinterpretuj.

– Wiedziałem. Musimy go zabić.

– Nie!

To słowo wyrwało się z ust Waganta z siłą i intonacją rozkazu.

Szef zwiadowców wyjął z kieszeni prawą dłoń. Trzymał w niej automatyczny pistolet. Odłożył go na biurko.

Rządca spojrzał na niego pytająco.

W oczach Waganta były nieprzejednanie i groźba.

– Wiem, że wśród cech, jakie powinien mieć Rządca, są takie, których ja nigdy nie będę miał. Na przykład dyplomacja.

Umiejętność planowania. I choć trudno mi to przyznać, zdolność pohamowania instynktu i wybierania trudniejszej drogi, jeżeli jest to

w interesie Miasta. Nie, nie przerywaj. Daj mi skończyć. Chcę ci powiedzieć, że uznaję twoje zasługi i zdaję sobie sprawę z tego, że nigdy nie będę mógł zająć twojego miejsca. Miasto cię potrzebuje. Tylko że w tej chwili potrzeba jakiegoś ewolucyjnego skoku. Świetnie się sprawdziłeś, zajmując miejsce Mamy...

– Nikt nie może zająć miejsca Mamy.

– Powiedziałem, żebyś dał mi skończyć. Wiesz, że nie jestem dobry w gadaniu. Świetnie się sprawdziłeś, naprawdę.

Dzięki tobie Miasto prosperowało. Wiele razy uratowałeś nas od niebezpieczeństw. Ale teraz mamy przed sobą przeszkodę, której nie sposób zignorować. Wroga, który może nas zniszczyć. Nie możemy go omijać. Musimy stawić mu czoło. Ojciec Daniels pokazuje nam drogę, którą musimy podążać. I ja myślę, że to jest właściwa droga.

– Co to za droga? Walka? Ty masz pojęcie, ilu ich jest? Masz jakiegokolwiek pojęcie o tym, jacy potężni są Synowie Gniewu?

Wagant uśmiechnął się.

– Nikt go nie ma. Daliśmy się zastraszyć tymi paroma obrazkami. W porządku, mają coś w rodzaju pojazdu opancerzonego. I co z tego? Mamy pewność, że to nie jest ich jedyny? I ilu ich jest? Jaką mają broń?

– Nie wiemy, w tym właśnie rzecz – skomentował pogardliwie Rządca, krzyżując ramiona i opadając na oparcie swojego fotela. Starego dyrektorskiego fotela ze skóry, tak połatanego, że nie było już na nim jednego gładkiego miejsca.

– John Daniels wie – rzucił Wagant. Rządca o mało nie przewrócił się razem z fotelem.

– Co masz na myśli?

– John Daniels wie, ilu ich jest. Gdzie jest ich schron. Ile mają broni...

– Gówno prawda!

– ...a przede wszystkim wie, gdzie my możemy znaleźć dobrą broń.

Rządca nigdy nie przeklinał. Ale na te słowa plunął stekiem obelg.

– Ty pojebie! Naprawdę łyknąłeś te cyrkowe sztuczki pierdolonego obłąkanego klechy? Dobra broń! Od dwudziestu lat jej szukamy i jeszcze nie znaleźliśmy!

– Może nie szukaliście we właściwym miejscu – odezwał się jakiś głos z ciemnego kąta pokoju.

– Jak... jak tu wszedłeś, księżu? – wybełkotał zaszokowany Rządca. John Daniels wyłonił się z ciemności.

– Mogę cię tego nauczyć, jeśli chcesz.

– Nie interesuje mnie to!

– A mnie tak... – uśmiechał się żywo zainteresowany Wagant.

– Więc cię nauczę. Ale teraz porozmawiajmy o broni.

Kapłan podszedł szybkim, pewnym krokiem do biurka Rządcy na środku pokoju.

– Ty i Wagant mówiliście o Żelaznych Wrotach i o mieście, które za nimi żyje. Tam właśnie jest broń. Potężna, nawet sobie nie wyobrażacie jak bardzo. Z tą bronią i z siłami, które przyłączą się do naszej krucjaty, zdobędziemy twierdzę Synów Gniewu.

– Niemożliwe.

– Miałem wizję. A moje wizje nigdy mnie nie zwiodły.

Wagant uderzył otwartą dłońią w blat biurka.

– Nie możemy dłużej czekać! Wizja to lepsze niż nic, jeśli może nas poprowadzić drogą ocalenia!

– Raczej drogą śmierci. Ilu mamy wojowników zdolnych do walki?

Rządca pożałował tych słów, gdy tylko je wypowiedział. Spojrzał z ukosa na księdza, nie mając pewności, czy się przypadkiem nie zagalopował.

– Dwudziestu – odpowiedział Wagant bez wahania.

Rządca pokręcił głową.

– Dwudziestu... – powtórzył.

– Nie będziemy sami – odezwał się John Daniels.

– Co powiedziałeś?

– Powiedziałem, że nie będziemy sami. Ktoś nam pomoże.

– Ktoś tam z góry, jak sądzę. Daruj sobie te historyjki dla dzieci.

John uśmiechnął się.

– Dobrze to ująłeś. Ktoś z góry. Chodźmy. Chcę wam go przedstawić.

11 | Mnich

Czekali w ciemnościach ponad godzinę, z maskami na twarzach, w najcieplejszych kombinezonach, jakie znaleźli. John w zasadzie nie potrzebował maski, ale włożył ją, by dwaj pozostali nie czuli się nieswojo. Prawdę mówiąc, było wiele rzeczy, których już nie potrzebował po spotkaniu z weneckim Patriarchą i z istotą, która uratowała mu życie w drodze powrotnej, a z którą właśnie miał się spotkać.

Skulony pod murem Rządca trząsał się nie tylko z zimna. Wychodzenie w nocy było dla Miasta niemal tabu. A już pozostawanie tam w ciemności, wystawianie się na trujący wiatr, było czymś szalonym, nienaturalnym. Za to po Wagancie i Danielsie nie było znać najmniejszego strachu. Stali wpatrzeni w ciemność. Przesłonięta lampka stojąca u ich stóp wyglądała w tych ciemnościach żałośnie.

– Wracajmy. Dość tego pajacowania – wykrztusił gderliwie Rządca, szcękając zębami.

– Poczekajmy jeszcze trochę – odpowiedział cicho Wagant.

Coś tam było. Czuł to. Akurat naprzeciwko niego, w ciemności. Coś, co przyprawiało go o dreszcz. Spojrzał na Johna Danielsa.

Oczy kapłana – dwie białe kule połyskujące niczym masa perłowa – wbite były w ciemność. Wtem kąciki ust zaczęły mu się układać w uśmiech, jakby właśnie zobaczył coś pięknego.

W ciemności, pośród marznącej zawieci, pojawiła się lekka poświata, która stopniowo rosła, aż z jej zielonkawego blasku zaczęły się wyłaniać

zarysy postaci: zakapturzonego mężczyzny ubranego w długi czarny habit. Szedł wolno, jakby każdy krok okupywał nadludzkim wysiłkiem. W prawej ręce trzymał laskę z lampionem przytwierdzonym do jej górnego końca.

Podszedł na odległość kroku do trzech mężczyzn i przystanął. Wbił laskę w ziemię i włożył ręce w rękawy habitu.

Wagant był przyzwyczajony do złej pogody. Ale nawet on się wzdrygnął na widok ubrania mnicha; było uszyte ze zgrzebnego płótna, przypuszczalnie ze starych worków. I tak połatanie, że wyglądało, jakby trzymało się tylko dzięki szwom.

Twarz nieznanego, ukryta w cieniu kaptura, była niewidoczna.

A jednak Wagant uchwycił uśmiech na niewidzialnym obliczu. Po chwili usłyszał w głowie jego głos.

Miło mi poznać. Dużo o tobie słyszałem.

– Ale co do cholery...

Świetnie szkolisz swoich ludzi. To cenna zdolność dla wojska. Cenna i rzadka.

- Nie zaciągałem się do twojego wojska.

To nie moje wojsko. Tylko wasze. Ja jestem jedynie... Jak by to powiedzieć? Konsultantem zewnętrznym, tak to się kiedyś mówiło...

I zwrócił się do Daniela. Tym razem słowa popłynęły z jego ust.

– Co za radość znów cię zobaczyć, Johnie. Gratulacje. Odwaliłeś kawał dobrej roboty.

– Nic jeszcze nie zrobiłem.

– Zrobiłeś pierwszy krok. Najważniejszy.

– Można wiedzieć, o czym rozmawiacie? – wtrącił się Rządca, którego głos, ku jego wielkiej frustracji, zabrzmiał piskliwie, jak u dziecka.

TY TEŻ JESTEŚ ŚWIETNYM NABYTKIEM.

Ten głos przeniknął do umysłu Rządcy i niemal go ogłuszył, jakby ktoś wrzasnął mu do ucha. Twarz wykrzywiła mu się z bólu.

– Wybacz – powiedział cicho Mnich. – Trochę mi się wyrwało.

Powiedziałem, że i ty jesteś świetnym nabytkiem. John naprawdę się spisał.

– Ja nie jestem niczym nabytkiem. Jestem przywódcą wolnej wspólnoty i zamierzam nim pozostać.

Zakapturzona postać pokręciła głową.

– Nie zawsze nasze zamierzenia dają się spełniać. Nie zawsze ich spełnienie jest wskazane. Znasz te słowa? Bo teraz widzimy jakby w zwierciadle, niejasno; wtedy zaś zobaczymy twarzą w twarz; teraz poznaję po części; wtedy zaś poznam tak, jak i zostałem poznany.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Gdy byłem dzieckiem, mówiłem jak dziecko, czułem jak dziecko, myślałem jak dziecko. Kiedy zaś stałem się mężem, wyzbyłem się tego, co dziecięce.

Słowa z listu apostoła Pawła do Koryntian zdumiały Johna Daniela. Nie mógł jakoś pogodzić chrześcijańskiej doktryny z istotą jakby rodem z buddyjskiego klasztoru na Marsie. Tak właśnie o nim pomyślał, kiedy spotkali się po raz pierwszy: *wygląda, jakby wyszedł z buddyjskiego klasztoru na Marsie*. Usłyszawszy w jego ustach słowa Świętego Pawła, ksiądz oniemiał.

– Dokonałeś wielkich rzeczy dla swoich ludzi. Ale teraz nadszedł czas, by pójść dalej. By dorosnąć.

– Powiedz raczej „zginąć”.

– Jeśli nasiono nie umrze, nie wyda owocu.

– Nie pozwolę, żeby ktokolwiek zrobił krzywdę Miastu!

Głowa pochyliła się. Kaptur zupełnie zakrywał widmową twarz.

– Jest tylko jedna osoba, która może zrobić krzywdę Miastu – powiedział Mnich. Jego prawa dłoń wolno wysunęła się z rękawa, a długi palec wskazujący wycelował w pierś Rządcy.

– Ty jesteś tą osobą. Nawet jeżeli masz najlepsze intencje, skazujesz swoich ludzi na śmierć.

Krótkie pojawienie się tej ręki zaparło dech w piersiach Waganta

i Rządcy. Nie Johna, który już ją kiedyś widział.

Była czarna, w kolorze asfaltu. Czarna i koścista, jak ręka mumii. Z bardzo długim, zaostrozonym paznokciem. Niczym pazur.

– Wasz schron nie jest już bezpieczny. Synowie Gniewu planują atak. Musicie działać natychmiast. Nie jutro: dzisiaj.

Nadszedł czas, żeby wziąć miasto Żelaznych Wrót. Teraz albo nigdy.

– Głupstwa. Dlaczego mieliby nas zaatakować? Dopóki my...

– Wiem o waszym układzie. Naprawdę sądzisz, że im to wystarczy? Że zadowolą się waszą daniną, skoro z łatwością mogliby was podbić i uczynić niewolnikami na zawsze? A sam co byś zrobił na ich miejscu?

– Dali mi słowo!

– Zmienili zdanie.

– Tego nie możesz wiedzieć!

– Ale wiem. Tak jest naprawdę.

– Wiesz, bo jesteś jednym z nich, starcze?

– Nie, nie jestem jednym z nich. I dlaczego nazywasz mnie starcem? Jestem o wiele młodszy od ciebie.

Mówiąc to Mnich podniósł ręce do twarzy. Długie palce zdjęły z głowy kaptur.

Mnich był Stworem Nocy. Wagant zorientował się natychmiast, widząc cztery palce u jego ręki. Brakowało kciuka. Ale nie w wyniku okaleczenia. Nie było żadnych widocznych blizn. Jego dłonie były po prostu tak zbudowane.

– Nie bój się mnie tylko dlatego, że mnie nie znasz. Czasem niebezpieczeństwo czai się w tym, co wydaje nam się znajome.

Głos stworzenia był niski, miękki. Aksamitny. Sprawiał, że wszystkim udzielało się jakieś uczucie szczęścia, które Rządca starał się w sobie zwalczyć ze wszystkich sił. Nie chciał dać się zahipnotyzować temu potworowi.

Chłopak, zafascynowany wbrew własnej woli, przyglądał się badawczo

dziwacznym rysom osobnika: to, co wydawało się gładkim obliczem, przy uważniejszym, bliższym oglądzie ukazywało cienkie, wąskie usta, dwoje nozdrzy i dwoje oczu, czarnych jak cała reszta tego ciała. Nie miał on ani uszu, ani włosów. Czaszka była w dobrych proporcjach, choć mała, a ogólny wygląd sprawiał wrażenie plastikowego manekina, z tych, co to napędzały od czasu do czasu stracha zwiadowcom podczas ekspedycji do ciemnych, zakurzonych sklepów. Kierowałeś lampę w jakiś kąt sklepu, i nagle wyrastały przed tobą te postaci o ludzkich kształtach i przerażającym wyglądzie, a gra świateł tworzyła zatrważające wrażenie ruchu.

Mnich mówił prawdę. Nie był wcale stary.

Najwyraźniej nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat.

Był jednym z tych dziwnych dzieci atomowej destrukcji, jednym z Potworów, które zastąpiły wszelkie poprzednie formy życia na ulicach miasta i, przypuszczalnie, na powierzchni całej planety.

– To, że wydaję ci się dziwny, nie znaczy, że jestem potworem. To, że mnie nie rozumiesz, nie znaczy, że jestem dziwny.

Rządca gwałtownie pokręcił głową, jak dziecko odmawiające posłuszeństwa.

– Czego od nas chcesz?

– Chcę, żebyście pomogli temu człowiekowi – odrzekł tamten, wskazując na Johna Danielsa. – Pomagając mu, wspomócie Miasto. Nie ma dla was nadziei, jeżeli nie pójdziecie tą drogą.

Nasunął z powrotem kaptur na głowę.

– John wszystko wam powiedział. Teraz sami musicie zdecydować. Zniszczenie Synów Gniewu jest w waszych rękach.

I to teraz, bo taka okazja już się nie powtórzy. Musicie z niej skorzystać, albo zginiecie. Nie nastąpi to dziś, nawet nie jutro czy pojutrze, ale wasz koniec jest pewny.

– Wojna Danielsa nie jest naszą wojną – zaprotestował Rządca. – Co

my mamy wspólnego z kłótniami jego Kościoła?

Mnich pokręcił głową.

– Pomagając Johnowi w odzyskaniu bomby, pomożecie sobie samym. Unicestwienie Synów Gniewu jest dla was koniecznością. Nie możecie tego odkładać.

Rządca już miał coś odparować, kiedy odezwał się Wagant.

– Załóżmy, że zechcemy was posłuchać. Jak mamy zaatakować Żelazne Wrota? Nie mamy przecież prawie nic. Broni jak na lekarstwo, a ludzi zdolnych do walki jeszcze mniej.

– Będziecie mieli wszystko, czego wam trzeba. Dostaniecie wskazówkę, gdzie szukać broni potrzebnej do pierwszego szturmu. A kiedy już zdobędziecie Żelazne Wrota, będziecie mieli wszystkiego pod dostatkiem: i ludzi, i broni.

Rządca skrzywił się.

– Wiedzieliśmy, że twój przyjaciel jest dobry w opowiadaniu bajek. Ale ty bijesz go na głowę. Szkoda tylko, że ja muszę myśleć o ocaleniu prawdziwych ludzi. Nie mogę posłuchać waszych bajan i wystawić ich wszystkich na niebezpieczeństwo.

Odwrócił się, żeby odejść.

Mnich nie zrobił nic, żeby go zatrzymać. Zwrócił się za to do Waganta.

– Ty masz takie samo zdanie?

Szef zwiadowców długo się zastanawiał. I pokręcił głową.

– Nie. Ja wierzę w to, co powiedział John.

– Ale w twoim głosie wciąż wyczuwam wahanie.

Usta Waganta ułożyły się w smutnym uśmiechu.

– Nie jest mi w smak stawać przeciwko Donowi. Znaczący... przeciwko Rządcy.

– Musisz wybrać między Rządcą i Miastem.

– To nie takie proste. Zastanawiam się też, ilu z nas zginie w tym ataku.

Tym razem odpowiedział mu John: – Nikt, o ile zrobicie, co wam

powiem.

Rządca odwrócił się gwałtownie, z furią w oczach.

– NIKT? Kpisz sobie ze mnie?

– Jest sposób, żeby wejść do miasta Żelaznych Wrót bez jednego wystrzału. I nigdy nie będzie już bardziej odpowiedniej chwili. Uwierz mi: teraz albo nigdy.

Chłopak wybuchnął śmiechem. Zjadliwym śmiechem.

– Ach tak? I jak niby zamierzasz tam wejść? Przefrunąć?

– Wręcz przeciwnie. Wiesz, co to metro?

– Masz mnie za głupca? Jasne, że wiem.

– Świetnie. To powiedz mi: byłeś tam już kiedyś?

Rządca zaczerwienił się.

– Oczywiście, że nie.

– Dlaczego?

– Bo byłem za mały.

Wagant uśmiechnął się.

Mnich wykonał w powietrzu gest dwoma palcami.

W myślach trzech ludzkich istot pojawił się plan metra. John rozpoznał go od razu, ale dwu młodszym wydał się jedynie abstrakcyjnym rysunkiem z grubych, kolorowych krzyżujących się linii. Czerwonych, zielonych, żółtych.

Długa czerwona linia zaczęła pulsować jak żyła.

Ta linia, zwana M1, miała długość dwudziestu siedmiu kilometrów. Łączyła północny wschód z zachodem miasta. Była najstarszą linią metra w Mediolanie – odezwał się w ich głowach mechaniczny głos, inny niż głos Mnicha. Prace rozpoczęto w 1957, a zakończono w 1964 roku. To, co dzisiaj nazywacie Żelaznymi Wrotami, było dawniej centrum handlowym. Nosilo nazwę Bonola. Akurat pod nim znajduje się stacja metra.

Głos zamilkł. Ale obraz pozostał.

– Możecie tam dojść pod ziemią, tak że nie zauważą was straże –

wyjaśnił osobnik w kapturze. – Stacja Bonola jest zaledwie o kilkaset metrów od centrum handlowego. Ale jest coś, czego nie wie nikt, nawet ci, którzy tam teraz mieszkają: w pierwotnych projektach centrum handlowe było skomunikowane bezpośrednio ze stacją metra. Wydrążono nawet tunel, ale później zaślepiono go po obu końcach.

– A skąd mamy wiedzieć, że tamto miasto nie odkryło już tunelu? – zauważył Wagant, przyglądając się mapie, która jakby wisiała w powietrzu między nim a pozostałą trójką.

– Nie odkryli go – powtórzył z naciskiem Mnich.

– Skąd wiesz?

– Będziesz musiał mi zaufać.

– Gdzie dokładnie kończy się tunel? – dociekał Wagant.

John i Rządca wyłączyli się z rozmowy.

– Na poziomie podziemnych parkingów centrum. W samym środku dzisiejszego miasta Żelaznych Wrót.

Wagant uśmiechał się.

– Czego mamy się spodziewać w środku? Ilu żołnierzy? Jak są uzbrojeni?

Odpowiedź Mnicha była jak zimny prysznic.

– Tego nie wiemy. Mogę ci powiedzieć jedynie, co tam było, kiedy centrum handlowe jeszcze działało.

W miejsce planu metra w myślach ludzkich istot pojawiła się teraz mapa.

Rządca otworzył usta, kiedy przeczytał napisy na kolorowych plamach mapy.

Był tam olbrzymi supermarket zajmujący niemal połowę centrum handlowego, a obok sklep dla majsterkowiczów: w praktyce kopalnia bardzo przydatnych materiałów i narzędzi. A dalej sklepy odzieżowe i obuwnicze, optyk, księgarnia, a nawet gabinet lekarski. W oczach Rządcy była to mapa krainy mlekiem i miodem płynącej.

Na mapie figurowały mityczne nazwy, łącznie z najbardziej mityczną ze wszystkich: McDonald's. Ileż to razy Mama opowiadała swoim dzieciom o tym fantastycznym miejscu, w którym podawano wyborne dania nazywane hamburgerami i frytkami! Donowi mimowolnie napłynęła ślina do ust.

– Nie rozpędzaj się z marzeniami – powiedział, uśmiechając się Mnich.
– To było dwadzieścia lat temu. Mogli już wszystko skosztować. No i na pewno nie znajdziesz hamburgerów...

– Ani broni – dodał krytycznym tonem Wagant. – Nie widzę zbrojowni ani sklepów sportowych.

– Broń jest. Z koszar policyjnych. Z tego, co wiemy, są też pojazdy pancerne. Przynajmniej dwa. Ale nasi informatorzy nie mają pewności.

Patrząc na mapę, Wagant gwizdnął przez zęby.

– Ej, popatrzcie tutaj...

Jego oczy wpatrywały się w dwa słowa z listy usług oferowanych przez centrum handlowe: STACJA BENZYNOWA.

To było lepsze od krainy mlekiem i miodem płynącej. To była kraina, w której płynęła benzyna.

– Musimy absolutnie zdobyć ten punkt – wykrzyknął, a oczy mu lśniły.

– Nie – zareagował Rządca.

To słowo, wypowiedziane po cichu, zmroziło Waganta bardziej niż śnieg smagający mu twarz w miejscach nieosłoniętych maską.

– Dlaczego nie?

– Nie wymienię naszego bezpieczeństwa na jakąś mrzonkę. Ani na rojenia jakiegoś potwora.

Śmiech Mnicha pojawił się jednocześnie w myślach wszystkich trzech istot ludzkich.

To, że wydają ci się dziwny, nie znaczy, że jestem potworem. To, że mnie nie rozumiesz, nie znaczy, że jestem dziwny, powtórzył niczym litanie.

Rządca przyjął te słowa pogardliwym, ucinającym rozmowę gestem

dłoni, jakby chciał powiedzieć: „skończmy już z tymi głupstwami”.

– To nie są rojenia – odezwał się Wagant.

– Wracajmy do Miasta. Nie mam nic więcej do powiedzenia temu potworowi. Chyba że... – Na twarzy zdeformowanej od wizjera maski pojawił się okrutny uśmiech. – Strzelaj, Wagant. Zabij go. To rozkaz.

Na chwilę wszystko zamarło. Jakby lodowaty wiatr wziął górę nad słabymi iskrami życia ich ciał.

– Powiedziałem: strzelaj. Zabij to monstrum. To twój zawód, tak czy nie?

Wagant poczuł nagły przypływ gniewu, który z trudem opanował.

– Moim obowiązkiem, a nie zawodem, jest chronić Miasto.

– To właśnie każe ci zrobić.

– Nie. To nie tak.

Rządca zaniemówił.

Popatrzył na Waganta, potem na Johna.

Spojrzał na Mnicha, na tę nedorzeczną postać rodem z jakiegoś koszmaru.

Ty masz inne koszmary, szepnął głos w jego mózgu.

– Przestań!

Twój lęk przed ciemnościami. Strach, że cię zjedzą.

– Powiedziałem: przestań!

Strach, że nie staniesz na wysokości zadania. Strach, że cię ocenią. Strach...

Rządca padł na kolana z rękoma na skroniach, jakby chciał wydusić z głowy głos, który go torturował.

Nie masz powodu do strachu. Potwory, te prawdziwe, nie żyją. Ogry z Mordoru. Wagant się nimi zaopiekował.

Wagant uratował was wszystkich, i znów was uratuje...

– Przestań, proszę – zapiszczał płacząco Don tym swoim głosem chłopca, który dojrzał zbyt szybko.

Jestem z ciebie dumna, odezwał się inny głos w jego myślach, głos boleśnie ukochany.

Don zamknął oczy.

– Zostaw mnie w spokoju. Zostaw mnie w spokoju... Dlaczego zostawiłaś mnie samego? Dlaczego mnie opuściłaś?

Nigdy cię nie opuściłam. Zawsze z tobą byłam. I będę z tobą do końca, mówił cicho głos.

Co mam zrobić. Mamo? Proszę cię, powiedz mi, co mam zrobić...

Ale głosy w jego głowie już zamilkły. Został tylko jego własny głos.

Otworzył oczy.

Wszyscy czekali na to, co powie.

– Nie mogę zezwolić na to szaleństwo – powiedział.

Wagant pokręcił głową.

– Zatem będę musiał przejąć dowództwo.

– To jest zdrada!

Dowódca zwiadowców uśmiechnął się smutno.

– Wszystkiego, co wiesz o zdradzie, nauczyłeś się z książek dla dzieci.

Czas dorosnąć, Don. Nie jesteśmy już na wyspie, której nie ma.

– Nie nazywaj mnie...

– Przestałeś wydawać mi rozkazy. Przykro mi, ale muszę cię usunąć ze stanowiska.

Co powiedziawszy, odwrócił się do przelozonego plecami i ruszył ku Miastu.

12 | Szturm na żelazne wrota

John Daniels był przypuszczalnie jedynym wśród obecnych na centralnym placu Miasta, który pamiętał filmy dokumentalne o drugiej wojnie światowej: stare czarno-białe dokumenty, na których żołnierze, od pokoleń już nieżyjący, lądowali na plażach nieprzyjaciela pod ostrzałem armat i broni maszynowej. Pamiętał wielką flotę u wybrzeży Francji przed lądowaniem w Normandii: setki statków i samolotów, dziesiątki tysięcy żołnierzy pod niebem z ołowiu. Dla wielu z nich ten dzień miał być chrztem bojowym.

Gdyby któryś z tych żołnierzy mógł zobaczyć armię z 2033 roku zbierającą się w podziemiach Miasta, szczerze by się uśmieł. Piętnaścioro dziewcząt i chłopców z zaspanymi oczami, z nieprzytomnymi minami kogoś, kto nie za bardzo wie, dlaczego zbudzono go nagle w samym środku nocy. Broni na wyposażeniu nie zbywało, a do tego była najprzeróżniejszej maści: od strzelb myśliwskich po pistolety sportowe. Amunicji było jeszcze mniej. Jediną sensowną rzeczą w ich ekwipunku były kombinezony, jakie mieli na sobie: był to też jedyny element standardowy. Przy swoim dziwnym zmyśle wzroku John nie mógł docenić techniki wykonania tych ubrań, tak jak na to zasługiwała. Kombinezony były dwustronne – białe z jednej strony, z drugiej w dziwne geometryczne wzory: romby w różnych odcieniach szarości, rozmiarach i ułożeniu. To był kolejny pomysł Isaaka. Chłopak znalazł gdzieś ten mimetyzujący wzór, który pozwalał na doskonałe maskowanie się na tle muru lub sterty gruzu.

– W tych kombinezonach jest się praktycznie niewidzialnym – powiedział z dumą Wagant do Daniela. – Był taki iluzjonista, którego wcielono do armii angielskiej podczas wojny. Znaczącej wojny światowej. Wykorzystując techniki maskowania, zdołał sprawić, że pewnego razu zniknął Kanał Sueski. Dzięki wykrojom z odpowiednich materiałów pancernik mógł się stać prawie niewidzialny.

– Poważnie?

– Tak mi powiedział Isaac.

Wagant ustawił oddział w szeregu na placu targowym, żeby Daniels i Mnich mogli dokonać przeglądu. Rządca zamknął się w swoim biurze. Po powrocie zabarykadował się w administracyjnym skrzydle Miasta wraz z pięcioma zwiadowcami wezwanymi, zanim jeszcze Wagant zdążył wydać im rozkazy. To było akurat pięciu najbardziej zaufanych, ich brak był dużym ciosem dla Waganta.

– Idę ich odbić – zaryczał.

Mnich pokręcił zakapturzoną głową.

– Jeśli nie ich, to przynajmniej broń – nie ustępował Wagant.

– Zostaw. Nie potrzebujemy ich.

Ustawione w szeregu dzieci przyglądały się oniemiałe dziwnej postaci, którą miały przed sobą. Już sam John Daniels był dziwny z tymi swoimi ślepych oczami, które nie przeszkadzały mu jednak poruszać się w sposób zupełnie pewny.

– A propos – powiedział Stwór Nocy – byłbym zapomniał. Mam coś dla ciebie. Prezent. – Odwrócił się do Daniela. – Już czas uwolnić cię od ciężaru, który na ciebie nałożyłem. Położył czarne dłonie na oczach kapłana.

Daniels poczuł przypływ ciepła i coś w rodzaju uderzenia ostrzem w powieki.

Przez czaszkę przetoczył mu się grzmot. John upadł do tyłu, jak rażony piorunem.

Kiedy usiadł, znów widział. Już nie rozmyte zarysy w otoczce kolorowej mgły, ale każdą rzecz taką, jaką była naprawdę, ze wszystkimi barwami i kształtami, z wyrazistością i głębią, jakich nigdy wcześniej nie doświadczył.

Mnich pochylił się nad nim. John Daniels wyciągnął ramiona i pozwolił, aby te czarne dłonie podźwignęły go jak piórko.

– Jakikolwiek grzech popełniłeś, twój Bóg ci go wybaczył. Jakikolwiek brud skaził twoje spojrzenie, oczyściłeś go własnym bólem. Starożytni sądzili, że kiedy orzeł się starzeje, jego skrzydła stają się ociężałe, a wzrok zaczyna mętnieć.

Wtedy orzeł wzbija się wysoko w niebo, aż parzy sobie skrzydła, żeby pozbyć się woalu mgły, który krępuje jego doskonałe widzenie. Kiedy już to zrobi, leci na Wschód, gdzie spostrzega fontannę z przejrzystą nieskażoną wodą; zanurza się w niej trzykrotnie i natychmiast odzyskuje siły. Skrzydła są jak nowe, a wzrok znów doskonały.

Głos Mnicha był jak balsam, który goi rany. Od tego głosu świat wdzierał się do oczu Johna Daniela jak tłum, który biegnie, deptając sobie po piętach.

Serce kapłana biło tak mocno, a uszy były tak pełne tych szaleńczych uderzeń, że wystraszył się, iż umrze. Ale po chwili rytm uspokoił się, a uczucie zawrotów głowy zaczęło mijać.

Wszyscy oniemieli na widok tego cudu.

Daniels odwrócił się w ich stronę.

Jego oczy były wolne od matowego bielma. A przy tym nie zniknęło to dziwne widzenie, które kiedyś zastąpiło normalny wzrok otrzymany od Boga przy urodzeniu. Widział normalnie, ale mógł też odbierać aurę istot ludzkich i inne rzeczy, których jeszcze nie potrafił nazwać, a czasem nawet nadać im sensu. Jakby nałożyły mu się różne poziomy percepcji, które mógł włączać i wyłączać do woli.

Potrząsnął głową. Minęło trochę czasu, zanim odzyskał mowę. Poczul,

że ogarnia go jakaś wielka energia. Jakaś siła, która nie pochodzi od niego samego.

– Jeżeli Bóg może zwrócić wzrok ślepemu, to czegoż nie zrobi dla tak silnych jak wy? – powiedział cicho, zmieszany tym, co czuje. – Popatrzył na młodych żołnierzy Miasta stojących przed nim w szeregu, oszołomionych cudem, który przed chwilą zobaczyli. Jego głos nabierał stopniowo siły, pewności. Czuł, jakby przemawiał przez niego ktoś inny. –

Niech Bóg tchnie siłę w twoje ramię – powiedział do pierwszego w szeregu, chłopaka z policzkami całymi w trądziku. Musnął mu głowę dwoma palcami, a młodzieniec uśmiechnął się. – Niech Bóg prowadzi twoje strzały do celu – powiedział do drugiego żołnierza, uzbrojonego jedynie w łuk. – Niech Bóg będzie przy tobie, gdy będziesz mierzyła do celu – rzekł do Danieli, trzeciej w szeregu. Dziewczyna wykrzywiła się, ale skłoniła głowę.

I tak, od żołnierza do żołnierza, aż do końca szeregu. Z ciemności sali wyłoniła się nagle jakaś mała sylwetka.

– Czego chcesz. Mika? – zapytał John łagodnie.

– Chcę iść z wami. Chcę walczyć!

– Nie gadaj głupstw – zbeształ go Wagant, próbując go klepnąć, ale chłopczyk zręcznie się uchylił.

– Zabierzcie mnie ze sobą! Umiem walczyć!

– Nieprawda.

– Nauczę się!

Wagant stanął przed nim z zagniewaną miną.

– Może i tak, ale nie tym razem. Kiedy wrócę, wezmę cię na misję. Słowo.

– Dlaczego nie weźmiesz mnie teraz?

– Bo jesteś za mały. Przestań się upierać, dzieciaku, bo zaraz poszybujesz na kopniaku.

Mika był upokorzony. Czerwony na twarzy, wyglądał, jakby zaraz miał

się rozpłakać.

– Leo ma tylko dwa lata więcej ode mnie – zaprotestował, pokazując palcem chłopczyka na końcu szeregu.

– Ja decyduję, kogo biorę ze sobą, a kto zostaje – uciął w końcu Wagant, odwracając się od niego.

Oczy Miki były pełne łez, które chłopczyk z trudem powstrzymywał.

John pochylił się nad nim.

Zamglonym spojrzeniem Mika dostrzegł również piękną dziewczynę, która się nad nim nachylała. Przełknął łzy.

– Nie nalegaj, Mika – powiedział cicho Daniels. – Niedługo nadejdzie i twoja kolej. Biblia mówi, że jest czas na wszystko. A twój czas na walkę przyjdzie i tak za wcześnie. Teraz masz dorastać i uczyć się. Każda rzecz ma swój czas.

Chłopczyk patrzył na niego uparcie, jakby chciał zmusić księdza i tę dziwną dziewczynę-zjawę, aby pierwsi opuścili wzrok.

Ale stało się inaczej. To Mika spuścił głowę. A po chwili zerwał się gwałtownie i uciekł z sali.

Ten chłopiec jest ważny dla przyszłości, szepnął głos Alessii w głowie Johna.

Odnaleźć na nowo jej głos i jej twarz było czymś pięknym.

Gdzie byłaś, gdy oślepiłem?

Byłam zawsze przy tobie.

Nie widziałem cię.

Ale teraz mnie widzisz.

Naprawdę wybaczone mi mój grzech?

W głowie Johna śmiech Alessii zabrzmiał jak kaskada srebrnych monet, jak dźwięczenie kryształków.

Słyszałeś Mnicha. Wybaczone ci.

Mnich powiedział, że to mój Bóg mi wybaczył. Co on może wiedzieć o moim Bogu?

To, co wiesz i ty. To, co wiem i ja, zanucił głos ze śmiechem.

– Jesteśmy gotowi do wyjścia.

– Co mówisz?

– Mówię, że jesteśmy gotowi do wyjścia – powtórzył Wagant, wyrывая kapłana z jego wizji.

John skinął głową. Spojrzał na chłopaka. Ten nie wyglądał ani trochę na poruszonego cudem, którego przed chwilą był świadkiem: ślepiec odzyskał wzrok.

Później zrozumiał, coś w nim samym pomogło mu zrozumieć, że Wagant przyjął taki sposób mierzenia się z chaotycznym, niedorzecznym światem powstałym z atomowych fajerwerków Zagłady, jaki uznał za najszlachetniejszy.

Przejmował się jedną rzeczą na raz, nie wybiegając za bardzo w przód myślami. Czy było to rzeczywiście najlepsze podejście do problemów, tego John Daniels nie potrafił powiedzieć.

Wagantowi sprawdzało się, i tyle. W nowym świecie, do którego zostali zesłani, nienarzucanie sobie zbyt sztywnych reguł było pierwszą strategią przeżycia.

Gdyby tylko mógł to zrozumieć Rządca.

On i Wagant byli filarami tej małej, niewiarygodnej wspólnoty, którą John, wiedziony jakąś nadrzędną wolą, przybył zburzyć. Rządca oznaczał ciągłość, zdrowy rozsądek, zdolność dokonywania właściwych wyborów w czasach normalnych.

Przy założeniu, że słowo „normalny” ma jakiś sens po Zagładzie.

Ale zdarzały się przecież chwile, w których wyborów nie wolno było dokonywać, słuchając jedynie głosu rozsądku.

Chwile, w których podejmowanie decyzji wymagało odwagi i stanowczości. I Wagant był właściwym człowiekiem na takie chwile.

Szkoda, że Don tego nie rozumiał.

Ale zrozumieli to ustawieni przed swoim przywódcą chłopcy

i dziewczęta, w których oczach rozpoznać można było jednocześnie strach i dumę, i jedną wielką niepewność.

– Sądzę, że powinieneś powiedzieć coś swoim ludziom. Przemówić do nich – podpowiedział Mnich dowódcy zwiadowców.

– Tak zrobię. Ale najpierw powiedz mi jedną rzecz. Pójdiesz z nami?

– Nie.

– A ktoś z twoich... bliźnich? Pomożecie nam? Będziecie walczyć z nami?

Mnich pokręcił głową.

– Pewne rzeczy są mi zabronione. Mnie i takim jak ja. Będziecie sami w tej bitwie. A jednocześnie nie będziecie sami.

I zwyciężycie nie tylko dla siebie. *A teraz już przestań mi zadawać pytania i porozmawiaj ze swoimi ludźmi*, zakończył już w głowie chłopaka.

Wagant zastanowił się chwilę.

Odwrócił się do stojących w szeregu dziewcząt i chłopców, uzbrojonych najlepiej, jak tylko się dało. To on ich wszystkich wyszkolił. Znał każdego. Znał ich umiejętności i ich słabe strony. Wiedział, że może liczyć na każdego z nich. Na myśl, że któryś mógł zginąć, ścisnęło mu się serce.

Przypomniał sobie, kiedy pierwszy raz zabił. Jego śmiercionośny cios oznaczał życie dla nich wszystkich.

Właśnie, to była ważna myśl.

Wziął głęboki oddech.

– Wiecie, że nigdy nie byłem dobry w przemowach. I wiecie, że nie lubię przemawiać. Ale myślę, że powinniście wiedzieć, co dziś zrobimy i dlaczego to zrobimy. Dzisiaj zaatakujemy miasto Żelaznych Wrót.

W stojącym przed nim szeregu dał się słyszeć pomruk, zapanowało poruszenie.

– Zdobędziemy to miasto ze wszystkim, co tam jest. A jest żywność, broń, benzyna.

Na słowo „benzyna” wiele oczu rozbłysło, jakby chodziło o słowo magiczne, obiecujące bajeczną przyszłość.

– Ten podbój pozwoli nam przewyciężyć grożący nam kryzys. I będzie pierwszym krokiem w drodze do wyczynu o wiele większego. Wiemy dzisiaj, kim są Synowie Gniewu...

Reakcje, jakie wzbudziły te dwa słowa, były niezwykle różnorodne: strach, nienawiść, zdumienie, ale przede wszystkim strach. Wagant zdał sobie sprawę, że wspomnienie tego wrogiego imienia było ryzykownym posunięciem. Ale już to powiedział.

Również John Daniels zorientował się, że chłopak wykonał fałszywy ruch. Już miał się wtrącić, ale zmusił się do milczenia.

Wagant zawahał się tylko chwilę, zanim podjął znowu.

– Wszyscy znamy ich brutalność, ich okrucieństwo. Z ich ręki zginął mój przyjaciel. I całe Miasto cierpiało przez ich prześladowania. Ja mówię, że przyszedł czas na wyrównanie rachunków z tymi zabójcami. Damy im lekcję, której nie zapomną.

Traci ich, pomyślał John. Ale Wagant w końcu znalazł właściwe słowa.

– Kiedyś byliśmy łagodni i bezbronni jak baranki. I jak baranki byliśmy zarzynani i rozszarpywani. Wyjął z kieszeni kurtki legendarny nożyk, który uratował ich przed laty od kanibali. – Ten nóż zmienił wszystko. Ten nóż i siła, która go użyła. Z tego wzięło się wszystko. To, że tu dzisiaj jesteśmy, że nie staliśmy się karmą dla tych morderców. Że wciąż jest dla Miasta nadzieja. Widzicie, nadchodzi chwila, w której trzeba odsunąć lęki i zrobić krok naprzód. Jeżeli będziemy siedzieć z założonymi rękami. Synowie Gniewu nas zmiażdżą. Nie stanie się to dzisiaj, nie stanie się jutro, ale prędzej czy później uczynią nas swoimi niewolnikami. A ja nie chcę być niewolnikiem kogoś, kto uważa nas za zwierzęta pociągowe albo i gorzej. Nie chcę być niewolnikiem tych, co zjedli Vasca. Ja chcę żyć i chcę, żeby Miasto żyło. Żebyśmy mogli to mieć.

Synowie Gniewu muszą zginąć. A zdobycie Żelaznych Wrót będzie

pierwszym krokiem. Dlatego dzisiaj nie zakładam rąk, ale robię krok w przód, żeby ratować Miasto. Dla naszej wolności. – I mówiąc to, Wagant zrobił zdecydowany krok w kierunku swoich żołnierzy.

Pierwsza wystąpiła z szeregu Daniela. Miała poważną, zdeterminowaną minę.

Za nią poszli inni, z równą determinacją.

– Piękna mowa, szefie – Daniela puściła do niego oko.

Wagant zarumienił się.

– Gówno tam piękna. To nie ja jestem od pięknych gadek... – Ale z powagą kiwnął głową.

Znów zwrócił się do stojących przed nim mężczyzn i kobiet: – Czas ruszać. Przed świtem zadecyduje się nasz los.

W tym ich nowym świecie dzień nie za bardzo różnił się od nocy, co najwyżej odrobiną światła, szarego i zabójczego, przenikającego przez grubą warstwę chmur wiszących ciężko nad ziemią. Ale noc była królestwem pradawnych lęków.

Wagant pamiętał o czymś, co wyczytał w jednej z książek w swojej bibliotece. Ludzie wyobrażali sobie demony jako osobniki o ciemnej skórze, kocich oczach i długich kłach, bo nasi przodkowie byli ulubioną zdobyczą panter.

A gdyby średniowieczni artyści malujący na ścianach kościołów te demoniczne postaci zobaczyli przyszłość?, zastanawiał się John Daniels, przyglądając się Mnichowi, który siedł w ciszy obok niego. Stwór Nocy miał dziwny chód.

Z ułożenia długiego brązowego habitu na jego ciele John wnosił, że stawy nóg tej tajemniczej istoty mocno różniły się od ludzkich.

Szli w trzech grupach: Wagant na czele, z trzema wybranymi zwiadowcami, grupa zasadnicza w środku, a Daniela z dwoma innymi zwiadowcami zamykała orszak.

Z nieba niezmiennie padał śnieg. Wydawało się niewiarygodne, że po

dwudziestu latach nie przykrył jeszcze całej ziemi. To był brudny śnieg, składający się z zabójczych cząstek i prochów świata, którego już nie było.

– Stacja metra jest niedaleko stąd. Główne wejście zostało przysypane gruzem, ale boczne jest ciągle dostępne – powiedział Mnich. Spokój, z jakim to mówił w tak krytycznej chwili, dodawał otuchy, a jednocześnie irytował. Chwilami John miał wrażenie, że nic nie może zaskoczyć tego dziwnego stworzenia.

Jakby patrzył na przedstawienie, które już widział albo którego fabułę zna na pamięć.

– Ty nas poprowadzisz? – zapytał go Wagant.

– Nie. Nie mogę być tam waszym przewodnikiem.

– Dlaczego?

– To trudno wyjaśnić.

– Cierpisz na klaustrofobię?

– Nie. To bardziej skomplikowane.

– Dobrze, więc zachowaj swój sekret dla siebie. Czyli musimy sobie radzić sami?

– Przykro mi, ale odpowiedź brzmi tak.

– Gdzie się spotkamy?

– W mieście Żelaznych Wrót. Kiedy je już zdobędziecie.

Wagant pokiwał głową.

– No przecież. Kiedy je już zdobędziemy.

Mnich nie dodał nic więcej, odwrócił się i poszedł w kierunku, z którego przyszli.

Wkrótce jego sylwetka zniknęła w śniegu, padającym delikatnie z ciemnego nieba.

– W porządku. Słyszeliście – powiedział Wagant. – Od tej chwili jesteśmy zdani tylko na siebie. Ruszajmy, przyjaciele.

Nikt nic nie mówił. Poruszali się ostrożnie, starając się nie robić najmniejszego hałasu. Mnich zapewnił, że nie mają się bać Stworów Nocy,

ale te stworzenia nie były przecież jedynym zagrożeniem: w ciemnościach czaiły się inne żywe istoty, może mniej dziwaczne, ale za to równie krwiożercze. No i byli ludzie: zapewne największe niebezpieczeństwo.

Natknęli się na stację dokładnie tam, gdzie wskazał Mnich. Wejście boczne było w miarę dostępne.

John i Wagant spojrzeli w czeluść schodów.

Wyglądało to jak zejście do grobu.

Wagant skierował w dół słabe światło latarki. Zejście tarasowało rumowisko z wywróconym do góry kołami dziecięcym wózkiem. Ruszył w tym kierunku. Na wpół otwarte żelazne kraty wyglądały jak rozwarte szczęki.

Z karabinem wycelowanym przed siebie, w buńczucznej postawie, Wagant sprawiał wrażenie urodzonego dowódcy.

Jak dobrze, że nie mogą czytać w moich myślach, pomyślał, zaciskając zęby i starając się ukryć paniczny strach, który odczuwał w tej chwili, a który jeszcze się wzmógł, gdy znalazł się za progiem, w ciemnych bebeczach metra.

W korytarzu unosił się jakiś intensywny zapach. Smród zgnilizny. Latarki, które z ostrożności zapalali co jakiś czas tylko na krótko, oświetlały ściany wyłożone brudnymi płytkami, z których sypały się ostatnie strzępy nieczytelnych już plakatów.

Kiedy światełka gasły, ściany połykały drużynę Miasta niczym szczęki zwierza utkanego z mroku. Powietrze było wilgotne, zimne.

Przez chwilę latarka Daniela oświetliła coś w miejscu, gdzie korytarz skręcał. To, co z początku wydawało się bezkształtną stertą łachmanów, okazało się parą trupów. Nie, nie parą: była ich troje. Mężczyzna i kobieta, których płeć można było rozpoznać jedynie po ubraniach, bo z ciał zostały tylko brudnoszare kości. Na ramieniu kobiety znajdował się szkielet dwu-, może trzyletniego dziecka.

Daniela zgasiła latarkę.

Poszli dalej.

Ciemność spowiła ich jak całun. Już same ich oddechy w maskach przeciwgazowych mogły napawać strachem.

John Daniels był jedyną wśród nich osobą obytą z podziemiami. Ale i on czuł się nieswojo w tym ciemnym tunelu.

Jego drugi wzrok, jak przywykł go nazywać, nie zdawał mu się na nic w tym miejscu. Dla niego ciemność była podwójna.

Przeszli długim tunelem aż do miejsca, które inaczej odbijało dźwięki, co pozwalało domyślić się, że jest przestronniejsze. Zapalone na moment latarki ukazały im pokryty gruzem peron stacji. Nie stały tam żadne pociągi. Tory były puste, jeśli nie liczyć stosów szmat i kości pod ścianą. Grupa z Wagantem na czele ruszyła ostrożnie w stronę prawego tunelu. W ciemności stopa Johna potraçała jakiś przedmiot, który zagrzecotał złowieszczo. Okazał się nim szkielet w eleganckim niegdyś płaszczu. Kapłan odmówił modlitwę za nieznanego mężczyznę.

Jaki sens miała modlitwa za jednego jedyne go nieboszczyka na tym olbrzymim cmentarzysku? Być może żadnego, ale John czuł, że musi to zrobić. Latarka znów zgasła. Dotarli do torów i ustawili się gęsiego.

– Myślisz, że możemy zapalić latarki? – zapytała Daniela.

Wagant zapalił swoją. Ich twarze w maskach, oświetlone od dołu, wyglądały jak pyski demonów.

– Co dziesięć kroków. Tylko jedną. Twoją, bo jest ekranowana.

John Daniels pokręcił głową.

– Daleko tak nie zajdziemy.

Wagant spojrział na niego ze złością.

– Co masz na myśli?

– Że stracimy całą wieczność, zanim dotrzemy do celu.

– Więc?

– Więc zapalmy latarki.

– Ale może tam są wartownicy.

– Mnich powiedział, że w mieście Żelaznych Wrót nikt nie wie o tunelu łączącym ich z metrem.

– Zgoda. Założmy, że możemy się na to zdać. Ale przecież w tunelu może być ktoś inny.

– Nie będzie nikogo – odrzekł John z absolutną pewnością. Zastanawiał się, skąd mu się wzięła. Czuł, jakby te słowa wypowiedział w nim jakiś obcy głos.

– W porządku. Chcę ci zaufać – zgodził się Wagant. I zwrócił się do pozostałych: – Słyszeliście. Zapalcie latarki.

I przyspieszamy kroku.

Drużyna posłuchała i ruszyła w kierunku prawego tunelu.

John już miał ruszyć za nimi, gdy Wagant przytrzymał go za ramię.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – powiedział cicho. – Narażam nie tylko te dzieciaki, ale całe Miasto, dając posłuch tobie i temu stworowi.

– Tracimy czas. W drogę.

Wagant puścił ramię Daniela i wrócił na czoło grupy.

Wydawało się, że tunel nigdy się nie skończy. Na szczęście tory były drożne i w świetle latarek mogli utrzymać stałe tempo marszu. Dotarli do kolejnej stacji, pustej jak poprzednia i podobnie zawalonej trupami. Tu były nawet liczniejsze, wiele tarasowało tory. Musieli po nich stąpać, żeby przejść przez stację, i było to straszne przeżycie nawet dla tych, którzy aż nadto oswoili się ze śmiercią.

– Dlaczego tu jest tyle ciał? – spytał Wagant bardziej samego siebie niż innych. – Jakby specjalnie tu przyszli, żeby umrzeć.

– Może tak właśnie było – odpowiedział Daniels. – W pierwszych dniach ludzie musieli się tu schronić przed chaosem panującym na ulicach. Potem zaczęło ich zabijać promieniowanie. A jeszcze później głód. Nigdy się tego nie dowiemy.

Kiedyś robiło się badania nazywane sekcją zwłok, żeby stwierdzić, na co zmarła dana osoba. Z tego, co wiemy, mogli popełnić samobójstwo.

Albo zostali zamordowani. Może ich ciała zostały podziurawione kulami jak sito. Czy to ma jakieś znaczenie? Jedno jest pewne: oni są martwi, a my żyjemy.

– Myślałem, że ksiądz powinien mieć większy szacunek dla zmarłych.

– Mam dla nich szacunek. Ale muszę się najpierw zająć żywymi.

Taki sam smutny obraz ukazał im się na kolejnej stacji. Tu ciał było jeszcze więcej. Ale teraz już przyzwyczaili się do tych scen – taka była smutna refleksja Johna. Szli dalej bez przystawiania, deptając martwych lub przesuając ich nogami na bok niczym worki śmieci.

Doszli do wylotu tunelu prowadzącego na przystanek Żelaznych Wrót. W miarę zbliżania się do celu zwalniali miast przyspieszać kroku. Niepewność tego, z czym się mieli zmierzyć, była czymś gorszym od myśli o walce, dla niektórych pierwszej w życiu.

Od czasu do czasu Wagant spoglądał na kompas i zapisywał coś ołówkiem w czarnym notatniku. Trzy przedmioty, kiedyś banalne, które teraz były prawdziwymi skarbami.

– Jesteśmy – powiedział w pewnym momencie. – Za tym zakrętem jest stacja. Teraz zgaście latarki.

Żołnierze Miasta posłuchali rozkazu. Mrok ścisnął ich jak zamykająca się pięść.

– Naprzód – rozkazał Wagant, próbując opanować emocje w swoim głosie.

Maszerowali jak roboty. Jakby pchało ich naprzód coś innego niż ich własna wola. Świadomość bliskości celu i bitwy przyspieszała bicie serc.

John był jedyną nieuzbrojoną osobą. W tym momencie, na kilka kroków przed miejscem akcji, zdał sobie sprawę, że dokonał dobrego wyboru. Nie chciał zabijać. Nawet w samoobronie. Miała mu wystarczyć boska opieka. A gdyby nie wystarczyła, byłoby to jedynie kolejnym rozczarowaniem, i to wcale nie najboleśniej.

Mogłeś zostać w Mieście, odezwał się cichy kobiecy głos w jego

głowie.

I pozwolić tym dzieciakom walczyć w mojej bitwie?

Teraz to jest już także ich bitwa.

Możliwe. Jednak nie mogłem zostać.

Ale przecież ty nie chcesz walczyć. Więc do czego jesteś im potrzebny?

Przypuszczam, że dowiem się, kiedy przyjdzie na to czas.

Ten chłopczyk, powiedział głos z szelestem zwiędłych liści w tle. I był to dźwięk zupełnie abstrakcyjny w świecie pozbawionym drzew. Ten chłopczyk, Mika, jak to się stało, że mnie widział?

Nie wiem. Na ziemi szerzy się magia. Domyślam się, że jakaś jej część spada też na istoty ludzkie.

Nie boisz się, że może powiedzieć o mnie innym?

Daniels uśmiechnął się.

– Niczego się już nie boję – odpowiedział głośno.

– Szczęściarz z ciebie, księżu. Ja za to mam wielkiego pietra – odezwał się cicho Wagant, wskazując lufą strzelby stację metra, która była ich celem.

Wagant i Daniela wyszli pierwsi. Kiedy dotarli do poziomej drogi, zaczęli się czołgać w szarawym śniegu, dopóki nie znaleźli dobrego miejsca do obserwacji.

Ich kombinezony maskujące sprawiały, że byli praktycznie niewidzialni.

Żelazne Wrota znajdowały się o dwieście metrów od nich. Wielki budynek – żadne z nich nie umiało go nazwać inaczej – wydawał się nienaruszony. Napisy „Ipercoop” i „Bonola” wyblakły i złuszczyły się, ale pozostawały czytelne.

Spadziste dachy dobrze zniosły napór śniegu i czasu, ocenił Wagant. Zawaliła się tylko wieża, po lewej stronie gmachu.

Wokół budynku nie było oznak życia.

Wagant wyjął lornetkę. Skierował ją ku drodze przed budynkiem.

Światło brzasku wyostrzało kształty, podkreślało cienie. Śnieg wyglądał na nietknięty, ale przy uważniejszym spojrzeniu można było na nim dostrzec ślady: od obwarowanego wejścia odchodziły dwie ścieżki, jedna na lewo, druga na prawo. Musiały zostać wydeptane przez strażników.

Wagant podniósł lornetkę.

Po obu stronach wejścia stały dwa wysokie, identyczne posągi. Przedstawiały klauna w czerwonej peruce z uśmiechem na twarzy, który pod wpływem czasu i żywiołów zmienił się w diaboliczny grymas.

– Ronnie McDonald – szepnął John Daniels.

– Co ty tu robisz? – zaatakował go Wagant.

– Chciałem zobaczyć.

– Co znaczy to, co powiedziałeś? Ronnie jak?

– Te dwa posągi. To Ronnie McDonald. Symbol sieci fast foodów. A widząc, że Wagant nie rozumie, dodał: – To takie miejsce, w których się jadało hamburgery.

Chłopak skinął głową.

Daniels przyglądał się z niedowierzaniem dwu plastikowym posągom, które czas zmienił w groteskowe bliźniacze molochy.

Nagle dał się zauważyć jakiś ruch: to, co wcześniej wydawało się pryzmą śniegu na prawo od wejścia, poruszyło się i ukazało lufę karabinu maszynowego. Mężczyzna ubrany w białe ponczo odsunął zupełnie zasłonę skrywającą posterunek strażniczy.

Wagant skierował lornetkę nieco w bok. Po lewej stronie od wejścia, między stopami pięciometrowego pajaca, znajdowało się kolejne stanowisko zakamuflowane niewinną hałdą śniegu. Każdy, kto spróbowałby zbliżyć się do miasta, zostałby wzięty w ogień krzyżowy. A pozostałe, niższe zaspy śniegu rozproszone po pustym parkingu kryły zapewne specjalne przeszkody mające zmusić ewentualnego napastnika do poruszania się wyznaczoną drogą.

– To konie fryzyjskie. Tak się nazywają, nie pytaj mnie dlaczego –

szeptał Daniels. – Służą do tarasowania drogi pojazdom.

Wagant zrozumiał, o czym mówi ksiądz. O kawałkach szyn związanych lub pospawanych ze sobą tak, że tworzyły trójramienne zapory.

– I założę się, że ta wystająca linia, tam, to jest okop wypełniony drutem kolczastym – dorzucił John. – Niezła zagwozdka.

– A na sam koniec słynne Żelazne Wrota. – Wagant pokiwał głową, wskazując na przesuwane metalowe bramy zamykające dostęp do centrum handlowego. Miało się wrażenie, że wytrzymają nawet ostrzał artyleryjski. – Wracajmy na dół – westchnął załamany.

– Zdaje się, że jedynym sposobem na to, żeby tam wejść i nie dać się zabić, jest odnalezienie tego tajemniczego przejścia pod ziemią.

John wolno pokiwał głową.

– Z tego, co mówił Mnich, zamurowane przejście tunelu jest tam.

Wycelował palec w kierunku odcinka muru pozornie nieróżniącego się od pozostałych.

Wagant wydał rozkazy. Wszyscy zdjęli plecaki, w których były narzędzia do kopania i drążenia.

– Nie robimy hałasu. Czyli żadnych kilofów. Usuwamy parę cegieł i zobaczymy, co dalej.

Pracowali w niemal kompletnej ciszy. Używali narzędzi z końcówkami owiniętymi tkaniną, co tłumilo próbne uderzenia w ścianę.

Pierwszą cegłę wybiła Daniela. Spadła z drugiej strony, w ciemność. Nie narobiła za dużo hałasu.

Uradowany Wagant zaatakował ścianę z zaraźliwą energią.

Dwóch chłopaków pomogło mu wyciągać kolejne cegły.

Wkrótce otwór był na tyle szeroki i wysoki, że mogli przezeń przejść bez trudu.

Wagant poszedł na zwiad.

Wrócił po pięciu minutach. Wyglądał na oszołomionego. Ale uśmiechnął się radośnie.

– Stwór miał rację – rzekł. – Znalazłem drugą ścianę.

W zamkniętym od dwudziestu lat łączniku czuć było cement i pył. Pokonali go w ciszy, uważnie stawiając każdy krok.

Dotarli do ściany oddzielającej ich od miasta Żelaznych Wrót.

To był najpospolitszy mur z surowej cegły.

Wagant wyjął z plecaka dłuto i zaczął wykrobywać ostrzem zaprawę wokół jednej z cegieł. Daniela robiła to samo obok, a czwórka innych zabrała się do roboty przy kolejnych ceglach. Pracowali z niesłychanym zapałem, wkrótce starej wilgotnej zaprawy już nie było, i mogli przystąpić do wyciągania cegieł.

– Wyłączcie latarki! – rozkazał Wagant.

Wszyscy wstrzymali oddech, gdy ich dowódca wyjmował delikatnie pierwszą cegłę.

W absolutnej ciszy został rozebrany cały fragment muru.

Pomieszczenie z drugiej strony najwyraźniej przeznaczone było na magazyn. Znajdowało się w nim trochę materiałów budowlanych i innych przedmiotów, które wyglądały na zepsute. W przeciwległej ścianie widać było żelazne drzwi.

Młodzi żołnierze przeszli jeden po drugim na tamtą stronę muru, który stanowił granicę. Pierwszą granicę, jaką kiedykolwiek przekroczyli, jeśli nie liczyć granicy ich strachu.

– Nie wiemy, co nas czeka za tymi drzwiami – powiedział cicho Wagant. – Pamiętajcie tylko, że każda napotkana po tamtej stronie osoba będzie waszym wrogiem. Jeśli będzie mieć broń, którą uznacie za lepszą od waszej, zabierzcie ją.

Jeżeli będzie stawiać opór, zastrzelcie. Jeżeli się podda, też zastrzelcie: jest nas zbyt mało, żeby brać jeńców. Kolejna zasada: my nie walczymy z dziećmi, ale jeżeli któreś z nich wyda się wam groźne, zabijcie bez żadnego wahania.

Wyraziłem się jasno? Bitwa kończy się wtedy, gdy ginie albo poddaje

się ostatni uzbrojony przeciwnik. W porządku?

A teraz ruszcie tyłki, idziemy zdobyć krainę mlekiem i miodem płynącą.

Mówiąc to, położył dłoń na klamce i otworzył drzwi, które nie były zamknięte na klucz.

Przez dziesięć kolejnych minut powstało takie zamieszanie, że Johnowi, podobnie jak innym, pozostały w pamięci jedynie fragmentaryczne wspomnienia, przebłyski akcji, odgłosy i sceny przemocy, którym trudno było nadać spójny sens.

Wpadli do ogromnej sali, która kiedyś musiała być parkingiem. Zdecydowanie trudniej było określić, czym była teraz.

Znajdowało się tam mnóstwo aut, w których spali ludzie. Nikt nie był uzbrojony, ale ktokolwiek się podniósł, inkasował swoją porcję przemocy.

Jakiś chłopczyk podbiegł, wymachując pałką. Powaliła go kula, która trafiła w brzuch.

Jakaś matka próbowała uciekać z dzieckiem na rękę: dosięgła ją strzała wypuszczona z kuszy Daniela, która utkwiała u podstawy czaszki. Dziewczyna odzyskała strzałę, pomagając sobie nogą, umieściła ją na powrót w kuszy i tym samym zakrwawionym grotem ugodziła w szyję rozwścieczonego mężczyznę, który wypadł biegiem z tego samego auta.

Dwaj Obywatele przekłuli włócznią jednego z broniących się, zanim sami zostali trafieni salwą ze śrutu. Strzelił do nich jakiś brodaty olbrzym, zupełnie nagi, jeśli nie liczyć futrzanego płaszcza. Wagant wycelował strzelbę i trafił przeciwnika raz, dwa, trzy razy. Po trzecim strzale olbrzym upadł, a jeden z chłopaków z Miasta zręcznie wyjął mu śrutówkę z łap, które wciąż się ruszały, na przemian zamykając i otwierając się w śmiertelnych drgawkach.

Kolejne strzały, i wrzaski, i dziecięcy płacz.

Sala zamieniła się w prawdziwe piekło.

Wagant zawołał Danielę.

– Dopilnuj, żeby nikt się nie ruszył. Zbierz ich w kącie i trzymaj na muszce.

– A ty dokąd idziesz?

– Na zewnątrz. Niedźwiedź, za mną. Wy też.

Wziął ze sobą jeszcze czterech żołnierzy i pobiegli tam, gdzie według mapy miało się znajdować wyjście z centrum handlowego. Weszli na parter po czymś, co kiedyś było ruchomymi schodami. Nie natknęli się na nikogo, podążając długim korytarzem, na który wychodziły witryny sklepów z opuszczonymi metalowymi kratami. Biegli jak jaguary w nadziei, że zaskoczą wroga, zanim ten zdąży się zorganizować.

Ale to, co zobaczyli, zaskoczyło ich samych.

U bram Miasta toczyła się zaciekle bitwa. Z nieba spadały stwory czarne jak noc, z najeżonymi szponami długimi niczym miecze. Gniazda strzeleckie pluły wściekłymi seriami z karabinów maszynowych, urządzając prawdziwą rzeź wśród skrzydlatych agresorów. Ale im więcej spadało ich na ziemię, tym więcej przybywało nowych, a ich naturalne ostrza rozdzierały, raniły, zabijały.

Wagantowi i towarzyszom nie pozostało nic innego, jak tylko przyglądać się w bezruchu tej rzezi.

Żaden ze Stworów Nocy nie zrobił krzywdy wojownikom Miasta. Ich celem i łupem byli obrońcy Żelaznych Wrót, a nie napastnicy.

Pozostawało tajemnicą, jak odróżniali jednych od drugich.

Mężczyzna z okropnie rozrytym policzkiem biegł w ich kierunku, próbując schronić się w środku. Jego usta pozostawały szeroko otwarte w niemym krzyku, a oczy wytrzeszczone z przerażenia. Tuż za nim podążały dwa skrzydlate stwory, ze szponami gotowymi wbić mu się w plecy.

Wagant podniósł strzelbę. Strzelił.

Głowa mężczyzny eksplodowała, zamieniając się w krwawą chmurę.

Dwa Stwory Nocy zawisły w powietrzu, wyhamowując swój pęd

ruchem skrzydeł. Ich pozbawione rysów oblicza zwróciły się ku Wagantowi. Po chwili kocim skokiem wystrzeliły z powrotem ku górze, by rzucić się na kolejnego wroga.

Żołnierze Miasta patrzyli odrętwiali, dopóki rzeź się nie skończyła. Na śniegu pozostała krew i ludzkie szczątki. Po robocie stwory zniknęły, odlatując w śnieg, który wirował nieprzerwanie w powietrzu, i który wkrótce miał przykryć wszelkie ślady tej masakry.

John Daniels ocknął się pierwszy.

– Musimy wracać. Tu nie ma już nic do roboty.

Wagant pokiwał głową, wciąż oszołomiony.

– Niedźwiedź, Riccardo, wy dwaj zostajecie tutaj. Zajmijcie miejsca przy karabinach maszynowych. Zastrzelcie każdego, kto spróbuje wejść. Czy to będzie człowiek, czy nie.

Potem zebrał pozostałych.

Wrócili biegiem do olbrzymiej galerii handlowej. Zamilkły już odgłosy broni maszynowej, które towarzyszyły ich biegowi w tamtą stronę. Od czasu do czasu słyhać było pojedyncze strzały. Natknęli się na trzy trupy obrońców Żelaznych Wrót. Leżeli w nienaturalnych pozycjach w kałuży krwi. W końcu odnaleźli Danielę i pozostałych. Wciąż trzymali na muszce grupę rozbrojonych jeńców, koło czterdziestki kobiet i mężczyzn. Niektórzy z nich byli półnaczy.

Daniela wyglądała na zmęczoną i spiętą.

– Wszystko w porządku? – zapytał Wagant, kładąc jej rękę na ramieniu.

Spojrzała na jego dłoń z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Żadnych zabitych. Przynajmniej naszych. Andrea i Carlo są ranni.

Andrea ma się najgorzej: dwa ziarna śrutu.

obawiam się, że jednym dostał w wątrobę.

– Wszyscy jeńcy są tutaj?

– Są jeszcze w podziemiu.

– Słyszałem strzały.

– Przeczესujemy wciąż sklepy i boczne korytarze. Jest mnóstwo miejsc do sprawdzenia.

Wagant był zdumiony.

– Jakim cudem stawili tak słaby opór? Czy nie mieli być uzbrojeni po zęby?

– Nie oni – odpowiedziała Daniela z grymasem na twarzy.

– To nie ma sensu.

John Daniels pochylił głowę.

– A może jakiś ma.

Wagant nie rozumiał. Przyklęknął, żeby spojrzeć w oczy jednego z jeńców. Mężczyzny około trzydziestki, chudego, z rzadką brodą i długimi kręconymi czarnymi włosami opadającymi mu na ramiona. Nosił marynarkę, czarne spodnie i kapelusz w tym samym kolorze. Miał zamknięte oczy i kiwał głową w przód i tył, mamrocząc coś niezrozumiałego.

– Gdzie wasi żołnierze? – zapytał go Wagant.

Tamten nie odpowiedział. Wyglądał na sparaliżowanego przerażeniem.

Wagant spoliczkował go.

– Gdzie wasi żołnierze? – powtórzył, chwytając go za ramiona i potrząsając jak szmacianą lalką.

Mężczyzna nagle otworzył szeroko oczy.

– Ekspedycja.

– Dokąd?

– Na Miasto z wysoką wieżą.

Dreszcz lęku przebiegł po plecach Waganta.

– Ilu ich jest? – wrzasnął zdesperowany.

– Kogo?

– Waszych żołnierzy!

Jeniec wzruszył ramionami.

– Pięćdziesięciu. Sześćdziesięciu. Nie wiem.

Wagant zwolnił uchwyt, mężczyzna upadł na ziemię.

John Daniels wzdrygnął się, widząc wykrzywioną twarz dowódcy.

Jakby ktoś pozbawił go wszelkich sił. Ale w oczach miał jakieś szaleństwo, furię zabójcy.

Wycelował strzelbę w pierś księdza.

– Ty przeklęty klecho... – Jego palec drżał na spuście. – Żle, że cię posłuchałem...! Gdybyśmy zostali w Mieście, moglibyśmy je obronić... Żle, że posłuchałem ciebie i tego potwora...

Lufa strzelby zadrżała.

John zobaczył śmierć w oczach Waganta.

Zaczął się modlić.

– „Ojcze nasz...”

– To nie nasza wina! Nie chcieliśmy was atakować!

Głos klęczącego jeńca był histeryczny, na granicy płaczu. Z rozciętej dolnej wargi płynęła mu krew.

– Synowie Gniewu nas zmusili! Gdybyśmy tego nie zrobili, zabiliby naszych zakładników...

Nie zdejmując lufy z piersi Daniela, Wagant spytał jeńca: – Jakich zakładników? Co ty, kurwa, mówisz?

Jeniec wstał, zataczając się, z dłonią przy ustach.

– Dwa dni temu przyjechali tu po daninę. Powiedzieli, że nie chcą towaru. Chcieli zakładników. „Gości”, tak się wyrazili. Ale chcieli zakładników. Wzięli dzieci...

Mężczyzna znów upadł na kolana, płacząc jak bóbr.

Jakaś kobieta przytuliła go, gładząc po wstrząsanej łkaniem głowie.

Po chwili wstała, patrząc Wagantowi wyzywająco w oczy.

– Wzięli nasze dzieci jako zakładników. Dziesięcioro. W tym syna Samuela.

– Kim jest Samuel?

– To ten, którego uderzyłeś. Nasz rabin.

Wagant odnotował tę informację i dał znak kobiecie, żeby mówiła dalej.

– Wzięli ich i powiedzieli, że jeżeli chcemy zobaczyć ich jeszcze żywych, musimy dla nich zdobyć Miasto z wysoką wieżą. Powiedzieli, że jest was mało i że niewiele trzeba, żeby was pokonać.

– A wy zgodziliście się napaść na miasto, które wam nic nie zrobiło?

Kobieta zrewanżowała się Wagantowi pogardliwym spojrzeniem.

– A wy co zrobiliście?

Wagant opuścił broń. Wyglądał na zmieszanego.

Wtedy inicjatywę przejął Daniels.

– Kiedy wyruszyli wasi wojownicy?

– To nie są wojownicy. Nie prowadzimy wojen, chyba że jesteśmy do tego zmuszeni.

– Kiedy wyruszyli?

– Dzisiaj w nocy. Zgromadzenie długo debatowało nad decyzją. Wyruszyli tej nocy, koło trzeciej. Mieli zaatakować przed świtem.

Ten zbieg okoliczności był zbyt niewiarygodny, żeby być przypadkowym. John pomyślał sobie, że ma parę spraw do wyjaśnienia z Mniczem przy następnym spotkaniu.

Wagant chyba też doszedł do podobnego wniosku.

– Twój przyjaciel wysłał nas tutaj, wiedząc, że Miasto zostanie zaatakowane.

Jego głos sprawiał wrażenie opanowanego. Ale John wiedział, że to tylko wrażenie. Że w głowie chłopaka tli się ogień, który może wybuchnąć lada moment.

– Zrobił to dla waszego dobra – powiedział i jako pierwszy zdumiał się własnymi słowami. Czuł jakby ktoś inny przemówił jego ustami.

– CO TY, KURWA, POWIEDZIAŁEŚ?

Lufa karabinu wtopiła się w gardło Johna Danielsa.

– Mówię, że gdybyśmy zostali w Mieście, też byśmy zginęli. Pomyśl rozsądnie, Wagant: nie byliśmy dość silni, żeby odeprzeć atak

pięćdziesięciu ludzi.

– A teraz jest nas jeszcze mniej I – Piętnastu ludzi i tak nie mogło oprzeć się pięćdziesięciu.

– O tej godzinie Miasto jest już pewnie zdobyte!

– Obawiam się, że tak – odparł John. – Ale my zdobyliśmy ich miasto. Mamy dziesiątki zakładników. I nie tylko.

Odsunął lufę strzelby od swojego gardła. Podeszedł do kobiety, która powiedziała im o ataku.

– Powiedziałaś, że wzięli dziesięcioro dzieci jako zakładników. Czy to jedyne wasze dzieci?

– Tak – odparła kobieta zbyt pośpiesznie, podczas gdy jej oczy mówiły coś innego.

– Tylko dziesięcioro dzieci w tak dużej wspólnotce?

Przyjdzie czas na żal za to, co robię, pomyślał John. Przyjdzie czas na błaganie Boga o przebaczenie za gwałt, jakiego się dopuszczam wobec tych ludzi. Ale teraz najważniejszą rzeczą jest działać.

– Gdzie ukrywacie pozostałe dzieci?

Kobieta pokręciła głową.

Wagant stanął obok Daniela.

– Słyszałaś, o co cię pyta? Gdzie są dzieci?

Kobieta zamknęła oczy.

Wagant wycelował jej w czoło.

Strzelił.

Krew, strzępy kości i tkanki mózgowej obryzgały skulonych na ziemi jeńców. Rzucili się z krzykiem ku ścianie niczym fala łachmanów i przerażonych spojrzeń.

– Zabiję jednego po drugim, jeżeli nie będziecie mówić! – wrzasnął Wagant.

– A jak już zabiję wszystkich, podpale tę waszą norę! GADAJCIE, GDZIE SĄ DZIECI!

W uszach Johna brzmiał jeszcze ogłuszający huk strzału. Był przerażony skutkami swojego działania.

Wagant schylił się. Szarpnął za ramię i podniósł jasnowłosą dziewczynkę, która nie mogła mieć więcej niż trzynaście lat.

– Gadajcie, gdzie, do kurwy nędzy, ukryliście dzieci! Albo ta będzie następna!

Nikt się nie odezwał.

Wagant przyłożył lufę strzelby do skroni dziewczynki. Zamknęła oczy, usta jej drżały.

– Stój! Błagam, nie! – Głos dobiegał spośród jeńców zbitych w jedną masę. Powiedziała to chuda kobieta podobna do dziewczynki. Może matka.

– Zostaw ją! Mówię ci! Mówię ci! Zostaw ją!

Dzieci ukryte były za fałszywą ścianą, w zacienionym narożniku sklepu z artykułami sportowymi. Kryjówka była doskonała. Nawet przechodząc tuż obok, nie można było zauważyć niczego podejrzanego.

– Miałeś dobry pomysł – powiedział Wagant z uśmiechem.

John nie odpowiedział. Brutalność, z jaką chłopak zabił bezbronną kobietę, zszokowała go.

– Ale nie zrozumiałem, co to jest „rabin”.

– Rabin jest dla Żydów jak ksiądz.

– Czyli to są według ciebie Żydzi? Jak ci, co wygrali z Hitlerem?

John nie sprostował. Zbyt wiele myśli kłębiło mu się w głowie.

Wagant wzruszył ramionami. Wydał oschle jakiś rozkaz.

Dwóch jeńców schyliło się i zwolniło prawie niewidoczne zatraski. Ścianka gipsowo-kartonowa odskoczyła. Za nią było małe pomieszczenie, nie więcej niż dwa metry w głąb i niewiele wyższe.

W kryjówce było jakieś trzydzieścioro dzieci, w różnym wieku. Przytulały się do siebie skulone przy tylnej ścianie.

Spojrzały z przerażeniem na wycelowane w nich karabiny. John Daniels poczuł się źle, myśląc o zdjęciu chłopczyka z warszawskiego getta, którego

żołnierze SS przymuszali z wycelowaną bronią do wyjścia z ukrycia.

– Co my robimy... – powiedziała cicho jedna z dziewczyn Miasta, opuszczając swoją kuszę, która po chwili wypadła jej z rąk na ziemię.

– MILCZ! – zganił ją Wagant. – WYCHODŹCIE STĄD! – rozkazał dzieciom.

Wyszły bez podnoszenia rąk, trzymając się jak najbliżej jedno drugiego. Starsze niosły na rękach najmłodsze.

– Trzydzieści dwoje – policzył Wagant. – Odwalacie tu robotę jak króliki.

Daniela spiorunowała go wzrokiem, ale nie ośmieliła się odezwać.

– Zaprowadźcie je w bezpieczne miejsce i zamknijcie. Teraz my też mamy zakładników. I to więcej niż oni.

13 | Cios w plecy

Szybko odkryli, że centrum handlowe Bonola wcale nie było, jak sądzili, krainą mlekiem i miodem płynącą.

Chociażby dlatego, że było tu zimniej niż w Mieście. A prąd zniknął w dniu nuklearnej apokalipsy. Żeby się ogrzać, używali ognia rozpalanego w starych zbiornikach po paliwie, a w kwestii oświetlenia musieli się zdać na śmierdzące pochodnie i światło wpadające z zewnątrz przez wielkie okna.

Zapewnili sobie niezależność żywnościową i wodną, ale sposobami i technikami, które żołnierzom Miasta wydały się nedorzeczne.

Ale i tak Żelazne Wrota były krainą zabawek dla zdobywców krążących po korytarzach i sklepach z otwartymi buziami.

O ile wiele półek świeciło już pustkami, na innych ciągle jeszcze znajdowały się cenne towary. Szczególnie w sklepie dla majsterkowiczów, pełnym wszelkiego rodzaju narzędzi, z których część była bezużyteczna, bo na prąd, ale i tak cenna jako towar wymienny.

Jedynymi, którzy nawet nie spojrzeli na otaczające ich bogactwo, byli Wagant i Daniels. Szef zwiadowców przejął kilka pomieszczeń i zrobił z nich swoje centrum dowodzenia. To tam wezwał kapłana o drugiej po południu w dniu podboju.

Siedział przy dyrektorskim biurku na nieuszkodzonym skórzanym fotelu. Dwóch uzbrojonych po zęby strażników stało za jego plecami z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

- Twój potwór nas wystawił – zaczął chłopak, patrząc na Johna surowo.
- Wystawił nas, i to mnie wkurza.

Ksiądz wzruszył ramionami.

- Nie masz nic do powiedzenia? – dopytywał Wagant.
- Już powiedziałem, co miałem do powiedzenia. Gdybyśmy zostali w Mieście, zginęlibyśmy na darmo. Atak mamy zawsze jakieś możliwości.
- Odbiło ci? Możliwości czego? Nie słyszałeś? Ich jest pięćdziesięciu. Widziałeś magazyn broni? Karabiny maszynowe!

Granaty! Moździerze!

- Teraz ta broń jest nasza.
 - Szkoda tylko, że jest nas za mało, żeby jej użyć!
- John kiwnął głową.
- Właśnie. Dlatego plan Mnicha wydaje mi się coraz klarowniejszy.
 - Co masz na myśli?
 - Że teraz mamy ich dzieci jako zakładników.
 - A oni mają nasze! Zakładając, że ich nie zmasakrowali!
 - Nie sądzę, żeby to zrobili. Wypytywałem jeńców. Misja miała na celu wzięcie Miasta w niewolę, a nie eksterminację.
 - Nawet gdyby tak było, co teraz zrobimy? Jesteśmy w sytuacji patowej.

John uśmiechnął się, słysząc ten szachowy termin z ust Waganta.

Miasto posiadało szachownice, ale używało ich do uproszczonej gry, której reguły naśladowały trochę szachy, a trochę warcaby. Jakby gra rozwinęła się z mglistych wspomnień z dzieciństwa. Ale szef zwiadowców najwyraźniej znał prawdziwe zasady.

- Widzisz, Wagancie, masz rację: jesteśmy w impasie. Ale ty rozumiesz jak szachista. Próbujesz wymyślić ruch i przewidzieć, jakim ruchem odpowie ci przeciwnik. W tej sytuacji to niewłaściwy sposób myślenia. Pat nie działa, kiedy na zewnątrz jest trzeci gracz.

- Więc jaki niby jest właściwy sposób na rozegranie tej partii?

Daniels przesunął dłonią po dwudniowym zaroście.

– Zrobić ruch, jakiego ten trzeci się nie spodziewa. Połączyć białe z czarnymi.

Czuł się, jakby był nagi, maszerując w stronę Miasta z kijem, na którego końcu powiewała biała szmata. Miał nadzieję, że w nowym świecie ten symbol pozostaje nadal czytelny.

Szedł wolno, a z każdym krokiem skrzypiący pod jego kozakami śnieg jakby ostrzegał go przed niebezpieczeństwem.

Skrzyp, chrap, skrzyp...

Strzelą do ciebie. Trzymają cię na muszce.

Strzelą.

Skrzyp, chrap, skrzyp...

Podszedł na sto metrów do szklanych drzwi, za którymi nie było widać nikogo. Wieżowiec zdawał się opuszczony.

A jednak John Daniels czuł się obserwowany. Skóra na karku paliła go jak dotknięta pokrzywką.

Zatrzymał się tylko na chwilę, po czym znów ruszył, wymachując białą flagą. Wiatr był teraz silniejszy, wzbijał tumany kłującego śniegu, które kaleczyły mu odsłonięte części twarzy. Fasada drapacza chmur widoczna była tylko do pewnej wysokości, do czwartego piętra. Ale John wiedział – czuł – że w tej chwili od przodu ktoś do niego mierzy.

Plan, który jeszcze parę godzin wcześniej wydawał mu się taki prosty i skuteczny, teraz go przerażał. Zastanawiał się, czy kalkulując ryzyko, właściwie ocenił czynnik ludzki, nieprzewidywalność uzbrojonych ludzi, których miał przed sobą, no i tych za plecami.

Podszedł na niecałe dwadzieścia metrów do ciemnych szyb, kiedy jakiś głos rozkazał mu się zatrzymać.

Posłuchał.

– Rzuć tę szmatę i podnieś ręce do góry! – odezwał się wrzaskiem ten sam głos.

John rzucił na ziemię białą flagę.

– COŚ TY, KURWA, ZA JEDEN?

Johnowi wydawało się, że głos dochodzi do niego z lewej strony, ale przy świszczącym wietrze nie mógł być pewny.

– Nazywam się John Daniels, przychodzę pertraktować. Jestem człowiekiem z Miasta.

Na te słowa dał się słyszeć śmiech.

– Tak? A z jakiego miasta jesteś?

– Nazywamy je po prostu Miastem.

– Co za megalomani. I gdzie niby, kurwa, jest to całe miasto?

– Właśnie tu. Dwadzieścia metrów przede mną.

Głos umilkł na dłużej.

Potem dał się słyszeć odgłos szybkich kroków.

Jakaś postać rzuciła się na Johna z szybkością błyskawicy, przewracając go na ziemię. Potem zaczęła go ciągnąć za nogi po śniegu.

Już po mnie, pomyślał ksiądz, kiedy tak ciągnięto go twarzą w dół w stronę zasypany śnieżnej obok wejścia do Miasta.

Z twarzy spadła mu maska. Siekący śnieg pokaleczył skórę twarzy.

Jeszcze jedna osoba, a później kolejna wyszły z budynku i pomogły koledze przeciągnąć Johna. Śnieg wlaził mu za kołnierz, kamienie i lodowe grudy, po których szorował boleśnie, wstrząsały jego ciałem. Mężczyźni chwycili go i wrzucili za pryzmę śniegu.

Pierwszy cios wylądował na jego policzku. Drugi trafił w jądra, zapierając mu dech.

– Skurwysynu! Ki chuj cię tu przysłał? I twoich współników? Tylko nie kłam! Widzieliśmy ich!

Zbierając myśli, próbując zapanować nad falami bólu przyprawiającymi go o mdłości, John przeanalizował pytanie.

Zauważył, że ten, który wyglądał na szefa, miał noktowizor. Pojął, że kłamstwo na nic się nie zda.

– Jesteśmy ludźmi z Miasta. Z tego miasta.

– Tak? I skąd tu się, kurwa, wzięliście? Dlaczego was nie było w środku?

John pomyślał dłużej nad tym, co ma powiedzieć. W końcu postanowił zaryzykować wszystko.

– Przychodzimy z waszego miasta. Właśnie je zdobyliśmy. Wasi ludzie są naszymi jeńcami.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Pierdolisz.

I żeby nadać tej opinii mocy, zdzielił go pięścią w żebra. Nie z całej siły, ale wystarczająco mocno, żeby ten zgiął się wpół.

John zamknął oczy.

– Spytaj Samuela, czy pierdolę.

Mężczyzna wybałuszył oczy. Dwaj pozostali też spojrzeli na niego jak na niewypał.

– Zdobyliśmy wasze miasto. Wszyscy, których tam zostawiliście, są naszymi jeńcami. – Dostrzegając wściekłość w oczach tamtego, John dodał pośpiesznie: – Wiemy, że nas zaatakowaliście tylko po to, żeby uratować waszych zakładników. Nie chcemy nikomu wyrządzić krzywdy. Chcemy jedynie negocjować.

– Negocjować?

Mężczyzna złapał Johna za klapy kurtki i podniósł jak piórko. Drugą ręką wyjął nóż.

– Ilu moich zabiliście?

– W ataku zginęło dwunastu waszych ludzi. Dziesięciu zabiliśmy my. A dwóch zabiły Stwory Nocy. Wszyscy pozostali żyją– – Stwory Nocy? Chcesz powiedzieć Potwory?

– Tak. One też zaatakowały. Ale później wycofały się. Wasi ludzie są w naszych rękach.

Nóż odsunął się od jego gardła, choć niewiele.

– A teraz ty możesz mi powiedzieć, co się stało z naszym miastem?

Ręka zwolniła uścisk na kołnierzu kurtki. Mężczyzna pokręcił głową. Jego oczy zrobiły się nagle puste i ponure.

– Nie spodziewaliśmy się takiego oporu – powiedział cicho i opuścił głowę.

Walczyli jak Iwy.

Tak powinni napisać na grobach Rządcy i pozostałej piątki broniącej Miasta. Dziesięciokrotnie mniej liczni, z nieporównywalnie gorszą bronią, powstrzymywali napastnika przez prawie dwie godziny, broniąc wstępu do Miasta.

Zginęli bohatersko.

John na ciele Rządcy naliczył siedem ran.

– Wiele razy prosiliśmy, żeby się poddali. Nie chcieliśmy nikogo skrzywdzić.

Ton głosu mężczyzny zmienił się. Johnowi wręcz wydawało się, że to nie ten sam, który go stłukł. Mówił cicho, wskazując różne przedmioty ruchem podbródka.

Na ścianach korytarza prowadzącego do bram Miasta było dużo krwi. To była krew napastników, jak wyjaśnił ich szef, pokazując sześć ciał zawiniętych w czarną folię.

John zamknął oczy Rządcy. Kciukiem zebrał trochę wody przeciekającej przez ścianę i zrobił nią znak krzyża na oczach chłopaka, zgodnie z obrzędem. Potem zrobił to samo na uszach, nosie, ustach, rękach i stopach.

Nawet martwy, Don miał poważną twarz pilnego ucznia.

In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti, extinguatur in te omnis virtus diaboli per impositionem manuum nostrarum, et per invocationem gloriosae et sanctae Dei Genitricis Virginis Mariae, ejusque incltyi Sponsi Joseph, et omnium sanctorum Angelorum, Archangeiorum, Martyrum, Confessorum, Virginum, atque omnium simul Sanctorum.

Amen.

Miał ochotę mu powiedzieć: „Spoczywaj, chłopcze. Zdjęto ci z barków ciężar władzy i odpowiedzialności. Teraz odpocznij. Śpij w pokoju. Niech ci się przyśnią zabawy, których nie miałeś, przyjmij pieśczoły, za którymi tęskniłeś. Cieszę się, że cię poznałem. Kiedyś nadejdzie ten piękny dzień, że się znów spotkamy, w objęciach Pana”.

John Daniels wstał. Zmówił tę samą modlitwę za wszystkich sześciu poległych z miasta Żelaznych Wrót.

Cywilnych ofiar Miasta było dużo więcej. Nikt ich nie zebrał. Leżeli w beładzie, niczym popsute lalki, w okopie obronnym i na wielkim placu za bramami, które zostały wysadzone w powietrze. Policzenie ich nie było możliwe.

Niektórzy zostali rozerwani na kawałki granatami użytymi podczas szturm.

– Musieliśmy się spieszyć – powiedział cicho szef nieprzyjacielskiego oddziału. – Synowie Gniewu zabiją nasze dzieci, jeśli im nie wydamy waszego miasta, tego miejsca, w ciągu pięciu dni. Próbowaliśmy negocjować, ale strzelali do nas.

John poczuł nagle ucisk w piersiach i podniósł wolno oczy ku fortecy z labiryntem, w środku której ukryto dzieci Miasta.

Zamarło mu serce.

Konstrukcja pośrodku fortyfikacji była spalona. Kraty i sztaby pozostawały nienaruszone. Nikt nie zdołał sforsować linii obrony.

Ale nikt nie był też w stanie wyjść.

– Nie wiedzieliśmy, że w środku są dzieci. Strzeliliśmy, a ten pierdolony barak się zapalił.

John upadł na kolana. Był jak przygnięciony głazem do ziemi. Poczł, że łyzy kreślą mu twarz, poczuł ich smak w spierzchniętych ustach. Oczy zasły mu mgłą, a ruiny dziecięcego schronu odzyskały nienaruszony kształt.

Przypomniął sobie głos Daria, chłopczyka, który zagadnął go o *Kazanie na Górze*. Inteligentne oczy Isaaca. Skupienie, z jakim dzieci słuchały jego opowieści, ich główki zwrócone ku niemu, piękne jak niegdyś pole słoneczników.

Po chwili powrócił widok ruin: zgłiszczy ziejących przerażającym smrodem śmierci.

– Gdzie są pozostali? – spytał ledwo słyszalnym głosem.

– Zamknęliśmy ich tam – wskazał szef napastników.

– Zaprowadźcie mnie do nich.

Ci z Miasta, którzy ocaleli, zostali zamknięci w zaimprovizowanym ogrodzeniu, którego pilnowało trzech mężczyzn z karabinami maszynowymi. Było ich góra dwadzieścioro. Nikt z nich nie wyglądał na rannego, ale leżeli na ziemi jak zepsute zabawki, z nieobecnym spojrzeniem, z pustką w myślach.

Pośród bladych twarzy wybijała się jedna ciemna – Isaaca naukowca. John na jego widok poczuł ulgę. Okulary kompletnie mu się rozleciały, ale on nie wydawał się tego świadom. Prawe szkło było na swoim miejscu, a lewe wisiało popękane na zwisającym z ucha zauszniku. Wyglądało na to, że chłopiec jest w głębokiej katatonii.

John położył ręce na ogrodzeniu zbudowanym z metalowych elementów oderwanych w labiryncie, który miał chronić kryjówkę dzieci.

Nie znał na tyle mieszkańców Miasta, aby rozpoznać każdego po imieniu. Normalny wzrok miał od niedawna.

Wcześniej odbierał ich jako zamazane sylwetki w otoczce aury. Ale przecież aura jest zmienna i pozwala zidentyfikować nie tyle osobę, ile jej stan ducha.

Jeńcy podnieśli głowy. By je po chwili opuścić, bez reakcji. Potulni jak stado owiec.

– Chcę rozmawiać z waszym szefem – powiedział cicho John do mężczyzny z miasta Żelaznych Wrót, nie spuszczać wzroku z więźniów.

– Naszym szefem jest Samuel.

John odwrócił się, by stanąć twarzą w twarz z komendantem napastników. Był to wielki mężczyzna o kanciastych rysach twarzy. Oczy zdradzały żywą inteligencję, ale i wielką determinację.

– Ja nazywam się John Daniels. Jestem księdzem Kościoła katolickiego. Tamten się skrzywił.

– Moje nazwisko Sergio Crismani. I w ni chuja już nie wierzę.

John otarł twarz grzbietem dłoni.

– To, w co wierzysz lub nie, jest twoim problemem – odparował twardo. – Rabin Samuel jest naszym jeńcem. Kto jest po nim?

– Technicznie ja.

– To mamy do pogadania.

14 | Zaszachowani

Siedzieli w biurze Rządcy. Małe zdjęcie Mamy ginęło w ogromnej barokowej ramie. Patrzyła, jakby nie widziała tych nieoczekiwanych gości, którzy nie zwracali na nią żadnej uwagi. To zdjęcie było ważne tylko dla Dona. A Dona już nie było.

Sergio Crismani napełnił do połowy dwie szklanki z jakiejś butelki. To był najcenniejszy skarb Rządcy, cud, który pokazywał, żeby zaimponować gościom. Wewnątrz butelki, której strzegł jak relikwii, znajdowała się gruszka.

Autentyczna gruszka. Jak znalazła się w butelce, było tajemnicą. Ale tak doskonale zachowany w przejrzystym trunku owoc, zupełnie nienaruszony, był prawdziwym cudem.

Może to była ostatnia gruszka na powierzchni ziemi. A może wręcz ostatni zachowany owoc. Teraz wystawiona w połowie na kontakt z powietrzem, przez które szernieje i zgnije.

John nawet nie tknął swojej grappy.

Zapach ze szklanki był cierpki, metaliczny.

– Sytuacja ma się tak – zaczął, odchrząknawszy. – Każdy z nas jest w niewłaściwym miejscu: wy w naszym mieście, a my w waszym. Jedyni, którzy zostali u siebie, to jeńcy. Ten stan rzeczy zaprowadzi nas donikąd – dokończył, splatając palce i czekając na odpowiedź. Po raz drugi tego dnia poruszał temat pata. Ale tym razem dramatyczność sytuacji była o wiele bardziej oczywista.

Crismani długim łykiem opróżnił szklanę. Sapnął z zadowoleniem i udzielił księdzu odpowiedzi, uśmiechając się pogardliwie: – Was jest mało, nas jest dużo. I jesteśmy lepiej uzbrojeni.

John pokiwał głową.

– Zgadza się. Ale my mamy więcej zakładników. A przede wszystkim mamy wasze dzieci.

Nienawidził się za to, co powiedział. Ale nie miał wyboru.

Crismani nic nie odpowiedział.

Siedzieli naprzeciwko siebie, na dwóch krzesłach nie do pary. Za Johnem stało trzech uzbrojonych ludzi.

– Zdaje się, że nie ma tu zwycięzców, tylko sami zwyciężeni – stwierdził rozmówca.

– Na to wygląda.

Tamten zastanawiał się długo, masując sobie podbródek z wielodniowym zarostem. Wreszcie powiedział: – Nie sądzę, żeby twoim przyjaciołom sprawiło przyjemność układanie się z nami. Nie po tym, co się stało z ich dziećmi.

– Tak, to jest problem. Teraz spytam cię o jedną rzecz, ale chcę szczerą odpowiedź. Czy to naprawdę był wypadek?

Sergio rozłożył ramiona. Wskazał podbródkiem na dymiące jeszcze w głębi Miasta zgliszcza.

– Ktoś zaczął do nas strzelać z tego baraku. Odpowiedzieliśmy lekką bronią. Ale to wystarczyło, żeby wszystko stanęło w płomieniach. Nie wiem, kurwa, co tam trzymali w środku: piecyk gazowy czy benzynę. Spaliło się to w jednej chwili.

A my nie mogliśmy nic zrobić. Słysząc było krzyki, ale kto mógł tam dotrzeć? Nawet teraz nie dajemy rady. Musielibyśmy mieć palniki i parę dni na robotę.

Chwilę siedzieli w milczeniu.

– Nie chcieliście im zrobić krzywdy.

- Nie – potwierdził Sergio.
- Próbowaliście ich ratować.
- Nie było takiej możliwości...
- Ale zrobilibyście to, gdybyście mogli?
- Tak. Przysięgam ci. Tak.

John wstał.

- Muszę porozmawiać z pozostałymi. Wrócę za godzinę, albo i mniej.
- A skąd wiesz, że cię wypuszczę?
- Stąd, że nie jesteś głupcem.

Kiedy John oddalał się od wejścia do Miasta, sytuacja wyglądała diametralnie inaczej, niż kiedy tu przychodził: teraz w jego plecy wycelowana była broń Sergia i jego ludzi.

Ale gdyby ktoś strzelił, efekt byłby taki sam, pomyślał John. Zrobiliby ze mnie gulasz.

A jednak nie odczuwał strachu. Czuł jakąś wielką pogodę ducha, choć nie wiedział, skąd się ona bierze.

Szybkim krokiem szedł w stronę wycelowanych karabinów miasta. Zły wiatr smagał go, próbując rzucić na ziemię, niczym kapryśne dziecko zabawkę, którą się znudziło.

John nie zwracał na to uwagi i z determinacją szedł dalej.

Pierwsze, co zobaczył, to snajperski karabin, z którego Wagant celował do niego. Szef zwiadowców powoli opuścił lufę.

– Nieźle zabawieś. Myśleliśmy, że już po tobie. Co tam się stało? Jak moi ludzie?

Chłopak wrzeszczał, żeby przekrzyczeć hulający wiatr.

- Don nie żyje.
- Co mówisz?
- Don nie żyje!

Pod maską przeciwgazową nie można było dojrzeć wyrazu twarzy Waganta. Ale jego ciało zdradziło przeżywane emocje: opadły mu ramiona.

Lufa karabinu zniknęła w śniegu.

– Nie żyje? – wybełkotał z niedowierzaniem.

– Walczyli jak Iwy.

– Ilu nie żyje?

John milczał.

– ILU NIE ŻYJE? – wrzasnął Wagant.

– Wielu. Dzieci...

– Co się stało dzieciom?

John pokręcił głową.

– Nie żyją.

– Ile?

– Wszystkie.

Wagant stał nieruchomo jak posąg.

– To był wypadek – wyszeptał John.

Tamten zdawał się go nie słyszeć.

Stanął o krok dalej, w śniegu. Jego plecami wstrząsały drgawki.

– Skurwysyny – wycedził. I powtórzył: – Skurwysyny. – Po czym zwrócił się do Johna: – Ilu ich jest?

– Nie w tym rzecz.

– Mów, ilu ich jest!

– Zbyt wielu.

Wagant spojrzał na niego dziwnie. Jakby go widział po raz pierwszy.

– Dlaczego cię wypuścili? Dlaczego cię nie zabili?

– Wysłali mnie, żebym negocjował.

– Co negocjował?

– Oni mają naszych, my mamy ich ludzi. Wysłali mnie, żeby ci zaproponować wymianę.

Wagant pokręcił głową.

– Żadnej wymiany. Teraz wrócimy do Żelaznych Wrót i ich wszystkich rozstrzelamy. Do ostatniego. Mężczyzn, kobiety, dzieci.

John wypowiedział tylko jedno słowo.

– Nie.

Wagant uderzył go na odlew. Ksiądz wpadł w zaspę. Szef zwiadowców poczekał, aż się podniesie, i znów mu przyłożył.

– Będziesz słuchał moich rozkazów, jasne?

John podniósł się, aż stanął twarzą w twarz z chłopakiem, rozmasowując sobie podbródek.

– Musimy negocjować. Jeżeli chcemy, żeby śmierć tylu osób miała jakiś sens, musimy negocjować.

Wagant zignorował go.

– Idziemy – rzucił do swoich ludzi.

– Mszcząc się niczego nie załatwisz. Zabijesz tylko niewinnych.

– Niewinnych? Żadne z nich nie jest niewinne. Zaatakowali nas bez powodu.

– A my niby co zrobiliśmy?

Wagant odwrócił się gwałtownie z uniesioną pięścią, gotowy do zadania ciosu. Ale zamarł w tym geście, z szeroko otwartymi ze zdumienia oczami i rozwartymi ustami. Oprócz twarzy księdza zobaczył oblicze pięknej dziewczyny o smutnych oczach. Patrzyła na niego z nieodgadnioną miną. Nie była postacią rzeczywistą: zarysy były niewyraźne, jak na źle wywołanym zdjęciu. Jej obraz nakładał się na postać księdza.

Wagant cofnął się o dwa kroki. Wycelował karabin w zjawę.

John, nieświadom niczego, podniósł ręce do góry. Poczul, że śmierć jest blisko. Wyczytał to ze spojrzenia szaleńca.

Zjawa dziewczyny wyciągnęła ręce, odrywając się od ciała Johna Danielsa. Ruszyła w stronę Waganta. Nie płynęła jak widmo. Jej marsz wydawał się rzeczywisty. Tyle że nie pozostawiał śladów na śniegu.

Położyła eteryczne dłonie na ramionach Waganta.

Chłopak upuścił karabin.

W jego myślach pojawił się cień. Najpierw czarny punkcik, który

stopniowo rósł, aż wypełnił wszystko. Na tej czarnej jak aksamit zasłonie wzeszła gwiazda. Zaczęła rosnać, aż stała się małą sylwetką wyłaniającą się z tej ciemności.

To była ta sama dziewczyna. Powoli szła ku niemu, w jego głowie.

Dotarł do niego jej głos, bez dźwięku.

Nie bój się.

Kim jesteś?

Mam na imię Alessia.

Jesteś zjawą?

Nie.

Więc czym?

Nie wiem.

Teraz postać nie miała już w sobie nic efemerycznego. Wydawała się zupełnie materialna w oczach Waganta i ojca Daniela. Tyle że jej stopy nie pozostawiały śladów na śniegu, a ciało nie rzucało cienia.

Miała delikatne rysy i była blada niczym z porcelany. A jej bardzo ciemne oczy błyszczały jak gwiazdy.

Jeżeli jestem duchem, to duchem przyszłości.

Słowa te, niczym magiczne zaklęcie, otworzyły serce Waganta. Przypomniał sobie bajki czytane im przez Mamę w słabym świetle świecy. Ulubioną bajką Waganta była *Opowieść wigilijna* Karola Dickensa.

Skąd dziewczyna duch mogła to wiedzieć?

Nie bój się, powiedział głos w jego głowie.

Nie boję się.

Nie jesteś już dzieckiem. Dorosłeś. Musisz myśleć jak dorosły. Postępować dorośle. Nie dać się prowadzić strachowi.

Nadeszła chwila, żeby uwierzyć w cuda.

W myślach szefa zwiadowców pojawił się plan Miasta. Pośród namiotów i aut zaadaptowanych na szpital połowy kręcili się jacyś obcy. Miasto wyglądało na opuszczone. Po chwili Wagant zobaczył w kącie

około dwudziestu osób siedzących na ziemi i pilnowanych przez trzech strażników.

Rozpoznał ich wszystkich, jednego po drugim. Wielu brakowało w tej grupie jeńców. A później zobaczył coś, co zdjęło go przerażeniem.

Schron dzieci, najświętsze miejsce Miasta, było jedną zwęgloną ruiną. W jakiś sposób docierał do niego również smród popiołu i, jeszcze silniejszy, mdły zapach spalonych ciał.

To był wypadek.

Cicho bądź!

Musisz myśleć o przyszłości. Patrzeć ponad ruinami.

– Ty pierdolona suko! – wrzasnął Wagant, machając rękami.

John i pozostali patrzyli jak wymierza ciosy powietrzu.

Skończyłeś? Alessia już się nie uśmiechała. Była poważna, urażona. Śmierć tych dzieci to twoja wina, a nie tych ludzi.

Nie trzeba było ich zamykać w tak słabym, narażonym na wszystko obiekcie. Zbudowaliście dla nich pułapkę, a nie schron.

Infantylnie myślenie...

– Cicho bądź! – jęknął płacząco Wagant.

Nie. To ty bądź cicho i słuchaj. Jeśli mnie posłuchasz, to dowiesz się, co zrobić, żeby śmierć tych dzieci nie była daremna.

John był zdumiony, widząc jak Wagant porusza bezgłośnie ustami, jakby naśladował rozmowę z kimś niewidzialnym.

John nie widział pomiędzy nimi żadnego ducha; odczuwał jedynie lekkie zawirowania powietrza. Płatki śniegu układały się w tym miejscu w dziwne kształty, jakby zsuwały się po czymś niewidzialnym. Nie oczami, lecz duszą, a może jakimś innym nieznanym zmysłem, skupił widzenie na tym kształcie, jakby łączył punkty w jakiejś rysunkowej grze.

Z mocniejszym biciem serca rozpoznał sylwetkę Alessii. Nie widział jej już od dawna. Poczuł silne emocje, a nawet ukłucie zazdrości, kiedy ręce Alessii spoczęły na ramionach Waganta.

Zjawa dziewczyny i szef zwiadowców pozostali długo w nieruchomej pozycji przypominającej taneczną figurę.

Przepływał między nimi strumień informacji, który John mógł odbierać jedynie jako daleki szum, zimny dźwięk płynącego potoku.

Od czasu do czasu Wagant kręcił głową, niedowierzając temu, co słyszy. Słowa nieżywej dziewczyny otwierały przed nim otchłanie szaleństwa, rysowały przyszłość w barwach beznadziei.

W końcu eteryczne dłonie Alessii oderwały się od nadgarstków chłopaka. Wagant potrząsnął głową, jakby chciał strącić coś z ramion.

John dostrzegł w jego oczach jakieś nowe światło. Piękne i jednocześnie straszne, jak lśnienie ostrza.

Wagant przeszedł przez miejsce, w którym chwilę wcześniej stał duch Alessii.

Stanął przed Johnem Danielsem. Jego ręce drżały. Prawa dłoń ścisnęła rękojeść sztyletu, który nosił za pasem.

- Jak wyjaśnisz coś takiego, księżu? – syknął.
- Nie umiem tego wyjaśnić. Próbuję się przystosować do jej obecności.
- Powiedziała o mnie takie rzeczy, o których nikt nie wie. Nikt.
- Ma szczególne zdolności.
- Tak jak ty. I Mnich. Jej nie mogę zabić, ale wytłumacz mi, dlaczego nie miałbym zabić ciebie albo tego potwora, twojego przyjaciela.
- Możesz to zrobić. Tylko na co ci się to zda?
- Wyzwolę świat od jednej obrzydliwości. A nawet od dwóch.
- Świat jest pełen tego, co nazywasz obrzydliwością.
- Ale dwie mniej to zawsze coś.
- Więc proszę bardzo. Zabij mnie. Z Mnichem nie pójdzie ci już tak łatwo.

Przez chwilę wydawało się, że Wagant naprawdę to zrobi. Ale zwolnił uścisk rękojeści noża. Oczy pod wizjerem maski pozostały nieufne, ale napięcie niezauważalnie się rozluźniło.

Nie bój się, szepnął w głowie Johna głos Alessii.

Łatwo ci mówić. Ty już nie żyjesz.

To nigdy nie jest łatwe. Sgdzisz, że patrzeć na śmierć drugiego to fraszka?

Głos dziewczyny rozplynął się niczym pył z kryształków śniegu, pozostawiając pustkę w sercu Johna.

Wagant wyciągnął lewą rękę. Strącił palcami śnieg z kołnierza kurtki Johna. Był to gest z pozoru niewinny, ale ojciec Daniels zrozumiał jego niewypowiedzianą groźbę.

– Zgoda, księżo. Wracaj do Miasta i powiedz tym mordercom, że zawieramy pokój, ale musimy o tym pogadać osobiście. Powiedz, żeby przysłali emisariuszy, ambasadorów, czy jak ich tam nazwiesz.

– Nie kupią tego.

– Będą musieli.

– A gdzie mają przyjść? Tu?

– Nie. Do Żelaznych Wrót. Mogą skorzystać z tunelu metra jak my. Będą ich eskortować moi zwiadowcy.

– Mogę im zagwarantować, że wrócą żywi?

– Możesz im powiedzieć, że włos im z głowy nie spadnie.

– Niewykluczone, że będą się upierać, żeby spotkać się gdzie indziej. Może w Mieście.

Oczy Waganta znów stały się zimne jak gład.

– Jeśli będą, to powiesz im, że nie są w stanie dyktować warunków. Powiesz, że będziemy zabijać po jednym jeńcu co trzy godziny, zaczynając od jutra w południe. Nie przerywaj mi, Johnie. Jednego co trzy godziny. I zaczniemy od dzieci.

Lodowaty ton głosu chłopaka przeraził go. Miał wrażenie, że stoi przed nim ktoś obcy.

– Nie mówisz poważnie.

– Wyczytaj mi to w myślach – rzucił prowokacyjnie Wagant. – Albo

poproś o to twoją przyjaciółkę ducha. Zobaczysz, że nie żartuję.

Ojciec Daniels spenetrował aurę szefa zwiadowców. To, co stwierdził – prawdziwą eksplozję czerwieni i czerni – przekonało go, że groźba jest realna.

Pokręcił głową.

– Przekażę. Ale nie mogę gwarantować rezultatu. A wy co będziecie robić w tym czasie?

– Wrócimy do Żelaznych Wrót. Pamiętaj, księżu: jutro do południa.

Wagant odwrócił się i ruszył w stronę zejścia do metra.

John patrzył na plecy chłopaka i nie zrobił nic, żeby go zatrzymać. Co miałby powiedzieć? Albo zrobić? Wybór Waganta był absolutnie logiczny. Przecież on sam w rozmowie z Crismanim użył dzieci jako narzędzia szantażu.

Jak długo możesz żyć pośród zła, nie stając się jego częścią?

Nie po raz pierwszy zadawał sobie to pytanie.

I nie po raz ostatni.

15 | Nieprzyjaciele twoich nieprzyjaciół

Dostali się do miasta Żelaznych Wrót od góry.

Podziemne wejście wskazane przez Mnicha zostało na wszelki wypadek wysadzone w powietrze. Gruz i szkło rozrzucone były po całym placu przed dawnym centrum handlowym. Oba posągi Ronniego McDonalda z włókna szklanego leżały zwalone na ziemi.

– Zwariowaliście! – wykrzyknął Crismani na widok tej katastrofy.

– Domyślam się, że teraz obiekt ma większe możliwości obrony – odparował Daniels, obserwując trzech ludzi z Miasta usadowionych za resztkami jednego z posągów. Na głowach mieli metalowe hełmy, a w rękach broń automatyczną zamiast starych myśliwskich strzelb, z którymi szturmowali Żelazne Wrota.

Ksiądz pomachał białą flagą. Zza posągu wyłoniła się sylwetka Waganta.

– Długo wam zeszło. Jest prawie południe.

– Musiałem porozmawiać z moimi ludźmi – odrzekł Crismani.

„Porozmawiać” było eufemizmem, pomyślał Daniels, przypominając sobie najbardziej burzliwe momenty narady wojennej w dawnym biurze Rządcy. Crismani musiał uciec się do wszystkich swoich zdolności perswazji, aby przekonać żołnierzy do negocjowania. Niektórzy nie chcieli o tym nawet słyszeć.

– Zrobiliśmy to, czego żądali od nas Synowie Gniewu. Oddajmy im to pierdolone miasto i zabierajmy się stąd.

Możemy odbić Żelazne Wrota. Mamy przewagę we wszystkim.

– Vittorio, jesteś idiotą – zgasił go Crismani. – Przecież tamci mają zakładników. Wszystkich naszych ludzi. I są do granic wkurwieni tym, co się stało z ich dziećmi.

– I co z tego? Możemy wziąć ludzi z zewnątrz. Uzupełnić straty.

Daniels patrzył z przerażeniem jak inni żołnierze potakują głowami, zgadzając się z tą propozycją. Jakieś dziesięć, dwanaście kiwających głów.

Crismani sięgnął po pistolet, ale wtedy podniosło się co najmniej pięć karabinów. Nie była to otwarta groźba, ale byli gotowi wziąć go na cel.

Mężczyzna przyhamował.

– To jest niesubordynacja.

Vittorio uśmiechnął się. Był wysokim blondynem, o surowych rysach twarzy, niczym posąg, który dopiero zaczęto wykuwać.

– Przecież tylko dyskutujemy.

– Nie ma dyskusji w czasie wojny.

– Wojna się skończyła.

Daniels zastanawiał się, jak długo może potrwać ta wymiana zdań, kiedy Vittorio skoczył jak kot do przodu. W prawej dłoni trzymał wielki nóż z pomalowanym na czarno ostrzem.

Crismani nie spodziewał się tego. Przez chwilę wszyscy byli pewni, że nóż trafi go w bok. Ale on uniknął ciosu, przyklejając się do ściany szybkim ruchem bioder. Vittorio, wciąż z uśmiechem na ustach, próbował znów go ugodzić.

Crismani, bez broni, nie mógł dać sobie z nim rady.

Jeden z żołnierzy, którzy pozostali mu wierni, podniósł karabin, ale ci, którzy otwarcie opowiadali się po stronie Vittoria, rozbroili go.

– Czysta gra! – krzyknął chłopak z wysoko podniesionym czołem, zanim rzucił się do kolejnego ataku.

Tym razem Crismani nie dał się zaskoczyć. Obrócił się wokół własnej osi i podbiegł do przeciwległej ściany pomieszczenia. Vittorio otworzył

usta ze zdziwienia.

Nie łapał, o co chodzi przeciwnikowi.

A riposta go zaskoczyła.

Ostry nóż przeciął powietrze w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą była pierś Crismaniego, ale ten robił właśnie cztery kroki na ścianie i po niewiarygodnym salcie lądował nogami na karku Vittoria, powalając go na ziemię.

Rozbroił go jednym kopniakiem i zaczął uderzać pięściami po twarzy i żebrach. *Jak maszyna*, pomyślał John, gdy Crismani bez wytchnienia okładał metodycznie leżące pod nim nieruchomo ciało.

Kiedy skończył, na ciele Vittoria nie było jednego centymetra kwadratowego, który by nie oberwał. Chłopak stracił przytomność.

Sergio Crismani wstał, pozornie bez trudu. Zmierzył wzrokiem wszystkich dookoła.

– Jak mówiłem, podczas wojny się nie dyskutuje. – Jeszcze jeden złośliwy kopniak w żebro przeciwnika i Sergio zwrócił się do swoich żołnierzy: – Ktoś jeszcze ma mi coś do powiedzenia? Nie? Dobrze. To teraz posłuchajcie, co wam powiem.

I słuchajcie uważnie, bo nie będę powtarzał. – Czuł, że przyciągnął całą ich uwagę. – To prawda. Jest nas więcej. I jest prawdą, że nawet my sami moglibyśmy odtworzyć wspólnotę, nawet gdyby ci, co wzięli nasze miasto, mieli zabić wszystkich naszych przyjaciół. Aleja mam powody, żeby nie ufać Synom Gniewu. Wcale nie jestem pewien, że te szuje zadowolą się tym miejscem. Sądzę, że będą chcieli i naszego miasta.

Oświadczenie to zostało przyjęte ogólnym gwarem i stłumionymi okrzykami.

– Ten pan – ciągnął Crismani, wskazując na stojącego u jego boku Johna Daniela – otworzył mi oczy. Nasz wróg to kłamca. Nie możemy ufać Synom Gniewu, zwłaszcza wtedy, gdy wydają się szczerzy i bezinteresowni.

– Dlaczego mówisz...

Crismani wbił wzrok w tego, kto ośmielił się mu przerwać.

– Kto ci pozwolił przerywać? – Ton jego głosu był nadmiernie spokojny.

Tamten napuszył się, zmylony tą uprzejmością.

– Mamy demokrację. Będę przerywał, komu chcę i kiedy chcę – odpowiedział z drwiącym uśmiechem.

Crismani też się uśmiechnął.

– Nie. Nie będziesz.

Jego stopa wystartowała niczym za sprawą potężnej sprężyny i trafiła mężczyznę w tors, katapultując go na ścianę.

Odbił się od niej i osunął bezwładnie na ziemię, obok ciała Vittoria.

– Ktoś jeszcze ma zamiar mi przerywać? – zapytał Crismani, wodząc wzrokiem po twarzach stojących wokół niego mężczyzn.

Cisza.

Spuszczone głowy.

– Zanim mi przerwano, i mam nadzieję, że to było naprawdę ostatni raz, mówiłem, że nie możemy ufać Synom Gniewu...

To samo mówił teraz do niego Wagant w podziemnym parkingu miasta Żelaznych Wrót.

– Nie możemy ufać Synom Gniewu. Napuścili was na nasze Miasto, zmusili do ataku na nas, bo potrzebują tego miejsca.

– Ale dlaczego? – spytał Crismani. – Ich twierdza jest nie do zdobycia. Kontrolują dawny dworzec centralny i tereny wokół w promieniu dwóch kilometrów. Co im przyjdzie z tak niewielkiego i oddalonego obiektu jak wasz?

Wagant podniósł rękę. W uroczystym, wyważonym geście. Podobał mu się dowódca nieprzyjacielskich sił.

Gdyby wiedział, do czego jest zdolny, pomyślał John, spodobałby mu się jeszcze bardziej.

Przypuszczalnie to właśnie sprawowane przez obu dowództwo nadawało im podobnych cech i powodowało podobne zachowania. W sposobie wysławiania się i postępowania wydawali się jak bracia.

Oczy Waganta sposepniały.

– Ja wiem, na co im nasze miasta.

Crismani spojrzął na niego sceptycznie.

– A skąd ty to niby wiesz?

Taka jedna zjawia mi powiedziała, chciałby odpowiedzieć Wagant. Ale szczerłość nie wydawała mu się teraz rozsądnym wyborem.

– Mamy swoich informatorów – odrzekł.

Crismani podniósł brwi.

– Informatorów? Chcesz mi powiedzieć, że udało się wam wprowadzić kogoś do środowiska Synów Gniewu? I ci informatorzy powiedzieli wam, czego oni chcą naprawdę?

– Tak. Chcą naszych miast właśnie dlatego, że są z dala od centrum.

– To nie ma sensu.

– A jednak ma. Wiesz, co to jest bomba atomowa?

Znalazłeś to, czego szukałeś, odezwał się głos Alessii w myślach Johna.

Drogo za to zapłaciłem. Stałem się siewcą śmierci.

Każda istota ludzka nim jest. Ty odpowiadasz na wyzwanie wyższego rzędu.

To mnie nie pociesza. Spójrz, co zrobiłem.

To nie ty.

Nie jestem pewien.

Synowie Gniewu są jednak większym złem od tego, co w twoim przekonaniu spowodowałaś swoimi czynami.

I co jeszcze w przyszłości spowoduję?

Tak.

Kiedy Wagant skończył mówić, Sergio przez chwilę milczał. Wydawało się, że jest niezdolny do jakiegokolwiek działania.

Potem podniósł głowę.

– Już po nas.

– Nie.

– Nie? Naprawdę uważasz, że jesteśmy w stanie przeszkodzić tym łajdakom w wykonaniu ich planu?

– Myślę, że tak – wtrącił się John. I wyłożył to, co układało mu się w głowie.

To był szalony plan. Ale właśnie dlatego, że był szalony, miał szansę się powieść.

Nikt nie mógł spodziewać się czegoś podobnego.

Po wszystkim Sergio wstał i podał mu rękę. Potem uścisnął dłoń Waganta.

– Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Tak to się mówi?

– Tak – odrzekł John z uśmiechem.

– Cokolwiek się wydarzy, warto spróbować. A teraz dajmy sobie czas na opłakiwanie naszych zmarłych – podsumował Wagant. – I postarajmy się, żeby nie było ich więcej.

Potrzeba było prawie dwóch dni na zorganizowanie wszystkiego. Z pewnym wahaniem na samym początku żołnierze z obu miast stworzyli mieszane patrole. Otworzyły się magazyny Żelaznych Wrót, by dostarczyć broni i amunicji, które wystarczyłyby dla trzykrotnie liczniejszego wojska.

Wagant był wreszcie w swoim żywiole. On i Daniela podjęli się wyszkolenia rekrutów. Prawie nikt spośród zwiadowców nie miał doświadczenia z bronią automatyczną, podczas gdy żołnierze Żelaznych Wrót byli słabo wyszkoleni i jeszcze mniej zdyscyplinowani.

To miało być nieprawdopodobne zadanie.

Waganta ekscytował dokładnie taki rodzaj wyzwań.

Wymiana jeńców była wzruszającym momentem. Ucałowania, łzy. Ale po łzach nastąpił śmiech, przyszła radość z odnalezienia ukochanych osób wśród żywych.

Nie było czasu na ceremonie. I Wagant słusznie uznał, że ludzie z Żelaznych Wrót nie zrozumieliby obrzędów Ofiarowania. I tak, każdy pochował swoich zmarłych we własnym mieście, w pośpiechu i bez ceremonii. Dawne rozbudowane ceremoniały pogrzebowe zastąpił płacz rodzin i przyjaciół.

Tylko ojciec John modlił się w myślach za zmarłych. Trzymał się na uboczu. Uznał, że byłoby niestosowne zbliżyć się do osób, które opłakiwały swoich bliskich. *Gdybym tu nie przyszedł, oni wciąż by żyli.*

Płóciennie tobołki z martwymi dziećmi były małe. Spalone ciało się kurczy, wraca do pozycji embrionalnej, jak w maczycznym łonie. John nie chciał nawet myśleć o tym, w jakim stanie muszą być te małe zwęglone ciała.

Postępuj tak, aby ich poświęcenie nie poszło na marne, szepnął głos w jego głowie. To nie była Alessia. To był Mnich.

Nazywasz to poświęceniem?, warknął wściekle Daniels. Nazywasz to „poświęceniem”? To była bezsensowna masakra.

Nie możesz mówić, że to nie miało sensu. To pokaże Czas. Tylko jutro powie nam, czy tak wiele śmierci miało sens czy nie.

Czyli że nawet ty nie wiesz?

Tak. Mogę zasymulować przyszłość, a nawet w pewnej mierze przewidzieć ją, ale w tej chwili jest tak dużo zmiennych, że moje prognozy mogą się okazać bardzo dalekie od rzeczywistości.

Jesteś jak szachista, który nie sięga myślą poza kolejny ruch.

Powiedziałbym poza kolejne trzy, cztery ruchy. Dalej jest już mrok.

Pocieszające. Nie sądzisz, że powinienem to powiedzieć tym, którzy mają właśnie narazić własne życie?

To twoja decyzja. Tylko od ciebie zależy, czy to zrobisz, czy nie.

Dziękuję za pomoc.

Głos Mnicha zabrzczał jak owad, zanim ucichł.

John spojrział na ziemię pomieszana ze śniegiem, rzucaną łopatom na

płytki grób ze zmarłymi z Miasta. Z nieba też padał śnieg, przykrywając wszystko szarym całunem.

Wagant tulił do siebie dziecko.

To był Mika.

Nie był z innymi dziećmi w chwili ataku. Wykradł się na zewnątrz, żeby pobuszować po wyższych piętrach Miasta.

Dzięki temu przeżył. Jego siostra nie miała tyle szczęścia. Albachiara, przypominał sobie Daniels. Śliczne dziecko. Teraz była jednym z tobołków leżących na ziemi.

John poczuł na sobie wzrok Waganta.

Chłopak ścisnął plecy Miki, jakby chciał mu przeszkodzić w ucieczce. U jego boku stał Isaac w nowych okularach.

Wśród bogactw Żelaznych Wrót był przecież sklep optyczny. Skorzystało z tego kilkanaścioro mieszkańców Miasta.

Na grób spadła ostatnia łopata ziemi. Resztę mieli zrobić zwiadowcy, kiedy już ludzie wrócą w bezpieczne mury Miasta.

Wagant szepnął coś Mice na ucho i go puścił. Podszedł do Johna.

– Nie sądz, że o tym nie pomyślałem.

– O czym? – spytał Daniels.

– Że mogłeś coś powiedzieć. Wiesz, w stylu tych waszych dawnych ceremonii.

– Msza żałobna?

Wagant skinął głową.

– Ale potem odpuściłem. Nie ma na to czasu. Musimy myśleć o jutrze.

– Ja i tak się modliłem.

– Nie interesuje mnie to – uciął chłopak. I patrząc Danielsowi w oczy, zapytał: – Pójdiesz z nami?

– Oczywiście.

– Nie zostanie tu prawie nikt. Znaczący nikt, żeby bronić Miasta.

– Wiem.

– Zostawimy tu jedynie chorych i inwalidów. Jeśli wszystko pójdzie gładko, wrócimy po nich. Jeśli nie...

– Będą musieli sobie poradzić-dokończył Daniels.

– Właśnie.

– Dlatego chciałeś, żebym został? Żeby zająć się nimi, gdyby coś nie wyszło?

– Coś w tym rodzaju.

John pokręcił głową.

– To jest moja wojna. Nie mogę zostać z tyłu. Nigdy ci nie powiedziałem, dlaczego to takie ważne, żebym odzyskał tę bombę.

– Jeśli o to chodzi, to nie powiedziałeś mi nawet, jak ją zdobyłeś.

– To długa historia.

– Spróbuj ją streścić.

– Akurat teraz?

– Jeśli nie teraz, to kiedy? Za godzinę mam spotkanie z rabinem z Żelaznych Wrót. Muszę mu wyjaśnić, dlaczego nasza ekspedycja jest taka ważna. Więc opowiedz mi wszystko, z łaski swojej. Przygotuj mnie na to spotkanie.

Wracali w smrodzie spalenizny i śmierci, który wisiał nad wszystkim niczym zły duch.

Na zewnątrz została tylko grupa wolontariuszy, która miała zasypać do końca zbiorową mogiłę i przykryć ją dla ochrony kamieniami.

– Wejdźmy do mnie na górę, o ile czujesz się na siłach – zaproponował Wagant.

Siedząc na kanapie i wdychając zapach kurzu, który gryzł w oczy i nos, Daniels opowiedział Wagantowi historię swojej podróży z Rzymu do Wenecji.

– Czyli ten kardynał Albani, który cię wysłał do Wenecji, grał na dwa fronty?

– A nawet na trzy – odrzekł Daniels z uśmiechem. – Mnie powiedział,

że mam odnaleźć Patriarchę Wenecji, aby umożliwić mu zwołanie ważnego konklawe.

– A co to niby jest?

– To zgromadzenie kardynałów, które musi wybrać papieża. Odkąd zginął ostatni papież podczas Wielkiej Zagłady, tron Stolicy Apostolskiej pozostaje pusty. To znaczy, że nie ma żadnego papieża. Albani słyszał różne plotki na temat jakiegoś Patriarchy urzędującego rzekomo w Wenecji. Gdyby udało mu się sprowadzić go do Świętego Kaliksta, mógłby zwołać konklawe i wybrać nowego papieża. Siebie samego, rzecz jasna.

– Rozumiem.

– Natomiast radzie zarządzającej katakumbami Świętego Kaliksta Albani dał do zrozumienia, że celem wyprawy jest odnalezienie i przywiezienie do Rzymu skarbu Świętego Marka. Zaś kapitanowi Durandowi i jego szwajcarskim gwardzistom opowiedział jeszcze inną historię. Jednak prawdziwym celem wyprawy, jak w końcu udało mi się odkryć, było wysadzenie w powietrze Wenecji razem z Patriarchą.

– Którym był Potwór, jak mówisz.

– Można go i tak nazwać. Ale to była nadzwyczajna istota. Wzbudzała podziw, i jednocześnie strach.

– Jak Mnich.

– Tak. Do tego stopnia, że czasem...

– Dokończ zdanie, Johnie.

– Czasem miałem wrażenie, że Mnich i Patriarcha to jedna i ta sama osoba... Ten sam stwór, jeżeli wolisz to określenie.

– Ale powiedziałaś, że Patriarcha zginął.

– Nie zawsze łatwo jest pojąć różnicę między życiem a śmiercią w przypadku tych... stworów. Tak, wiem, co chcesz powiedzieć: jeżeli strzelisz i leży nieruchomo na ziemi, a ty dla pewności wpakujesz mu jeszcze kulkę w łeb, to znaczy, że nie żyje. Ale z Patriarchą tak nie było. I domyślałam się, że z Mnichem jest podobna sprawa. Albo z....

– Z dziewczyną duchem?

– Z Alessią. Tak. Trudno powiedzieć, czy jest żywa, czy martwa. Mówi do mnie. Widzę ją. Może wejść w moje myśli.

A przecież umarła dawno temu. Na długo przed Wielką Zagładą. I takie istoty jak ona zamieszkują Wenecję wraz z żywymi, jakby to było normalne.

– Twoja religia jest w stanie wytłumaczyć coś takiego?

– Zmartwychwstanie ciała jest jednym z dogmatów Kościoła. Ale niezupełnie takie zmartwychwstanie.

Wagant podniósł do ust butelkę z grappą, którą zabrał z biura Dona. Była już prawie pusta. Crismani nieźle się postarał. W zetknięciu z powietrzem gruszka szybko zmieniała kolor. Miejscami już szerniała. Dni tego cudu były policzone.

Chłopak pociągnął długi łyk i podał butelkę Danielsowi.

Ksiądz pokręcił głową. Nie podobała mu się woń wydobywająca się z tej butelki. Domyślał się, że to politura.

Przypomniał sobie pewną kolację w Nowym Watykanie. Było to w dniu, w którym kardynał Albani zakomunikował mu nominację na przewodniczącego Kongregacji Nauki Wiary, takiego ciała w Kościele, które w odległym 1452 roku, pod pierwotną nazwą Świętej Kongregacji Rzymskiej i Powszechnej Inkwizycji, zajęło miejsce ponurej inkwizycji średniowiecznej, zachowując jej cele: bronić czystości wiary i dusić w zarodku herezje. W katakumbach Świętego Kaliksta Kongregacja składała się z jednej osoby, ale nominacja – według kardynała – zasługiwała na uczczenie.

O ile kolacja nie była niczym specjalnym, nie można powiedzieć tego samego o chwili, w której Albani, z uśmiechem dziecka na ustach, wyjął z szafy butelkę i dwa kieliszki.

– Musi ksiądz bezwzględnie skosztować – rzekł, pokazując Johnowi butelkę.

Daniels spojrział na etykietę.

II Pirus di Non ino.

Było to półprzezroczyste zdjęcie gruszki, która przez złudzenie optyczne zdawała się pływać w trunku.

– *Pirus* znaczy gruszka w dialekcie Friuli – wyjaśnił kardynał. – Właśnie we Friuli rodzina Nonino wytwarzała fantastyczną grappę. A to jest ich wódka z gruszek Williams. Bardzo limitowana seria, niezwykle cenna. Proszę skosztować.

John podniósł kieliszek do ust.

Aromat ponaddwudziestoletniego trunku był cudowny. Zamykając oczy, mógł sobie wyobrazić, że świat wcale się nie zmienił i że takie cenne rzeczy jak świeże owoce i zapach kwiatów nie zniknęły na zawsze z powierzchni planety.

Była w tym trunku poezja.

1 magia.

A teraz, siedząc w schronie Waganta i wspominając tamtą chwilę, odkrył coś jeszcze. Pewną naukę, może załazek przypowieści. Wspomnienie tamtej butelki, na której widniał jedynie obrazek gruszki, odkrywało przed nim istotę tego owocu o wiele pełniej niż ta marna, stojąca przed nim gorzała, w której tkwił prawdziwy owoc, ale która nie ewokowała ani jego smaku, ani wspomnienia.

Odłożył tę myśl z uśmiechem na inny dzień i kontynuował swoją opowieść.

– Po przybyciu do Wenecji zorientowałem się, że misja Duranda polegała na zdetonowaniu bomby, o której przedtem nic mi nie powiedział. Jego plan nie powiódł się. Nie dał rady wysadzić miasta w powietrze. A ja opuściłem Wenecję, ciągnąc za sobą bombę na saniach.

Wagant pokręcił z niedowierzaniem głową.

– I zrobiłeś to na piechotę.

– W tym niemożliwym przedsięwzięciu pomogły mi zdolności, które

otrzymałem od Patriarchy.

– A później Synowie Gniewu ukradli ci bombę. I ty teraz zamierzasz ją odzyskać i kontynuować podróż do Rzymu. Żeby wysadzić w powietrze kardynała Albaniego i wszystkich innych złych.

– Tak-odpowiedział po prostu Daniels.

Nie padał śnieg. Z okien ostatniego piętra komuś sprzed Zagłady pejzaż wydałby się zupełnie normalny: śnieg jak okiem sięgnąć, pod szarym niebem. Ale to, co wydawało się wzgórzami, było w rzeczywistości całymi zburzonymi osiedlami, a z nieba spływało śmiertelne promieniowanie.

Daniels powiedział wcześniej Wagantowi, że jego zdaniem nieroztropnością jest przebywanie w dzień na ostatnim piętrze wieżowca. Chłopak odpowiedział wzruszeniem ramion.

– Nikt nie żyje wiecznie. To jest dobre miejsce na rozmowę – odrzekł, otwierając szeroko drzwi swojego azylu po męczącej, niekończącej się wspinaczce.

Teraz siedział w milczeniu, jakby przeżuwał słowa Johna. Sądząc z wyrazu twarzy, nie przypadły mu do gustu.

– Ty też nie jesteś za normalny. Przybywasz tu jako ślepiec, a później nagle odzyskujesz wzrok... Podróżujesz z martwą dziewczyną...

– Zastanawiasz się, czy i ja nie jestem przypadkiem jednym z tych stworzeń? Nie, nie jestem. A jednak jest we mnie coś z nich. Możesz to nazwać darem. Albo szczepem. Wzięli coś z siebie i mi to przeszczepili. Był taki film dawno temu...

– Jak *Gwiezdne wojny*?

– Tak. Pod tytułem *Obcy: Przebudzenie*. To nie był dobry film. Ostatni, a może przedostatni, z długiej serii filmów.

– *Gwiezdne wojny* też były serią.

– Tak, ale chciałem powiedzieć, że w tym filmie sklonowano po śmierci pewną kobietę, której wszczepiono genom obcej istoty-wyglądała jak człowiek, ale miała też parę dodatkowych zdolności.

– Chyba rozumiem.

– Więc skąd możemy wiedzieć, że nie umarłem i że oni mnie nie odtworzyli, wykorzystując częściowo swój genom?

Wiesz, co to genom, prawda?

Wagant pokiwał głową.

– Czasami czuję się dziwnie – wyszeptał ksiądz. – I sam jestem zaskoczony tym, jak straciłem i odzyskałem wzrok.

– Cały świat jest dziwny-odrzekł Wagant. – Wiesz, ja jeszcze pamiętam te dawne czasy. Cukierki, rowery. Trawę.

Daniels uśmiechnął się.

– Ja też. Niekoniecznie w tej kolejności.

– Nie brakuje ci niczego z tamtych czasów?

– Wielu rzeczy.

– Podaj chociaż jedną.

– Tylko jedną? Cóż, chyba najbardziej brakuje mi muzyki.

Chłopak kiwnął głową.

– Wiesz, trudno jest wierzyć w Boga, jak się patrzy na to, co zostało.

Bruzdy na czole księdza zrobiły się jeszcze głębsze.

– Nie jest łatwo – przyznał.

– Jeńcy... znaczy mieszkańcy zza Żelaznych Wrót... Oni mówią, że ich rabin ma na to wytłumaczenie. No wiesz, na to, że Bóg istnieje, a świat mimo to poszedł się jebać. Mówią, że jest takie coś, co się nazywa *Simun*.

– *Simun* to wiatr.

– Zdaje się, że powiedzieli właśnie *Simun*. Albo coś w tym rodzaju.

John Daniels pokręcił głową.

– Jeżeli rabin ma wytłumaczenie, to i ja chciałbym je usłyszeć.

– Więc chodź ze mną. Właśnie do niego idę.

16 | Cimcum

Rabin Samuel siedział pośrodku kręgu utworzonego z żołnierzy Żelaznych Wrót. Każdy z nich miał strzelbę lub karabin maszynowy na kolanach czy obok odłożony na ziemi.

Wagantowi nie było łatwo przekonać swoich obywateli, żeby pozwolili na chodzenie po Mieście uzbrojonym obcym ludziom. Na początku zdarzały się chwile napięcia i wzajemnej nieufności.

Młodzi żołnierze słuchali w milczeniu tego, co mówił rabin. John przyjrzał im się uważnie. Byli skupieni jak przed nauczycielem w szkole. Od czasu do czasu potakiwali. Tylko niektórzy mieli na głowach jarmułki, tradycyjne nakrycie głowy praktykujących Żydów.

John podszedł bliżej. Obecni spojrzeli na niego nieufnie, ale po chwili znów skoncentrowali się na słuchaniu swojego duchowego przewodnika.

Wagant stał oparty o filar, w słusznej odległości od grupy.

– Rozważcie teraz, co wam powiem – mówił rabin. – W obozie zagłady Bergen– Belsen, na dwa tygodnie przed świętem Pesach w 1942 roku, grupa żydowskich więźniów udała się do Rabbiego Izraela Szapira, rabina Błazowej, by poprosić go o coś, co wtedy wydawało się niewyobrażalne. Zdając sobie sprawę, że może to być ich ostatnie świętowanie Pesach, czyli żydowskiej Paschy, błagali rabina, żeby wyprosił u komendanta obozu, by ten dał im osobno wodę i mąkę, zamiast upieczonego już chleba, i pozwolił na sklecenie prowizorycznego pieca, aby mogli upiec chleb z przaśnego ciasta i uczcić swoje święto. Nie zapominajcie, że ci więźniowie stali już

u wrót śmierci. A jednak chcieli świętować obrzęd zgodnie z przepisami.

John słuchał zafascynowany. Podszedł jeszcze bliżej i usiadł. Dwie osoby przesunęły się, żeby zrobić mu miejsce.

Rabin uśmiechnął się przyjaźnie. I ciągnął: – W swojej naiwności uważali, że Niemcy docenią gospodarcze zalety tego rozwiązania, bo przecież to sami Żydzi mieli zająć się wypiekiem chleba. I tak, osiemdziesięciu Żydów odważnie podpisało się pod petycją i zaniósł ją rabinowi, aby ten przedłożył ją esesmanowi, który był komendantem obozu. Rabin został pobity, ale po jakimś czasie, niespodziewanie, komendant wydał pozwolenie. Mogli zatem przygotować macę. W wigilię Pesach rabin zapowiedział, że po kryjomu odprawi seder w swoim baraku. Trzeba wam wiedzieć, że za coś takiego, gdyby się to wydało, groziła w Bergen– Belsen kara śmierci. A jednak ponad trzysta osób postanowiło podjąć ryzyko i tamtej nocy odprawiło seder.

Samuel zamknął oczy. Kiwał lekko głową w przód i w tył. A potem znów je otworzył.

– W pewnym momencie uroczystości, kiedy rabin doszedł do opowieści o niewoli egipskiej i recytował słowa: *Avadim Hayinu Le'Paraoh be'Mitzrayim... Atah Be'nei Chorin...*, to znaczy „Byliśmy w niewoli u Faraona, a teraz jesteśmy wolnymi ludźmi...”, poczuł, że serca wiernych ogarnia smutek. Wielu się rozplakało. Jakąż wartość mogły mieć te słowa w Bergen– Belsen w 1942 roku?

Samuel przerwał. Popatrzył kolejno na każdego z siedzących wokół niego. Na końcu jego wzrok spoczął na Johnie Danielsie.

Kapłan wzruszył ramionami.

Samuel uśmiechnął się. Spojrzał na swoje zgromadzenie, na ich wychudłe, zdesperowane twarze, i wypowiedział te słowa: – Dlaczego ten seder różni się od wszystkich innych sederów? Nie mamy czterech pucharów wina, by je pobłogosławić, ani stołów zastawionych dobrym jedzeniem, ani drogocennej porcelany. Nie ma dziecka, które zadałoby

cztery tradycyjne pytania, ani ziół do zjedzenia na pamiątkę wyjścia z Egiptu dawno, dawno temu. Nasza maca, spalona, mała, ledwo przypominająca przedwojenne mace, bardziej zwraca naszą uwagę na to, gdzie jesteśmy teraz, niż gdzie byliśmy kiedyś. Tylko gorzkie zioła, *maror*, są w tym roku w obfitości. Ale nawet tutaj, na samym dniu mroku i beznadziei, możemy wspominać wyjście z Egiptu i obchodzić Paschę, czyli jesteśmy prawdziwie wolni. Bo, widzicie, wolność nie zależy od tego, gdzie jesteście, ale od tego kim jesteście.

John Daniels podniósł wzrok. Oczy kilku osób siedzących wokół rabina lśniły od łez.

– Ktoś ma pytania? – zapytał rabin.

John podniósł nieśmiało rękę.

– Może nie pytanie, ale chciałbym coś powiedzieć. – Odchrząknął. – Ze sposobu mówienia, Rabbi, wyczuwam, że pańska wiara jest silna.

Chłopak po prawej stronie odsunął się od niego. To samo zrobiła dziewczyna z wygoloną głową po lewej stronie.

Samuel uśmiechnął się.

– Czasem tak, czasem nie. Mów mi na ty. Służymy jednemu panu.

– Nie wszyscy by się z tym zgodzili.

– Ale my dwaj tak, prawda?

Ojciec Daniels przytaknął.

– Moje pytanie odnosi się do tego, co mówiłeś akurat wtedy, kiedy przyszedłem, zanim jeszcze usiadłem. Do tego, że wiara trwa pomimo trudności. Jest tak wiele zła na świecie, że doprawdy trudno jest wierzyć w dobrego Boga. Mój przyjaciel, który słuchał jednego z twoich kazania...

– To nie są kazania. Myślę o nich raczej jak o przyjacielskich rozmowach. Zapewne chcesz się dowiedzieć czegoś o *cimcum*.

John Daniels uśmiechnął się.

– Ach, tak to brzmiało... *Cimcum*. Tak, rzeczywiście, chciałbym usłyszeć od ciebie właśnie o tym.

Rabin westchnął.

– To nie jest takie proste. Ja sam nie mogę powiedzieć, żebym to do końca rozumiał. A co tu mówić o wyjaśnianiu...

Tym bardziej, że nie ma wiele czasu. Ruszamy za niecałe dwie godziny.

Zaskoczony tą niespodziewaną wieścią John odwrócił się gwałtownie. Wagant wzruszył ramionami z rozbawioną miną.

– Sądziłem, że wiesz – powiedział młody rabin. – Ale widzę, że jest inaczej. Pójdiesz z nami?

– Oczywiście.

– Więc będziemy mieli czas na rozmowę o *cimcum*. A ty może opowiesz mi o paru rzeczach, które słyszałem na twój temat i których jestem bardzo ciekaw.

– Myślę, że to uczciwa wymiana.

– Zobaczymy. Może i tak. Uczciwe wymiany zwykle należą do rzadkości.

Rabin stanął na nogi ze zwinnością, która wprawiała ojca Daniela w zdumienie. Pozostali zrobili to samo.

John był zaskoczony, widząc, że również rabin podnosi z ziemi automat i wojskowy plecak.

Tamten dostrzegł jego spojrzenie.

– Żydzi nauczyli się na własnej skórze, że Bóg istnieje i czasami fatyguje się, żeby nam pomóc, ale też, że lepiej wyjść mu naprzeciw. Krótko mówiąc, nie zasypiać gruszek w popiele. Dlatego kiedy trzeba, umiemy bronić się sami. Nie będzie już więcej Auschwitz.

Zasalutował Danielsowi prześmiewczo i oddalił się.

– Nigdy przedtem nie spotkałem Żydów – skomentował Wagant. Podszedł do Johna z tyłu. Ale to nie tym go zaskoczył. Zmysły kapłana wzmogły się w niewyobrażalny sposób.

– Z tego, co mi powiedzieli, wielu z nich to nie– Żydzi – dodał szef zwiadowców. – To znaczy, nie są nimi z urodzenia, tylko z wyznania. Ale

to twardziele. Potrafią walczyć. Doskonały nabytek dla twojej krucjaty.

Daniels odwrócił się i spojrzał chłopakowi w twarz.

– To nie jest moja kruczata.

– Nie, kurwa, na pewno. Mam tylko nadzieję, że warto. Już straciłem przez to zbyt wielu przyjaciół. Chcę, żeby to wszystko już się skończyło. I żeby skończyło się dobrze. Dobrze dla nas, rzecz jasna.

John nie odpowiedział. Uważał, że nie ma sensu. Nic z tego, co ich czekało, nie zależało od niego – tak to widział.

– Masz pewność, że jesteśmy gotowi?

– To nie ma znaczenia. Dzieci tych ludzi, nawet rabina, są w łapach morderców. Oni są gotowi iść po nie sami. Nie możemy dłużej czekać.

Daniels się wzdrygnął.

– Idziemy – Wagant klepnął go dłonią w ramię. – Czas ruszać w drogę. Wybacz, że nie powiedziałem ci wcześniej, że wyruszamy tak szybko. Przyjmij to jako drobną karę za wszystkie kłopoty, jakich nam przysporzyłeś.

17 | W drodze

Do dworca centralnego można było dojść różnymi drogami. *Ale tylko jedna z nich nie była równoznaczna z samobójstwem*, powtórzył sobie jeszcze raz Wagant. Chociaż powtarzali mu to bez przerwy przez ostatnie godziny, nadal nie był o tym przekonany, patrząc na igłę dozymetru niebezpiecznie zbliżającą się do czerwonego pola.

Zszedł w dół na wpół zawalonym wejściem do stacji Buonarroti, aby znów skorzystać z ochrony, jaką dawała pięciometrowa warstwa ziemi i zbrojonego betonu.

– Pójdziemy wzdłuż linii metra aż do Duomo, a stamtąd skierujemy się ku dworcowi centralnemu – powiedział podczas spotkania poprzedniego wieczoru swoim nowym sprzymierzeńcom Sergio Crismani. – Boję się promieniowania bardziej niż jakichkolwiek wrogów. Jesteśmy dobrze uzbrojeni, ale nie wobec tego zagrożenia.

Ludzie z Miasta pokiwali głowami na te słowa. Sergio, wojskowy przywódca Żelaznych Wrót, wyjaśnił im już złożoność świata, który mieli przed sobą, świata nieznanego, któremu mieli stawić czoło, aby dotrzeć do twierdzy Synów Gniewu.

On i jego adiutanci nie szczędzili szczegółów. Paradoksalnie wydawało się, że jedynym problemem jest dla nich bezpieczne dotarcie do celu. Jakby cała reszta – bitwa i to, co miało nastąpić po niej – była detalem, czystą formalnością do odfajkowania.

– Dlaczego musimy pójść aż do Duomo? – zapytał Wagant

Crismaniego.

– Bo to jest najbezpieczniejsza droga.

– Jak to możliwe? Przecież to musi być najbardziej zatłoczona część miasta. Cała masa niewiadomych. Dużo ludzi oznacza niebezpieczeństwo.

– Dużo ludzi? Kiedyś tak. Ale teraz już nie. Promieniowanie zrobiło swoje. Ci nieliczni, którzy przetrwali, mieszkają pod ziemią.

Licznik promieniowania potwierdzał jego słowa.

Im bardziej zbliżali się do centrum, tym bardziej zabójcze stawało się środowisko. Stacje metra były w coraz większej ruinie. Wyjaśnienie okazało się proste: centrum miasta nie oferowało niczego przydatnego – mnóstwo biur i butików, ale prawie wcale żywności i ani jednego dużego sklepu w rodzaju Bonoli. Centrum zależne było od przedmieść: wraz z upadkiem cywilizacji życie szybko się tu załamało, podczas gdy zdecentralizowane wspólnoty przetrwały. W czasach, kiedy jeszcze wszystko działało, im bardziej zbliżałeś się do centrum, tym większe i lepiej utrzymane były stacje. Teraz zasady się odwróciły. W miarę jak z trudem, krok po kroku, posuwali się naprzód, ku sercu Mediolanu, stacje stawały się coraz nędzniejsze i bardziej ponure. Gruz i brud czyniły je podobnymi do pieczar, do miejsc nieznanym człowiekowi.

Tylko ciała – wiele, bardzo wiele niepogrzebanych ciał – przypominały, że te tunele były niegdyś pulsującymi żyłami miasta. Większość zwłok to były po prostu suche kości w pokrytych pyłem szmatach. I to nie były te najgorsze. Prawdziwe przerażenie budziły zmumifikowane ciała na stacjach mniej narażonych na działanie czynników zewnętrznych. Światło pochodni wydobywało je z mroku, z nicości, niczym z czeluści piekielnych. W pamięci Waganta odcisnął się na zawsze obraz pewnej rodziny: mężczyzny, kobiety i trójki dzieci, skulonych w kącie na stacji Lotto. Obejmowali się, jakby chcieli się nawzajem ochronić. W jaki sposób? Bóg jeden wiedział. Wagant spostrzegł, że Daniels kreśli znak krzyża nad tymi pięcioma zwłokami. Dlaczego właśnie oni spośród setek trupów, na które

się natknęli? Spośród setek, które musieli podeptać, sądząc po przerażających odgłosach wydobywających się spod ich buciorów? Odpowiedź tkwiła pewnie w doskonale zachowanych ciałach tych ludzi, którzy wyglądali, jakby tylko zasnęli. Dopiero przy bliższych oględzinach zauważało się czarne zapadnięte oczodoły i obkurczoną skórę warg obnażającą zęby.

Daniels wciąż pozostawał dla Waganta zagadką. To odzyskanie wzroku było zdumiewające, zwłaszcza że przetrwał tak długo na zewnątrz, o ile jego opowieść uznać za wiarygodną. A Wagant zyskiwał coraz większą pewność, że tak było. Ten człowiek był potężnym sprzymierzeńcem. O ile to w ogóle był człowiek. Jakkolwiek Wagant próbował o tym nie myśleć, zagadka Johna Daniela była z tych, co to odbierają sen. Nie było łatwo działać, a nawet myśleć normalnie w jego obecności. Najbardziej niesamowite dla młodego szefa zwiadowców było to rozdwanie się sylwetki księdza, kiedy nakładała się na nią ta druga postać, niecielesna, ale i nie widmowa: postać pięknej dziewczyny. Jak wtedy, gdy John rozmawiał z rabinem Samuelem. Dziewczyna duch zdawała się słuchać równie uważnie jak ksiądz.

– Pytasz mnie, co to jest *cimcum* – odezwał się rabin i pokręcił głową. – Nie jest to łatwe do wyjaśnienia. Ale żeby choć zbliżyć się do tego pojęcia, moglibyśmy je określić jako obecność Boga pomimo jego nieobecności. Dosłownie znaczy ograniczenie. Dla kabalisty *cimcum* jest ograniczeniem boskiej energii, która tworzy światy: coś jak transformator, który redukuje napięcie prądu elektrycznego do wartości odpowiednio niskiej, aby mogła go wykorzystywać żarówka.

Podobnie boska energia musi być zredukowana, aby mogły z niej korzystać stworzone światy. Kiedyś pewien rabin użył takiego porównania: *cimcum* daje taki sam skutek jak zmniejszenie wzmocnienia dźwięku w wieży stereo. Jeżeli kolumny są dobrej jakości, nie traci się sygnału poprzez ściszenie: ogranicza się jedynie ilość dźwięku odbieranego przez

ludzkie ucho. Na tej samej zasadzie, im mocniejszy jest efekt *cimcum*, tym świat będzie mniej świadomy energii boskiej, która go stworzyła i utrzymuje przy życiu.

Samuel przerwał na chwilę.

– Przytoczyłem ci jego przykład, chociaż nie wiem, na ile jest jasny. Nigdy nie widziałem wieży stereo. Wiem, co to jest, ale nigdy tego nie widziałem.

– Nie, nie, jest bardzo jasny.

Młody rabin kiwnął głową z zadowoleniem.

– Kabaliści znają wiele *cimcumim*, które generują niezliczone ilości światów. Twierdzą, że nasz świat jest ostatnim z nich, wzięwszy pod uwagę, że poziom *cimcum* jest tu tak skrajnie wysoki, że boska energia jest prawie niezauważalna.

Jeszcze jeden poziom *cimcum* wyżej i świat nie mógłby już istnieć. Bo istnienie wymaga łączności, choćby minimalnej, z praźródłem wszystkiego, czyli Stwórcą. Jest jeszcze inny rodzaj *cimcum*, opisany przez wielkiego kabalistę, rabiego Isaaca Lurię, który nazywa je *Ań*, i myślę, że chodzi ci właśnie o to. To jest *cimcum* pierwotne, inne od pozostałych. *Ari*, jak liczba niewymierna n , zmienia nieskończone koło w linię mierzalną. Musisz wyobrazić sobie stan początkowy, sprzed stworzenia, czyste nieskończone światło, w którym nie może istnieć nic. Przed stworzeniem światów Bóg wycofuje całą swoją energię, wytwarzając absolutną próżnię w tym nieskończonym świetle. Dopiero wtedy ze światła otaczającego próżnię Stwórcy wyciąga cienką linię światła, mierzalną, i tą świetlną linią tworzy niezliczoną ilość światów. To jest *cimcum*, które rabbi Luria nazywa *Ari*.

Twarz Samuela rozjaśniła się.

– *Cimcum* nazywane *Ari* to jest sposób, w jaki Bóg tworzy przestrzeń, abyśmy mogli mieć swój świat. Dlatego chowa swoje światło: abyśmy my, stworzone przez niego istoty, mogli dokonywać wolnych wyborów. Ale mimo że ukryty, pozostaje obecny; co więcej, w pewnym sensie jego

nieobecność czyni go jeszcze bardziej obecnym. Wiem, że to brzmi paradoksalnie. Ale nasze ograniczone umysły ludzkie nie mogą nawet marzyć o tym, by nadać skończony sens dziełu Stwórcy. Może jedynym sposobem na przybliżenie *cimcum* zdolnościom interpretacyjnym umysłu ludzkiego jest przypowieść, a w zasadzie przypowieść o przypowieści...

Daniels był zafascynowany słowami rabina, które otwierały przed nim nieznane horyzonty. Przyszła mu na myśl gra video z jego czasów, *Fallout 3*. Nawet kleryk, od czasu do czasu, pozwalał sobie na chwilę rozrywki. A ta gra stała się jego ulubioną. Osadzona była w realiach świata po wojnie atomowej, pełnego mutantów i kanibali, jakby była prawdziwą zapowiedzią nadchodzącej przyszłości. Ale świat z gry był mieszanką przyszłości i lat pięćdziesiątych, z robotami żywcem wyjętymi z filmów klasy B i z piosenkami Billie Holiday jako ścieżką dźwiękową. Pewnego dnia zakończył grę, wyczerpując wszelkie możliwości eksploracji tego wirtualnego świata. Potem dostał od kolegi z seminarium rozszerzenie do tej gry, tak zwane DLC, dodatek do pobrania przez internet zatytułowany *Operacja Anchorage*. John zainstalował go. Gdy tylko uruchomił grę, radiowy sygnał nakazał jego bohaterowi ruszyć w określoną stronę. Tam gdzie jeszcze poprzedniego dnia znajdował się ślepy mur, teraz widniały drzwi. John otworzył je. Za drzwiami były schody, które zaprowadziły go w sam środek kolejnej rozgrywki. Nagle świat, który wydawał się już pozbawiony niespodzianek, stał się na nowo do odkrycia.

DLC zbudowało nowy świat wewnątrz tego znanego. Podobnie słowa rabina z Bonoli otwierały przed jego umysłem niezmiernie przestrzenie.

– Możemy to nazwać przypowieścią o mędrцу i dziecięciu – ciągnął Samuel. – Aby uchwycić jej sens, wyobraź sobie, że jesteś wiekowym mędrcom, który musi nauczyć czegoś swojego bardzo młodego ucznia. Masz mu do przekazania głęboką mądrość, ogromną wiedzę zdobywaną wielkim wysiłkiem poprzez słuchanie od dzieciństwa słów wielkich mędrców, pochłanianie tych wszystkich nauk i trawienie ich dzień po dniu

przez całe lata medytacji w spokojnym miejscu, z dala od wszelkich zmartwień. Dodałeś do tych nauk swoje osobiste przemyślenia, wzbogacone licznymi podróżami i doświadczeniami. W pewnej chwili, na pewnym etapie twojej medytacyjnej historii, nagle otwiera się jakby nowy horyzont: widzisz wszystko z pełną jasnością, wszystkie kawałki zaczynają ci się układać w pełną, jasną i prostą prawdę, prawdę absolutną. Chciałbyś ją przekazać swojemu młodziutkiemu uczniowi. Ale jak masz to zrobić? Twój uczeń żyje w świecie zupełnie innym od twojego, nie ma za sobą żadnego z twoich doświadczeń. Nigdy nie doświadczył głębi zrozumienia, jaką uzyskuje się poprzez całe godziny medytacji nad jednym jedynym tematem. Przelej na niego całą swoją wiedzę, a jedynie przyprawisz go o zawrót głowy i zdezorientujesz. A jednak jest pewien sposób. Pomyśl jeszcze głębiej o pojęciu, które chcesz mu wyjaśnić, jeszcze intensywniej niż kiedykolwiek o nim myślałeś. Spróbuj dotrzeć do jego istoty, do jego jądra. Jednak żeby to zrobić, musisz wykroczyć poza formę, jaką to pojęcie przybrało w tobie, musisz uwolnić je od balastu twoich myśli i twojego doświadczenia, aż zupełnie je obnażysz i oddziolisz jądro, kwintesencję, punkt początkowy. Kiedy już oddziolisz ten punkt, musisz przyjrzeć się światu twojego ucznia, zrozumieć, jak żyje każdego dnia wtedy, kiedy nie siedzi przed tobą, wysłuchując twoich nauk. Musisz spróbować zrozumieć, jak widzi i pojmuje świat, musisz przyjąć jego perspektywę. Tylko wtedy będziesz w stanie pociągnąć jasną linię od samego rdzenia, który wydzieliłeś, do świata twojego ucznia. W tym momencie musisz zdobyć się na wysiłek myślenia jego umysłem. Będziesz próbował znaleźć najlepszy sposób wyjaśnienia mu pojęcia, które dla ciebie jest tak jasne. A za każdym razem, kiedy wyda ci się, że znalazłeś, nie poprzestaniesz na nim i będziesz poszukiwał dalej, aby jeszcze bardziej mu je przybliżyć, jeszcze lepiej wprowadzić do świata ucznia. Ale to nie koniec zadania. Problem w tym, że jakkolwiek byś się nie starał sprowadzić tę ideę do poziomu twojego ucznia, ona pozostanie nadal ideą, a twój uczeń nie żyje w świecie idei.

Żyje w świecie przedmiotów, których może dotknąć, osób, które zna, zdarzeń, z którymi jest oswojony. Zatem musisz uczynić następny krok: musisz wymyślić przypowieść, która ubierze twoją ideę w szaty ze świata znanego twojemu uczniowi.

Wymyślisz historię, którą będzie mógł łatwo zrozumieć i zapamiętać, która będzie miała dla niego praktyczne znaczenie i którą zgłębi bez trudu. Ta przypowieść będzie dla niego przestrzenią, w której będzie mógł wypróbować twoje idee, ale nie jako idee, tylko jako elementy historii, która może zdarzyć się w jego życiu, w jego świecie. Kiedy ty, nauczyciel, myślisz o tej przypowieści, w każdym szczególe pamiętaj o tym, co chcesz przekazać swojemu uczniowi. Dla ciebie nie jest to przypowieść, tylko twoja idea opowiedziana jako historia. Za to dla ucznia to jest historia. I tak ma być, przynajmniej na początku. Później musisz mu zostawić swobodę. Jeżeli jest dobrym uczniem, opowie sobie tę historię wiele razy.

Dojrzewając, zdobywając wiedzę, doświadczenie i mądrość, zacnie rozumieć tę przypowieść, przenikać kolejne warstwy ukrytych w niej znaczeń. Aż, być może po czterdziestu latach poszukiwania prawdy, zrozumie ideę, jak wcześniej jego mistrz. Możemy powiedzieć, że przez cały ten czas mistrz żył w nim.

John poczuł się lekko, maszerując u boku rabina. Młody natchniony głos, który docierał do jego uszu, brzmiał mrocznie z powodu maski przeciwigazowej, ale słowa były czyste jak woda. Oczy Samuela śmiały się spod wizjera, kiedy mówił.

– Co ty, nauczyciel, zrobiłeś? Zastosowałeś *cimcum*. Przy twojej myśli nie byłoby miejsca na myśl ucznia. Wykraczając poza siebie samego, chowając się w cieniu, oddałeś całego siebie. Podobnie Stwórca odkłada na bok swoje nieskończone światło, aby zrobić miejsce na tworzenie. Robi to dla nas, swoich stworzeń. Ale właśnie to puste miejsce, ten brak, świadczą o jego obecności, a w jego miejsce światło błyszczy tak mocno jak przedtem. Oczywiście, że istnieją różnice pomiędzy relacjami mistrz-uczeń

a Bóg-istoty przez niego stworzone. Mistrz ma ucznia, podczas gdy Bóg na początku nie ma nic. Musi sobie ucznia stworzyć. Ty, nauczyciel, dajesz tylko swoją inteligencję, podczas gdy Stwórca daruje istocie siebie samego. Więc jeżeli czujesz się opuszczony, porzucony na pastwę samotności w mroku, zmuszony do podejmowania trudnych decyzji i stawania wobec strasznych wyzwań, kiedy czujesz się zdesperowany i samotny, pomyśl o swoim życiu i o otaczającym cię świecie jak o przypowieści i niczym więcej. W tej przypowieści jest Bóg. A jego obecność objawia się z większą siłą właśnie w najciemniejszych kątach. *W cimcum.*

– Więc to jest *cimcum*? Bóg drążący w sobie pustkę, by przyjąć stworzenie?

– Mniej więcej. W bardzo dużym skrócie. Esencja sedna, jak mawiał pewien włoski piosenkarz sprzed Mroku.

– Tak to nazywacie? „Mrok”?

– A wy nie?

– W Nowym Watykanie mówiliśmy Wielka Zagłada. A gwardziści szwajcarscy nazywali to Fubard: dzień, w którym świat poszedł...

– ...się jebać?

Alessia roześmiała się.

Dla Johna ten śmiech był jak dźwięk drobnych monet sypiących się do kryształowego pucharu.

Dobrze się bawisz?

Bardzo dobrze.

Cieszę się. Gdzie byłeś przez te ostatnie dni?

Jestem bez przerwy tutaj, z tobą.

Nie zauważyłem.

Jesteś ciągle czymś zajęty. Powinieneś bardziej zważać na to, co jest, a mniej na to, co się dzieje.

Chyba nie zrozumiałem.

Widzisz wodę, ale nie widzisz rzeki.

– Jakiej rzeki? – spytał Daniels. Ale śmiech Alessii już zgasł. Jakby mu się tylko przyśnił.

– Jakiej rzeki? – powtórzył jego pytanie Wagant.

John oprzytomniał.

– Tylko głośno myślę.

– Żadnych rzek tu nie ma. Te, co były, płyną teraz pod ziemią. Zostały już dawno zmienione w kanały ściekowe.

– A może są znów czyste.

– Właśnie, nie wiadomo. Dodam jeszcze: a kogo to obchodzi? A teraz włącz czujność, księżo. Wstępujemy na terytorium wroga.

– Skąd wiesz?

Wagant skierował latarkę w głąb tunelu, wskazując kciukiem na jednoznaczny komunikat. Na wyrwanej kracie wejściowej metra wisiała czaszka. Tkwiło w niej dwanaście długich zardzewiałych gwoździ, tworząc przerażającą, obsceniczną aureolę.

Pod tym znakiem ostrzegawczym koślawy napis w języku włoskim głosił: TRZYMAĆ SIĘ Z DALEKA TEREN ZAKAZANY

Pod napisem widniał wiersz znaków chińskich, których nikt z nich nie potrafił odczytać.

Crismani podszedł do nich z czoła kolumny.

– Paskudna sprawa – powiedział cicho. – Nie wiedziałem, że doszli aż tu, do stacji Pagano.

– Doszli? Kto?

– Los Chinos. Obawiam, że mamy kłopoty. Poważne kłopoty.

Obecność Chińczyków w Mediolanie sięgała okresu między 1920 a 1930 rokiem, kiedy nieliczni imigranci z powiatu Wencheng w prowincji Zhejiang sprowadzili się do miasta z Francji w poszukiwaniu nowych rynków zbytu dla swojej ulicznej działalności handlowej. Później, w wyniku przejęcia władzy przez komunistów w Chinach, fala imigrantów z Chin przestała płynąć, by znów wezbrać w 1979 roku. Przed atomową

apokalipsą chińska mniejszość w Mediolanie liczyła – przynajmniej oficjalnie – ponad dziesięć tysięcy mieszkańców, skupionych głównie przy ulicy Paolo Sarpi, nazywaną mediolańskim Chinatown.

Ale nazwa Los Chinos, wyjaśnił Crismani, odzwierciedlała zmianę, jaka zaszła po Wielkiej Zagładzie, kiedy społeczność chińska najpierw starła się, a później zlała w jedno ze społecznością latynoską, która przed kataklizmem ciążyła ku okolicom położonym wokół dworca centralnego. W efekcie tego połączenia powstała najbardziej agresywna miejska grupa etniczna, jaką tylko można sobie wyobrazić. Los Chinos mieli w swoich szeregach więcej Latynosów niż Azjatów, chociaż ich przywódcy kazali się wciąż nazywać po chińsku *laoban*: szefowie. Ekwadorscy członkowie Latin King połączyli się z chińskimi triadami, pozyskując rekrutów z każdej lokalnej mniejszości po trochu: od Filipińczyków po Peruwiańczyków. Kontrolowali stacje metra Moscova, Lanza i Cadorna.

Te skąpe informacje wiele niegdyś kosztowały miasto Żelaznych Wrót – i pieniędzy, i istnień ludzkich. A były dalece niewyczerpujące.

– Nie wiemy, ilu ich jest i gdzie jest ich główna siedziba – dodał Crismani. – Ale to największe skurwysyny w mieście, nie licząc Synów Gniewu. Przymuszalnie zaczęli się rozrastać, chociaż nie rozumiem dlaczego. Pagano i Conciliazione to stacje, w których nic nie ma...

– Są waszymi wrogami?

– Nie. Tak jak ci powiedziałem, nigdy się na nich nie natknęliśmy. Ale skoro nie są niczymi przyjaciółmi, to można śmiało powiedzieć, że naszymi też nie.

– Nie ma sposobu, żeby ich uniknąć? – zapytał Daniels.

Crismani pokręcił głową.

– Weszliśmy na ich teren. To równoznaczne z wypowiedzeniem wojny.

– Kurwa – warknął Wagant.

I zwrócił się do swoich: – Oczy otwarte, dzieciaki. Jesteśmy na terytorium Indian.

Terytorium Indian? Co to znaczy?

Głos Alessii zdradzał dziecięcą ciekawość.

– To wyrażenie, którego się używało w czasach takiej jednej wojny – odpowiedział John zamyślony. – Bardzo dawno temu.

– Co robisz? Mówisz do siebie? – zapytał go Wagant.

John poczerwieniał. I tym razem nie zorientował się, że mówi na głos.

– Trzymaj oczy szeroko otwarte – napomniął go dowódca zwiadowców.

Nie, poprawił się John. *Dowódca Miasta, odkąd nie żyje Rzgdcą.*

- Powiedziałem Danieli, żeby cię osłaniała od tyłu, ale nawet ona nie dokona cudu, jeżeli...

W tym momencie rozpętało się piekło.

Mrok rozdarła kanonada: serie z automatów i pojedyncze strzały rozświetlające krótkimi błyskami ciemne kąty podziemnej stacji. Zza spalonego wagonu metra kładziono ogień zaporowy, równie intensywny, co nieskuteczny.

Żołnierze z obu miast odpowiedzieli na te źle wymierzone strzały dokładnym, skoncentrowanym ogniem. W smugach światła latarek przytroczonych do karabinów burta wagonu pokryła się siatką otworów. Rykoszety uderzały po ścianach, rozpętując burzę tnących odłamków, równie niebezpiecznych jak kule.

– Na boki! Ruszajcie na boki! – rozkazał Wagant, prowadząc osobiście szarżę na prawy bok barykady. W międzyczasie Crismani i dwóch ładowniczych ustawili ciężki karabin maszynowy, którego ogień zaczął demolować wagon i znajdujących się za nim ludzi. Wyglądało to tak, jakby zardzewiały metal ściany wagonu topił się, obnażając dymiącą stertę posiekanego mięsa, która pozostała po napastnikach.

– Przerwać ogień! – rozkazał Crismani. – Przestańcie strzelać!

Powoli, po kilku pojedynczych strzałach, powróciła cisza.

Woń prochu mieszała się z zapachem betonowego pyłu i krwi. Czuć było zwłaszcza krew. Ten pierwotny zapach żelaza.

Wagant dołączył do Crismaniego.

Obejrzeni najpierw mniej zmasakrowane ciała, pochylając się nad każdym z nich, przeszukując kieszenie i sprawdzając wyposażenie.

Trupów było w sumie siedem. W tym koktajlu z mięsa i kości zdołali się ich doliczyć tylko na podstawie rachunku nóg i rąk.

– To nie są Chinos – zawyrokował w końcu Crismani.

– Jesteś pewien?

– No kurwa, nie. Spójrz na pysk tego gnoja.

Wskazał jednego trupa, faceta w średnim wieku, z zaniedbaną siwą brodą i zepsutymi zębami. Pół twarzy miał pomalowane na niebiesko.

– To jeden z Albertów.

– Z Albertów? A co to jest? – spytał John.

– To żołnierska elita tych, którzy każą się nazywać Prawdziwymi Mediolańczykami. Nazywają siebie Albertami od imienia ich legendarnego bohatera.

Crismani podniósł broń trupa.

– To już wiemy, dlaczego tak kiepsko strzelali.

Pistolet wyglądał na automatyczną berettę. Wyglądał, bo musiał być skonstruowany na jej wzór przez jakiegoś domorosłego rusznikarza – zdolnego, ale tylko do pewnego stopnia. Moc i celność – szczególnie moc – nie mogły się w żadnym razie równać z oryginałem.

Wydawało się, że minął wiek, a nie ledwie kilka dni, od chwili gdy Wagant uznałby się za szczęściarza, mogąc dostać w swoje ręce taką broń. Zbrojownia miasta Żelaznych Wrót wyniosła jego wojsko na wyższy poziom.

Teraz grali po prostu w innej lidze.

– Ale Albertów nie powinno tu być – odezwał się jakiś żołnierz z miasta Żelaznych Wrót.

– Zwłaszcza nie na stacji Chinosów – dorzucił inny.

Crismani zastanawiał się dłuższą chwilę.

– Alberci są rasistami, są przekonani, że Mediolan należy do nich. Nigdy nie zbrataliby się z Latynosami i Azjatami.

Wagant się nie odzywał. W zaciśniętej pięści trzymał zakrwawioną kartkę, którą znalazł przy jednym z trupów.

– Może pomogę wam to zrozumieć – dał się słyszeć w ciemności męski głos. – Ale bądźcie łaskawi nie strzelać – dodał po chwili.

W świetle latarek ukazał się chłopak o śniadej cerze, niezbyt wysoki, bardzo szczupły, ale nie wychudzony. To była szczupłość modela, a nie głodującego. Ubrany był elegancko, nawet jego kombinezon przeciwpromienny wyglądał jak produkt krawiecki w porównaniu z tym, co nosili żołnierze obu miast.

Zbliżył się, trzymając ręce założone za głowę. Z przyjaznym uśmiechem, który Wagantowi trącił fałszem. Z ciemnych oczu wyzierało coś zabawnego i jakaś inteligencja.

Dla szefa zwiadowców był jak żywcem wzięty z mangi: azjatyckie oczy, włosy czarne jak smoła, sterczące od żelu niczym kolce jeżozwierza, szelki podtrzymujące sztyblety Jodhpur jak u amazonek.

– Witajcie na terytorium Los Chinos – powiedział z uśmiechem.

Wagant podszedł i go obszukał. Chłopak zgrywał się, udając, że ma łaskotki i że sprawia mu przyjemność dotyk rąk Waganta na intymnych częściach ciała.

– Jest czysty – stwierdził szef zwiadowców, kończąc kontrolę.

– Na pewno czystszy od ciebie – odparował chłopak falsetem.

Wagant zde gustowany pokręcił głową.

Chłopak wyciągnął rękę.

– Marcos Vasquez.

Tylko Sergio Crismani wymienił z nim uścisk dłoni. Ręka chłopaka była sucha i mocna.

– Dziękujemy wam, że uwolniliście nas od tej zarazy. Polowaliśmy na tych nielegalnych informatorów od wielu dni.

– Znaczy, że to nie wasi?

– Żartujesz? To są Alberci.

– Ale są bardzo daleko od swojego terenu – rzucił Crismani. – Wy też, zresztą.

Marcos wzruszył wielokrotnie ramionami.

– No wiesz, w gruncie rzeczy teren Chinosów to cały świat... Jedynymi, którzy tu się wcinają, są Alberci. A wy – dodał mimochodem, z figlarnym uśmiechem na twarzy. – Skąd się państwo wzięliście?

Odpowiedzi udzielił Wagant.

– Z daleka.

I nakazał wzrokiem, by inni nie udzielali mu informacji.

– Rozumiem – zgodził się Marcos.

Wskazał wylot tunelu za swoimi plecami.

– Ostatnio lekko się przemieściliśmy. I nasi sąsiedzi też musieli się przemieścić. Alberci zwykli wieść osiadły tryb życia, ale od czasu do czasu któryś z nich zabłąka się w miejsca, do których nie powinien się zapuszczać. Tak jak ta ekipa.

– A niby dlaczego się przemieszczacie? – zapytał oschle Wagant.

Marcos odwrócił się w jego stronę.

– Mógłbym was spytać o to samo. Ale tego nie zrobię. Tym niemniej ja jestem tylko rzecznikiem, ludzie. Jeśli chcecie posłuchać naszych szefów, możecie pójść za mną do miasta.

Wagant i Crismani wymienili spojrzenia.

Wagant sformułował ich wspólną myśl.

– Musimy dopiero zdecydować, czy pójść z tobą, czy nie.

– Nie macie się czego bać – oburzył się Marco.

Wagant pokręcił głową.

– To sprawa zaufania. Widzisz, przyjacielu, byłbym nawet skłonny uwierzyć w twoją historię o Albertach, którzy pobłądzili, i o waszej wdzięczności za to, że ich wyeliminowaliśmy. Ale jest to.

Otworzył pięść. Wygładził kartkę papieru, żółtą i łamliwą jak każdy papier, który został w obiegu po Wielkiej Zagładzie.

W oczy rzucały się chińskie ideogramy.

Wagant podsunął kartkę pod nos Marcosa Vasqueza.

– Nie wiem, co to według ciebie jest. Z włoskiej części tekstu wynika chyba, że to przepustka Chinos. Dziwna rzecz w kieszeni tych... jak ich nazwałś? „Nielegalnych informatorów”?

Chłopak nic nie odpowiedział. Ograniczył się do wymalowania na twarzy zuchwałego uśmiechu.

Pięść Waganta złamała mu dwa zęby, sprawiając, że nakrył się nogami.

Szef zwiadowców podniósł go za kłapy. Zbliżył swoją twarz na centymetry do twarzy Vasqueza.

– Posłuchaj mnie dobrze, *amigo*. Albo mi powiesz prawdę, albo zrobię ci drugą dziurę w dupie. Na samym środku czoła.

Wyjął pistolet i wymierzył go w oczy tamtego.

Zakrwawione usta Chinosa drżały.

– Więc? – ponaglił go Wagant. – Zdecydujesz się mówić?

– Dobra, dobra! Weź mi ten pistolet z twarzy, *coho*. Okej, okej, to nie byli informatorzy...

– Dalej. To ciekawe, co mówisz.

– Wiedzieliśmy, że nadchodzicie. Poruszacie się jak stado słońi. Musieliśmy wiedzieć, na ile jesteście groźni...

– Więc wykorzystaliście do tego tych frajerów.

– Tak.

– Dobrze. Więc już wiecie.

Wagant puścił kłapy kurtki. Marcos osunął się na ziemię.

– To wy nas napadliście! – zaprotestował, świszcząc powietrzem w szparze między zębami: ta pamiątka zostanie mu na resztę życia. Leczenie stomatologiczne było kolejną sztuką, która przepadła w ogniu Wielkiej Zagłady.

– Możliwe. Zależy od punktu widzenia. Ale to wy zaczęliście do nas strzelać. Wy albo wasze sługusy: bez różnicy.

A teraz prowadź nas do swoich szefów.

Marcos wstał, tamując krew płynącą z rozbitych warg.

– Nie zdajesz sobie sprawy, jaki błąd popełniliście. Nie wiesz, z kim zadarliście.

– Trzęsę się ze strachu – zadrwił Wagant. A strzepując pył z kołnierza eleganckiego kombinezonu Marcosa, szepnął mu na ucho: – Nie kompromituj się już bardziej. Zaprowadź mnie do swoich szefów bez tego pierdolenia, to może zostaniemy przyjaciółmi. Jeden powód do podejrzeń, że coś kombinujesz, a łeb ci odstrzelę. I wsadzę ci go w dupę. Już to robiłem.

Marcos popatrzył na niego z pogardą. Pokręcił głową.

– Idziemy. Zaprowadzę was do *laoban*.

Żołnierze Miasta założyli plecaki.

Vasquez pokręcił głową.

– Nie wszystkich. Co to, kurwa, inwazja? Wybierzcie trzech, czterech z was, nie więcej.

Crismani popatrzył na Waganta. Wymiana spojrzeń była tyle błyskawiczna co elokwentna.

– Pójdziemy we trójkę – odezwał się Wagant. – Ja, Sergio i Daniela.

– Niech będzie czwórka – wtrącił ojciec Daniels.

Nikt się nie sprzeciwił.

Rabin Samuel zrobił krok naprzód.

– Piątka. Ja też chcę iść.

– *Bueno, pues* - odparł zniecierpliwiony Marcos. – Idziemy. Róbcie dokładnie to, co mówię, a nic wam się nie stanie w drodze.

– W drodze – skomentował Crismani. – A później?

Chinos wzruszył ramionami.

– Nie ma sensu teraz o tym mówić.

18 | Czarne Indie

Jako chłopiec John Daniels był zagorzałym czytelnikiem Juliusza Verne'a, francuskiego pisarza z XIX wieku, który wyprzedził swoje czasy, opisując w swoich książkach wiele cudów przyszłego świata, od samolotów po podróże na Księżyc. John przeczytał wszystkie jego powieści, łącznie z tymi mniej popularnymi. Jedną z nich była książka zatytułowana *Czarne Indie*, której akcja toczyła się w szkockiej kopalni węgla.

Ta nazwa, pomyślał John, świetnie pasowałaby do najniższego poziomu stacji *Cadorna*. Ściany i sufit były tu czarne od dymu z fajerek zrobionych z beczek na ropę, które przez dwie dekady stanowiły jedyne źródło ciepła w tym miejscu.

Kiedyś ten przystanek metra obsługiwał znajdująca się nad nią stację kolejową, przez którą przewijało się co roku czterdzieści milionów pasażerów. Takie tłumy były już tylko wspomnieniem przeszłości skazanej, by pozostać jedynie mitem, ale chaos tej wielkiej podziemnej przestrzeni mógł przypominać godzinę szczytu sprzed Wielkiej Zagłady.

Aby dotrzeć do stacji, musieli pokonać trzy blokady i to, co Vasquez nazwał polem minowym. Nie było żadnego dowodu na to, że rzeczywiście szli przez pole minowe, ale wypełnili skrupulatnie instrukcje Chinosa, którego kroki w tunelu wydawały się jakimś tanecznym układem: w lewo, w prawo, naprzód. Dwa kroki w lewo, cztery na wprost.

Dziesięć najdłuższych minut w moim życiu, pomyślał Daniels.

Blokady zorganizowane były bez zarzutu: pięć osób uzbrojonych

w karabin za każdą z barykad zbudowanych ze starych szyn, skrzyżowanych i zespawanych razem, tak że stanowiły doskonałą zaporę, zdolną zatrzymać nosorożca.

W miarę jak zbliżali się do stacji Cadorna, Marcos Vasquez maszerował coraz pewniejszym, wręcz nonszalanckim krokiem. Wartownicy przy pierwszej barykadzie zaszalutowali mu z posłuszeństwem, które Wagantowi dało do myślenia.

Musiał być kimś wśród Los Chinos.

Wagant i Crismani potrafili porozumiewać się bez słów. Spojrzenie, jakie wymienili przed barykadą i wymierzonymi lufami pięciu karabinów, mówiło jasno: *nie dajmy sobie odebrać broni.*

- To ty, Marcos? – zapytał przez megafon jakiś głos w ciemności, gdy tylko wyszli z zakrętu tunelu. Musieli mieć noktowizory.

- Tak, to ja – odpowiedział chłopak.

- A ci za tobą to kto?

- Goście.

- Podejdźcie z rękami w górze. Nie ty, pozostali.

Wagant i Crismani spojrzeli po sobie. Podnieśli ręce i zbliżyli się do barykady. Wycelowane w zaporę latarki ukazywały jej rozproszone szczegóły: sztaby wyglądające jak kły olbrzymiej bestii, betonowe płyty postawione na sztorc i pomalowane na czarno.

- Złóżcie broń, jeżeli chcecie wejść – nakazał ten sam głos.

Crismani pokręcił głową.

- Nie mamy najmniejszego zamiaru.

- Takie są zasady.

- Mam w dupie twoje zasady. Jeżeli chcecie, to możemy ją złożyć, ale najpierw wpakujemy całą amunicję w waszego przyjaciela.

Z tamtej strony barykady zapadła cisza. Po chwili głos zapytał: – Co mamy robić?

- Przepuście ich – odpowiedział Marcos, potwierdzając wątpliwości

Waganta na temat swojego statusu. Jego ton był zbyt niedbały, a rozkaz zbyt szybko wykonany, bez najmniejszej dyskusji.

Kiedyś stanowiska wartownicze miałyby połączenie telefonicznie albo radiowe. Nic z tych rzeczy nie przetrwało Wielkiej Zagłady. Identyczna procedura powtórzyła się więc w kolejnych dwóch punktach kontrolnych, ufortyfikowanych jeszcze lepiej niż pierwszy. Tam również wystarczyło jedno słowo chłopaka, by mogli przejść dalej, nie oddając broni.

Wagant był coraz bardziej nerwowy.

Pierwszymi sygnałami bliskości miasta Chinosów, stacji Cadorna, były zapach i hałas. Pierwszy – przenikliwy smród ekskrementów i dymu – dał się wyczuć, ledwo minęli ostatni posterunek, jeszcze na pół mili przed miastem. Ostatni odcinek tunelu oświetlony był niskonapięciowymi żarówkami rozmieszczonymi w regularnych odstępach, które połączone były zwisającymi kablami. Światło było słabe, ale oczom od dawna przywykłym do ciemności wydawało się wręcz oślepiające.

Ściany tunelu, a miejscami również sklepienie, pokryte były grzybami i mchem. To stąd, a dokładniej z nawozu, na którym rosły, rozchodził się zapach gówna.

– Ugotowane nie śmierdzą – uściślił Marcos niepytany. Ale z tego, jak marszczył nos, widać było, że nie ma o tym jedzeniu wysokiego mniemania.

W miarę jak zbliżali się do źródła hałasu, smród gówna stopniowo ustępował woni dymu. Gryzącego, niezdrowego dymu.

– Nie zawsze łatwo jest znaleźć drewno – wyjaśnił Marcos. – Ropa jest bardziej dostępna.

Wydawał się nieswój. Dziwne. Wagant sądził, że wracając do miasta, facet poczuje się jeszcze pewniej. I to właśnie ta pewność siebie niepokoiła Waganta. Natomiast Marcos wyglądał teraz na wystraszonego spojrzeniami mijanych osób.

Jakby się czuł winny.

Miasto Chinosów rozciągało się wokół opuszczonych peronów. Ściany zostały wydrążone tak, aby powiększyć przestrzeń życiową. Teraz stacja wydawała się olbrzymią pieczarą kipiącą jakąś gorączkową krzątaniną. Było tam coś na kształt targu, z dziesiątkami straganów, na których sprzedawano wszystko: od jedzenia po odzież, od narzędzi po sterty zniszczonych książek, którym Daniels przyglądał się z ciekawością, ale po chwili pokręcił głową, zauważając, że wszystkie są po chińsku.

Ludzie ze straganów przyglądali się z mieszaniną zaciekawienia i nieufności obcym, którzy uzbrojeni kręcili się pośród nich. Większość handlarzy miała azjatyckie rysy twarzy, za to nikt nie wyglądał na Latynosa. Latynoamerykańskie twarze widać było pośród klientów targu i uzbrojonych jedynie w długie metalowe pałki strażników, którzy stali gdzie indziej oparci o filary pokryte kolorowymi plakatami.

Daniela podeszła do jednego z tych jaskrawych posterów. Przedstawiał dziewczynę w stroju kąpielowym wewnątrz jakiegoś dziwnego urządzenia.

– Jeśli chcesz, mogę cię tam zaprowadzić, zrobisz sobie lampkę – powiedział do niej cicho Marcos.

– Nie wiem, czy umiem je robić.

Chinos roześmiał się.

– Och, ty nie będziesz musiała nic robić, *querida*. Będziesz sobie tylko leżeć w łóżeczku.

– A skąd macie energię elektryczną? – zapytał Crismani.

Wagant przerwał im: – Mamy teraz ważniejsze sprawy na głowie. Gdzie są twoi szefowie? Gdzie jest wasz rządca?

– „Rządca”? A co to takiego? My mamy króla.

– Myślałem, że twoi szefowie nazywają się *laoban*.

– Źle myślałeś. Jest wielu *laoban*, a najpotężniejszy *laoban* jest naszym królem.

Mówiąc to, wskazał na konstrukcję sięgającą samego sklepienia stacji. Była zbudowana z cegieł, miała wysokie wąskie okna, tu i ówdzie ozdobne

wstawki z marmuru. Ojcu Danielsowi przypominała średniowieczny kościół z wbudowanymi częściami posągów, kolumn i rzymskich nagrobków. Tu fragmenty z marmuru były nowocześniejsze, ale efekt był taki sam.

– Królem czego?

– Królem mambo, ma się rozumieć – odrzekł Marcos, wskazując na kolorowy mural: Michael Jackson w żakiecie z cekinów tańczący *Moonwalk*.

– Kim jest ten czarny? – spytała Daniela.

John Daniels pokręcił głową z uśmiechem: – To długa historia. – I dodał, pochylając się do jej ucha: – Taki jeden, co tańczył wszystko oprócz mambo.

Strażnicy przy wejściu mieli na sobie nieskazitelne mundury, wręcz wyprasowane. Karabiny trzymane w postawie „na ramię broń!” były tak wypolerowane, że aż lśniły, podobnie jak oficerki. Przechodząc obok nich, Wagant i Crismani czuli się nieswojo. Odór niemytych ludzkich ciał stał się dla nich czymś naturalnym, i dopiero teraz, kiedy mieli się do czego porównać, dotarło do nich, jacy są brudni i, co gorsza, jak bardzo przyzwyczaili się do własnego brudu.

– Przed królem macie się odpowiednio zachowywać – uprzedził ich półgłosem Marcos.

Wagant prychnął i zrobił krok naprzód.

Chinos zastąpił mu drogę.

– Nikt nie wchodzi tam uzbrojony. Nikt.

– Bez broni czułbym się nagi. Nie sądzę, żeby było w dobrym tonie stawać nago w obliczu jego królewskiej mości.

– Ma rację – zagrzemiał głos ze środka. – Jeżeli ktoś ma tu wejść nago, to najlepiej ta panienska.

Vasquez skłonił głowę i klęknął.

Z ciemnego wejścia do budynku wyłonił się czarnoskóry mężczyzna,

ubrany zupełnie na biało. Na jego swetrze wisiała cała kolekcja złotych naszyjników ciężkich jak łańcuchy kotwiczne. Nie był gruby, ale dobrze wyglądał, włosy miał krótkie, kędzierzawe. Oczy chowały się za okularami słonecznymi.

Chinosi lubią efektowne wejścia, pomyślał Daniels.

Sześciu strażników stanęło u boku mężczyzny, z rękami na rękojeściach pistoletów w otwartych kaburach.

– Kogo mi przyprowadzasz, Marcosie?

– Intruzów.

– A co zrobiłeś z zębami?

– To przez przypadek-skłamał Marcos.

Król wzruszył ramionami.

– Więc powiesz mi w końcu, kogo sprowadzasz do mojego pałacu?

Wagant już zbierał się, żeby coś powiedzieć.

– Ty, intruzie, bądź cicho. Daj mówić mojemu synowi.

O kurwa, pomyślał szef zwiadowców. *Uderzyłem królewskiego syna.*

- Natknąłem się na nich w Pagano. Poszedłem na spotkanie z Giuliem i jego Albertami, ale kiedy tam dotarłem, ci goście zdążyli już ich zmasakrować.

– Zapłaciliśmy im już za ten miesiąc?

– Nie.

– No, to pół biedy. Wszystkich? Załatwili ich wszystkich? Ci trzej tutaj?

– Ci trzej i ich żołnierze. Naliczyłem ich przynajmniej z pięćdziesięciu.

Są na zewnątrz.

Na twarzy czarnego mężczyzny pojawił się wyraz czujności.

– O cholera. A skąd oni są? Skąd jesteście, chłopaki?

– Bonola – odrzekł Wagant.

– Bonola? To trochę zboczyliście poza swój rejon, chłopaki.

– Nie wiedziałem, że są jakieś rejony.

– Są, są, a jakże. Powinniście poduczyć się geografii. Jest rejon

Potworów i rejon Synów Gniewu, rejon Albertów i rejon Szarodupców...
No i są, oczywiście, Cyklopy, i Bezgłowcy, i Amazonki...

– Żartujesz – odezwał się Wagant.

– Po części tak. Chodźcie do środka. Pokażę wam na mapie, wtedy będziemy wiedzieć, o czym mówimy. Możecie wejść z bronią, jeżeli się z nią lepiej czujecie. Tylko nie próbujcie jej użyć, bo moi chłopcy mają miękki cyngiel.

Przeszli długim korytarzem, którego ściany obwieszane były obrazami. John rozpoznał jednego Warhola i kilka Lichtensteinów. Kurz i nalot z czarnego dymu świec oświetlających korytarz przyciemniły je, nadając im wygląd antycznych płócien.

Weszli do pokoju sześć na pięć metrów, oświetlonego zwisającym z wysokiego sufitu ogromnym kandelabrem z Murano. Żarówki emitowały wątle, migocące światło, ale i tak były prawdziwym cudem. Elektryczność była magią w świecie, w którym żyli, lub próbowali żyć.

– Siadajcie, rozgośćcie się – zachęcił król mambo.

Każde z siedmiu krzesel stojących dookoła królewskiego biurka było z innej parafii, ale za to w doskonałym stanie.

– A ci Synowie Gniewu, co o nich wiecie? – spytał król.

– Niewiele – odpowiedział Wagant.

– Są bliżej was. To wy nam możecie o nich coś powiedzieć – wtrącił się Daniels. – Skąd wzięli się ci mordercy?

Król wzruszył ramionami.

– Nie wiemy nic pewnego – odrzekł. – Wiemy tylko tyle, że jeszcze dwa lata temu żyli w rejonie dworca centralnego i nikomu nie zawracali dupy. Wiadomo było, że mają prąd, może z generatorów. Na dworcu generatory to rzecz normalna. I oczywiście wiedzieliśmy, że są mocni militarnie. Musisz taki być, jeżeli chcesz utrzymać tak atrakcyjną fortecę.

– A co się stało te dwa lata temu?

– Nie wiadomo. Nagle te skurwysyny zrobiły się agresywne. Zaczęli

ubierać się na czarno, jeździć po mieście tymi swoimi uzbrojonymi pikapami i panoszyć się w tunelach. Wiele osób przez to zginęło. Szczurów kanałowych... A wy jak ich nazywacie?

– Zwiadowcy – odrzekł Wagant.

– Zwiadowcy, tak. Znajdywaliśmy ich w kawałkach, a w ustach mieli metalową kulę przedstawiającą oko. Mamy ich całą kolekcję. Tuziny kulek. A każda oznacza jednego trupa. Bo jak zabili kilkudziesięciu zwiadowców, to zagustowali w tym i zaczęli atakować handlarzy i osady. Mordowali wszystkich: mężczyzn, kobiety, dzieci. Dla tych bandytów to nie ma znaczenia. Jesteśmy dla nich tylko mięsem. Przechodzą mnie dreszcze, jak myślę o tych skurwielach.

Król strzelił palcami.

– Przynieś mi mapę.

Jeden ze strażników lekko się skłonił i poszedł otworzyć szafę. Wrócił do króla z kartą papieru wielkiego formatu w podniszczonej foliowej osłonce.

Rozłożył ją na biurku.

Biurko króla mambo było prawdziwym muzealnym okazem: blat wyłożony zniszczoną, ale wciąż piękną skórą, złocone nogi miały kształt lwich łap.

Król stuknął palcem w środkową część mapy, która przedstawiała sieć mediolańskiego metra. To nie była klasyczna stylizowana mapa z tych, które przed Wielką Zagładą przedstawiały linie metra. Była bez kolorów i wyglądała na wykonaną ręcznie, przypominając raczej mapę skarbów znalezioną w gnieździe piratów niż produkt ery technologicznej.

Pokryta była symbolami.

Król wyjął z szuflady biurka pudełko. Otworzył je. W środku były pionki od jakiejś gry planszowej, z drewna, w jarmarcznych kolorach: czerwonym, niebieskim, żółtym, zielonym. Zaczął ustawiać je na mapie ze zręcznością krupiera.

Gdy skończył, z zadowoleniem przyjrzał się efektowi.

Jego palec wskazujący, przybrany jak wszystkie pozostałe okazałymi pierścieniami, wycelował w zielone pionki.

– To jest nasze terytorium. Dziewięć stacji.

Potem wskazał pionki żółte, na północ od terenu Chinosów.

– To czternaście stacji Synów Gniewu. A przynajmniej tych, które wedle naszej wiedzy kontrolują.

Dalej ułożył szesnaście niebieskich pionków na południe od żółtego terytorium.

– Ci frajerzy Alberci kontrolują te stacje.

– Są na trzech różnych liniach. Nie mają ze sobą połączenia – zauważył Crismani.

Król podniósł wzrok znad mapy, na jego twarzy malowało się zniecierpliwienie.

– Wolalbym, żeby mi nie przerywano. Ale masz rację. Widzisz, Alberci kontrolowali kiedyś całe centrum miasta.

Wszystkie stacje węzłowe były pod ich panowaniem. Teraz prawdopodobnie mają łączność na powierzchni. Albo może wcale nie komunikują się ze sobą. Nie przerywaj mi więcej. Nie lubię, kiedy mi się przerywa.

Wycelował palec.

– Pagano. Cadorna. Duomo. Alberci byli kiedyś panami miasta. Ale później przyszliśmy my. A po nas Synowie Gniewu.

A Potwory wzięły Duomo. Alberci stracili stacje przesiadkowe, wycofując się na peryferyjne odcinki trzech linii metra, które kiedyś kontrolowali. Ale kilku zostało w tyle. A Synowie Gniewu krzyżują ich, kiedy się na nich natkną. My wykorzystujemy ich jako siły wspomagające, kiedy nas to urządza.

– A czasami wykorzystujecie ich, żeby sprawdzić siłę ognia tych, co wchodzą na wasz teren – dokończył Wagant.

– Może się zdarzyć. Dobry król dba przede wszystkim o własnych poddanych. A teraz, jak już wam to wszystko powiedziałem, pogadamy trochę o was. Mówiliście, że jesteście z Bonoli. Jest tam jakaś grupa twardzieli, z tego, co mi mówią. W miejscu zwanym Żelazne Wrota, czy coś takiego...

– To my. Znaczący, nie wszyscy. Niektórzy są z miejsca o dwie stacje na północ. Ja jestem Wagant, szef zwiadowców Miasta. To jest Sergio Crismani, wojskowy dowódca Żelaznych Wrót.

– A to „miasto”, z którego pochodzą ci drudzy, ma jakąś nazwę?
Wagant wzruszył ramionami.

– Nie. Nazywamy je Miastem.

– Skromni – skomentował król.

Zdjął okulary i położył je na biurku. Miał błękitne oczy. Niewiarygodnie błyszcząły na tle jego czarnej skóry.

Wyjął z pudełka dwa czerwone pionki.

Pierwszego postawił na stacji Bonola. Drugiego trzymał w powietrzu, dopóki Wagant nie wymówił: – Molino Dorino.

Król postawił pionka na tej stacji.

– Dobrze. A teraz, z łaski swojej, powiedzcie mi, co robicie na terytorium Los Chinos.

– To długa historia.

– Świetnie! Tu czas nie mija. Długie historie są zawsze mile widziane. Szczególnie ładne.

Wagant zgodził się z tym.

– Zmierzamy na terytorium Synów Gniewu.

– Są prostsze sposoby na samobójstwo.

– Synowie Gniewu porwali nasze dzieci – odezwał się Crismani.

– Zróbcie sobie nowe. Teraz z waszych szczeniaków zostały już tylko kosteczki i gówno na dworcu centralnym.

Wagant gestem dłoni powstrzymał Sergia Crismaniego, który już miał

wybuchnąc. Powiedział: – Dopóki jest jakaś nadzieja, nie zamierzamy odpuszczać.

Król prychnął z pogardą.

– Mój syn mówi, że jest was góra pięćdziesiątka. Jesteście dobrze uzbrojeni, to muszę wam oddać. A nawet dobrze wyszkoleni, sądząc po tym, jak rozprawiliście się z Albertami. Znaczący, każdy by sobie z nimi poradził, ale z tego, co mi powiedział Marcos, wam zajęło to jedną chwilę. Rzecz w tym, że nie macie pojęcia, o czym mówicie. Nawet nie wiecie, z kim macie do czynienia. Synowie Gniewu mają setki żołnierzy. Może nawet tysiąc. Są twardzi, zdeterminowani. Mają ciężki sprzęt, jeżeli nasze blokady uznaliście za dobre, to musielibyście zobaczyć ich. Nie macie żadnych szans, żeby ich pokonać. I gdybyście byli inteligentni, nawet w głowach by wam nie powstało, żeby zorganizować przeciwko nim wyprawę.

– To nie jest wyprawa – odezwał się jakiś głos.

Wszyscy się odwrócili.

Ojciec John trzymał ręce splecione z przodu. Z jego ust płynął spokojny, zdecydowany głos.

Król wybuchnął śmiechem.

– A ten tu to niby kto?

– Nazywam się John Daniels. Jestem kapłanem Kościoła rzymskokatolickiego.

– Uuuuu, aż tak. Rzymskiego, mówisz. To jesteś kawał drogi od swojej kwatery głównej, rzymianinie.

– Kościół nie ma kwatery głównej. Nie ma nawet swojego terytorium.

– Ani wojska, z tego, co wiem. Więc pozwól mówić dorosłym.

John pokręcił głową.

– Nie. Musisz wiedzieć, dlaczego to nie jest wyprawa.

– Więc co to jest?

– To jest krucjata.

Król spojrział na niego z nieodgadnionym wyrazem twarzy, która po chwili wykrzywiła się w pogardliwym grymasie.

– Tu nie ma miejsca na te wasze pierdolone chrześcijańskie brednie. Zamknij się, księżu, albo będę musiał się z tobą policzyć.

John się uśmiechnął.

– Z całym szacunkiem, wasza wysokość, ale ja służę władcy o wiele większemu od ciebie.

Król zerwał się z miejsca, przewracając pionki na mapie.

– Bierzcie tego zuchwalca!

Strażnicy stojący za Johnem ruszyli w jego kierunku. Ale w tej samej chwili stało się coś niemożliwego.

Z ciała księdza wyszła postać kobiety, falując lekko w powietrzu, z palcem wycelowanym w króla.

– POSŁUCHAJ GO! – nakazała cichym głosem, któremu nie sposób było się oprzeć.

Wszyscy skamienieli, widząc coś, co wyglądało jak duch przepięknej dziewczyny o twarzy bladej jak lód.

Król opadł z powrotem na krzesło z otwartymi ustami. Strażników zamroczyło.

Dziewczyna duch położyła ręce na ramionach Johna.

Posłuchaj go!, nakazał ponownie głos w głowach wszystkich obecnych.

– To nie jest wyprawa. To jest nasza krucjata – powtórzył spokojnym tonem ojciec Daniels. – Synowie Gniewu ukradli mi coś, co jest niezbędne dla osiągnięcia wyższego celu. Coś, co może być bardzo niebezpieczne w rękach niepowołanych osób. Zanim zapytasz, odpowiem: to bomba atomowa. Jej moc wystarczy, żeby obrócić w proch dwa kilometry kwadratowe tego miasta.

Król z trudem łapał powietrze.

– Ta bomba jest moja i jest mi potrzebna – ciągnął John. – Mniejsza z tym do czego. Muszę ją odzyskać i żeby to zrobić, potrzebuję wojska

zdolnego stawić czoło Synom Gniewu. Na razie, jak słusznie zauważyłeś, nasze siły są niewystarczające. Proponuję ci więc przyłączyć się do nas.

– Oszalałeś. To się nie uda nawet z naszymi siłami.

John Daniels uśmiechnął się.

– Nie będziemy sami. Alessia, którą tu widzicie, jest przykładem sprzymierzonych sił, na jakie możemy liczyć.

Dziewczyna duch ukłoniła się.

– Wiem, o czym myślisz – powiedział John w reakcji na sarkastyczny grymas króla.

– Nie, nie wiesz. Widzisz, jest pewien drobny problem. Nie można dotrzeć do dworca centralnego, omijając stację Garibaldi. A ona jest taką twierdzą, że nawet mysz się nie prześlizgnie. Jebana forteca. Zmieliliby was jak mięso w maszynce.

John wskazał na mapie jakiś punkt.

– Ta linia jest mniej strzeżona.

Król zmierzył go wzrokiem.

– Skąd wiesz?

– Wiem, i tyle.

– Więc powinieneś też wiedzieć, że stacja Montenapoleone zawaliła się. Teraz jest tam lej stumetrowej średnicy. Jak po bombie, skoro już o tym mowa. Kolejna stacja, Turati, jest już warowna, chociaż mniej niż Garibaldi, i przez tunele nie wejdzie tam nikt.

– Pozostaje góra.

– Ponad kilometr na otwartej przestrzeni?

– Możemy spróbować nocą.

Król wybuchnął śmiechem.

– Nocą? Zapomniałeś, co się panoszy po mieście w nocy? Pewnie zauważyłeś, że stacja Duomo nie jest w ogóle oznaczona. Chcesz wiedzieć dlaczego? Już ci mówiłem: Potwory zajęły ją lata temu. Teraz to jest ul. Tak jest, szanowny panie. Ul. Tak to nazywamy. Gniazdo Potworów, które

stamtąd rozpełzają się i grasują po całym mieście. Nocą ulice starego Mediolanu roją się od tego plugastwa. Więc możesz zapomnieć. A gdyby to ci nie wystarczyło, to przecież nikt nie może przebywać na powierzchni przez taki czas.

KTOŚ MOŻE, odezwał się głos Alessii w ich głowach.

– Alberci to robią – powiedział John. – W każdym razie nie musicie obawiać się Stworów Nocy, jeśli będziecie z nami.

– Nie? Jak to? Oswoiliście je?

Król wymówił te słowa z zuchwałą miną, ale spojrzenie spod oka w stronę dziewczyny ducha zdradzało pewne obawy.

– Więcej. Będą naszymi sprzymierzeńcami.

– Tak? Nie sądzę. Stwory z Ula są dzikimi bestiami. Nie widzieliście nigdy stacji po ich ataku. Ich okrucieństwo jest niewyobrażalne. Nie cofną się przed niczym.

Crismani odchrząknął.

– Książd mówi prawdę. Tylko dzięki pomocy Potworów udało im się zdobyć Bonolę. Relacje naszych ludzi nie pozostawiają wątpliwości.

Król pokręcił głową.

– Pierdolenie.

John Daniels poczuł w środku przyływ nieznanej, niszczycielskiej energii. Każdy mięsień jego ciała napiął się, każda synapsa stała się zimna i ostra jak klinga noża.

Gdyby chciał, mógłby zabić króla jednym spojrzeniem. Mówiły mu to jego zmysły. Mógłby wzniecić ogień w tym pokoju lub wysadzić w powietrze każdy przedmiot.

Skierował palec wskazujący na mapę.

Piony podskoczyły na blacie biurka i wystrzeliły w górę niczym pociski. Dwaj strażnicy ruszyli do przodu, ale zostali przez nieznaną siłę odrzuceni do tyłu i osunęli się po ścianie.

John podniósł wzrok i spotkał spojrzenie króla.

Król Chinosów nie opowiedziałby nikomu tego, co zobaczył, bo on sam nie mógł w to uwierzyć.

Oczy księdza zmieniły się w dwa czarne kamienie, z których wypływało równie czarne światło, światło zdające się wciągać w siebie wszystko. Król próbował wyzwolić się od magicznej mocy tych oczu, ale nie dał rady. Poczuł, że coś wciąga go w tę czerń, w pustkę. Jego nogi uniosły się nad ziemią i leciał teraz ku powolnemu wirowi milionów i miliardów kawałków lustra obracających się w powietrzu. Został połknięty przez ten wir i znalazł się w nieskończonej mrocznej przestrzeni, nad starym miastem, z jego siecią opuszczonych ulic i pustych domów z zawalonymi dachami. Wszystko przykrywała kołdra brudnego śniegu o odrażającej szarej barwie.

Na tej martwej księżycowej powierzchni poruszały się wolno dostojne istoty. Król nagle runął ku ziemi. Zaczął wrzeszczeć i machać rękami i nogami.

Spadł w zaspę śniegu miękkiego jak łóżko z piór. Dźwignął się na kolana, by zrozumieć, że otaczają go czarne skrzydlate stworzenia o twarzach pozbawionych rysów.

Nie było sposobu, żeby wymknąć się z tego kręgu istot, które przyglądały mu się, krążąc wokół niego jak w tańcu. Po chwili krąg otworzył się i w jego kierunku ruszyła zakapturzona postać, a szła krokiem tak dziwnym, że królowi dreszcz przeszedł po plecach.

– Spotkanie z tobą to zaszczyt – odezwała się postać.

– Ktoś ty? – wybełkotał król.

– O, miałem wiele imion, a będę miał jeszcze więcej. Co warte jest imię? Możesz nazwać Iwa szczeniakiem.

Najważniejsze, żebyś się nie dziwił, kiedy cię będzie pożerał. Nazwa nic nie znaczy. Najważniejsze jest to, czym jesteśmy.

– Więc czym jesteś?

Postać w kapturze nie odpowiedziała. Podała rękę i pomogła królowi

wstać.

– Chodź. Musisz coś zobaczyć.

Król z niedowierzaniem przyjrzał się dłoni Mnicha, dłoni czteropalczastej, bez kciuka. Czarnej, rogowatej, o bardzo długich, ostrych paznokciach. Dłoni potwora. A jednak, w tym dziwnym śnie, który nie był snem, pozwolił tym monstrualnym palcom trzymać się za rękę i prowadzić.

Mnich podniósł lewe ramię i wskazał palcem odległą górę.

Wzrok króla wyostrzył się. Zobaczył górę jako to, czym była naprawdę: na wpół zawaloną kopułą jakiegoś starego budynku.

Po chwili, zachowując wygląd budynku, stała się na powrót górą. Prowadzony przez Mnicha król zaczął się wspinać po jej zboczu. Doszli tak aż do postrzępionej krawędzi na samej górze. Król spojrzał w dół.

Nawa bazyliki była oświetlona setkami, tysiącami świec. W tym złotym świetle jakiś ubrany na czerwono człowiek przemawiał z marmurowej ambony ozdobionej figurami aniołów i demonów.

Mężczyzna był gruby, nieprzyzwoicie gruby. Kiedy mówił, krople śliny przyskały mu z ust, jak sprośne błogosławieństwo dla klęczących przed nim mężczyzn i kobiet.

Oczy ubranego w czerwień mężczyzny błyszcząły w świetle świec niczym dwa rozżarzone węgle. Jego mowa pluła słowami nienawiści. Do uszu króla docierały tylko niektóre z nich.

Przeklęte mutanty...

Skrzydlate demony...

Heretycy...

Grzesznicy...

Oczyścić ogniem...

Mężczyzna w czerwieni z krzykiem wznosił ręce do nieba.

Ludzie powstali.

– Zjednoczcie się ze mną w tej świętej krucjacie! – grzmiał kaznodzieja, wyciągając rękę w kierunku narożnika nawy.

Dwóch wartowników w czarnych mundurach wlokło skrzydlate stworzenie. A raczej coś, co kiedyś nim było: bo połamane skrzydła zwisały jak mokre szmaty, zaś samo stworzenie wyglądało na nieprzytomne lub przynajmniej niezdolne do jakiegokolwiek reakcji, nawet gdyby nie było skrępowane ciężkimi łańcuchami.

Zniewagi, złość, szyderstwo i plucie towarzyszyły mu w jego krótkiej drodze do sterty kartonów i drewna, na którą zostało rzucone. Dwaj strażnicy pospiesznie oddalili się, a trzeci odkręcił kanister i wylał jego zawartość na stertę i na stworzenie, które ledwo się poruszało. Wyglądało na to, że umiera.

Ogień z pochodni podłożył mężczyzna w czerwieni. Płomienie buchnęły z charakterystycznym trzaskiem, pnąc się w górę z szybkością zwierzęcia i rzucając mroczne cienie na zgromadzony tłum. Twarze tych ludzi były straszne, potworne. Ich oczy były pełne żądz. Każdemu podrygowi i przenikliwemu jękowi agonii stworzenia towarzyszyła radosna reakcja nienasyconego tłumu.

Zdjęty przerażeniem król wycofał się z krawędzi tego wulkanu złości.

– Kim są te bestie?

– To jest Rzym – odrzekł Mnich.

– To obrzydliwe.

– Dlaczego? Wy nie robicie niczego takiego?

– NIE! No... pewnie, że walczymy przeciwko tym stworom. Ale nigdy nie wzięliśmy żadnego do niewoli. A nawet gdyby, to nie zrobiliśmy mu czegoś takiego.

To był mój brat, wyszeptał Mnich w głowie króla.

– Twój... brat?

W takim sensie, w jakim każdy człowiek jest twoim bratem. Pewnie słyszałeś już kiedyś coś takiego. Każde z tych stworzeń jest moim bratem i siostrą. Jesteśmy jednym ciałem.

Król znów wychylił głowę poza krawędź kopuły. Ciało stworzenia

płonęło, wydając odgłosy skwierczącego tłuszczu i pękających kości.

– Płomienie są wciąż żywe – zagrzemiał głos kaznodziei. – Co wy na to, żeby dać im jeszcze trochę roboty?

Wrzawa tłumu, która odpowiedziała na tę propozycję, była ogłuszająca.

Ta sama para strażników przywlekła do stosu młodą półnagą kobietę, która szarpała się, próbując uciec z ich brutalnego uścisku.

Usta dziewczyny zaszyto drutem. Jej oczy były rozwarte z gniewu, a może ze strachu.

– Lucio Mori, jako ostatnia z twojego przeklętego rodu oczyść się poprzez ogień!

Słowa mężczyzny w czerwieni rozgrzały tłum, który postąpił do przodu niczym fala, stwarzając ryzyko spalenia na stosie również straży.

– Lucio Mori, dziś twój plugawy ród umrze wraz z tobą!

Ten człowiek jest nowym kardynałem Rzymu, powiedział głos w głowie króla. Więził tę niewinną kobietę całymi miesiącami, gwałcąc i torturując. Znudziła mu się, więc pozbywa się jej jak worka śmieci. Patrz dobrze na to, co się zaraz stanie. Patrz i zapamiętaj.

Król mambo wolałby się schować, a przynajmniej zamknąć oczy. Ale nie mógł zrobić ani jednego, ani drugiego. Musiał uczestniczyć z otwartymi oczami w okropnej scenie, która nastąpiła. Dwoma uderzeniami maczugi strażnicy połamali dziewczynie kolana i wrzucili ją w płomienie.

Szaleńczy jęk zmienił się w krzyk bólu, a później w skowyt, kiedy już usta dziewczyny pękły w ogniu, uwalniając się od drucianego szwu. Wydawało się, że jej agonია trwa w nieskończoność, gdy tłum napawał się każdą chwilą tej niehumanitarnej tortury. W końcu znieruchomiała, a płomienie zawładnęły jej młodym ciałem, przedzierzgając je w bezkształtną czarną masę.

Król uchwycił rozczarowanie tłumu, kiedy haniebny spektakl dobiegł końca.

To rozczarowanie było chyba najstraszniejszą częścią sceny.

Idziemy, dał się słyszeć głos Mnicha. Dość już zobaczyłeś.

Przyjście do siebie było niczym upadek do lodowatej wody.

W tym widzeniu – o ile było to widzenie – król po raz pierwszy w swoim życiu nie odczuwał chłodu. Ponowne wylądowanie w rzeczywistości było traumatycznym doświadczeniem.

Popatrzył na siedzących wokół biurka, jakby ich nie rozpoznawał.

– Tato...? – usłyszał Marcosa.

Spojrzał na niego i zrozumiał.

– Widzieliście wszyscy...?

Crismani i Wagant skinęli głowami. Daniela była wciąż zbyt wstrząśnięta. Rabin Samuel miał zamknięte oczy i pochyloną głowę. Odmawiał coś w niezrozumiałym języku. Może modlitwę.

Król popatrzył w oczy księdza. Nie odczuwał gniewu, co było dziwne, zważywszy, że to właśnie te oczy pogrążyły go w tej przerażającej wizji. Dziewczyna duch unosiła się w powietrzu za plecami mężczyzny, ale król nawet nie zwracał na nią uwagi. Po tym, czego był świadkiem chwilę wcześniej.

– To, co widziałem... to prawda?

– Obawiam się, że tak – padła odpowiedź z ust Daniela.

– Ty pochodzisz z Rzymu. Byłeś na usługach tego księdza w czerwonych szatach?

– Chcesz powiedzieć kardynała? Nie. Nie mam pojęcia, kto to jest. Przed miesiącami, kiedy wyjeżdżałem z Rzymu, kardynałem był Ferdinando Albani. A rodzina Morich była najpotężniejsza w Nowym Watykanie.

– Nie wygląda na to.

– Rzeczywiście, już nie.

– Słyszałem, i owszem, wiele rzeczy... na przykład o Borgiach... o tych tam, no o ludziach z przeszłości... Ale nie spodziewałem się czegoś takiego. Tego, co zobaczyłem.

– Miałem już tę wizję za pierwszym razem, kiedy spotkałem Mnicha. To wstrząsające. Ale to nic przy tym, co się stanie, jeśli nie powstrzymamy tych potworów.

Pierwsze, co przyszło królowi do głowy na dźwięk słowa „potwory”, to był obraz skrzydlatego stwora.

Ale przypomniał sobie potworny odgłos pękających w ogniu kości i zaszyte drutem usta eksplodujące nieludzkim rykiem.

– Ten szaleniec w czerwieni też użył tego słowa. „Krucjata”.

John przytaknął.

– Nie zawsze słowa odpowiadają rzeczom – powiedział, jakby czytał w myślach króla. – To, co ten obłąkaniec nazywa krucjata, jest w rzeczywistości niedorzeczną rzezią. Nasza krucjata służy słusznej sprawie, w imię wiary i człowieczeństwa.

My chcemy ocalić życie ludzi, a nie je zniszczyć.

Król pogładził się po podbródku.

– Wiem, o czym myślisz – uprzedził go Daniels. – Zastanawiasz się, co będziesz z tego miał, co zyskasz, przyłączając się do naszej krucjaty.

– Wydaje mi się to naturalne.

John Daniels uśmiechnął się.

Pokazał palcem mapę.

Piony, które za sprawą magii księdza wystrzeliły w powietrze, opadły na mapę. Ale nie opadły w bezładzie. Znów zajmowały swoje miejsca na stacjach metra.

Ale nie wszystkie.

Pionki zielone na stacjach Moscova i Lanza poprzewracały się i spadły z biurka. Obie stacje zabarwiły się na żółto, jakby mapa w tych dwu punktach zaczęła się starzeć w oczach.

– Straciliście kontrolę nad tymi stacjami dwa tygodnie temu.

Twarz króla zbieleła.

– Wasze konstrukcje obronne zdały się na nic. Przeszli przez wasze

blokady jak ciepły nóż przez kostkę masła. Synowie Gniewu doszli aż tutaj. I jako zakładników wzięli też wasze dzieci – Daniels nie odpuszczał. – Ich warunki były jasne i bez możliwości negocjacji. Będziecie musieli wpuścić ich na wasz teren, zaopatrzyć w żywność i amunicję i ruszyć razem z nimi w kierunku zewnętrznych stacji metra, gdzie zostanieie ich wasalami.

– Skąd wiesz?

– Wiem. Wiem też, że ci to nie leży. Dlatego próbujecie wynegocjować sojusz z Albertami i uzyskać ich wsparcie. Na początku myśleliście, że będziecie mogli w ten sposób postawić się Synom Gniewu, ale domyślam się, że jak zobaczyliście kompletny brak przygotowania waszych potencjalnych sojuszników, wymyśliliście plan alternatywny.

– „Domyślasz się”? Więc nie wiesz wszystkiego – rzucił wyzywająco król.

– Mogę się dowiedzieć, wchodząc do twojego umysłu. Ale, jeśli to możliwe, wolałbym tego uniknąć. Wybacz mi szczerść, ale nie jest to miłe miejsce do zwiedzania.

– Nie. No cóż, wiesz jak to jest, nie spodziewałem się gości – odparował król z sarkastycznym grymasem.

– Więc? – wtrącił się Wagant. – Jaki jest ten wasz plan alternatywny?

Król pokręcił głową.

– Zapytaliśmy Albertów, czy są gotowi nas przyjąć u siebie.

– I co wam odpowiedzieli?

– Że tak – odpowiedział król, wzdychając. – Pod pewnymi warunkami.

– Mogę zgadnąć? – odezwał się Wagant. – Według tych warunków wydadacie Albertom wolny wstęp na wasz teren...

Król przytaknął.

– Poza tym będziecie musieli ich uzbroić i wyposażyć.

– Tak.

– I na pewno są jakieś dodatkowe warunki...

– Są. Też raczej ciężkie.

– A co do waszych dzieci, które wzięli jako zakładników: kiedy powiedziałaś, że nasze dzieci są już zjedzone, pomyślałaś o waszych?

Na te słowa Waganta król poderwał się wściekły na równe nogi.

– A co my możemy zrobić? Co? Może mi powiesz, piździelcu, co możemy zrobić? Myślisz, że gdyby dało się coś zrobić, to już byśmy tego nie zrobili? Co?

Daniels podniósł rękę.

– Mamy dla ciebie lepszą propozycję. Ale najpierw powiedz mi jedną rzecz: zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego Synowie Gniewu chcą opuścić swój teren?

– Pewnie, że się zastanawiałem.

– I jakiej odpowiedzi sobie udzieliłaś?

– Że przed czymś uciekają.

– Ale nie wiesz przed czym.

– Nie. A ty?

– Ja też nie. Ale świta mi pewne podejrzenie.

Król spojrział na niego z zaciekawieniem.

– Co podejrzewasz?

– Wiedzą, że ich teren jest zagrożony. Kim są ich wrogowie mogą tylko przypuszczać. Być może Stwory Nocy?

– Chcesz powiedzieć Potwory? Nie, to niemożliwe. Synowie Gniewu nie boją się ich. Podzielili się z nimi terenem: oni kontrolują go w dzień, a Potwory w nocy. Ul zajmuje tylko jedną stację. Jak już, przeszkadza to Albertom, a nie Synom Gniewu.

– To naprawdę takie proste?

– Tak. Pewnie, że parę razy próbowali zachwiać tę równowagę. Kilka razy Potwory, raz ludzie. Ale za każdym razem źle to się kończyło. Od tamtej pory trwa ta patowa sytuacja, i nie zdarzyło się ostatnio nic, co mogłoby ją zakłócić.

W ich głowach rozległ się głos Alessii.

Ja wiem, co robię.

John odwrócił się.

Oczy dziewczyny ducha były jak bliźniacze lustra z lodu, w których odbijały się lęki kapłana, wyostrając się coraz bardziej, aż stały się ostrzem prawdy. Ostrze weszło do zmysłów wszystkich obecnych w sali i sparaliżowało ich.

Wszyscy, w jednej chwili, się dowiedzieli.

– Synowie Gniewu użyją bomby przeciwko Ułowi... – wymamrotał oszołomiony Daniels.

– I wyłączą z życia centrum miasta, z ich kwaterą główną włącznie – dokończył Wagant.

Ojciec Daniels zacisnął oczy z wyrazem cierpienia.

– To dlatego muszą przenieść się dalej. Dlatego chcą Bonoli. Nie obchodzą ich setki niewinnych, które zginą na wysadzonych stacjach i na tych, do których dotrze promieniowanie. Nie chcą dzielić panowania z nikim. Są gotowi zrobić z centrum tego miasta radioaktywną pustynię, byle tylko zniszczyć Ul.

Alessia kiwnęła głową twierdząco. Z jej lazurowych oczu ściekła łza duch.

– Musimy coś zrobić – powiedział półgłosem król.

– Przyłączcie się do nas – odrzekł John.

– Ale dla was nie ma nadziei. Waszym przeznaczeniem jest zdechnąć daremnie.

– To nie jest powiedziane. Zwołaj tu szefów Albertów. Albo poproś o przepustkę, żeby pójść do nich. Oni wiedzą, jak poruszać się po powierzchni. Musimy porozmawiać. A nie ma już wiele czasu.

– Ilu żołnierzy mogą wystawić Chinosi? – zapytał Wagant.

Król zwrócił się do Marcosa, przekierowując do niego pytanie gestem, który oznaczał „możesz mówić”.

– Dwustu – odpowiedział chłopak. – Ale kiepsko wyglądamy

z amunicją.

– Broń i amunicja to nie problem – skwitował Wagant.

Twarz Marcosa rozjaśniła się radosnym dziecięcym uśmiechem.

– Macie też kamizelki kuloodporne? – zapytał. – Zawsze marzyłem, żeby włożyć taką na siebie.

– Pewnie, że mamy – odrzekł Crismani. – Nie za wiele, ale mamy. Znaleźliśmy ze dwadzieścia w biurach prywatnej agencji ochrony.

– Mogę dostać jedną?

– Tylko oddziały szturmowe mogą je nosić.

Chłopak nie potrafił dobrze zamaskować swojego rozczarowania.

– Ale dla królewskiego syna można chyba zrobić wyjątek – dorzucił pospiesznie Wagant. Crismani nie zaproponował.

W spojrzeniu króla pojawiło się jakieś niezdecydowanie, widać było, że coś go dręczy.

– Chcesz nam coś jeszcze powiedzieć? – zapytał Daniels.

– Ja... Jeżeli odzyskasz bombę, to co my będziemy z tego mieć?

– To chyba oczywiste. Pozostaniecie przy życiu, i to na własnym terenie.

– A teren Synów Gniewu komu przypadnie?

– To rzecz między wami i Albertami.

– Nam wystarczy kontrolowanie czerwonej linii, od Buonarroti na północ – rzekł Wagant. Crismani potwierdził.

– A kto bierze bombę?

Daniels podniósł rękę i wykonał nią zdecydowany gest.

– Bomba jest moja. Skradziono mi ją w drodze do Rzymu.

– Do Rzymu? Kawał drogi. – Król pokręcił głową.

– Tu też była długa droga. Dam radę ją zatargać do Rzymu.

– Użyjesz jej przeciwko temu opętańcowi w czerwieni i jego ludziom?

– Postaram się jej nie używać. Ale jeśli to będzie konieczne, to owszem, użyję jej przeciwko niemu. Żeby położyć kres jego haniebnemu panowaniu.

Król zastanawiał się nad czymś długo, przygryzając wargi. Potem wstał i podał dłoń Johnowi.

– Da się zrobić. To szaleństwo, ale da się zrobić. Musimy obmyślić dobry plan. Mój syn jest strategiem. Uprzedzam jednak, że to kawał bękarta. W obu znaczeniach tego słowa, również technicznym. Moja żona dała mi tylko córki. On jest tylko bękartem. Urodzonym przez służącą, która dawała mi rozkosz, kiedy się nudziłem. Gdyby co, żaden z niego zakładnik. A jeśli chce iść na pierwszą linię, ja nie widzę problemu. Dajcie mu tę kamizelkę, skoro tak mu się podoba.

Hełm mu niepotrzebny, jest twardogłowy.

John Daniels uściśnął podaną dłoń. Była miękka i spocona. Nerwowa. Zupełnie inna od tej, którą ścisnął kilka godzin wcześniej.

Pozostali podnieśli się z krzeseł. John Daniels zrobił to jako ostatni. Duch Alessii, kiedy się pojawiał, zdawał się kompletnie drenować go z energii. Musiał odzyskać siły, choć nie chciał okazywać słabości.

– Rozbijemy obóz w Pagano. Wrócimy porozmawiać z wami i z Albertami, kiedy przyjdą – oświadczył Wagant. – Powiedzcie im, żeby nie zwlekali zbyt długo z decyzją. Ultimatum Synów Gniewu wkrótce upływa.

Ani król, ani Marcos nic na to nie odpowiedzieli. Wagant i inni pożegnali się lekkim ukłonem i wyszli z sali.

– Ufasz temu gościowi? – Sergio zapytał półgłosem Waganta, kiedy wychodzili z pałacu.

– Ani trochę. A ty, John?

– Nie. Ale nie mamy wyboru.

– Jesteś zmęczony.

John uśmiechnął się do Waganta. Lubił tego chłopaka. Skromny, szybki w decyzjach i w działaniu, miał zadatki na przywódcę.

– Odpocznę trochę, zanim wyruszę.

– Wyruszysz? A to niby dokąd?

– Sądziłem, że to oczywiste. Sami daleko nie zajdziemy. Musimy

powiększyć zespół.

Daniela rzuciła mu pełne niepokoju spojrzenie.

– Nie chcesz chyba powiedzieć... Chyba nie chcesz iść...

– Spokojnie. Nie zrobią mi krzywdy.

– Idę z tobą – zaoferował się Wagant.

– Nie, lepiej nie. Tu jesteś bardziej potrzebny. Sądząc po tym, co już zobaczyłem, Alberci będą potrzebowali dobrego instruktora. A zespolenie trzech armii w jedną w takim krótkim czasie nie będzie prostym zadaniem. Ty i Sergio, i Daniela, dokonaliście cudów, żeby połączyć dwa miasta. Teraz proszę was, żebyście z nich zrobili nowe.

Długo patrzyli sobie w oczy. Wagant w końcu uznał jego słuszność.

– Masz rację. A więc nasze drogi się rozchodzą. Ty idziesz na wschód.

– Na to wygląda. Tak czy inaczej, nie zajmie mi to dużo czasu.

– Uważaj na siebie, Johnie.

– Nie omieszkam. A wy nie traćcie determinacji. I proch trzymajcie sucho, jak mawiał Oliver Cromwell.

– Kto?

– Mniejsza z tym.

Żegnając ich, uśmiechnął się i zawrócił, aby poszukać drogi do Ula.

W korytarzach i otwartych przestrzeniach podziemnej stacji John zobaczył najwięcej dzieci od dnia Wielkiej Zagłady.

Były ich dziesiątki, w wieku od pięciu do dziesięciu lat, z twarzami wszelkich barw. Mówili jakimś dziwnym dziecięcym językiem, który wydawał się zbitką wielu narzeczy. Ich nieustanny ruch i wesoła wrzawa towarzysząca ich gonitwom przywodziły Johnowi na myśl gołębie na miejskim placu z dawnych czasów. Przyrost naturalny u Chinosów wyglądał na bardzo wysoki. Zresztą prezerwatywy, jak i inne środki antykoncepcyjne niesięgające epoki kamienia łupanego były już tylko wspomnieniem, niemal legendą. W swoich srebrnych opakowaniach pozornie nienaruszonych kondomy były już bezużyteczne, podobnie jak

niektóre paczki starych papierosów. Teraz używano ich tylko jako waluty wymiennej, nawet w Nowym Watykanie.

Bigoteryjni kapłani, którzy kiedyś zwalczali pigułkę antykoncepcyjną i prezerwatywę jako narzędzia Szatana, mieliby powód do zadowolenia, pomyślał John z gorzkim uśmiechem. I zauważył, a raczej ujrzał po raz pierwszy, jeszcze jedną rzecz: pomijając ich straszną chudość, dzieci wyglądały na zdrowe. Przypomniał sobie z grozą celę na stacji Aurelia, w której więzione były dzieci o zniekształconych ciałach, ofiary promieniowania, utrzymywane przy życiu jako hodowlane zwierzęta rzeźne. Tunele metra zamieszkiwane przez Chinosów były wystarczająco głębokie, aby zapewnić ochronę przed niewidzialną śmiercią, która zawładnęła powierzchnią ziemi. Tu też musiały się zdarzać straszne porody, dzieci, których żadna matka nie chciałaby tulić do piersi. Ale John wolał o tym nie wiedzieć. Wolał się nie zastanawiać nad rozwiązaniem, jakie przyjęły te istoty ludzkie, by decydować o innych istotach ludzkich. Życie było już wystarczająco straszne bez takich pytań.

Witalność tej osady była balsamem dla zmysłów: zapachy, hałasy, nieprzerwany ruch.

Ujrzał mężczyzn zajętych grą w madżong. Odgłos kamieni rzucanych na ziemię przez graczy był nieprzerwany i radosny niczym bicie serca. Ożywione targi przy jakimś straganie, miłosne szepty pary młodych ukrytej za filarem, a nawet jęki rozkoszy docierające zza spuszczonej zasłony jakiejś alkowy, wszystko to było muzyką dla uszu Johna, muzyką świata, który zapomniał, czym jest prawdziwa muzyka.

Chodząc pomiędzy kramami i sypialniami, znów nie mógł się oprzeć zdziwieniu, że dwadzieścia lat wystarczyło, by tak bardzo zmienić tryb życia istot ludzkich. Kiedyś ci ludzie, dobrze ubrani i dobrze odżywieni, staliby na peronie w oczekiwaniu na pociąg, w porywach powietrza docierającego z tuneli, zapowiadających nadjeżdżający skład, i przy automatycznych komunikatach dobiegających z głośników. Ktoś czytałby

książkę, inni ślęczeliby nad swoimi komórkami albo słuchali muzyki w słuchawkach na uszach. Teraz nie było nic z tych rzeczy. Życie stało się o wiele bardziej skomplikowane. A jednocześnie o wiele prostsze. Nieznajomość własnego sąsiada nie była już dostępną opcją.

Większość straganów, otoczonych wesołym rozgardiaszem kupujących lub ciekawskich, oferowała towary niewielkiej wartości. Ale John dostrzegł także, nie bez zdziwienia, kram jubilerski. Na kawałku niebieskiego aksamitu rozłożone były pierścionki, naszyjniki i seria dawnych monet. John rozpoznał rzymski denar, a obok szereg bimetalowych monet o nominale dwu euro.

Gdyby zamknął oczy, mógłby pomyśleć, że jest na targu sprzed Wielkiej Zagłady. Ale nie mógł sobie pozwolić na zamykanie oczu.

Był już w połowie stacji, gdy usłyszał, jak ktoś krzyczy za nim zdyszczanym głosem: – Zaczekaj!

John obejrzał się.

Kuśtykał za nim rabin Samuel, niemal zgięty wpół pod ciężarem ogromnego plecaka i dwóch karabinów maszynowych.

– Pomyliłeś drogę – rzucił ksiądz.

– Wcale nie pomyliłem. Idę z tobą.

– Bo co?

– Nie widziałem nigdy ani jednego z tych... No wiesz, mówimy na nie Potwory. Nawet podczas ataku na Bonolę.

– Wielu z tego powodu uważałoby się za szczęściarzy.

– Aleja muszę to ogarnąć. Są tacy jak ten z naszej wizji? Ten, co zabrał króla na kopułę?

– Nie. Nie są tacy jak on. Mnich jest szczególny. Niepowtarzalny.

– Ale i tak są niezwykłymi stworzeniami. Muszę je zobaczyć na własne oczy. A poza tym mógłbym ci pomóc.

– To zacznij, zostawiając tu broń.

– Żadnej broni? Żartujesz? Wchodzimy na teren... Znaczy, idziemy tam,

a ty nie chcesz zabierać broni?

– Właśnie. I tak do niczego by nam się nie przydała w zetknięciu z tymi stworzeniami.

Rabin okazał swoje zakłopotanie, drapiąc się długo po brodzie.

– Wiesz przynajmniej, czy są złe, czy dobre? – zapytał w końcu.

– Wjakim sensie?

– Czy są tworamii szatana, czy tak jak my są dziećmi bożymi.

John Daniels wybuchnął śmiechem.

– Dziećmi bożymi „jak my”? Mam nadzieję, że czymś lepszym! Ale żarty na bok-nie, nie mam pojęcia, czym są. Są istotami cielesnymi, wyposażonymi w jakiś rozum, a czasami w niezrozumiałe zdolności. Więcej nie umiem ci powiedzieć.

Wiem tylko, że ich potrzebujemy.

– Czy nie byłoby słuszniej powiedzieć, że i one nas potrzebują? Jeżeli nie powstrzymamy Synów Gniewu, bomba zmiecie ich z powierzchni ziemi. A jeżeli ty nie odzyskasz bomby, ten grubas w czerwonych szmatach, w Rzymie, poprowadzi przeciwko nim swoją krucjatę...

Przerwał, patrząc na Johna z frasunkiem.

– Można wręcz powiedzieć, że mają większy interes niż my w powodzeniu naszej misji.

– Kwestia punktu widzenia.

Rabin znów podrapał się w podbródek porośnięty gęstą brodą.

– Wiesz, od dziecka przyzwyczajono mnie do myślenia o istotach wyższych jako o aniołach i demonach. Trudno mi pojąć, że stworzenia z krwi i kości mogą posiadać jakieś specjalne moce.

Spojrzał na Daniela z ukosa.

John uśmiechnął się.

– Dokończ zdanie, Samuelu. Proszę. Zapytaj mnie, kim jestem naprawdę.

Rabin zarumienił się.

John popatrzył na niego z życzliwością.

– Jestem człowiekiem, jak ty. Owszem, mam parę zdolności więcej. Ale nie jestem nawet pewien, czy tak rzeczywiście jest. Możliwe, że jestem jedynie biernym receptorem mocy, które pochodzą z zewnątrz.

– Ale ten dybuk... Ten duch...

– Alessia nie jest duchem. Jest kobietą. Tyle że żyje w innym wymiarze rzeczywistości.

– Jesteś tak przyzwyczajony do cudów, że uznajesz je za normalne?

John wzruszył ramionami.

– Jeśli się zdarzają, to są normalne. Nawet prąd elektryczny nie jest już w tych czasach rzeczą normalną. Ale nie jest z pewnością cudem. A propos, zastanawiałeś się, skąd biorą elektryczność w tym mieście?

– Pewnie. A nawet się dowiedziałem. Pod naszymi nogami jest taka sala, w której kilkudziesięciu niewolników pedałuje bez przerwy na rowerach przytwierdzonych do ziemi. Swoim nieustannym wysiłkiem wytwarzają tę odrobinę prądu na potrzeby króla i jego ludzi.

– No widzisz? To też nie jest magia. Tylko klasyczna i stara jak świat ludzka umiejętność obciążania innych kosztami własnych luksusów.

John założył plecak i ruszył w drogę.

Rabin pozbiierał z westchnieniem swoje rzeczy, w tym karabiny.

– Nie pozwolą ci ich mieć – rzucił ksiądz, nawet się nie odwracając.

– Zobaczymy. Tu ich nie zostawię. To mogę iść z tobą?

– Wiesz, jak to się mówi: droga należy do wszystkich.

Doszli do końca peronu. Tu zaczynał się tunel prowadzący do olbrzymiej stacji Duomo.

John schylił się, żeby pogłodzić po zapadniętych policzkach starca leżącego na betonie, wyglądającego, jakby czekał na pociąg, który go stąd zabierze. Sądząc po wyglądzie, nie zostało mu już wiele tego czekania. Porzucili go na obrzeżach osady jak worek śmieci.

Starzec wyszeptał coś bezzębnymi ustami. Uśmiechnął się. Jego oczy

rozbłysły.

John zrobił znak krzyża na czole umierającego i wstał. Zeskoczył na tory i zapalił latarkę.

Przed ich oczami w słabym świetle ział tunel: drzwi do nieznanego świata.

– Idziemy – powiedział.

Starzec przechylił głowę, żeby na nich spojrzeć. Ale w rzeczywistości nie patrzył na mężczyzn. Patrzył na piękną dziewczynę ze światła, która szła z nimi, dziewczynę, która mu przypominała żonę zmarłą przed dwudziestu laty.

Dziewczynę, która się do niego uśmiechnęła, zanim znikła.

Starzec zamknął oczy.

W mrokach tunelu, zaledwie o kilka kroków od niego, czaiły się już szczury, czekając, aż przestanie się ruszać.

Kiedy obcy opuścili pałac, król mambo usiadł przy biurku. Zaczął bawić się czerwonym pionkiem. Podniósł go, obrócił i odstawił na mapę. Potem jednym pstryczkiem kciuka przewrócił go. Powtórzył ten manewr z innymi pionkami. Niektóre pospadały z biurka, inne zostały na mapie, przewracane.

– O czym myślisz? – zapytał półgłosem Marcos.

– Myślałem o tej bombie.

– Tak?

– Myślałem, że to byłby doskonały nabytek dla naszego arsenału. Obok kamizelek, broni automatycznej i amunicji.

Myślałem nawet o tym, że może po zwycięstwie nad Synami Gniewu moglibyśmy jeszcze raz przejrzeć warunki układu z naszymi sojusznikami...

– Po zwycięstwie nad Synami Gniewu? Naprawdę sądzisz, że to możliwe?

– Jeszcze godzinę temu powiedziałbym ci, że nie. Teraz muszę

odpowiedzieć: być może. Widziałeś, co może ten ksiądz. A jeśli prawdą jest to, co mówi, że przyszedł do Mediolanu pieszo, to mogę uwierzyć we wszystko. Sądzę, że przyszłość przedstawia nieograniczone możliwości. Nieograniczone.

– Dobra nasza. Proszę cię tylko o jedną rzecz, tato.

– Słucham.

– Kiedy już przedefiniujemy ten układ...

– Tak...?

– To tego, którego zwą Wagant... tego skurwiela dasz mnie?

– Jeżeli chcesz. Uznaj to za mój prezent pod choinkę.

Uśmiech Marcosa Vasqueza ograniczył się do jego ust, nie sięgnął do twardych, złych oczu.

Były jak dwa zimne kamienie.

19 | W drodze

Za ostatnim posterunkiem, na jaki się natknęli, sto metrów za małą stacją Cairolu zajmowaną prawie wyłącznie przez mężczyzn w mundurach, oświetlenie zupełnie zanikło. Strażnicy, najwyraźniej już uprzedzeni o ich podróży, wręczyli im mapę z planem długiego pola minowego, które mieli do pokonania za ostatnią blokadą. John i rabin czuli ich spojrzenia na plecach, kiedy znikali w słabym świetle ostatniej żarówki.

Daniels był zafascynowany tym, co zobaczył na stacji.

Odmienność i różnorodność stały się prawdziwym spektaklem w szarym świecie po katastrofie.

Niegdyś Marco Polo, pewien wenecki kupiec, w książce zatytułowanej *Opisanie świata* zrelacjonował swoje podróże na Wschód, opowiadając o cudach i dziwactwach, które napotkał na swojej drodze. To samo mógłby zrobić teraz, chodząc po stacjach mediolańskiego metra. W świecie, który zrodził się po Wielkiej Zagładzie, najróżniejsze kultury i tryby życia dzieliło od siebie zaledwie parę kilometrów. John mógłby powiedzieć, że świat stał się na powrót niewiarygodnie zróżnicowany. Dla osoby tak ciekawej wszystkiego jak on każda ujrzana rzecz była wskazówką przydatną do odtworzenia kultury ludzi, wśród których się znajdował. Dokądkolwiek by się nie udał, zbierał każdy najmniejszy fragment informacji, jakby była częścią cennego przedmiotu, który się rozbił. Pytał o szczegóły, które jego rozmówcom wydawały się bez znaczenia, wyrabiając sobie w ten sposób pogląd, niemal zawsze trafny, na temat tego,

jak powstała lokalna subkultura.

Podczas krótkiego pobytu w Mieście, John uchwycił wiele sygnałów wspólnoty opierającej się w dużej mierze na przetworzeniu i dopracowaniu zachowań i odniesień dziecięcych. Pewne powiedzenia i postawy były typowe dla dzieci, które dorastały bez wzorców świata dorosłego. W Mieście zmieniło się już samo pojęcie macierzyństwa i ojcostwa: dzieci nie były wychowywane przez rodziców, ale krótko po odstawieniu od piersi powierzane Szkole, będącej czymś na kształt wielkiej zastępczej rodziny, w której nauczyciele pełnili rolę rodziców. Wyglądało na to, że mieszkańcy Miasta nigdy nie nauczyli się być matkami i ojcami. Sama ich religia, oparta na niedorzecznej figurze dwulicowego Wuja, była infantylna, podobnie jak odniesienia do postaci z Piotrusia Pana. Ale z drugiej strony, jak na to dobrze spojrzeć, czymże oni byli, jeśli nie zbłąkanymi dziećmi?

Sądząc po tym, co zobaczył przez krótki czas spędzony wśród Chinosów, John wywnioskował, że ich wspólnota rozwinęła się raczej na wzorcach zachowań typowych dla nastolatków: ubiór był bardzo wyszukany, podobnie jak fryzury, o ile można było o nie dbać w świecie, w którym ostatnią buteleczkę szamponu wyprodukowano dwadzieścia lat wcześniej. Ponadto odzież była bardzo lekka jak na standardy Miasta, a nawet Nowego Watykanu. Podstawę ubioru stanowiły spodnie ze zgrzebnego płótna, pofarbowane na niebiesko na wzór dawnych dżinsów. Tu i ówdzie można było spotkać autentyczne dżinsy: prawdziwe skarby. Nosili je na przykład król mambo i Marcos. Dżinsy króla to był wspaniały model Levi's 501. Czarne koszulki i kurtki ze sztucznej skóry dopełniały strój podstawowy. Skrawki sztucznej skóry – jak dowiedział się John od pewnego handlarza, który je sprzedawał – pochodziły ze starych kanap i foteli znajdujących w mieszkaniach. Meble odzierano z tapicerki jak zwierzęta, do ostatniego milimetra. Czasami, jak powiedział handlarz, trafiały się meble z prawdziwej skóry-towar absolutnie bezcenny. On sam nigdy na takie nie trafił.

Jakkolwiek hałaśliwi i często przechwalający się swoją potęgą i przewagą cywilizacyjną nad sąsiadami, ci Chinosi – według Johna – nie byli złymi ludźmi. Gdyby miał więcej czasu, żeby z nimi pobyc, pewnie by ich nawet polubił. Obie grupy etniczne tworzące wspólnotę połączyły się bezproblemowo na zasadzie pewnej specjalizacji: Chińczycy oddawali się handlowi i produkcji rzemieślniczej, a Latynosi uprawie grzybów, hodowli szczurów i rzemiosłu wojennemu. Ale nie było sztywnego podziału: byli też Latynosi parający się handlem i Azjaci rolnicy. Tylko wojsko zdawało się być zarezerwowane dla południowców. Ciekawe dlaczego, zastanawiał się John. Ale miał ważniejsze i pilniejsze sprawy na głowie.

Szli przez dłuższy czas bez jednego słowa. Odgłos ich kroków w ciemności był jedynym dźwiękiem, jaki odbijały ściany i sklepienie tunelu.

– John?

– Tak?

– Zastanawiałem się nad jedną rzeczą. Znaczy... chciałem cię o to spytać.

– Słucham cię.

– Chodzi o twoją religię. Czy ty się czujesz nadal katolikiem? To znaczy... zachowujesz posłuszeństwo papieżowi i tak dalej? Odprawiasz mszę?

– Papieża już nie ma. A mszę tak, odprawiam ją, kiedy tylko mogę.

– Nie ma już papieża?

– Nie. Moja misja do Wenecji dotyczyła właśnie tego.

Samuel zamilkł.

Po chwili znów zapytał: – Ale nadal masz się za katolika?

– Chyba tak. Tak.

– Bo zastanawiałem się... Po tym wszystkim, co się stało... Może to jest właśnie ten moment... że Kościół może się zmienić. Mam na myśli nowe formy chrześcijaństwa. Ta katastrofa mogłaby być glebą dla odnowionej

wiary. Kiedyś czytałem książkę o początkach chrześcijaństwa. Mówiła o tym, że przez kilka wieków istniały niezliczone odmiany chrześcijaństwa. Byli choćby dokeci, potem ebionici, gnostycy, marcjonici i masa innych. W końcu zwyciężyli protoortodoksi, którzy stworzyli religię państwową Cesarstwa Rzymskiego. Ale przecież mogła wygrać inna odmiana chrześcijaństwa, i historia ułożyłaby się zupełnie inaczej.

– Można tak powiedzieć. Słyszałeś kiedyś o Kościele Akwilei?

– Nie.

– Został założony we Friuli, tradycja mówi, że przez samego Marka Apostoła. Czerpał inspirację z Kościoła aleksandryjskiego. Miał swoje własne *Credo*, inne od nicejskiego, i bardzo dziwne, przynajmniej w naszych oczach, formy obrzędu: msze śpiewane jak gospel, a celebrujący tańczyli przy ich odprawianiu. Jeden z ich biskupów był wręcz nazywany elegansem z racji swych tanecznych zdolności.

– Mocne.

– Poczekaj. To nie wszystko. Nie świętowali w niedziele, tylko w soboty, jak wy, Żydzi. Co świadczy o wschodnich korzeniach tego Kościoła, założonego zresztą przez żydowskiego apostoła Jezusa. Wyobraź sobie, że tradycja święcenia soboty pozostała żywa na wsiach friulańskich aż do soboru trydenckiego, kiedy to została wykorzeniona przez lokalny kler i inkwizycję.

– Wiele straciliście. Ta mania Kościoła do wykorzeniania wszystkich odmiennych roślin, do robienia nudnych angielskich łąk z tego, co mogłoby być ogrodem...

– Wybacz, że ci przerwę, Samuelu, ale ja też mam do ciebie pytanie. Jak ci się udało zebrać tylu Żydów? Nie wiedziałem, że to jest tak liczna wspólnota w Mediolanie. Myślałem, że jest ich naprawdę niewielu.

Śmiech rabina był jak wybuch w ciemności. I był to śmiech autentycznego rozbawienia.

– Ależ niewielu z nas to Żydzi! W znaczeniu etnicznym. Nasza

wspólnota przyjęła religię hebrajską, bo ja byłem jedynym duchownym pod ręką, ale, jak widać, drobnymi kroczkami przywiązali się do mojej wiary. Jedyna rzecz, do której nie mogę ich namówić, to obrzezanie. Które, nawiasem mówiąc, było słabością ebionitów. Nikt, kto nie był Żydem, nie pozwalał się obrzezać, żeby wejść do ich kręgu...

Głos rabina był przyjemny. Kiedy John szedł tak w ciemności, czuł się jak w samochodzie z włączonym radiem. Długo rozmawiali, porównując swoje religie i wiary, opowiadając sobie anegdoty, co sprawiało, że darzyli się coraz większym szacunkiem.

Spotkanie kogoś, kto tak dobrze czuł się z własną wiarą, po tylu latach samotności pełnej zwątpienia, przyniosło Johnowi ulgę. Za to marsz w ciemności był bardzo męczącym doświadczeniem. Samuel, choć o dziesięć lat młodszy, z trudem nadażał za sprężystym, wprawnym krokiem ojca Daniela. Stan tunelu był opłakany. Tory dawno już zostały zerwane i użyte do postawienia nie posterunków, jak w tunelu, którym dostali się do stacji Cadorna, lecz stałych barykad.

Zespawane na krzyż odcinki szyn tworzyły ogromne zapory, przez które nie mogło przedostać się nic większego od człowieka. W drżącym świetle latarki na korbkę rabin przyglądał się smutno przeszkodzie.

– Zastanawiam się, dlaczego nie dali więcej szyn. Znaczy... taka zapora nie jest przeszkodą dla człowieka. Gdyby dali je gęściej...

– Gdybyś z jakiegoś powodu zapuścił się poza ten szlaban, dziękowałbyś niebu, bo pozwalają ci przejść.

– Pozwalają to dużo powiedziane.

– Desperacja pomaga. Nie masz pojęcia, do czego jest się zdolnym w niebezpieczeństwie.

Zdjęli plecaki i kurtki. Temperatura była niska, ale nie było mroźnie. Najwyraźniej tunel był położony głęboko.

Pierwszy przechodził John. Wygiął się, wstrzymał oddech, aż zdołał precyzyjnie przecisnąć klatkę piersiową na drugą stronę.

Reszta była już prosta.

– Dawaj, twoja kolej – rzucił, trzymając latarkę.

Samuel był szczuplejszy i przeszedł bez trudu. Ale i jemu zajęło to dobrą minutę.

– Rozumiesz teraz, dlaczego nie są potrzebne bardziej gęste kraty? To jedyne istniejące przejście. Wystarczy jeden człowiek z karabinem, żeby upilnować każdego nieuzbrojonego napastnika. Najwyraźniej ci, co zaprojektowali tę konstrukcję obronną, myśleli o nieuzbrojonym wrogu. I nie o człowieku.

Po drugiej stronie zapory otoczyła ich niezbadana cisza. Słysząc było bicie ich serc, szelest pyłu pod butami – odgłosy wyraźne, absolutne. Johnowi przypominało to wrażenia z pierwszego przesłuchania *The DarkSide of the Moon* Pink Floydów na sprzęcie ojca. Igła opadła na płytę i z kosztownych kolumn Nautilus popłynęły dźwięki tak wyraźne, jakby były żywe. To samo działo się tutaj: każdy dźwięk odcinał się wyraziście od ciszy, miało się wrażenie, że możesz go dotknąć.

Samuel już miał postawić pierwszy krok, kiedy John chwycił go za rękaw.

– Nie. Tu zaczyna się pole minowe.

Czoło rabina w jednej chwili pokryło się zimnym potem.

– Mogłeś mi powiedzieć wcześniej.

– Po co? Żebyś się niepotrzebnie denerwował? Zapal światło.

Rabin wykonał posłusznie polecenie.

– Idź za mną – kontynuował John.

Mapa była bardzo przejrzysta i dokładna. Ksiądz przejrzał ją pobieżnie. I podał Samuelowi.

– Tyją weź. Na drogę powrotną, gdybym ja nie dał rady.

– Nie możesz iść bez mapy.

– Już ją znam. Nauczyłem się jej na pamięć. Idź za mną.

I nie czekając na odpowiedź, ruszył tak szybko i pewnie, że przestraszył

młodego rabina.

Dwa kroki w lewo, jeden w przód, jeden w prawo.

Dookoła nich była śmierć.

Samuel czuł jej obecność niczym przyczajoną bestię.

Jeden fałszywy krok, a z ich ciał zostałyby tylko graffiti na ścianach tunelu.

Jeden fałszywy krok był wszystkim, co dzieliło ich od nicości.

Samuel recytował w myślach starą hebrajską modlitwę poranną.

Przedwieczny! Niech Twoje miłosierdzie się rozpali,

zmiłuj się nad Twoim ukochanym dzieckiem,

bo tak bardzo tęskniłem, by ujrzeć jak najprędzej wspaniałość Twojej chwały.

Boże – pragnienie mojego serca!

Błagam! Zmiłuj się i nie ukrywaj Swojej Obecności.

Objaw się, mój Ukochany,

i rozpostrzyj nade mną namiot Twojego pokoju.

Niech ziemia będzie oświecona Twoją chwałą.

Będziemy się cieszyć i radować w Tobie.

Spiesz się kochać, bo nadszedł czas.

Okaż mi dobroć jak za dni dawnych¹

Po chwili był już w stanie zbliżonym do transu. Szedł i modlił się, a modlitwa nadawała rytm jego krokom, aż zaczęło mu się wydawać, że mógłby iść z zamkniętymi oczami niesiony hipnotycznym rytmem modlitwy.

Zorientował się, że dotarł do końca długiego pola minowego, kiedy John przystanął u stóp potężnej zapory. Belki były zabetonowane, połączone między sobą i ze ścianami tunelu: tworzyły trzy kratownice w odległości trzech metrów jedna od drugiej. W każdej z kratownic było jedno przejście akurat wielkości ludzkiego ciała.

– Nawet dziecko mogłoby bronić takiego przejścia – skomentował

Samuel.

John przytaknął.

– Spieszmy się. Natrafimy jeszcze na niejedno takie.

Młody rabin zdjął plecak.

– Chciałem cię zapytać o jedną rzecz. Myślałem, że aby być żydem, trzeba się urodzić Żydem. – powiedział John, pomagając rabinowi przedostać się przez przeszkodę. – Ale ty powiedziałeś, że tak nie jest.

– No... Tak było. Ale czasy się zmieniły. Nie jesteśmy już tacy wybredni. Obejrzał się za siebie, szukając wzroku księdza.

– Ale tobie nie o to chodzi, prawda? Pytasz mnie, czy ja jestem Żydem.

– Tak.

– Odpowiedź nie jest taka prosta. Technicznie rzecz biorąc nie, nie jestem Żydem. Sądzę, że tylko Sergio jest, ale nawet on połowicznie. Jego matka była Izraelitką. Wielka kobieta. To ona nauczyła go strzelania i wszystkiego innego.

Była chyba porucznikiem izraelskiego wojska. I modelką.

– Modelką?

– Musiałbyś ją zobaczyć. Nawet po pięćdziesiątce była piękna. Zdaje się, że była jedną z najślawniejszych modelek, zanim świat się rozleciał. Grała nawet w filmach, w Ameryce. Albo we Francji, nie pamiętam. Sergio bardzo ją kochał.

Nawrócił się, kiedy umarła.

Sapiąc, próbował przełożyć prawą nogę przez skrzyżowane sztaby.

– Opowiadałeś o tym, jak ocaleli z Bonoli stali się Żydami – powiedział John.

– Tak. Pomóż mi, bo nie mogę wyciągnąć nogi.

Daniels pochylił się. Prawa nogawka spodni Samuela zahaczyła o wystającą z belki śrubę. Daniels zdjął rękawice i męczył się, żeby uwolnić rabina.

– Stój, bo rozedrzesz spodnie. No, już, teraz wyciągnij nogę. Powoli.

Samuel zrobił, co mu kazano. Z niejakim trudem udało mu się wreszcie wydostać poza przeszkodę.

– Dzięki, Johnie. Jak mówiłem, poza Sergiem nikt z nas nie był naprawdę Żydem. Ja zostałem nim czytając książkę.

Poczekaj, mam ci pomóc?

– Nie, poradzę sobie – odrzekł Daniels. Podał plecak towarzyszowi i zaczął przeciskać się przez metalową zaporę.

Technika jej wykonania napełniła go podziwem. Przed Wielką Zagładą duża część ludzkości przestała budować cokolwiek własnymi rękami: czynność tę powierzano maszynom albo nielegalnym robotnikom, najczęściej z innego kontynentu.

Katastrofa narzuciła ludzkości powrót do inspiracji twórczej i do manualnych zdolności. Odtworzono wiele dawnych technik, inne wynaleziono od nowa. A jeszcze inne poszły w zapomnienie. W schronach odwiedzonych przez Johna nikt nie potrafił utkać kawałka materiału. Ani wytworzyć szkła. Ludzkość obgryzała kości minionych epok-tak udawało się jej przetrwać. Kiedy te kości wydrenuje się już ze wszystkiego...

John zdołał w końcu precyzyjnie się na drugą stronę. Włożył z powrotem plecak.

– Mówisz, że zostałeś Żydem, czytając książkę.

– Tak.

Samuel uśmiechnął się. Gorzkim uśmiechem. Jego oczy zatraciły się w głębokim morzu wspomnień...

Nie jadł od trzech dni.

Wyszli ze schroniska w czterech w poszukiwaniu jedzenia. Czterech najsłabszych z grupy. Najbardziej zbędnych. Gdyby wrócili do schroniska z żywnością, świetnie. W przeciwnym razie byłoby przynajmniej o cztery gęby mniej do wyżywienia.

Maski, jakie dostali, były w tak złym stanie, że praktycznie nie nadawały się już do niczego. A plastikowe poncza wisiały na nich w strzępach. Jako

broń mieli tylko noże.

Jeden z nich zginął już pierwszego dnia – wpadł w dziurę, kiedy ziemia się pod nim zapadła. Jeszcze chwilę wcześniej tam był, prowadził wszystkich, i w jednym momencie zniknął, a krzyk zamarł mu w gardle.

Samuel i dwóch pozostałych podeszli ostrożnie do otworu w ziemi.

Ciało przyjaciela leżało w bezładzie na dnie rozpadliny. Nie zginął wskutek upadku, lecz nadział się na sterczące zardzewiałe pręty, które przeszły go na wylot.

To były dość powszechne wypadki w miejscu, które kiedyś było centrum miasta. W chodnikach znajdowały się co kilka metrów metalowe kratownice. Zanedbywane od dwudziestu lat i wystawione na niepogody skorodowały i stały się delikatne niczym szkło. Wystarczyło, że ktoś stanął na nich przypadkiem, a ustępowały nagle, łamiąc się na śmiercionośne kawałki. Nie zawsze tak było. Czasami kratownica wytrzymała. Ale kiedy pękała, śmierć była pewna.

Drugi zniknął podczas śnieżycy. To też należało do powszechnych wypadków. Musiałeś się trzymać bez przerwy towarzysza przed sobą, bo gdy traçał go na moment z oczu, było po zawodach, zaczynał podążać w złym kierunku, nierzadko kręcił się w kółko, nie wiedząc, gdzie jesteś, dopóki śnieżycy nie minęła. A takie śnieżycy potrafiły trwać całymi dniami.

Ostatni z towarzyszy Samuela odebrał sobie życie w nocy, w zaimprovizowanym schronieniu w jakimś starym garażu.

Użył noża: najpierw żeby wyciąć w ścianie napis, potem żeby podciąć sobie żyły na rękach.

Samuel zbudził się obok siniejącego trupa.

Płakał długo jak dziecko. Potem przeczytał napis wycięty nożem w ceglach.

To była deklaracja miłości do najładniejszej dziewczyny w schronisku. Która zapewne nie wiedziałaby, co zrobić z tak nieistotnym uczuciem.

Samuel opuścił miejsce schronienia.

Wiatr ustał. Świat był jednym szaro-czarno-białym polem. Bez kolorów. Nawet kałuża zakrzepłej krwi wydawała się czarna, nie czerwona.

Samuel biegł w śniegu, biegł do utraty tchu, a kiedy dobiegł do samego środka nicości, zaczął kręcić się wokół własnej osi, niczym derwisz, coraz szybciej i szybciej, aż padł zamroczony.

Upadł, a brudny śnieg go pochłonął. Za zadrapanymi, zaparowanymi szklami maski świat kręcił się i kręcił.

A potem zapadła się pod nim kratownica i Samuel runął z rozpostartymi ramionami, jak ukrzyżowany.

Śnieg złagodził upadek. Metalowe szpice cudem oszczędziły jego ciało, szarpiąc mu jedynie ponczo.

Leżał tak rozpostarty. Zdjął maskę. Pozwolił się gładzić śniegowi, moczyć spierzchnięte usta.

Zamknął oczy. Szelest padającego śniegu wnet ułożył się w sylaby, potem słowa, niczym w jakimś obcym języku.

Kiedy znów otworzył oczy, mogło minąć kilka chwil, długich jak godziny.

Ze słów, które szepnął mu śnieg, pamiętał tylko jedno zdanie.

Nauczył się go na pamięć, ale dopiero po dłuższym czasie, kiedy nauczył się hebrajskiego, miał poznać jego znaczenie.

I wtedy zrozumiał, że w nadirze jego życia Bóg przemówił do niego naprawdę.

Wstał i zdziwił się, że nie czuje bólu. Głowę miał lekką jak całą resztę ciała. Gdyby chciał, pomyślał w tym delirium, mógłby pomachać ramionami jak skrzydłami i wznieść się w powietrze. Na murze studzienki wisiła składana drabinka.

Mógł ją rozłożyć i wyjść na górę.

Jednak rozejrzył się najpierw dookoła siebie. W murze zobaczył żelazne drzwi. Małe drzwiczki. Ale on był przecież bardzo chudy.

Nie były zamknięte na klucz. Nieświadomie, a może -jak uznał później –

prowadzony przez Boga, przełożył nogi przez otwór drzwi i opuścił się w ciemność.

Siła grawitacji pociągnęła go w dół i do przodu.

To był dawny zsyp węglowy. Samuel spadł plecami na lodowatą posadzkę.

W słabiutkim świetle docierającym z góry przez drzwiczki rozpoznał kształt wielkiego starego kotła. Piwnica wyglądała na opuszczoną od wieków. Samuel zapalił małą lampkę naftową z szybkami, jeden z niewielu przedmiotów, w jakie zostali wyposażeni na swoją misję. Nie zbiła się przy upadku. Zapalił ją i mógł lepiej przyjrzeć się temu, co znajdowało się w pomieszczeniu.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, było jedzenie. Konserwy, puszki, plastikowe butelki. Wszystko ułożone starannie na półkach szafy. Na każdej naklejona była kartka z datą, zapewne przydatności do spożycia. To były zapasy wojskowe, z długimi terminami ważności. Ocalali nauczyli się nie ufać datom przydatności podanym na opakowaniach. Często żywność teoretycznie od lat przeterminowana okazywała się jadalna.

Drugą rzeczą, jaką zobaczył, były książki. Setki książek.

Trzecią był starzec.

Siedział przy biurku. Z głową odrzuconą w tył, wspartą na oparciu krzesła. Usta szeroko otwarte w czarny przepastny owal.

Nie żył od lat. Włosy i broda białe jak śnieg. Puste oczodoły białe w sufit.

Miał na sobie szlafrok, a pod spodem wiele warstw swetrów i koszul. Jego prawa ręka spoczywała na książce. Samuel go nie dotknął.

Ciało starego nie wydawało przykrego zapachu. Trąciło kurzem i jakąś nieokreśloną przyprawą korzenną.

Samuel został w tej piwnicy przez ponad trzy miesiące. Ciężkie stalowe drzwi wejściowe zamknięte były na klucz, którego nie znalazł.

Żywność z półek pozwoliła mu przeżyć, odzyskać siły i energię. Był

bardzo ostrożny, próbując jej przed zjedzeniem. Ale jeśli nie liczyć kilku przypadków biegunki, nic mu nie zaszkodziło.

Pozbywał się odpadów przez wielki piec, który nauczył się obsługiwać. W kącie piwnicy leżał nadal niewielki zapas węgla, a i tych kilka drewnianych mebli miało skończyć w bebeczach tego pomrukującego monstrum, niczym drobne wykałaczki w paszczy smoka.

Czerwonawe światło za szkiełkiem drzwiczek kotła dawało Samuelowi poczucie bezpieczeństwa, jakiego nigdy przedtem nie zaznał. Był zbyt mały w dniu kataklizmu, by pamiętać czar centralnego ogrzewania.

Zapas świec w tej piwnicy zdawał się być niewyczerpany. Zachowały się w doskonałym stanie, co było kolejnym dowodem na to, że nie dostał się tam nigdy żaden szczur.

Na początku Samuel czuł się nieswojo z powodu obecności poprzedniego lokatora piwnicy. Ale z biegiem czasu przestał na to zwracać uwagę. Jego obecność stała się czymś normalnym.

Jak odkrył, początkowo z rozczarowaniem, biblioteka zawierała same książki o tematyce religijnej. W większości napisane były po hebrajsku.

Na półce obok starego leżały słownik i gramatyka hebrajskiego. Samuel, który wtedy jeszcze nosił inne imię, od nich właśnie zaczął swoją eksplorację tego starego języka. Później przeszedł do książek.

Znalazł prawdziwe skarby mądrości i wiele niezrozumiałych, czy wręcz dziwacznych rzeczy. Przetrawił wszystko, bez wyjątków. Przyjął judaizm z bezgraniczną wiarą. Oddał się staremu Bogu z pełną radością i ufnością.

Aż pewnego dnia, na stronach Talmudu, odnalazł słowa swojego boskiego powołania.

Drżącym palcem wskazującym przebiegł od prawej do lewej strony, odczytując zdanie, które śnieg wyszeptał mu do ucha po upadku.

– NIE UWAŻAJ NICZEGO ZA NIEMOŻLIWE.

Wstał, bo poczuł jakąś siłę, która pochodziła nie tylko z jego członków pokrzepionych pokarmem i wypoczynkiem. To była siła tryskająca ze

środką, ze świetlistej głębi jego serca.

Jakby pod wpływem iluminacji, podszedł do nieboszczyka.

Powoli, delikatnie zdjął trupa dłoń z książki.

Otworzył zakurzoną okładkę.

Książka była pusta. Strony wycięto, by zrobić w niej schowek.

W środku był klucz i nóż.

– Kluczem otworzyłem drzwi piwnicy. Ale najpierw użyłem noża.

– Do czego? – zapytał John. Ale kiedy stawiał to pytanie, znał już odpowiedź.

– Użyłem go, żeby się obrzezać. Ale ponieważ nie miałem pod ręką środków dezynfekcyjnych, zainfekowałem ranę i przez wiele dni gorączkowałem. Kiedy wydobrzałem, otworzyłem drzwi i wyszedłem na powierzchnię. Było tak, jakbym się narodził na nowo. Nic nie było już takie samo. Jak piszą w waszej Ewangelii: „kamień odrzucony przez budujących stał się kamieniem węgielnym”. To Najwyższy pokierował mnie ku Bonoli i osobom błakającym się tam w ciemnościach.

Razem podjęliśmy drogę w stronę światła.

Samuel zamilkł.

John uznał, że nie będzie się odzywał. Szli dalej, ale odgłos ich kroków teraz wydawał się inny uszom księdza.

Po jakimś czasie rabin znów zaczął mówić.

– Najważniejsza książka, jaką znalazłem w tej piwnicy, to był porozrywany tomik, niemal całkowicie zniszczony przez czas. *Responsa* Ephraima Oshry'ego, rabina z getta w litewskim Kownie. Niesamowita książka. Wiesz, co to Shoah, tak?

– Pewnie.

– Największa tragedia, jaka dotknęła mój naród, przed Mrokiem. Ta książka pokazuje, jak bardzo duch jest silniejszy od ciała. Jak można pozostać całym i czystym, przechodząc przez totalną zagładę. *Responsa* były opiniami wydawanymi przez rabina w sprawach etycznych

i religijnych. Niektóre z tych spraw przyprawiają o dreszcz. Pewien ojciec prosi o pozwolenie na samobójstwo, bo wie, że Niemcy zabijają głowę rodziny na końcu, i nie chce być świadkiem śmierci swoich dzieci. Pewna matka pyta, czy może powierzyć swoje dziecko księdzu katolickiemu, by je ocalić. Książka jest pełna strasznych pytań. Po rzezi tysiąca dwustu dzieci i noworodków rodzice pytają, czy mogą odmówić *kadisz* za wszystkich, czy tylko za dzieci w określonym wieku. „Od roku wzwyż”, brzmi odpowiedź rabina. Pytania dotyczą każdego aspektu życia codziennego w piekle getta: czy można użyć jako drewna opałowego drzew z cmentarza? Czy można chodzić po żydowskich płytach nagrobnych wykorzystywanych przez nazistów do brukowania dróg? Czy można nauczać Tory nazistów? Czy mężczyzna wykastrowany przez SS może śpiewać w synagodze? Czy można przebaczyć żydowskiemu kapo 1

przyjąć go do posługi religijnej? Czy można usunąć numer, który naziści tatuowali na ramionach więźniów obozowych?

Czy dozwolone jest jedzenie ludzkiego mięsa?

Słowa Samuela wciąż padały w mroku tunelu, a każde pytanie i każda odpowiedź boleśnie rozdzierały Johna niczym prawdziwa rana.

Nie, nie możesz popełnić samobójstwa.

Nie, nie możesz powierzyć swojego dziecka księdzu, nawet jeżeli wystawiasz go tym samym na śmierć.

Nie, nie możesz jeść ludzkiego mięsa.

O nie, nie możesz usuwać tego numeru, musisz go nosić z dumą.

- Nie znam lepszej religii, aby stawić czoło światu, w którym przyszło nam żyć – podsumował Samuel. – A ty?

John długo medytował, zanim udzielił odpowiedzi.

– Ja wciąż jej szukam.

Pokonanie ostatniej kraty zajęło im kwadrans. John Daniels odczuwał podziw dla tych, którzy wymyślili zapory wystarczające, aby trzymać z dala od stacji Stwory Nocy, ale jednocześnie tak skonstruowane, by umożliwić

wyjście i powrót zwiadowców.

– Przed nami opuszczona stacja Cordusio – wskazał John.

Naturalnie wskazał jedynie ciemność. Ale Samuel i tak wyobraził sobie tę stację, nie inną od tych, które już minęli, aby tu dotrzeć. Mediolańskiemu metru daleko było z pewnością do świetności metra moskiewskiego, czy też do ogromu i złożoności metra londyńskiego i nowojorskiego. Było młode, zaprojektowane bardziej z dbałością o koszty niż o estetykę. Każda stacja była podobna do pozostałych, jeśli nie liczyć płytek na ścianach i nazw, które na nich umieszczono.

Ale kiedy tam dotarli, stwierdzili, że Cordusio nie była jak inne stacje.

– Co to u licha jest? – zapytał Samuel szeptem.

W słabym, migoczącym świetle latarki ściany tunelu wyglądały jak z plastiku. Pokrywał je całkowicie czarny, błyszczący niczym lakier lub odwłok chrząszcza materiał, skrząc się w świetle.

– Nie jest to szczególnie zabawne miejsce – skomentował Samuel, dzwoniąc zębami.

John przejechał palcem po czarnej powierzchni ściany.

– Jest lodowata.

Wydawało się, że temperatura spada z każdym kolejnym krokiem. Wydychane powietrze natychmiast zamieniało się w parę.

– Jeszcze zdążysz zawrócić.

Rabin pokręcił głową.

– No to idźmy – skonkludował John. – Naprzód.

Jego oświetlona twarz odbijała się strasznymi zdeformowanymi refleksami na gładkiej powierzchni ściany, która była jak lustro.

Ciemne lustro.

Zgasił latarkę. Chwilami żałował utraconego daru widzenia poza wzrokiem. Mógłby teraz widzieć w podczerwieni ewentualnego wroga, zwłaszcza na tle tej lodowatej powierzchni. Nie pierwszy raz zastanawiał się, czy tak właśnie widziały Stwory Nocy.

Możliwe.

Pomyślał znów o Mnie i o dziwnym związku, który ich łączył. I o jeszcze dziwniejszych okolicznościach, w jakich się poznali.

– Jak poznałeś tę dziwną istotę? – zapytał akurat w tym momencie Samuel.

John zastanowił się dłuższą chwilę.

Odpowiedź nie była łatwa.

Ale może właśnie przyszedł na nią czas.

– To było w pobliżu Ravenny. Szedłem bardzo ostrożnie, głównie w nocy. Chciałem uniknąć straży kościelnych.

Ravenna to najbardziej na północ wysunięty przyczółek Kościoła. Szedłem starą drogą Ramea, szukając schronienia przed światłem dnia, kiedy nagle usłyszałem za plecami dzwonek. Pomyślałem, że to niemożliwe. Że to złudzenie, spowodowane może zmęczeniem. Obejrzałem się. Zawierucha śnieżna ograniczała widoczność do kilku metrów. Dźwięk dzwonka zbliżał się, i po chwili ujrzałem jakiś kształt, który w tej zamieci stawał się coraz wyraźniejszy. Wytężyłem wzrok.

Dopiero co minęła godzina świtania. Światło było jeszcze słabe. Postać poruszała się w dziwny sposób. Kiedy zdołałem zobaczyć ją lepiej, zorientowałem się, że ma na sobie coś w rodzaju mnisiego habitu. Twarz zakrywał kaptur. Pod nim widziałem jedynie ciemność. Postać zatrzymała się obok mnie. Dźwięk, jaki słyszałem wcześniej, pochodził z dzwonka zawieszzonego na lasce...

– *Dzień dobry – odezwał się Mnie.*

– *Dzień dobry – odpowiedziałem zdumiony.*

– *Podróżujesz w dzień. To nie jest dla ciebie bezpieczne.*

– *Skąd wiesz?*

– *Wiem.*

– *Nie zdążyłem znaleźć miejsca na odpoczynek. Szukam go już od wielu godzin.*

– Jest jedno niedaleko stąd. Dobre schronienie. Jeśli chcesz, zaprowadzę cię tam.

Przyjrzałem mu się.

– Kim jesteś? Dlaczego miałbym ci ufać?

– Jesteś kapłanem Świętego Kościoła Rzymskokatolickiego, ale teraz jesteś jedynie zbłąkaną owieczką, jak sami mówicie. Potrzebujesz mnie. Więc będziesz musiał mi zaufać.

– Skąd wiedział, że jesteś księdzem?

– To była pierwsza rzecz, o jaką go spytałem. Odpowiedział jedynie wzruszeniem ramion. Ale miał rację. Zaczynało świtać, śnieżycy nie ukryłaby mnie przed wzrokiem patrolu. A te w Ravennie ciągle się szwendały. Musiałem mu zaufać.

I rzeczywiście, schronienie się znalazło. Zawalone gospodarstwo wiejskie, którego głęboka piwnica wciąż nadawała się do użytku. Gruzy stanowiły dodatkową warstwę zabezpieczającą przed promieniowaniem. Poza tym była wystarczająco daleko od drogi, aby patrolom nie przyszło do głowy tam zaglądać. Śnieg niemal natychmiast przykrył nasze ślady.

Znalazłem miejsce na sanie z ładunkiem pod wiatą, której wielkość była jak na miarę. Mnich sprowadził mnie potem do piwnicy i zamknął włącz.

– Ufałeś mu?

– Nie miałem wyboru. Ale mimo wszystko – tak. Dziwna rzecz, ale wzbudzał we mnie ufność.

Piwnica była ciepła w porównaniu z warunkami na zewnątrz, gdzie śnieżycy zmieniła się w prawdziwą zawieruchę. Mnich, jak go odtąd nazywałem w myślach, wskazał mi ruchem głowy kąt, w którym leżała rozbita beczka. Użyłem tego suchego drewna, żeby rozpalić ogień w miejscu, które mi wyznaczył, a które okazało się do tego idealne: dym podnosił się ku górze i uciekał przez niewidoczne nieszczelności w suficie. Nie miałem zbyt wiele do zaoferowania, ale Mnich nie wykazywał żadnego zainteresowania ani jedzeniem, ani wodą, które mu zaproponowałem.

W czerwonym blasku płomieni czerń pod kapturem była jak czarna dziura pochłaniająca światło.

– W tej drugiej beczce jest wino – powiedział Mnich.

– Teraz to już będzie ocet.

– A właśnie że nie. Jest wciąż dobre. Skosztuj.

Podszedłem do beczki. Nalałem wina do swojej menażki.

Miał rację. Było doskonałe.

Kiedy mu podałem, znów odmówił.

Dużo wypłem. Od tak dawna nie kosztowałem wina, że jego smak wydawał mi się prawdziwym cudem.

Pilem i mówiłem. Mnich milczał. Słuchał. Spytał, dlaczego podróżuję sam z takimi ciężkimi saniami.

– Co mu odpowiedziałeś?

– Wino rozwiązało mi język. Obawiam się, że opowiedziałem mu wszystko. Może nawet sam nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak bardzo potrzebuję się wygadać, żeby nie trzymać tego wszystkiego w sobie. Na koniec Mnich kiwnął głową...

– Droga do Rzymu jest długa i trudna – powiedział. – Stąd wiedzie tam już niewiele przejezdnych dróg, a blokad będzie coraz więcej.

– Nie mam wyboru – odpowiedziałem.

– Zawsze jest jakaś alternatywa. Droga do Mediolanu jest prawie pusta.

– Ja nie idę do Mediolanu.

– Nigdy nie wiesz. Czasami najkrótsza droga nie jest tą najlepszą.

Machnąłem ręką. Czuję się pijany. Odbiło mi się tym mocnym winem i poczułem kwas w ustach. Mnich wyciągnął rękę, żeby rozniecić tłący się ogień kijem.

Wtedy zobaczyłem tę dłoń.

- Co pomyślałeś?

– Że jestem pijany. Że to mi się tylko śni i że rano nie będzie tu już niczego takiego. Ale tej nocy coś się zdarzyło.

Obudziłem się i poczułem, że jestem zupełnie trzeźwy. Widziałem wszystko, każdy przedmiot wydawał mi się niezwykle wyraźny.

Mnich siedział obok mnie i mi się przyglądał. Nie miał kaptura na głowie, ale ponieważ siedział tyłem do ognia, widziałem jedynie czarny gładki owal.

Przeszył mnie dreszcz, kiedy przypomniałem sobie czarny pazur z kijem rozgarniającym żar. Zachodziłem w głowę, jak mogłem zasnąć przy tym monstrum.

– Zbudź się, John – powiedział.

– Co jest? – odezwałem się, przecierając zaspane oczy.

– Muszę coś dla ciebie zrobić.

– Już dużo zrobiłeś. To miejsce, wino.

– Mówię o darze o wiele większym.

– Ach tak? – zadrwiłem. – Ao ile większym?

– Sam ocenisz. I przesunął prawą dłoń przed moimi oczami.

Poczułem ostry ból w głowie. Czasami używamy wyrażenia „oślepiający ból” wbrew jego dosłownemu znaczeniu.

Ból, który poczułem, oślepił mnie. Dosłownie. Pogrążyłem się w ciemności.

– I co dalej?

– Dalej usłyszałem dzwonek Mnicha i zobaczyłem, jak wyłania się z daleka, nie większy od kropki, która stopniowo robiła się coraz większa, aż stanęła przede mną.

– Jak się czujesz? – spytał.

– Co zrobiłeś z moimi oczami?

– Wyleczyłem ich wadę.

– Jaką wadę?

– Za dobrze działały. Tak dobrze, że narażały cię na niebezpieczeństwo.

Potrzebujesz specjalnych oczu. I ja ci je dałem.

Zrewanżujesz mi się później, kiedy będziesz mógł.

– Oślepiłeś mnie!

– Przecież mnie widzisz.

– Jesteś tylko złudzeniem!

– Nie. Naprawdę mnie widzisz.

– Alessia! Gdzie jesteś? Pomóż mi!

Mnich, jak nazywałem go w myślach, pokręcił głową.

– Nie może cię usłyszeć – westchnął ze smutkiem. – Ale odnajdziesz ją, obiecuję. Kiedy te oczy już ci nie będą potrzebne.

Obraz Mnicha zniknął, a ja znalazłem się znów w piwnicy. Ale musiałem natychmiast zamknąć oczy. Światło z ogniska było nie do zniesienia. Tylko trochę słabsze od blasku, jakim emanowała postać, która przykucnęła przede mną. Teraz mogłem zobaczyć jej twarz. Jej gładkie oblicze, praktycznie pozbawione wszelkich rysów, niczym maska szermierza albo niedokończona rzeźba. Rzeźba z czarnego marmuru.

– Ale kiedy cię poznałem, znowu widziałeś.

– Daj mi skończyć.

Pewny krok księdza odbijała posadzka tunelu. Gładka, niepokojąco czysta.

Zrobiona z materiału lśniącego i twardego jak odwłok chrząszcza. Z materiału obcego pochodzenia.

John wrócił do swojej opowieści.

Wtedy nie wiedziałem, jak strasznie wygląda moja twarz.

Nie wiedziałem nawet, że kiedy zdawało mi się, że zamykam oczy, w rzeczywistości naciskałem tylko guzik w moim mózgu.

Powoli opanowałem tę technikę, podobnie jak nowe możliwości mojego widzenia. Jedną z nich, choć nie jedyną, było widzenie w ciemności. Mogłem teraz odbierać aurę każdej osoby, przez co wiedziałem, czy jest zdrowa, czy chora. Poza tym wśród darów od Mnicha była też chyba odporność fizyczna, która nałożyła się na siłę otrzymaną od weneckiego Patriarchy. Wreszcie, choć była to najtrudniejsza do kontrolowania

zdolność, potrafiłem wchodzić i wychodzić z równoległego świata, będącego prawdziwym światem Mnicha i podobnych mu stworzeń. Świata współistniejącego z naszym poprzez nakładanie się na niego, ale niestanowiącego jego rzeczywistej części. Do tego wymiaru należy Alessia, ale żeby mnie chronić, musiała przejść do mojego. Dlatego już jej nie widziałem, chociaż cały czas była ze mną.

– Teraz już musisz iść, Johnie – rzekł Mnich. – Musisz znów ruszyć w swoją drogę. Ale nowe oczy, jakie ode mnie dostałeś, nie wystarczą. Musisz sobie znaleźć sojuszników. Znajdziesz ich w Mediolanie.

– Nie idę do Mediolanu – powtórzyłem z uporem.

– Musisz tam pójść. Nie masz wyboru, jeżeli chcesz, żeby twoja krucjata się powiodła.

Pomimo strachu i złości wybuchnąłem śmiechem.

– Krucjata?

– Czy kiedykolwiek słyszałeś o krucjacie dzieci?

– To średniowieczna legenda.

– Raczej coś między legendą a historią. Ale krucjata naprawdę miała miejsce, a Stefan z Cloyes, dwunastoletni pastuszek, który ją zorganizował, naprawdę istniał. Przekonał trzydzieści tysięcy dzieci, aby udały się z nim wyzwolić Ziemię Świętą w 1212 roku.

– Tak jak prawdą jest, że krucjata się nie powiodła. I prawie wszystkie te dzieci zginęły. Albo skończyły w niewoli.

– Ale ta krucjata się powiedzie. I nikt nie umrze w niewoli. Musisz iść do Mediolanu i zwołać wielką armię, z którą pokonasz zło i stworzysz podwaliny pod swój atak na Rzym, gdzie panoszy się jeszcze większe zło.

Maszerując obok katolickiego księdza, Samuel kierował się w ciemności jego głosem. Głosem, który stawał się coraz pewniejszy i bardziej zdecydowany.

– To wtedy miałem pierwszą wizję tego, czym stał się Rzym pod wodzą nowego kardynała, którego nie znam – zakończył smutno ojciec Daniels.

Samuel pokręcił głową.

– To niebywałe, że kompletnie nic nie wiedzieliśmy o takich strasznych faktach.

– Świat zrobił się o wiele większy. No i cichy.

– Właśnie – przyznał młody rabin. – Cichy jak olbrzymi cmentarz. Cmentarz wielki jak planeta.

– Tego, w gruncie rzeczy, nie wiemy – zauważył Daniels. – Nie ma sposobu, żeby połączyć się z resztą świata.

– To, co widać dookoła, wystarczy, żeby nie mieć wielkich nadziei.

– Nadzieja jest ostatnim światłem, jakie nam zostało. Nie możemy jej porzucić – upierał się John.

– Poszedłeś zatem za radą Mnicha i zjawileś się tutaj. Żeby zebrać armię.

– Przyszedłem tutaj, i tutaj skradli mi bombę, więc zostałem zmuszony do zebrania wojska, żeby ją odzyskać.

Rabin podrapał się po brodzie.

– Ale to nie ma sensu. Gdyby Mnich pozwolił ci iść swoją drogą...

– Mógłbym dotrzeć do Rzymu i nie dać się prawie zabić, prawda? Nie sądz, że o tym nie myślałem. Wiele razy...

Ciągnął swoje sanie już od tygodni po opuszczonych drogach, kiedy na przedmieściach martwej metropolii nazywanej niegdyś Mediolanem został otoczony przez jakieś pół tuzina uzbrojonych.

Nie widział, że nadchodzą. Jego nowe zdolności nie pomogły mu jak wcześniej.

Można powiedzieć, że jego zmysły, te nowe i te stare, zdradziły go.

Mężczyźni krążyli wokół niego, jak w jakimś tańcu. Obrzucali obelgami i szarpali.

Wypowiadali niczym magiczne formuły stare łacińskie modlitwy do tego stopnia zniekształcone przez ich niewiedzę, że były prawie nierozpoznawalne.

To byli Synowie Gniewu. Mówili ze śmiechem, że niczego od niego nie chcą.

W rzeczywistości jednak chcieli wszystkiego.

Zabrali sanie.

Zabrali bombę.

Zabrali maskę i zapasy.

Połamali mu kości. Szydzili niemiłosiernie z jego ślepoty. Ale to właśnie ona go uratowała.

Napastnicy porzucili go półżywego w śniegu, uznając, że będzie zabawniej przedłużyć agonię starego ślepcy. Zapadał zmrok. Wydawało się, że słycać odgłosy nadchodzących Stworów Nocy.

Synowie Gniewu odeszli, porzucając go na pastwę losu.

Wkrótce zrobiło się zupełnie ciemno. A wraz z ciemnościami zjawiły się stworzenia mroku.

To one uratowały Johna Danielsa.

Podniosły go i zamknęły w swoich skrzydłach niczym w ciepłym kokonie, gdy tymczasem nowe zdolności nabyte przez księdza dokonywały cichej naprawy, lecząc rany i przynosząc ulgę w bólu...

– Kiedy znaleźli mnie zwiadowcy z Miasta, byłem już prawie zdrow. Udawałem, że jest ze mną gorzej, aby ich nie przestraszyć.

– A teraz masz wojsko na swoją krucjatę – dokończył Samuel.

– Jeszcze nie. To dobry początek, ale mamy jeszcze przed sobą szmat drogi. Nie, nie tutaj pod ziemią. Myślę, że tu jesteśmy już na miejscu.

Przed nimi, w głębi tunelu, widać było poświatę, jeszcze dość słabą.

– To światło, tam na końcu, to jest już chyba stacja Duomo.

¹ Tłum. Ewa Gordon.

20 | UI

Wyszli z tunelu i weszli do korytarza, który nie był już wyłożony białymi płytkami, lecz tym dziwnym czarnym lakierem.

Światło robiło się coraz jaśniejsze, pozwalając rozróżnić wcześniej niewidoczne szczegóły.

Samuel zbliżył się do ściany.

– Patrz – wyszeptał osłupiały.

John podszedł.

– Niesamowite... – wyskandował ledwo słyszalnym głosem.

Cała ściana długiego korytarza pokryta była płaskorzeźbą. Postaci wyrzeźbione w tej dziwnej czarnej masie wychylały się z muru: grające w piłkę dzieci, piękne kobiety, okręty, domy...

Były i napisy, też wypukłe. Samuel przeczytał je i zrozumiał.

– To reklamy. Wzięli plakaty reklamowe i zrobili z nich płaskorzeźby.

John cofnął się o krok, żeby przyjrzeć się temu niedorzecznemu fryzowi, dłuższemu niż partenowski. Rozpoznał reklamę coca-coli i plakat kinowy filmu z aktorką, którą wypukłe litery identyfikowały jako Jennifer Lawrence.

– Po co niby to zrobili?

John pokręcił głową.

– Nie mam ambicji ich rozumieć.

– Wiesz, Johnie, jest jedna rzecz, o którą chciałem cię zapytać, gdy tylko cię zobaczyłem. Myślisz, że te stworzenia są...

Znaczy... myje nazywamy Potworami... i stworami diabła. A co, gdyby były częścią boskiego planu?

John pomyślał chwilę.

– Jest taki fragment w Ewangelii według Świętego Jana, kiedy Jezus mówi: „Mam także inne owce, które nie są z tej owczarni”. Często o tym myślałem, odkąd pierwszy raz zobaczyłem tę istotę.

Palce kapłana pogładziły jeden ze słoneczników z plakatu zapowiadającego wystawę van Gogha. Kwiat był zimny, gładki w dotyku.

– Chodźmy – powiedział w końcu, otrząsając się z zamyślenia.

– Nie boli cię głowa? – zapytał Samuel z grymasem bólu.

– To normalne.

– Narasta.

– To też jest normalne. Jesteśmy już blisko nich. Ich sąsiedztwo na początku zawsze daje taki efekt. Zaciśnij zęby i maszeruj.

Korytarz przechodził w kolejny, jeszcze dłuższy, z dwoma ciągami długich ruchomych schodów. Schody też pokryte były czarną masą. Przeszli powoli przez te puste przestrzenie uważając, żeby nie poślizgnąć się na powierzchni gładkiej jak szkło.

– Ty też masz wrażenie, że jesteśmy obserwowani? – zapytał Samuel.

– Odkąd tylko weszliśmy w ten korytarz.

– Gdzie są?

– Mogą być wszędzie.

Rabin z większą uwagą przyjrzał się splątanym figurom na ścianach, na ile pozwalały mu na to słabe światło i piekielny ból głowy. Byli już prawie na końcu ruchomych schodów, kiedy kilka z postaci oderwało się od sufitu. Wyglądało to tak jakby kropla nafty ściekała po ścianie, spadała i odbijała się powoli od podłoża, zamieniając się w skrzydlate stworzenie.

John naliczył ich sześć. Stały nieruchomo, dopóki dwójka mężczyzn znów nie ruszyła do przodu. Utrzymywały cały czas tę samą odległość, jakieś sto metrów. Kiedy John i Samuel przystawali, one też to robiły.

- Nie wydają się groźne.
- Nie – potwierdził ksiądz. – Nie są wrogo nastawione. Chodźmy.

Weszli jakimiś schodami, później kolejnymi. Światło było teraz jasne, przynajmniej dla ich oczu, przyzwyczajonych do ciemności. Weszli do jakiegoś przestronnego wnętrza. Kiedyś musiały tu się znajdować kasy biletowe. Ale teraz nie było niczego takiego – bramki i boksy zostały usunięte. Zostały tylko mury, czyli czarne ściany ozdobione czymś, co wyglądało na rzeźby, przynajmniej do chwili, kiedy zaczynało się ruszać i nabierało życia.

Od murów oderwało się z każdej strony kilkadziesiąt stworzeń, które zmierzały w ich stronę.

John podniósł rękę, ze skierowaną do przodu wewnętrzną stroną dłoni.

Stworzenia zatrzymały się. Oprócz jednego. Szło przed siebie, niczym niemowlę, tym swoim chwiejnym chodem, który John zaobserwował u skrzydlatych stworzeń, kiedy musiały chodzić po ziemi. Ten osobnik też miał zrogowaciałe skrzydła, zamknięte na sobie jak płaszcz. Jego królestwem było niebo.

Powinienem czuć przerażenie na ich widok. Wyglądają jak diabły ze średniowiecznego fresku, pomyślał sobie John.

Ale nie napawały go strachem.

Z wysoko podniesioną głową patrzył w twarz stworzenia, które zbliżało się do niego.

Wreszcie przybywasz, Johnie Daniels, wysylabizował głos w jego czaszce.

Znasz moje imię.

Twoje przybycie zapowiedziano. Witaj. Pokój z tobą.

Żadne z tych pojęć nie zostało zwerbalizowane: to było jak rozbłyśki informacji, jak mgnienia znaczeń przebłyskujące w jego świadomości.

Czy i mój przyjaciel jest mile widziany?

Czy on też jest z tych, których nazywacie ludźmi Boga?

Tak. Znacie Boga?

Nie bezpośrednio.

Mówiąc to, osobnik odwrócił się i ruszył w głąb sali, gdzie światło było silniejsze.

John chętnie zadałby więcej pytań, ale wyczuł, że stworzenie i tak mu nie odpowie. Ruszył więc za nim. Podobnie uczynił Samuel.

Kohorty stworów rozstępowały się na ich drodze, niczym Morze Czerwone przed Mojżeszem. Serce Johna wibrowało radością. Pomimo zapewnień Mnicha nie do końca ufał tym nieprzewidywalnym stworzeniom, tak obcym ludzkiej logice.

Światło stało się jaśniejsze, a z nieba wkrótce zaczęło padać coś zimnego i mokrego, niczym łzy. John i Samuel podnieśli głowy. Padał śnieg. Drobny, miękki śnieg, który otulał wszystko.

Wyszli po schodach na zewnątrz – to było jak wyjście z grobu.

Krok po kroku, w miarę jak szli w górę ku powierzchni, wyłaniało się przed nimi czarne olbrzymie wzgórze najeżone iglicami i strzelistymi tukami. Od dołu ku górze zdobiły je dziwne dekoracje.

Rozpoznali w końcu obaj tę gigantyczną budowlę. To była mediolańska katedra. Jednak odmieniona w niewiarygodny sposób. Pozostałe budynki na placu także pokryte były czarną błyszczącą masą, która upodabiała kościół do odwłoka chrząszcza. Biel marmuru była teraz czernią, jak na fotograficznym negatywie.

Jedynie statua na szczycie iglicy błyszczała jeszcze jasno. Była złota.

Samuelowi zapało dech w piersiach.

– Niesamowite.

– Tak – zgodził się John, równie oczarowany.

Śnieg szeleścił na ich kurtkach, podczas gdy na skórze i skrzydłach stworzenia kroczącego przed nimi malował dziwne rysunki: gwiazdy, fale...

Stworzenie odwróciło się. Dało znak, by iść za nim.

Pokonali schody i weszli do katedry.

O ile na zewnątrz budynek wyglądał na coś z obcej planety, o tyle wewnątrz wrażenie to jeszcze się potęgowało – można by sądzić, że budowla w ogóle nie została zbudowana i nie była użytkowana przez istoty ludzkie. Przestrzeń nad olbrzymią nawą środkową przecinały swego rodzaju kładki napowietrzne, bardzo długie. Pomiedzy murami rozpięte były czarne kable, grube jak ludzkie ramię, a na każdym z nich wisiały setki stworzeń głowami w dół niczym nietoperze.

Najwyraźniej spały. Inne krzątały się po kościele pochłonięte niezrozumiałymi czynnościami, przynajmniej dla Johna i Samuela, który z zadartym nosem przyglądał się z niedowierzaniem wszystkiemu w tym kosmicznym środowisku.

Stworzenie, które ich prowadziło, podeszło do ołtarza.

To było niewiarygodne, ale wielkie gotyckie okna pozostały prawie nienaruszone. Wybite były tylko niektóre pola, ale zastąpiono je wszechobecną czarną masą. Większość witraży przetrwała i błyszczała krzyczącymi kolorami: czerwienią, błękitem i złotem. Barwami, które już dawno zniknęły z powierzchni Ziemi.

Przez witraże wpadało do środka słabe światło. Napawając się tym barwnym spektaklem, John zastanawiał się, co pomyśleliby rzemieślnicy i artyści, którzy stworzyli te cuda na przestrzeni wieków, gdyby zobaczyli, jak skończył ich świat.

Życie straciły miliardy istnień, ogień piekielny spustoszył Ziemię, a dawne witraże ostały się i nadal zachwycały swym pięknem.

Na tysiącach metrów kwadratowych barwionego szkła pokazano w obrazach historie Adama i Ewy, Izaaka, życie Jezusa.

Z zamyślenia wytrącił go Samuel.

Rabin wskazał milcząco dwa stwory pochłonięte modelowaniem wszechobecnej czarnej masy w jednym ze zniszczonych okien. Formowały ją rękami niczym plastelinę. Palce z długimi paznokciami wydobyły z niej w jednej chwili postać orzącego chłopca. To było nadzwyczajne, jak

brakująca historia z wybitej szyby została zrekonstruowana z tego nowego materiału przez palce istot nie z tej ziemi.

John czuł spokój, jakiego nie zaznał od dnia Wielkiej Zagłady. Spokój, jaki musiał odczuwać skryba z mrocznych wieków, który kopiował bez zrozumienia dawne teksty, ocalając skarby wiedzy i przekazując je dalszym pokoleniom – z pokorą, w ciszy. Tak samo pokorne i ciche były gesty istot formujących czarną masę w kształty albo wyuczone na pamięć, albo wypatrzone w ludzkim umyśle, bez znajomości ich znaczenia.

– John... – powtórzył rabin szeptem. W jego głosie było jakieś przerażenie.

Ksiądz obejrzał się, otrząsając się z zamyślenia.

Z ołtarza zstępowały trzy postacie. Były wysokie na prawie trzy metry, a ich rozpostarte skrzydła podkreślały wrażenie potęgi absolutnej. Poruszały się wolno, dostojnie. Samuel przysunął się do Johna, jakby chciał się ukryć.

Daniels postąpił o krok w stronę trzech stworzeń. To samo musiał zrobić rabin, drżąc jak liść na wietrze.

Czarne, nieprzeniknione twarze zwróciły się ku dwu istotom ludzkim.

Słuchamy was, wypowiedziały ich umysły.

– Wiecie, po co tu jesteśmy – zaczął Daniels.

Wiemy.

– Synowie Gniewu mają bombę atomową. Jeżeli ich nie powstrzymamy, użyją jej przeciwko wam.

Mają bombę, którą odebrali tobie. A ty co chciałeś z nią zrobić?

Ksiądz wzruszył ramionami.

– Zawieźć do Rzymu.

Rzym jest miastem, jak i Mediolan. Co za różnica, czy bomba wybuchnie tu czy tam?

– Że wy tu jesteście!

A co to ma za znaczenie dla was?

John pomyślał chwilę, zanim odpowiedział: – Synów Gniewu trzeba powstrzymać. Podobnie jak obłąkańców, którzy rządzą Nowym Watykanem.

Wiemy o nich.

– Potrzebuję tej bomby. Muszę powstrzymać potwora.

Człowieka w czerwieni.

– Tak.

Dlatego że nas nienawidzi? Ty to wiesz?

- Nie wiem nawet, kim jest. Kiedy opuściłem Rzym, kardynałem był Ferdinando Albani. Wysłał bombę do Wenecji, żeby zniszczyć miasto i jego Patriarchę.

Ale ty mu w tym przeszkodziłeś.

- Nie chciałem, żeby zginęło tylu niewinnych ludzi.

I to wszystko? Tylko dlatego?

John pokręcił głową, wzdychając.

– Nie chciałem, żeby ten cud się skończył.

Trzy istoty zareagowały mentalnym odpowiednikiem uśmiechu.

Dobrze powiedziane: cud. Twoja religia wierzy w cuda?

– Wierzymy, że świętość może przynieść dar czynienia cudów. Ale nie wiem, czy to, co widziałem ostatnio, to cuda, czy jedynie rzeczy, których nie rozumiem.

A to rozróżnienie ma aż tak wielkie znaczenie?

- Może i nie ma.

Głowy trzech istot poruszyły się jednocześnie, aby wskazać łuk nawy.

Ogromne puste przestrzenie wypełniała jakaś dziwna muzyka, która dopiero teraz dotarła do świadomości obu mężczyzn. Był to rodzaj przytłumionego brzęczenia, z zawrotnymi kulminacjami co jakiś czas. Brzęczenia, którego nie modulowały ludzkie gardła. Miejscami przypominało to polifonię średniowiecznej muzyki sakralnej, ale tylko miejscami.

W większości było dziwne, dysonansowe, niczym zwierzęcy krzyk.

Podoba ci się nasz dom?

– Kiedyś to był dom boży.

Nadal nim jest. Konserwujemy go, żeby nie popadł w ruinę. Może pewnego dnia podziękujecie za naszą troskę.

– Musimy do tego dnia dotrzeć.

W głowie Johna Daniela rozległ się odpowiednik salwy śmiechu.

Powiedz nam, czego ci trzeba.

- Waszej pomocy. Nawet gdybyśmy dostali wsparcie od Albertów, nie byłibyśmy wystarczająco silni, żeby zmierzyć się z Synami Gniewu. Potrzebujemy was. Waszej siły.

Pomogliśmy wam przy Żelaznych Wrotach. Zabiliśmy waszych wrogów. Spośród tych, którzy dziś są waszymi sojusznikami. Chcecie od nas tego samego? Żebyśmy zmasakrowali kolejnych waszych bliźnich? Wasza nienawiść i pogarda dla nas nie są już wystarczająco wielkie?

Dwie z istot odwróciły się w stronę ołtarza, stając plecami do ludzi.

John pojął, że są przeciwni temu pomysłowi.

– To się zmieni – nalegał. – Pomóżcie nam uratować Mediolan, a ludzie będą wam dożgonnie wdzięczni.

Śmiech, który tym razem rozległ się w głowie obu mężczyzn, nie miał w sobie nic radosnego. Był gorzki i sarkastyczny.

Nasza pomoc nie zmieni waszego nastawienia do nas. Będziecie nas nadal nienawidzić. Może nawet bardziej niż teraz.

Johna ogarnęła fala rozczarowania.

– To na nic – powiedział niepokieszony do Samuela.

Rabin pokręcił głową.

– Pozwól i mnie spróbować.

Przezwyciężając swój strach przed skrzydlatymi stworami, zrobił krok naprzód i zostawił Johna za sobą.

– Pozwólcie, że wam coś powiem. To prawda, ludzie nienawidzą was

i pogardzają wami. Boimy się was. Spójrzcie na mnie: nawet teraz, kiedy do was mówię, wprost trzęsę się ze strachu. Ale rozmawiam z wami. Widziałem, jak cudowne rzeczy potraficie robić. Owszem, ten kościół jest teraz zupełnie inny od tego, z którego korzystali ludzie, ale taki też jest przepiękny. I widziałem cuda, jakich potraficie dokonać z ludzkim ciałem. Widziałem ślepcę, który kroczy pewnym krokiem, czyta w myślach, a może nawet potrafi uleczyć duszę. Widziałem, jak przeżył na powierzchni bez żadnego zabezpieczenia. Widziałem wasze cuda i wiem, że niezależnie od wyglądu jesteście wspaniałymi istotami.

Bez pochlebstw.

– To nie są pochlebstwa! Mówię to, co myślę!

Co myślisz ty. Ale ty nie jesteś kimś zwykłym. Podobnie jak John Daniels. Co myślą o nas wasi bliźni, którzy nas nie znają?

– Kiedy was poznają, zmieniają zdanie. Przestaną się was bać.

W naturze ludzkiej leży strach i nienawiść do nieznanego.

– Właśnie dlatego musimy się poznać. By pozbyć się przesądów i lęków.

Możliwe. Ale to nie jest łatwe.

– Przetrwąć koniec świata też nie było prosto. Ale udało się, i nam, i wam. A skoro przetrwaliśmy, to mamy obowiązek współpracować, aby podtrzymać życie. Jakąkolwiek formę życia. Jeśli nam pomożecie, może narodzić się nowy świat.

I wtedy nawet cierpienia z przeszłości nabiorą sensu.

Istoty nie mówiły nic przez dłuższą chwilę.

Potem dwie z nich, które wcześniej odwróciły się plecami, stanęły znów twarzą w twarz z ludźmi.

Zaufać wam to ryzyko.

- Wiem. Ale to jedyna nadzieja, jaka nam zostaje. Jedyny sposób, żeby się uratować. Razem.

Cisza, jaka zapadła w tej olbrzymiej nawie, była niemal namacalna.

Odgłos pazura przesuwanego po posadzce przez jednego ze stworów było jedynym słyszalnym dźwiękiem, zanim w umysłach Johna i Samuela odcisnęły się te słowa: *Musicie nam dać czas na przemyślenie.*

- Ile czasu?

Jeszcze nie wiemy. Może trzy z tego, co wy nazywacie dniami.

- Nie mamy tyle czasu! – jęknął Daniels. – Musimy zaatakować już. Nie możemy zmarnować trzech dni!

Nie będą zmarnowane.

Zostało to powiedziane tonem nieznoszącym sprzeciwu. John to zrozumiał, podobnie jak Samuel.

Do tego czasu możemy zagwarantować wam swobodne poruszanie się po naszym terenie. Nie mamy nic innego do zaoferowania. Ani jedzenia, ani wody, ani broni.

John pokręcił głową.

– Możliwość przechodzenia przez wasz teren wystarczy, dopóki nie dacie nam wsparcia na polu bitwy. Ale to nie wystarczy do zwycięstwa. Czy wasza przepustka obejmuje również Albertów?

Obejmuje każdego, kto przyjdzie z wami.

Trzy istoty już miały odejść, kiedy Samuel, przewyciężając swój strach, znów się odezwał.

– Moi przodkowie byli więźniami w nazistowskich obozach zagłady. Wiecie, czym były?

Wiemy. Widzimy to w twojej głowie.

– W tych obozach wielu moich rodaków zginęło, słysząc już w oddali kanonadę wojsk, które nadciągały, żeby ich wyzwolić. Jeden dzień spóźnienia oznaczał śmierć tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci mojego narodu. Dlatego właśnie tak ważny jest nawet jeden dzień, nawet jedna godzina. Nawet minuta może oznaczać życie lub śmierć. Pamiętajcie o tym.

Trzy istoty stały nieruchomo przez niemal minutę, zanim znów przemówiły. Ale tym razem nie przemówiły w myślach, lecz przy użyciu

głosu. Głosu piskliwego, dziecięcego.

– Nie zapomnimy.

Bez jednego gestu i słowa weszły powoli po stopniach wiodących do ołtarza, za którym zniknęły w ciemnościach.

21 | Spis okrętów

Wyszli z Ula poruszeni, wciąż nie wierząc w to, co zobaczyli. Szli jak przytłoczeni jakimś ciężarem. Powoli. Ciężko oddychając. Pod maską twarz Samuela wyglądała na nieprzeniknioną. Ale John doskonale wiedział, dlaczego kompan z takim trudem stawia kroki. Z tych samych powodów co i on sam.

– Nie poszło po naszej myśli – odezwał się w końcu rabin, tuż przed zejściem do stacji metra.

– Nie – przyznał John.

Samuel spojrział na niego. Mróz utworzył lodową koronkę na brodzie księdza. To niewiarygodne, że mógł chodzić na zewnątrz bez maski i innych zabezpieczeń. Pod pewnymi względami ten człowiek był dziwniejszy od Potworów. Był tajemnicą, kimś rodem z Biblii, z czasów, w których po piaszczystych drogach Palestyny chodziły anioły.

– Co powiemy innym?

– Prawdę – odrzekł ksiądz.

– Nie ucieszą się. Nie możemy czekać trzy dni.

– Będziemy musieli. Inaczej popełnimy samobójstwo.

– Nasze dzieci są w rękach tych morderców – zauważył Samuel.

– A los o wiele większej liczby ludzi jest w naszych rękach. Nie zapominaj o tym.

– Wśród tych dzieci jest mój syn. A wszystkie pozostałe znam, odkąd się urodziły. Należą do mojej trzódki.

John Daniels przyjrzał się dłużej młodszemu mężczyźnie. Podziwiał jego wrażliwość, ubolewał nad cierpieniem.

Chętnie by go przytulił, ale czuł, że tamten tego nie zrozumie. Pokręcił tylko głową.

– Musimy dać z siebie wszystko. Choć to za mało. A teraz ruszajmy. Jest wojna do wygrania.

Poryw lodowatego wiatru przejął obu dreszczem.

Po dziwnej, kosmicznej muzyce Ula cisza tunelu była ogłuszająca. Każdy krok odbijał się ponurym echem i brzmiał jak tykanie zegara odliczającego czas do śmierci. Serce Samuela ogarnęła nieogarniona czarna rozpacz. W ciemności widział twarze wszystkich uprowadzonych dzieci, słyszał ich śmiech, pytania, jakie mu zadawały w szkole talmudycznej, pozornie dziecinne, lecz otwierające niezbadane obszary. Pytania o zło, o życie, o boski plan wobec człowieka. Wciąż słyszał pytania swojego syna. Pytania zadawane z niemal okrutną niewinnością dziecka: „Tato, a skoro Bóg jest taki dobry, to czemu nie dał rąk Davidowi? I czemu Amina umarła?”.

Z kolei John Daniels zastanawiał się nad sensem swojej misji, z powodu której zginęło tyle niewinnych osób, a wiele miało jeszcze zginąć. Jego serce rozdzierał konflikt pomiędzy tym, co czuł jako swój obowiązek, a skutkami tego wszystkiego dla tych, którzy go otaczali.

Wszystko, co robię, każda moja decyzja przynosi ból i śmierć innym.

Po raz kolejny zadawał sobie pytanie, jak daleko wolno się posunąć, aby wypełnić własną misję.

Ilu zmarłych muszę mieć jeszcze na sumieniu, żeby to wszystko się skończyło?

Były takie chwile, kiedy kapłan wolałby nie żyć. Nie dokonywać bez końca wyborów, które oznaczały cierpienie innych. Nigdy lepiej niż w takich momentach nie rozumiał słów Jezusa w Getsemani: „Ojcze mój, jeśli to możliwe, niech mnie ominie ten kielich”. W tej modlitwie Święty

Augustyn odczytał dowód na pełne człowieczeństwo Chrystusa.

A ja? Czyż ja mogę powiedzieć, że jestem jeszcze człowiekiem? Ja, który niosę śmierć z każdym swoim krokiem?

Otoczające go ciemności nie odpowiadały.

Było cicho jak przed stworzeniem świata.

W tych ciemnościach stawiał kolejny krok, i następny, niczym bezduszny automat.

Panie, jeśli to możliwe, niech mnie ominie ten kielich...

Bo godzina sądu była już bliska, a on nie czuł się jeszcze gotowy.

Wśród książek, które Wagant trzymał w swoim schronie na ostatnim piętrze Miasta, było tanie wydanie *Iliady*. Ta książka nie należała do jego ulubionych. Uważał ją za trudną, miejscami wręcz niezrozumiałą, dla swojej niesystematycznie ułożonej wiedzy.

Jednak na widok oddziałów gromadzących się na stacji Cadorna przypomniał mu się jeden z najdziwniejszych fragmentów, niekończąca się lista bohaterów achajskich i ich okrętów, tak zwany spis okrętów.

Ci wyruszyli w pięćdziesiąt okrętów, a w każdym okręcie.

Sto dwadzieścia młodzieży Bojotów szło na wyprawę...¹

Ludzi z Miasta i z Żelaznych Wrót było właśnie pięćdziesięciu – przemaszerowali przed królem Chinosów z godnością, sprawiając wrażenie takiej zwartości i wyszkolenia, że Wagant z trudem ukrył dumę. Przemaszerowali wzdłuż tunelu, by następnie wejść na drewniane rampy i rozlokować się na przeciwległym peronie, po drugiej stronie torów.

Teraz nadeszła kolej mężczyzn i kobiet Chinosów, którzy przybywali z odległych stacji. Powołani pod broń przez króla przybywali w małych lub dużych grupach do stolicy swojej federacji. Niektórzy z nich wyglądali na żołnierzy, inni nie, ale i oni dumnie nosili broń na ramieniu. Dostali rozkaz i posłuchali go. Siedząc na złożonym drewnianym tronie poza pałacem, król z zadowoleniem przyglądał się oddziałom, które defilowały przed nim, skandując nazwę swojej stacji.

– Moscova!

– Lanza!

– Sant'Agostino!

Dla królewskiego ucha odgłos ich kroków był jak muzyka.

– I co? – zapytał nachylony do ucha Waganta, który siedział obok niego na zwykłym krześle. – Co powiesz o moim wojsku?

Wagant odpowiedział mu głośno, aby przekrzyczeć hałas maszerujących, który odbijał się od sklepienia stacji: – Powiem, że jeżeli strzelają tak, jak maszerują, to nie ma ratunku dla naszego wroga.

Król odebrał to dosłownie i omal nie pękł z dumy.

Ale wyraz jego twarz zmienił się, kiedy uchwycił szmer przetaczający się przez tłum zgromadzony na peronie.

Z głębi tunelu, z obu stron, dobiegał coraz głośniejszy jakiś wojenny śpiew, w takt potężnego odgłosu kroków brzmiącego jak bicie w bębny.

Tłum zaczął się rozpierzchać. Ten i ów rzucał przerażone spojrzenie w stronę króla.

Z tunelu prowadzącego do katedry wyłoniła się błękitna flaga. Za nią maszerowali czwórkami Alberci. Ich broń była nic niewarta, jak oceniła Daniela siedząca obok Waganta. Ale w tych brodatych twarzach było coś tak dzikiego, że ciarki chodziły jej po plecach. Pomyślała, że nawet przez chwilę nie chciałyby się znaleźć w ich rękach.

Aby spotęgować strach, twarze Albertów pomalowane były w połowie na niebiesko, co nadawało im nieludzki wygląd, na wypadek gdyby nie wystarczyły słowa pieśni skandowane na całe gardło.

Rozpruj, zabij, zarżnij!

To jest nasza ziemia!

Cudzoziemcze, w tył zwrot zrób.

Bo twój to będzie...

- Grób – dokończył kpiąco Wagant. – Powinni zmienić tekściarza. Muzyka nie jest zła, ale słowa do bani.

Król przytaknął. Był blady na twarzy. Próbował wziąć się w garść, ale z pewnością nie uszła jego uwagi dysproporcja między jego ludźmi a tymi barbarzyńcami. Lepsze uzbrojenie to nie było wszystko. Chinosi patrzyli ze zgrozą na tych bandziorów o zepsutych zębach, wyjących te swoje rasistowskie hymny pośród ciemnoskórego tłumu.

Wagant wydał spojrzeniem szybką serię poleceń Danieli. Dziewczyna zrobiła to samo wobec swoich poruczników.

Ludzie obojga miast, jak sami nazywali siebie od niedawna, rozstawili się strategicznie wzdłuż peronów. Dyskretnie odbezpieczyli broń.

Ale wszystko przebiegało bez incydentów. Alberci przedefilowali przed królem i ustawili się obok oddziałów obojga miast i Chinosów. Zajmowali cały peron, od początku do końca stacji, przedstawiając niesamowity widok. Król zdawał się być przytłoczony tym nadmiarem wojskowej potęgi.

– Wasza Wysokość pozwoli – zwrócił się do niego Wagant, wstając.

Król skinął głową.

Szef zwiadowców wyszedł na sam środek stacji i stanął z rękami założonymi z tyłu.

Stał tak dłuższą chwilę, dopóki nie zapadła zupełna cisza.

Kiedy przemówił, jego głos brzmiał mocno, jakby płynął z głośnika.

– Mężczyźni i kobiety Chinosów, Albertów i obojga miast, pozdrawiam was.

Ryk, jaki w odpowiedzi wydobył się z gardeł stojącego przed nim wojska, zatrzęsł murami stacji.

Kiedy zamarło już echo tego krzyku, Wagant znów przemówił.

– Przybyliście tutaj nie jako obywatele jakiegoś miasta, lecz aby służyć słusznej sprawie. Waszym proporcjom należna jest cześć i szanujemy każdy z nich, ale dzisiaj powiewa nad nimi większy sztandar. Sztandar wolności. Zbyt długo byliśmy niewolnikami najgorszego z tyranów: strachu. Dziś, tutaj, krzyczymy naszą obecnością, że jego panowanie się skończyło!

Na te słowa podniosła się znowu wrzawa, jeszcze silniejsza od poprzedniej.

Wagant uniósł prawicę, prosząc o ciszę.

– Krzyczymy tak zwanym Synom Gniewu, że z tą chwilą ich królestwo się kończy, a zaczyna się królowanie wolności!

Wszystkich nas dotknęła atomowa śmierć. Przez atom straciliśmy naszych rodziców, rodzeństwo i przyjaciół. Straciliśmy na zawsze nasz świat...

Nad tłumem uniósł się zbiorowy jęk, niczym duch.

– A teraz ktoś znów chce ściągnąć jądrowy ogień na nasze domy i na nasze życie. Ktoś, kto przez całe te lata nas prześladował, gnębił haraczami i posunął się nawet do zabrania waszych dzieci, aby zmusić was do posłuszeństwa! Tak zwani Synowie Gniewu traktują nas jak zwierzęta! Jak mięso! Nadeszła chwila, by powiedzieć, że to się skończyło! I myto mówimy! Mówimy, że nasza broń odda nam wolność i sprawiedliwość na zawsze!

W górę podniosły się wszystkie karabiny, gdy tłum skandował: – Wolność, wol-ność!...

Wagant podniósł w górę zaciśniętą pięść.

– Przysięgnijcie wraz ze mną, że będziecie walczyć z tymi plugawcami aż do śmierci...

– PRZYSIĘGAMY, PRZYSIĘGAMY! – wrzasnął tłum i żołnierze.

– Pokażmy temu plugastwu, jak smakuje gniew, którego rzekomo są synami. Dajmy im spróbować naszego gniewu!

Tym razem wrzawa była jeszcze silniejsza. Żołnierze i cywile zaczęli tupać nogami, wprawiając w drżenie posadzkę niczym trzęsienie ziemi.

-ŚMIERĆ PLUGASTWU! ŚMIERĆ PLUGASTWU!

– Mam dla was wiadomość.

Pięść Waganta otworzyła się, a jego ramię wskazało prawy tunel.

– Tej nocy wymaszerujemy na bój przeciwko stacji centralnej. Oddziały

Albertów na powierzchni są już gotowe.

Stwory Nocy nie będą nam przeszkadzać. Droga stoi przed nami otworem. Naprzód!

– NAPRZÓD! NAPRZÓD! NAPRZÓD!

Król wraz z Wagantem wzniesli bojowy okrzyk, a w ich ślady poszedł każdy mężczyzna, każda kobieta i każde dziecko na stacji.

Wagant opuścił rękę, wydając z siebie długie westchnienie. Daniela uśmiechnęła się do niego, a on odpowiedział jej niepewnie tym samym. Dał radę. Ale jakim kosztem? Czuł w środku jakąś negatywną energię, jakiś kosmiczny ciężar, który ciągnął go w dół.

Wieści przyniesione kilka godzin wcześniej przez księdza i rabina zmroziły go.

– Trzy dni? – krzyczał. – Trzy dni to wieczność!

– Przykro mi. – Ojciec Daniels pokręcił głową.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, co to znaczy? Nie dalibyśmy rady wziąć nawet Bonoli bez pomocy Potworów. A teraz mielibyśmy zaatakować pierdoloną stację centralną sami?

Wagant prawie nigdy nie przeklinał. Pierwszy się tego powstydział, ale był zbyt rozwścieczony, żeby się powstrzymać.

Jego słowa wybuchały jak bomby na ścianach pomieszczenia, w którym zamknęli się trzej mężczyźni.

– Pamiętaj, że ta kurewska wojna, w którą się wdaliśmy, jest bardziej twoja niż nasza, Johnie! To twoja krucjata!

Ufałem ci! Wszyscy ci zaufaliśmy! Miałeś przeciągnąć twoje czarne anioły na naszą stronę, a teraz przychodzisz i oznajmiasz nam, że mamy sobie radzić sami? Wezwij tego swojego przyjaciela, tego Mnicha! Chcę z nim porozmawiać!

– To nie takie proste. On się zjawia, kiedy chce. Nie mogę go wezwać.

– No to tym razem będzie musiał się zjawić. Zrób jedną z tych swoich magicznych sztuczek. Albo poproś dziewczynę ducha, żeby go

sprowadziła. Ona na pewno będzie wiedziała, jak to zrobić.

– To nie takie proste...

– No to spraw, żeby było proste.

Samuel milczał i przysłuchiwał się z opuszczoną głową. Dopiero gdy zapanowała cisza po gniewnym wybuchu Waganta, rabin podniósł palec, by poprosić o głos.

– Nie powiedzieli, że nam nie pomogą. Tylko że może będą potrzebne trzy dni na podjęcie decyzji.

– Nie uważasz, że to to samo? Atakujemy jutro.

Samuel kręcił w zamyśleniu kępkę włosów brody na palcu.

– W Biblii liczby mają często wartość symboliczną, a nie dosłowną.

– Nie sądzę, żeby te Potwory czytały Biblię.

– Ale nie wydają się też ignorantami. Miałem wrażenie, że czerpią wiedzę z jakiegoś wspólnego źródła. Ze swego rodzaju zbiorowej pamięci. Może wręcz genetycznej. – Rabin podniósł wzrok i napotkał sceptyczne spojrzenie Waganta, ale mówił dalej: – Wyrobiłem sobie takie zdanie, widząc, jak układają obraz z niczego. Na moich oczach odtworzyły postaci z witraża, którego nie było. Jak mogły to zrobić bez kopiowania z rysunków?

– Są też inne dowody na rzecz takiej tezy – dorzucił Daniels. – Posiadają całościową wiedzę z ksiąg, których już nie ma. Można by to wytłumaczyć zbiorową pamięcią.

– Ale co to ma wspólnego z trójką?

– Trzy to cyfra o wielkiej mocy symbolicznej. Zawsze nią była. U starożytnych Egipcjan, jak i u Chińczyków. Była cyfrą kosmicznej całości. W Biblii też występuje niezliczoną ilość razy. Myślę, że te stworzenia mogą ją kojarzyć ze mną i z ojcem Danielsem poprzez Jonasza. To symboliczna postać, ważna dla obu naszych religii. Jonasz pozostawał przez trzy dni w brzuchu wieloryba, zanim uratował go Bóg. Sądzę – ale to tylko takie moje przypuszczenie – że te istoty wcale nie liczą dni i że

wyłowili cyfrę trzy w naszej podświadomości. Historię Jonasza miałem często w głowie, odkąd ruszyliśmy w drogę przez te ciemne tunele.

– Ja też – powiedział cicho Daniels.

W odpowiedzi Wagant prychnął nerwowo.

– Nie chcecie chyba, żebym narażał naszych żołnierzy na podstawie waszego przeczucia?

– To coś więcej niż tylko przeczucie – odpowiedział rabin.

Daniels przytaknął.

– Jestem pewien, że zdecydują wcześniej. Że trzy dni to tylko symboliczna cyfra, żeby powiedzieć „to czas, jaki będzie nam potrzebny na podjęcie tak ważnej decyzji”.

Wagant gniewnie machnął pięścią w powietrzu.

– Musimy wiedzieć wcześniej, czy nam pomogą, czy nie!

– Pamiętaj, że nie mamy wyboru – przypomniał cichym głosem Daniels. – Jutro upływa ultimatum. Nie możemy dłużej czekać. Czy stwory nam pomogą, czy nie, musimy zaatakować.

Niepocieszony Wagant pożegnał obu kapłanów pogardliwym spojrzeniem.

A teraz stał tutaj i przemawiał do żołnierzy, których wkrótce miał poprowadzić do boju. Wypowiadając słowa, w które nie wierzył. Motywując, jak mawiali niegdyś menedżerowie, mężczyźni i kobiety, którzy w ciągu kilku najbliższych godzin mogli zginąć lub zostać potwornie okaleczeni. I wszystko to przez obietnice jakiegoś klechy i jakiegoś Potwora.

Nie, sprostował.

Wszystko po to, żeby dać Miastu możliwość przetrwania, choćby o dzień lub o miesiąc w świecie, któremu każdą chwilę życia trzeba było wydzierać z wielkim trudem i odwagą.

Podczas gdy oddziały defilowały przed trybuną, a król mambo upajał się tą demonstracją siły, siedzący u jego boku Wagant wrócił myślami do

czegoś, co wyczytał w pewnej książce, w *Dziejach* Herodota. Część tej książki opowiada o królu perskim Kserksesie, który kazał sobie zbudować wysoki tron, aby oglądać z niego defiladę olbrzymiej armii, z którą miał podbić Grecję. Herodot opowiada, że z początku król, widząc, jak jego oddziały wypełniają ziemię, a statki zajmują morze aż po horyzont, nie posiadał się z radości, ale w chwilę później już płakał. Jeden z jego doradców zapytał, dlaczego najpierw się cieszył, a teraz płacze. Na to Kserkses odrzekł: „Poczułem żal, kiedy pomyślałem, jak krótkie jest ludzkie życie, skoro z tych wszystkich, tak licznych ludzi, za sto lat nie będzie już nikogo”.

– NAPRZÓD! NAPRZÓD! NAPRZÓD! – krzyczały setki gardeł. A miarowe kroki wstrząsały sklepieniem stacji.

Król Chinosów trącił go łokciem z uśmiechem na rozanielonej twarzy.

Wagant chętnie przyłożyłby pięścią w tę twarz idioty.

Po wygłoszeniu mowy szef zwiadowców wracał do bocznego korytarza, w którym stał oddział obojga miast, kiedy poczuł, że ktoś szarpie go za kurtkę.

Odwrócił się gwałtownie gotów do obrony.

Daniela uśmiechała się nieśmiało.

– Masz dla mnie chwilę? – zapytała. – Chciałabym ci coś pokazać.

– Pewnie – odrzekł Wagant, chociaż powinien był raczej odmówić.

Przemowa jakby zupełnie wyczerpała jego energię.

Jedyne, na co miał ochotę przed wymarszem, to przespać się parę godzin.

Daniela odwróciła się i skierowała swe kroki do tunelu po prawej stronie – tego, który prowadził do katedry. Wagant zauważył ze zdziwieniem, że dziewczyna ma na sobie plecak. Ale był po prostu zbyt zmęczony, by pytać ją o powód. Szedł dwa kroki za nią bez słowa. Światła ich latarek oświetlały całe rzędy zwiniętych śpiworów. We wszystkich tunelach tak było – nieprawdopodobny ścisk. Przyjęcie żołnierzy było nie

lada wyzwaniem dla Chinosów. Już samo zorganizowanie latryn było logistycznym koszmarem. Z nie do końca optymalnymi efektami. Miejscami smród moczu i odchodów był dojmujący.

Odraza wobec gówna należała już do przeszłości. W ostatnich bastionach ludzkości każdy rodzaj nawozu był cennym produktem. Ale awersja do smrodu pozostała nieprzewyciężona.

Daniela przystanęła przed metalowymi drzwiami w ścianie tunelu. Wyciągnęła z kieszeni klucz i włożyła go do zamka.

Ciężkie drzwi otwały się bezgłośnie.

– Zgaś latarkę – powiedziała dziewczyna, łapiąc Waganta za rękę i przeprowadzając go przez drzwi w zupełne ciemności. Chłopak czuł się nieswojo. Mąciło mu spokój, że nie wie, gdzie się znajduje i jakie niebezpieczeństwa mogą czyhać w tym nieznanym miejscu. Słyszał jakieś szmery. Po odgłosach zorientował się, że muszą być w bardzo małym pomieszczeniu.

– Daniela...

Poczuł dłoń na ustach.

– Ciii.

Objęło go dwoje rąk. Na jego ustach spoczęły inne usta, ciepłe.

Jego ręce trafiły na nagą skórę, niewiarygodnie gładką.

– Nie zapalaj światła – szepnęła Daniela. Jej ręce zaczęły rozpinać kurtkę Waganta.

Chłopak stał z otwartymi ustami, gdy jej palce uwalniały go od ubrań, a później kładły na czymś miękkim. Na ocieplanym śpiworze.

Położyła się na nim, i poczuł się tak, jakby pieściła go fala słodyczy. Krótkie włosy Daniela kłuły mu tors. Jej dłonie zawładnęły jego męskością, pobawiły się nią przez moment i bez wahania skierowały do środka. Była wilgotna, gotowa.

On, po chwili niezdecydowania, wszedł w nią z mocą, wrywając z jej ust lekki jęk rozkoszy. Nie pozostała mu dłużna, penetrując językiem jego

usta. Wagant odniósł wrażenie, że lata. W ciemności każda pieśczoła, każdy ruch były intensywniejsze, absolutne.

Z początku ich niedoświadczonym ruchom brakowało harmonii, by po chwili nabrały właściwego rytmu, który doprowadził ich do końcowej rozkoszy.

Spocone ciało Daniela rozluźniło się na ciele chłopaka, trzymając go nadal w sobie, mokrego i wciąż napiętego.

– Dziękuję – wyszeptał Wagant.

– Za co dziękujesz?

– Za to, co zrobiliśmy.

– Więc i ja powinnam ci podziękować.

– Dla mnie to był pierwszy raz – przyznał bez najmniejszego zażenowania.

– Dla mnie też – szepnęła Daniela z uśmiechem, którego nie mógł zobaczyć, ale który spłynął jak fala na jego pierś. – Pomyślałam, że to dobry pomysł – zrobić to właśnie teraz.

Dziewczyna ładnie pachniała. Wagant czuł ten zapach od lat, od pierwszego razu, kiedy zaczęli razem tworzyć zespół, kiedy byli jeszcze dziećmi. Ale choć tak bliski, ten zapach jakoś się zmienił, był inny. Tak pachniało coś – uzmysłowił sobie Wagant-czego już prawie nie pamiętał. To był zapach późnego lata. Zapach siana i kwiatów. I słońca.

– Pięknie pachniesz – powiedział.

– Dostałam ten zapach od dziewczyny, która powiedziała mi o tym miejscu. Bałam się, że może zalatywać starzyzną.

– Pięknie pachnie.

– Już mówiłeś.

– Słońcem.

Daniela roześmiała się. Objęła go mocniej, przytulając do siebie, jakby w obawie, że może jej uciec.

– Kocham cię. Zawsze cię kochałam, Wagant. A ty, głuptasie, nigdy

tego nie zauważałeś...

Ręce chłopaka objęły ją. Pieściły jej włosy, mokry policzek.

– Ty płaczesz...

– To ze szczęścia. Tylko dlatego.

– Ja też jestem szczęśliwy.

Klepnęła go w ramię.

– No mam nadzieję!

– Wybacz. Po prostu sądziłem... myślałem, że masz o wiele większe doświadczenie ode mnie. Znaczący... myślałem, że ty już...

– Wolałam poczekać. Chciałam, żeby to się stało z właściwą osobą.

A dla mnie od zawsze była tylko jedna właściwa osoba.

Wagant nie znalazł słów, by jej odpowiedzieć.

Objął ją mocniej.

– Kocham cię – powiedział w końcu.

Daniela westchnęła.

– Trochę zeszło, zanim to powiedziałeś. Przykryj mnie, proszę. Zamknij zamek. Zimno mi.

– Rozgrzeję cię.

– Już to robisz – odpowiedziała ze śmiechem.

W jakiejś książce Wagant wyczytał kiedyś, że Ziemia krąży wokół Słońca z prędkością trzydziestu kilometrów na sekundę, a Układ Słoneczny pędzi w stronę gwiazdozbioru Lwa z szybkością trzystu dziewięćdziesięciu kilometrów na sekundę. Ale w tej chwili wydawało mu się, że świat kręci się tylko wokół ich obejmujących się ciał. Jakby to oni byli środkiem wszechświata.

Z kochankami zawsze tak jest, odpowiedziałby ojciec Daniels, gdyby Wagant go o to spytał.

W samotności, na stojąco, kończył odprawianie mszy w pomieszczeniu niewiele większym od schowka, udostępnionym przez króla. Nikt nie zechciał uczestniczyć. Religia zdecydowanie wyszła z mody, nawet

u Chinosów.

Nagle poczuł w głowie delikatne muśnięcie.

Martwisz się, powiedziała Alessia szeptem, który był jak szum liści, jak szelest przewracanych stron książki.

John odłożył kielich do plecaka. Zdjął proste szaty liturgiczne, które zastępowały te niegdysiejsze.

– Daniela spytała mnie, czy spanie z mężczyzną przed ślubem to grzech.

Kiedy cię o to pytała?

– Dwie godziny temu.

I co jej powiedziałaś?

– Spytałem, czy jest wierząca. Powiedziała, że nie. Więc ją spytałem, czy kocha mężczyznę, z którym chce uprawiać miłość.

A ona?

- Daj spokój. Przecież doskonale wiesz. Ty wszystko widzisz.

Chcę to usłyszeć od ciebie.

– Odpowiedziała: „Kocham go jak nigdy nikogo na świecie. Kocham go ponad wszystko. Oddałabym za niego życie.

I wiem, że on za mnie też". To jej powiedziałem, że kochanie się z nim nie jest grzechem.

Tego cię uczyli w szkole księży? Tego uczy twój Kościół? Wgtpię.

– Nie pamiętam już, czego uczyli mnie w seminarium. I już nie wiem, czy mam jeszcze jakiś Kościół.

Głos Johna Daniela był ochryply od płaczu.

Nie płaczesz z powodu twój Kościoła.

– Nie. Płaczę z powodu miłości, której nie zaznałem. Z powodu miłości, która poszła w moim życiu na marne.

Kto mówi, że nigdy nie kochałeś?

Daniels poczerwieniał.

– Nie kochałem nigdy tak, jak się kochają Daniela i Wagant.

Ale są inne rodzaje miłości. Większej miłości. Innej, i nie mniej przez to szlachetnej.

Ksiądz pokręcił głową.

– Ale nie mam ramion, które by mnie objęły. Nie mam kobiecych oczu, które by dla mnie zapłakały albo się zaśmiały.

Śmiech Alessii rozbrzmiewał jak dźwięk dzwonka w głowie Johna.

I kto to mówi?

Roześmiana twarz weneckiej dziewczyny pojawiła się przed nim tak realnie, jakby należała do żywej osoby. Jej ciemne oczy były jak studnie bez dna, pełne kryształowej radości.

Usta Alessii otwarły się w uśmiechu. Jej eteryczne ręce otoczyły drżące ramiona Johna.

Serce kapłana podskoczyło nagle, a w ślad za nim poszło ciało, jakby niewiarygodnie mocny wiatr poderwał je w powietrze.

Rozpostarł ramiona, a gwiazdzista miłość Alessii wlała się w niego niczym świetlna kaskada.

W namiocie zbudowanym dla niego przez wiernych Samuel zdjął okulary. Wyczyścił je materiałem swojej czarnej kamizelki.

Długo medytował nad pewnym fragmentem Talmudu: „Rzecz Rabba słowami rabbiego Sehorah, co ten rzekł słowami rabbiego Huna: »Każdego, w którym Święty, niech będzie błogosławiony, ma upodobanie, miażdży on cierpieniem, wedle tego, co zostało powiedziane: Spodobało się Panu zmiażdżyć go chorobą«".

Ale tej nocy nie udawało mu się osiągnąć skupienia niezbędnego do właściwej refleksji nad tym krótkim fragmentem, pozornie tak paradoksalnym.

Postanowił więc się modlić. Uznał za najwłaściwszą *Modlitwę przed podróżą – Tefilat HaDerech*: „Oby było Twoją wolą, Haszem, nasz Boże i Boże naszych ojców, że powiedzisz nas ku pokojowi i dasz nam kroczyć ku pokojowi, i poprowadzisz nas ku pokojowi, i doprowadzisz nas do

ureczywistnienia naszych pragnień dla życia, radości i pokoju.

Uratuj nas z rąk każdego wroga, i od zasadzki na drodze, i od wszelkich dopustów, co na świat spadają...".

Zamknął oczy i pozwolił, aby te słowa zapadły w niego i nabrały głębi, niczym wino w karafce.

A potem wykonał plan, który wymyślił. Plan tak prosty, że każdy mógł go nazwać naiwnym, wręcz infantylnym. Ale przecież często język dzieci i obłąkanych jest najklarowniejszy i najmocniejszy dla bożego ucha.

Inspiracja przyszła po burzliwym spotkaniu z Wagantem, kiedy czytał Księgę Jozuego, a dokładniej te wersety: „W dniu, w którym Pan poddał Amorytów Izraelitom, rzekł Jozue w obecności Izraelitów: »Stań, słońce, nad Gibeonem!

I ty, księżycu, nad doliną Ajjalonu!«². I zatrzymało się słońce, i stanął księżyc, aż pomścił się lud nad wrogami swymi. Czyż nie jest to napisane w Księdze Sprawiedliwego: »Zatrzymało się słońce na środku nieba i prawie cały dzień nie śpieszyło do zachodu«? Nie było podobnego dnia ani przedtem, ani potem, gdy Pan usłuchał głosu człowieka. Rzeczywiście Pan sam walczył za Izraela

Kiedy czytał te słowa, czuł, jak w mózgu kołacze mu myśl równie dziwaczna, co przemożna.

Wypowiedział na głos formułę, którą wymyślił. Jakby tego było mało, powtórzył ją jeszcze dwa razy, czerwieniąc się za każdym razem, gdyż popełniał grzech pychy, zwracając się bezpośrednio do Boga. A jednak w głębi serca czuł, że jego myśli są dobre. Wiedział też, że Bóg musiał w nim zasiać ten pomysł dużo wcześniej. Bo inaczej nie dałoby się wyjaśnić historii szofarów. Pamiętał ten dzień, kiedy się obudził, a w głowie pulsowała mu uporczywa myśl o szofarach. Odszukał wtedy Sergia i wyłożył mu swój pomysł.

Crismani oponował na wszelkie sposoby, ale Samuel nie dał się zniechęcić. Zrazu sam nie rozumiał tego dziwnego natchnienia, które naszło

go niby zniecka i bez wyraźnego powodu. Ale teraz powód był już jasny. Teraz, w potrzebie.

Więc odszukał Isaaca, zanim wyruszył z Bonoli. Najpierw Isaaca, a potem muzyków.

Czy tak zwariowany pomysł mógł zadziałać?

Pokręcił głową.

Sposób Dawida na Goliata też nie był czymś wielkim.

A jednak zadziałał.

Bóg czyni cuda, ale często potrzebuje pomocy człowieka.

I Samuel jeszcze raz przyjrzał się w myślach swojemu planowi.

Uznał go za oryginalny. Desperacki, szalony, ale oryginalny.

Rozpierała go duma, że to wymyślił. Oczyszczał się z tego grzechu pychy w milczeniu, gdy wokół niego szumiała niespokojnie stacja przepełniona mężczyznami i kobietami pod bronią. Jedni spali, inni się kochali, jeszcze inni stawiali w grze w kości lub w karty cały swój niewielki stan posiadania, świadomi niepewności jutra.

– Wysłuchaj naszych pokornych błagań, bo Ty jesteś Bogiem i słuchasz naszych prośb w modlitwach. Bądź pochwalony, o Panie, który modlitw naszych słuchasz.

Z zamkniętymi oczami błagał o błogosławieństwo Boga dla tej armii obszarpańców, dla ich nędzy i szlachetności, i dla misji, która czekała ich nowego dnia wieczorem.

¹ Tłum. P. Popiel.

² Joz 10,12– 14; tłum. Biblia Tysiąclecia, wyd. V (przyp. red.).

22 | Moloch

W dzień bitwy wojska uformowały się w kolumny marszowe około czwartej po południu. Ostatnie godziny przed wymarszem poświęcili na czyszczenie broni i sprawdzanie ekwipunku. Zwiadowcy wysyłani przez Waganta byli kurierami pomiędzy nimi a powierzchnią i przynosili informacje o postępach naziemnych wojsk Albertów. Chodziły słuchy o tajemniczych wozach przykrytych czarnymi płachtami, które nadciągały nie z terytorium Albertów, lecz z obojga miast.

Cadorna była jedną z największych stacji mediolańskiego metra. Coś z tej wielkości zostało jeszcze w holu głównym, na drugim, wieloperonowym poziomie pod ziemią. Chociaż gumowe pokrycie posadzek zniknęło już prawie wszędzie, odkrywając surowy beton, a wiele czerwonych i czarnych kamyków mozaiki odpadło z murów, sala nadal była w dobrym stanie, jak na dwadzieścia lat zaniedbań.

Wojska zaczęły zajmować pozycje w holu. Oddziały obojga miast były bardziej uporządkowane i zdyscyplinowane od Albertów, którzy ciągle demonstrowali buntowniczego ducha, prowokując żołnierzy Chinosów, zwłaszcza kobiety, żartami i wyzwiskami. Wśród Albertów nie było kobiet. Nie mieli też mundurów, a jedynym jednolitym elementem ich ubioru była opaska na ramieniu przedstawiająca średniowiecznego rycerza uzbrojonego w tarczę i miecz wzniesiony ku niebu. Te obrazki na naramiennikach były równie prymitywne jak ci, którzy je nosili. Młodzi czy starzy, Alberci nosili niechlujne brody zasiedlone przez skoczną faunę.

Wyglądało na to, że ich przesady dotyczą nawet korzystania z mydła. Smród był straszny. A ich buta jeszcze bardziej wezbrała z chwilą, gdy swoje partackie uzbrojenie wymienili na pierwszorzędne wyposażenie dostarczone przez żołnierzy obojga miast. Obnosili się niczym pawie z nowymi automatami, w hełmach z wizjerami z pleksi. Nawet nowe maski przeciwigazowe wzbudzały ich entuzjazm. Dla funkcjonujących w dużej mierze na otwartym powietrzu były najważniejszym elementem wyposażenia.

Alberci nie mieli Matek Miłosierdzia i patrzyli z mieszaniną pogardy i nieufności na kobiety z naszyjnikami z amuletów i główek Barbie, na dziewczyny z wielkimi torbami oznaczonymi czerwonym krzyżem, pełnymi suszonych grzybów i fiolek z proszkami.

Alberci nie mieli nawet lekarzy jak Chinosi. Jeden z nich w każdej drużynie nosił czarną maskę z dziobem i był nazywany Poliszynelem. Kiedy jakiś Albert zostawał ciężko ranny, Poliszynel dobijał go, podcinając mu gardło.

Alberci pasowali jak ulał do postatomowego świata.

Chinosi przechodzili obok nich nieufnie, z widoczną obawą. Jednym z nich był Marcos, choć gdyby nie kolor skóry i bezwłose policzki, można by go było wziąć za Alberta. Bękart króla mambo występował przed swoimi ludźmi, popisując się kurtką z kevlaru i bogatym uzbrojeniem: AK-47 połyskującym jak klejnot i dwoma pistoletami Beretta zatkniętymi za pas: chromowanymi, o rękojeściach z kości słoniowej. Daniela musiała powstrzymać grymas pogardy. Pistolety były tak zatknięte, że w razie potrzeby niełatwo byłoby ich dobyć. Marcos był idiotą. Dostrzegł jej spojrzenie, zinterpretował je na opak i odpowiedział promiennym uśmiechem, obnażając niezwykle białe zęby i puszczając oko. Dziewczyna odwróciła się z niesmakiem.

Od ponad pół godziny szukała Waganta w rozgardiaszu, jaki panował na stacji. Hałas pod niskimi sklepieniami był ogłuszający. Nawoływania,

śmiechy, jakiś pojedynczy płacz kobiety albo dziecka przebijały się przez tło pełne metalicznych dźwięków i odgłosu powłóczonych pod ciężarem ekwipunku nóg. Choć i ona, i Wagant nalegali, nie było sposobu, żeby przekonać Albertów do ograniczenia ciężaru ich plecaków. Odpowiedzieli wzgardliwie, że przywykli do noszenia przy sobie całego swojego dobytku. Przywykli do wielu rzeczy, zbyt wielu. Na przykład do traktowania innych jak obcych, bo tylko siebie uważali za prawowitych suwerenów Mediolanu. Nawet ich język trudno było zrozumieć. Wagant powiedział, że to lombardzki, stary dialekt, którym mówiono kiedyś w mieście, pomieszany z żargonem przystosowanym do opisu nowych warunków życia. Ci mężczyźni przedstawiali obraz totalnej anarchii. Daniela patrzyła na nich ze zniechęceniem, zastanawiając się, do czego mogą się przydać na placu boju. Nie miała już długo czekać, żeby się o tym przekonać, czy to z miłym zaskoczeniem, czy ze smutkiem.

Buzowały w niej nadal emocje poprzedniej nocy. Czuła jakby ssanie u wlotu żołądka. Po przewyciężeniu początkowej nieśmiałości wynikającej z braku doświadczenia, Wagant okazał się czułym, a zarazem pełnym temperamentu kochankiem. Kochali się wiele razy. Ile? Nie była w stanie powiedzieć. Po pierwszym razie w ciemności zapalili światło, a wtedy przeżycia stały się jeszcze intensywniejsze, bo mogła patrzeć, jak ciało jej przyjaciela, jej kochanka, porusza się w niej, porywając oboje w spiralę rozkoszy, w której zatracili się trzy, cztery razy. Z czułością, ale i ze złością na niepewność jutra.

Zarumieniała się, wspominając te chwile. Zatopiona w myślach zauważyła ojca Daniela dopiero wtedy, kiedy się do niej odezwał.

– Daniela.

– Ojciec John.

Zarumieniała się jeszcze bardziej, wymawiając to imię.

– Wszystko w porządku?

– Tak.

Patrzyli na siebie zakłopotani, dopóki dziewczyna nie dodała: –
Dziękuję za to, co mi ojciec powiedział wczoraj.

– Myślisz, że moje słowa przydały ci się na coś?

– Tak.

– To cieszę się. Jak się czujesz?

– Zmęczona. Przestraszona.

Oczy Daniela pociemniały i nabrały głębi.

– Przez miłość jesteśmy delikatniejsi. Bardziej bezbronni. Ale jest tego
warta. Mogę coś dla ciebie zrobić?

Daniela myślała przez dłuższą chwilę, zanim dała odpowiedź: – Proszę
się za nas modlić.

– Będę – obiecał kapłan.

Wyciągnął dłoń, a Daniela ją uścisnęła.

– Ale ojciec nie ma broni – zorientowała się ze zdumieniem.

– Nie umiem się nią posługiwać.

– Należałoby się nauczyć. W przeciwnym razie proszę pozostać tutaj,
w bezpiecznym miejscu. Tam na górze jest niebezpiecznie.

– Podejmę to ryzyko. To przeze mnie bierzecie w tym udział.

– Przez ojca albo dzięki ojcu... Kto to może wiedzieć?

– Gdybym nie stracił bomby...

– To prędzej czy później musielibyśmy stawić czoło tym bydlakom.
Sami nie dalibyśmy im rady. Dzięki ojcu mamy przynajmniej armię. Szaku
nie ma, ale w tych okolicznościach to i tak szczyt marzeń.

– Wszystko będzie dobrze – pocieszył ją ksiądz.

– To takie życzenie, tak?

– Ja po prostu wiem, że tak będzie. Że wszystko będzie dobrze.

Daniela skinęła głową, przygryzając usta.

– Powodzenia, ojciec Danielsie.

– Powodzenia.

Kiedy dziewczyna oddaliła się, ksiądz, z zamkniętymi oczami, udzielił

jej błogosławieństwa. W tym momencie wolałby nadal posiadać zdolności darowane, a później odebrane przez Mnicha: moc uzdrawiania, uspokajania i inspirowania.

Teraz mógł to robić jedynie przy użyciu słów, a to było mało.

Ale nie było przecież innego sposobu.

Nie pozostało nic innego.

Odwrócił się i ruszył do wyjścia.

Patrząc na te masy ludzi w kombinezonach polowych przemieszczające się ku wyjściu, Wagant znów poczuł ten przyływ smutku, równie nagły, co niezrozumiały.

– Co jest? – zapytał Crismani.

Wagant wybrał wojskowego komendanta Bonoli na drugiego szefa tej ekspedycji. Szanował go, miał do niego zaufanie. Ale nie znał go jeszcze na tyle dobrze, żeby mu się zwierzać.

– Nie wiem – odparł po części szczerze.

– Kto wpadł na pomysł tych fantastycznych kombinezonów?

– Isaac. Nasz as. Miał też parę innych błyskotliwych pomysłów, zobaczysz, jak wyjdziemy na wierzch.

Kombinezony połowę fascynowały wszystkich, którzy zakładali je po raz pierwszy. Były dwustronne: z jednej strony białoszare jak śnieg, z drugiej imitowały gruzowisko. Crismani był nimi zachwycony.

– Przypomnij mi, żeby podziękować temu Isaacowi, jak go zobaczę. Tak przyzwyczailiśmy się do myślenia o Potworach jako naszych jedynych wrogach, że podobny pomysł nigdy nie powstałby nam w głowach.

– No właśnie. Potwory mają gdzieś nasze maskowanie. Przecież nie mają nawet oczu. Myślę, że widzą w podczerwieni.

– Może i tak – odparł Crismani. – Za to jest pewne, że Synowie Gniewu widzą nas oczami. Więc te kombinezony są świetne.

Waganta rozpieęła duma, chociaż nie było w tym jego zasługi. Może tylko taka, że pożyczał Isaacowi właściwe książki. Te kombinezony były

tylko jednym z wynalazków Isaaca wyciągniętych jak z kapelusza, na które Wagant liczył, żeby choć w części skompensować utratę taktycznego wsparcia Potworów. Crismaniemu i pozostałym żołnierzom z Bonoli opadła szczęka, kiedy zobaczyli, jak kombinezony można w mgnieniu oka przewrócić na drugą stronę trzema prostymi ruchami. To było ważne, kiedy musiałeś to zrobić z maską na głowie i rękami w ciężkich rękawicach.

– Naprawdę fantastyczne – powtórzył Crismani.

– Dziękuję – odpowiedział Wagant. I położył rękę na jego ramieniu. Jeszcze dzień wcześniej by tego nie zrobił.

Ostatnia noc nieodwracalnie go zmieniła.

– Chciałem powiedzieć, że poznanie cię było dla mnie zaszczytem i że będzie jeszcze większym honorem walczyć u twojego boku.

Crismani uśmiechnął się.

– Już walczyliśmy razem. Przeciwno Albertom.

– Tak. Ale to się nie liczy. To było za łatwe.

– Żadna bitwa nie jest zbyt łatwa, mój przyjacielu.

Wagant długo delectował się tym słowem, zanim sam go użył.

– Powodzenia, przyjacielu.

– Za rok w Jerozolimie!

– Co?

– To takie żydowskie życzenie. Cześć, Wagancie. Idę sprawdzić moich ludzi. Zobaczymy się na górze. I pamiętaj, walka walką, ale musimy tam najpierw dotrzeć.

Strumień ludzi w przestronnym podziemiu sunął nieprzerwanie jak rzeka, tyle że płynąca w górę. Na powierzchnię prowadziło dwanaście biegów schodów, w tym cztery ruchome – nieczynne od dwudziestu lat – do których niewielu miało zaufanie. Samuel był zafascynowany liczbą schodów. Wybrał trzecie od lewej strony.

Ludzka fala płynęła nieprzerwanie w górę, docierając do wyższego piętra, z którego na zewnątrz prowadziło pięć wyjść. Wyposażeni w pałki

i gwizdki żołnierze z wszystkich trzech armii zawiadywali ruchem, kierując oddziały ku różnym wyjściom. John znalazł się w grupie zmierzającej do środkowego. Spozrzegł, że wszyscy wokół niego pospiesznie zakładali maski i przyglądali mu się zdumieni, widząc, jak wychodzi z odkrytą głową. Ktoś coś za nim wołał w niezrozumiałym języku Albertów.

Jeszcze kilka kroków po schodach, i John znalazł się na zewnątrz.

To, co zobaczył wokół siebie, zaparło mu dech w piersiach.

Smagany wiatrem plac był olbrzymi. Na jego obrzeżach wznosiły się na wpół zawalone budynki, niektóre nawet dziesięciopiętrowe, jak ten naprzeciwko. Szyby w wielkich oknach na niebieskiej fasadzie były powybijane i budowla wyglądała jak ogromne puste kolumbarium. Napis nad arkadami przed budynkiem „Malpensa Express Stacja Cadorna”

był prawie nieczytelny. Rozbite konstrukcje ze szkła, pordzewiałe filary. Nad placem górował niedorzeczny monument: metalowa igła wysoka na prawie dwadzieścia metrów z ogromną kolorową nicią przewleczoną przez ucho u góry.

Z fontanny na środku placu wystawał prawi dziesięciometrowy metalowy węzeł w identycznych kolorach – czerwonym, białym i żółtym. Musiała to być jakaś rzeźba podzielona na dwie części.

Dookoła, tu i ówdzie, wystawały ze śniegu pokrywającego plac inne czarne igły, ale nie były to rzeźby, tylko to, co pozostało po drzewach, które kiedyś musiały zdobić to miejsce.

Jakiś człowiek z Bonoli z dystynkcjami dowódcy drużyny zniecierpliwiony podał mu maskę. Żeby uniknąć dyskusji, John postanowił ją założyć. Kiedy to zrobił, tamten klepnął go w plecy. I wskazał zaparkowane nieopodal pojazdy, na jakiejś ulicy od północy, w głębi której majaczyła w bezustannej śnieżycy jakaś ciemniejsza bryła – stary mur.

– Idź po broń. Tam mają. Gdzie ty masz głowę? Powinienem postawić cię do raportu!

John skinął tylko głową, nie odpowiadając. To i tak nic by nie dało.

I ruszył w stronę samochodów pod czujnym spojrzeniem dowódcy.

– Czego chcesz? – zapytał go obcesowo żołnierz z oplanekowanej ciężarówki.

– Zgubiłem broń. Powiedzieli mi, żebym przyszedł tutaj.

– To gratuluję ci, fiucie. Na pewno ci jej nie ukradli?

John wzruszył ramionami.

– To nie jest sklep. Zostało mi to – rzekł żołnierz, podając Johnowi zdezelowany karabin i pudełko amunicji. – Jeżeli nie rozwali ci twarzy i nie dasz się zabić, to odnieś mi to po powrocie. To nie jest prezent. Rzekłbym nawet, że powinienes mi się czymś odwdzięczyć. Może być butelka whisky.

John podziękował i odszedł.

Większość samochodów miała uruchomione silniki, plac rozbrzmiewał ich warkotem i tonął w smrodzie starego paliwa oraz dodatków chemicznych, które czyniły je zdatnym do użycia po dwudziestu latach. Z rur wydechowych unosił się szary dym rozpluwający się w padającym śniegu.

John zastanawiał się, jak zamierzali dokonać ataku z zaskoczenia przy takim hałasie.

Zorientował się, że wiatr wieje w dobrym kierunku i skutecznie zabiera ze sobą dźwięki i smród spalin, przynajmniej dopóki nie byli wystarczająco blisko stacji.

Różnorodność pojazdów była zaskakująca.

Były tam auta terenowe, które już w czasach Wielkiej Zagłady musiały mieć niemały przebieg, ale i inne, nowsze, a mimo to sprawiające wrażenie bardziej zdezelowanych. Były pikapy z karabinami maszynowymi zamontowanymi na pokładzie tuż za kabiną, i inne, przewożące coś, co wyglądało na mózdzierze. Plus około dwudziestu ciężarówek, do których ładowano ludzi. John skierował się do jednej z nich.

Wyciągnęło się ku niemu wiele dłoni i pomogło mu wejść do otwartej

skrzyni ładunkowej.

John wzdrygnął się.

Powinien był się zorientować już po smrodzie.

Pod standardowymi hełmami, pod starymi hełmami policyjnymi i pod maskami przeciwgazowymi szczyrzyły się dzikie brodate twarze Albertów.

– *Uhhh, ve' chi che gavem chi!* – ryknął najstarszy z nich, co znaczyło mniej więcej: „Nooo, patrzcie kogo my tu mamy!”.

Ci z tyłu samochodu wychylili się, żeby się przyjrzeć Johnowi, jakby był jakimś dziwnym zwierzakiem.

Komentowali bez końca w tym swoim niezrozumiałym języku.

Jeden z nich przemówił po włosku: „Ej ty, pedziu, jesteś od tych lalusiów z obojga miast? Jesteś jednym z nich?

Prześliczne pizdusie”.

– Tak, jestem z obojga miast.

– Więc musimy ci podziękować za wszystkie te super manele! Nigdy przedtem nie byliśmy tacy eleganccy!

– Wy dajecie ciężarówki. To chyba uczciwa wymiana.

Albert długo przeżuwał to słowo.

Potem pokręcił głową.

– Wyglądacie na w porządku typasów. Jesteście prawie jak my. Nie jak te gównojady Chińczyki i Latynosy. To dlatego są cali żółci i brązowi: bo żrą gówno.

Jego kumple zareagowali chóralnym grubiańskim śmiechem.

– Ten sojusz nie potrwa długo, wiesz o tym, nie? Panami tego miasta jesteśmy my. Jest nasze, a może i wasze, jeżeli jesteście tacy jak my.

John wiedział, że powinien siedzieć cicho, ale nie wytrzymał.

– Pewnie, że jesteśmy jak wy. Nie licząc wiary.

– Jakiej wiary?

– No, chyba wiesz, że my z Bonoli jesteśmy Żydami, nie?

Żołnierze w ciężarówce nagle zamilkli.

Patrzyli na księdza jak jeden mąż.

– Żartujesz? – zapytał w końcu najstarszy. Spod maski wyglądała długa siwa broda.

– Ani trochę.

– Żydami...

– Tak.

Alberci popatrzeni po sobie. A staruch wyciągnął w kierunku Johna chudy, krogulczy palec.

– Ale jesteście biali.

Ksiądz puścił do niego oko.

– Mniej więcej.

Tamten miał odpowiedzieć, gdy ciężarówka z szarpnięciem ruszyła naprzód, aż wszyscy podskoczyli. Albert siedzący w samym tyle omal nie spadł. Jego towarzysze już byli gotowi go przytrzymać. A potem zaczęli go żartobliwie okładać kuksańcami. Z tego, co można było dostrzec pod maską, był najmłodszy w grupie. Mógł mieć nie więcej niż piętnaście, może szesnaście lat.

Samochód szarpał, wypluwał z siebie całe chmury czarniawego dymu, który plamił pryzmy śniegu na poboczu drogi.

Alberci skupili uwagę na trasie. Budynki po obu stronach wyglądały jak góry. Niektóre były białe. Ale większość poczerniała od pożarów, z ciemnymi otworami okien. Z wolna, w miarę jak przesuwali się na północ, przed nimi zaczęła prześwitywać przez śnieg długa budowla, która okazała się murem wokół gigantycznego zamku.

– Co to jest? – zagadnął John Alberta, który rozmawiał z nim po włosku.

– Zamek Sforzów – odparł tamten z dumą.

John przypatrywał się z niedowierzaniem tej ogromnej, ciemnej masie wznoszącej się nad drogą i nad patetycznym orszakiem starych, pyrkających wozów rodem z kroniki filmowej o rewolucji październikowej.

– To był zamek królów Mediolanu – odezwał się szesnastolatek, z szeroko otwartymi oczami wyglądającymi z wizjera maski.

John nie miał ochoty go poprawiać. Mówić mu, że nigdy nie było żadnego króla Mediolanu.

Alberci przypatrywali się z zachwytem tej starej ruinie, wciąż imponującej, chociaż mur miejscami zawalił się na dłuższych odcinkach, a fasada nosiła niewątpliwe ślady niszczycielskiego pożaru.

Konwój przejechał obok bram zamku, przecinając jakiś plac zavalony starymi, zaśnieżonymi autami. Pierwsza ciężarówka wyposażona była w pług brutalnie zmiatający z drogi zarówno śnieg, jak i wszelki złom. Odpadająca z blachy aut rdza barwiła śnieg plamami podobnymi do koloru zaschłej krwi.

Alberci najwyraźniej czuli się jak ryby w wodzie na wolnym powietrzu. Raz na jakiś czas któryś z nich wyciągał z plecaka przedziwne urządzenie, rodzaj szklanej ampuły zawierającej dwa paski folii aluminiowej zawieszanej na drucie.

Podnosili to na wysokość oczu, sprawdzali, jak poruszają się te dwa cieniutkie paski, po czym chowali ustrojstwo z powrotem do plecaka. Starsi wyśmiewali się z ich przejęcia. Ale i oni zdradzali oznaki coraz większej nerwowości, w miarę jak zanikało światło.

Przejechali niespełna milę, kiedy zaczął zapadać zmrok. Ziąb był coraz większy i bardziej dokuczliwy. Szum wiatru ogłuszał. Powinni być mu wdzięczni, bo był dla nich osłoną. Ale chwilami był tak silny, że musieli trzymać się słupków, żeby nie pospadać. Żołnierze zaczęli instynktownie przyciskać się jeden do drugiego. Zapadająca nieuchronnie noc napawała przerażeniem.

Samochody jechały dalej z wyłączonymi światłami. Wagant uprzedził Danielsa, że kierowca pierwszego samochodu ma niezwykle cenne okulary noktowizyjne. Wszyscy pozostali po prostu jechali za nim, i miało tak być nawet w kompletnych ciemnościach. Chodziło o to, żeby nie wzbudzać

czujności Synów Gniewu światłami orszaku. Johnowi wydawało się to idiotyczne. Przecież ciężarówki robiły taki hałas i wypluwały tyle smrodu, że były łatwe do zauważenia z daleka.

Zebrać razem tak imponującą liczbę pojazdów z pewnością nie było prostym zadaniem. Najtrudniej dostępną rzeczą – jak podsłuchał John Daniels – były opony. Wzmocnili je prowizorycznymi gąsienicami, zrobionymi z drewna i drutu. Przy niewielkiej prędkości były w miarę skuteczne, chociaż wprawiały w drżenie blachy pojazdu w sposób nienapawający optymizmem.

Jechali tak już od dwóch godzin, nieznośnie wolno jak dla Johna, chociaż taka szybkość musiała być istnym cudem dla żołnierzy, z których większość nie słyszała silnika od dwudziestu lat.

Przejeżdżali teraz kanionem o zrujnowanych ścianach, który niegdyś był jedną z ulic centrum Mediolanu. Żołnierze gorączkowo wypatrywali znaku życia, jakiegoś ruchu w zniszczonych fasadach. John znów zapragnął posiadać nadnaturalną zdolność widzenia otrzymaną od Mnicha, który później mu ją odebrał. Wrażenie, że są obserwowani, było przemożne. Ale nie dało się dostrzec żadnej oznaki obecności tych niewidzialnych obserwatorów, choć nawet John miał pewność, że gdzieś są.

Przejechali kolejnymi ulicami przez kolejne place. Jedna z ciężarówek się zatrzymała. Pasażerowie próbowali ją uruchomić na pych, ale bez skutku. Wtedy zepchnęli ją na pobocze i rozdzielili się na inne samochody. Jeden z nich wszedł do wozu Danielsa. Alberci pomogli żołnierzowi dostać się na skrzynię ładunkową.

Kiedy usiadł, John rozpoznał w nim rabina Samuela.

– Ejże – krzyknął do niego Albert – zabezpiecz broń, kurwa mać.

Rabin pokiwał głową. Ale widać było, że nie ma pojęcia, jak to się robi. Jeden z Albertów pomógł mu, wzdychając.

Później przyjrzał mu się od stóp do głów.

– Czy ty czasem nie jesteś z Bonoli? – zapytał.

– Jestem – odrzekł Samuel bezrefleksyjnie.

Albert przyglądał się badawczo jego długim czarnym puklom, brodzie i nosowi. Potem powiedział coś do kamratów, którzy zaczęli krzywo patrzeć na rabina.

– Nie lubimy Żydów – powiedział najstarszy z Albertów głosem, w którym brzmiała groźba. – Nie lubimy Żydów, Czarnuchów, Chińczyków, Latynosów i w ogóle wszystkich, którzy dziwnie mówią. Jak ty – dokończył, celując w pierś ojca Johna palcem w rękawicze.

Samuel pokręcił głową: – Ale, panowie. Ja urodziłem się w tym mieście. Moi rodzice...

– Chuj mnie obchodzisz ty, twoja pierdolona matka i twoi jebani przodkowie. Może i nawet wysrało cię na tej ziemi, ale jesteś takim mediolańczykiem, jak i te jebane Potwory, co sobie wzięły katedrę.

Te ociekające nienawiścią słowa wypowiedział mężczyzna siedzący w głębi ciężarówki, oparty plecami o kabinę. Nie był jakoś specjalnie wysoki, ale potężnie zbudowany. Niczym niedźwiedź. Pod hełmem widać było krótko ścięte włosy, niemal na zero, a jasna broda była starannie przycięta, nie to, co u jego kompanów.

Mówił powoli, prawie beznamiętnie. Jakby jego słowa nie były ognistą serią wyzwisk, lecz czymś zupełnie normalnym.

– Wy, obcy, macie zamiar zająć nasze miasto. Teraz nawet ktoś wbił sobie do łba, że zniszczy je tą pierdoloną bombą.

No to posłuchaj, jak będzie naprawdę. Przy waszej mizernej pomocy Alberci wymiotą te skurwysyńskie szczury ze stacji centralnej. I weźmiemy ją sobie. Jest nasza na mocy prawa. Wy będziecie mogli wrócić do waszych nor, dopóki nie postanowimy, że z wami też czas skończyć. Bo ta ziemia jest nasza, rozumiano? Nasza.

John przyjrzał się rysom twarzy tego mężczyzny. Były wyraźnie słowiańskie. Wielka Zagłada wymieszała w dziwaczny sposób karty na stole. Założyłby się, że Samuel miał większe prawo do uznawania

Mediolanu za swoje miasto. Ale w nowym świecie, stworzonym przez bomby, prawo oparte było na sile, a nie na sprawiedliwości. Sądy obróciły się w gruz, a prochy sprawiedliwych i niesprawiedliwych rozproszył wiatr, mieszając je z sobą tak skutecznie, że stały się nie do odróżnienia. Dla ocalałych życie zmieniło się w niekończącą się grabież. Oznaczało to wchodzenie do cudzych domów, naruszanie ich wymarłej przestrzeni, rabunek pozostałych zapasów, gwałcenie intymności wspomnień. Stare zdjęcia rodzinne służyły do rozpalania ognia albo do podcierania się. Wulgarny śmiech rozbrzmiewał w martwych sypialniach nowożeńców.

John ocknął się z zamyślenia.

Sytuacja się zaogniła. Nie mógł na to pozwolić.

– Chłopaki, przestańcie!

– Nie jestem twoim chłopakiem – warknął jasnowłosy niedźwiedź.

– Chciałem tylko powiedzieć, że nie czas na kłótnie. W tej bitwie jesteśmy razem. Spróbujmy ją wygrać, zanim zaczniemy dyskutować o tym, co później zrobimy, a czego nie zrobimy.

– Bądź pewny, że to, co zrobimy później, wam się nie spodoba.

– W porządku, zrozumiałem. Ale teraz odłóżmy te...

John nagle zamilkł. Patrzył osłupiały na coś w górze. Dostrzegł, że paru innych w samochodzie robiło to samo. Aż wszyscy, jak jeden mąż, spojrzeli w ten sam punkt.

Pierwsze auto w kolumnie zatrzymało się, a za nim wszystkie pozostałe.

Przed ich oczami, w odległości pół mili, rósł czarny atomowy grzyb.

A przynajmniej tak to wyglądało.

Wszyscy przyglądali się temu śmiertelnemu widokowi w absolutnej ciszy, w słabym świetle zmierzającego dnia.

Grzyb górował wysoko nad ruinami. Wydawał się nieruchomy, ale nagle sam szczyt jakby zaczął się rozplýwać, rozpadać na części. Wkrótce z dreszczem przerażenia żołnierze zorientowali się, co naprawdę mają przed oczami.

Setki, tysiące skrzydlatych postaci oderwało się od szczytu grzyba, rozlewając się na wszystkie strony. Trzepot ich skrzydeł brzmiał jak burza. Przez kilka chwil czarne stwory pozostały zawieszono nieruchomo w powietrzu. Później wszystkie naraz raptownie skreśliły w prawo i odfrunęły, niczym stado ptaków, w stronę katedry, czyli Ula.

Zostawiły po sobie dwudziestopiętrowy drapacz chmur, goły i czarny od pożarów, niczym gigantyczną zrujnowaną grzędę.

Ten niewiarygodny widok zmroził krew w żyłach żołnierzy.

Kiedy zniknął ostatni ze skrzydlatych stworów, na konwój padł blady strach. Dręczące uczucie wynikające ze świadomości tego, jak niewiele znaczą ich siły wobec bezgranicznych i niezrozumiałych mocy ukształtowanych przez pożogę Wielkiej Zagłady.

Wobec tego niezwykłego widoku czuli się nieskończenie mali i bezbronni.

Alberci siedzieli w samochodzie bez słowa. Nawet blond zakapior siedział ze zwieszoną głową, jakby dostał z kija.

W ciszy dał się słyszeć głos Samuela: – Nie musimy się bać tych stworzeń. Albo będą po naszej stronie, albo w ogóle nie zejdą na pole bitwy. Ale nie zrobią nic przeciwko nam. Nie bójcie się ich. Dawid był małym chłopakiem uzbrojonym jedynie w procę, a jednak zwyciężył Goliata, dzięki czemu Izrael pokonał Filistynów.

– Wy, Żydzi, jesteście mocni w pysku – odparował najstarszy Albert. – Czyś tyje widział? Widziałeś te Potwory? Były ich tysiące.

– Jaki sens ma walka z Synami Gniewu? To z Potworami powinniśmy walczyć! – dorzucił blondyn.

Samuel pokręcił głową.

– Jeżeli nie możesz kogoś pokonać, to musisz spróbować się z nim zaprzyjaźnić. W tej chwili naszym wrogiem jest człowiek, a ze Stworami Nocy zawarliśmy rozejm. Nie wiem, jak długo potrwa. Ale wiem, że musimy to wykorzystać, jeżeli chcemy przetrwać.

To było niewiarygodne – nikt się nie odciął.

Siedzieli bez słowa, gdy konwój znów ruszał w drogę. Zastrajkowało kolejne auto. Wszyscy wyskoczyli z niego i wsiedli do trzech samochodów zamaskowanych plastikową plandeką. W pozostałych ciężarówkach nie było już miejsca.

John zastanawiał się, co kryje się pod tymi przykryciami.

Przejeżdżali teraz obok wieżowca, od którego oderwała się chmura Stworów Nocy. Poza wysokością nie różnił się niczym od innych spalonych budynków, które już widzieli po drodze, ani od tych, które rysowały się przed nimi, ledwo widoczne w padającym śniegu. A jednak, jadąc pod jego czarnymi oknami, odczuwali dręczący, nieogarniony lęk, który aż ścisnął im serca.

Samuel zbliżył twarz do głowy Johna.

– I jak je odebrałeś? – spytał go, szepcząc na ucho.

– Nie wyglądały na zbyt przyjazne.

– Ale na wrogie też nie.

– Nie, wrogie też nie – przyznał John.

– Jednak to nie podziałało dobrze na morale wojska.

– Zdecydowanie nie.

– Gruntownie osłabiło postrzeżenie naszych sił – westchnął rabin.

– Nie rozumiem, dlaczego to zrobiły.

– Nie rozumiem jak my. – Samuel pokręcił głową. – Nie możemy wiedzieć, co nam chciały przekazać.

– O ile w ogóle chciały nam coś przekazać.

– Właśnie: o ile w ogóle chciały nam coś przekazać – zgodził się rabin.

Droga robiła się coraz bardziej wyboista. Wstrząsy rzucały żołnierzami na wszystkie strony. Wokół nich panowała już zupełna ciemność.

Przejechali jeszcze kilometr, może półtora, i stanęli.

– Co się dzieje? – zapytał blondyn.

– Cicho! – pogroził mu żołnierz z Bonoli, dając znać, żeby ściszył głos.

– Jesteśmy na miejscu – dodał inny.

Wysiedli, próbując robić przy tym jak najmniej hałasu. Silniki wszystkich cięższych wozów zostały wyłączone. Tylko pikapy z karabinami maszynowymi i trzy auta z plandekami były nadal na chodzie, bo ich silniki pracowały ciszej od pozostałych. Nie było ich prawie słychać na coraz silniej wiejącym wietrze.

Przegrupowali się w drużyny na podstawie przydziałów ustalonych przez Waganta i Crismaniego, którzy tak próbowali rozłożyć siły, aby utworzyć zrównoważone formacje. Nie było łatwo przekonać Albertów, żeby przeszli do drużyn, w których przeważali Chinosi, ale w końcu się zgodzili. Odmówili jedynie wchodzenia do oddziałów, w których były też kobiety.

Daniels szukał swojej drużyny. Odnalazł ją trzy auta dalej. Samuel odpuścił sobie szukanie swojej i dołączył do tej samej.

– Nie sądzę, żeby za tobą tęsknili – skomentował sarkastycznie Albert blondyn, który też dostał przydział do tej grupy.

– Popatrzcie tylko na niego! I na tego drugiego! Wyglądają jak dwa strachy na wróble. Strzelba to nie miotła. Umiecie w ogóle strzelać? Wiesz, z której strony wylatują kulki?

– ZOSTAW GO W SPOKOJU – zagrzmiął silny, pewny siebie głos.

Żołnierze z Bonoli poderwali się i stanęli na baczność.

Sergio Crismani miał na sobie nieskazitelną mundur. Rozpięty kombinezon połowy odsłaniał trzy kolorowe paski jeden nad drugim.

Dla jego towarzyszy broni każdy z tych pasków zastępujących dawne odznaczenia był wspomnieniem trudnej ekspedycji zwiadowczej albo zwycięstwa nad wrogiem, czy to ludzkim, czy innym. Na tych wielokolorowych paskach, haftowanych ręcznie z bezgraniczną cierpliwością, zapisała się cała wojskowa historia tego chłopaka. John nie potrafił jej odczytać, ale doskonale czuł, jakim szacunkiem żołnierze Bonoli darzą tego młodego wojownika, za jego spokój, który potrafił zmylić.

– Nie toleruję kłótni między ludźmi pod moją komendą. Jak się nazywasz, żołnierzu?

Blond niedźwiedź wydukał: – Iwan.

– Dobrze, Iwanie. Posłuchaj mnie, żebym już nigdy nie musiał ci tego powtarzać: walka u boku takich niedojebków jak wy nie jest dla mnie żadną przyjemnością. Ale rozkazano mi zdzierżyć wasze towarzystwo, i postaram się o to, dopóki nie osiągniemy celu.

Odwrócił się tak, żeby objąć wzrokiem wszystkich dwudziestu ludzi ze swojej drużyny.

– A naszym celem, jakby ktoś o tym zapomniał, jest zdobycie nory Synów Gniewu, odzyskanie bomby, przywiezienie do domu naszych zakładników i postaranie się, żeby tym skurwysynom na zawsze odechciało się takich numerów. Cała reszta kompletnie się nie liczy, zapominacie o wszystkim innym, przynajmniej do zakończenia roboty. Jasne?

Wszyscy się zgodzili, oprócz blond olbrzyma.

Crismani stanął przed nim.

– Czy to jasne? – zapytał, patrząc mu twardo w oczy.

Po krótkim wahaniu tamten wzruszył ramionami.

– Kiedy wszystko się skończy – podsumował Crismani – wtedy możemy obić sobie pyski pięściami. A dokładniej, ty spróbujesz, a ja ci go obję. Ale teraz do szeregu razem z innymi, a agresję trzymaj na wodzy aż do bitwy.

Nie czekając na reakcję, odwrócił się do niego plecami i dał znać drużynie, żeby szła za nim.

Boczna uliczka, w której się zatrzymali, pogrążona była w kompletnej ciemności. Dzięki kilku osłoniętym latarkom wiedzieli, gdzie stawiać kroki. Jakiś pusty park sprawiał wrażenie cmentarza, ze zwęglonymi pniami drzew wyglądającymi jak krzyże i kamienie nagrobne.

Czekali na sygnał od dwóch drużyn Albertów wysłanych na rozpoznanie, aby odnaleźć i zneutralizować ewentualnych strażników.

Minęła prawie godzina, zanim odebrali oba sygnały świetlne.

Kolumna ruszyła wolno w drogę, próbując nie robić hałasu. Na szczęście wiatr nadal wiał w dobrą stronę, zabierając ze sobą dźwięki i zapachy.

Pikapy i trzy zamaskowane plandekami pojazdy wycofały się, żeby wjechać w ulicę równoległą do prowadzącej ku stacji centralnej. Zamierzały dotrzeć do celu właśnie tą drogą, by pozostać niezauważone do ostatniej chwili. Potem miały wykorzystać zamieszanie frontального ataku głównych sił, żeby zaskoczyć Synów Gniewu z flanki.

Pojazdy poruszały się z prędkością niemal marszową, kiedy wyjechały z bocznej ulicy. Obtłuczona tablica na murze głosiła, że to ulica Cartesio.

Otwarta perspektywa ogromnej alei byłaby zupełnie niewidoczna w bezgwiezdnym ciemnościach, gdyby nie ognie widoczne na samym końcu długiej arterii.

Czerwonawa od pochodni, oświetlona czymś, co wyglądało na potężne reflektory szperacze, biała fasada stacji centralnej odcinała się w oddali od wszystkiego – iście piekielny widok.

Wielu żołnierzy wzdrygnęło się.

Ojciec Daniels również.

Ten obraz ogromnej białej budowli, czerwonej od płomieni, przypominał mu ilustrację z pewnej książki z dzieciństwa.

Obrazek, który nie pozwolił mu zasnąć przez wiele nocy.

Stacja wyglądała niczym świątynia Molocha, boga, któremu – jeśli wierzyć pogłoskom rozpowszechnianym przez ich wrogów – Kartagińczycy składali ofiary ze swoich pierworodnych dzieci, wrzucając je do rozpalonych metalowych wnętrzości posągu.

Dorastając, John odkrył, że była to przypuszczalnie tylko legenda wymyślona przez Rzymian, historycznych wrogów Kartaginy. Ale jego strach pozostał gdzieś w środku i teraz rozpalał się na nowo, jak te pochodnie w oddali.

Na fasadzie znajdowały się posągi koni i gryfów. Blask podświetlał je od dołu, rzucając na ścianę ich powiększone, złowrogie cienie.

John otrząsnął się ze swoich lęków. Przyspieszył kroku i dogonił pozostałych z drużyny, którzy z trudem poruszali się w świeżym, dwudziestocentymetrowym śniegu, maszerując ku krwawiącej światłem fortecy w głębi alei.

23 | Szturm

Ze swojej pozycji na końcu drużyny czołowej John Daniels patrzył z przestrachem na ogromną fortecę z kamienia i światła w głębi alei. Biały marmur stacji centralnej lśnił jak widzenie w mroku nocy.

Jego drużyna szła na czele, dlatego między nimi i tym zjawiskowym widokiem nie było innych ludzi.

Z głębi pamięci wypłynęły słowa proroka Izajasza: *Populus qui ambulabat in tenebris/ Vidit lucern magnam. /*

Habitantibus in regione umbrae mortis / lux orta est eis. „Naród kroczący w ciemnościach / ujrzał światłość wielką; / nad mieszkańcami kraju mroków / światło zabłysło”¹.

Te same słowa, ale po hebrajsku, nie w łacinie, przyszyły do głowy młodemu rabinowi z Bonoli.

Ale czy to, co weszło u kresu ich drogi, to doprawdy było światło?, zastanawiał się Samuel.

Mocne klepnięcie w plecy wyrwało go z tej zadumy.

– Wyprostuj się, ciemiego! Idziesz walczyć, a nie zbierać ziemniaki!

Sierżantem, który poczęstował go tymi słowami, była dziewczyna z Bonoli, której Samuel nie znał.

Miała na sobie najbardziej nieskazitelny mundur, jaki kiedykolwiek widział, nie licząc – rzecz jasna – munduru Crismaniego. Jego metalowe elementy wręcz lśniły. Samuel zastanawiał się, czy to dobrze.

– Dołącz do swoich kompanów z grupy i maszeruj! – wrzasnęła, wskazując lufą pistoletu światło, które było przed nimi już niespełna kilometr.

Nagle dał się słyszeć świst i trzask.

Głowa sierżant eksplodowała, rozpryskując się w powietrzu kolorami szarości i czerwieni. Samuel poczuł coś ciepłego i mokrego na policzku, w miejscu nieosłoniętym maską.

Sierżant zachwiała się, w jej szeroko otwartych oczach panowało zdumienie. Gdy jej ciało wykonało pół obrotu, Samuel dostrzegł w hełmie ogromną, wielkości pięści dziurę wylotową. Dziewczyna upadła najpierw na kolana, by po chwili zwalić się w śnieg.

Znów świst, znów trzask, i Albert po prawej stronie Samuela runął nagle na ziemię, trafiony w skroń.

Jakiś żołnierz z Bonoli rzucił się do przodu i krzyczał do pozostałych, żeby wstali.

– Biegnijcie zygzakiem! Rozproszcie się! Nie zatrzymujcie się!

Wskazał na przewrócony wrak autobusu przysypany śniegiem, który leżał w poprzek alei po prawej stronie. Był w połowie drogi między nimi a stacją.

Równie dobrze mógł być po ciemnej stronie Księżycyca.

Nie dotarliby do niego żywi. Bieg oznaczał grzęźnięcie w półmetrowym śniegu i wystawianie się na ostrzał niczym kartonowe tarcze na poligonie.

– Rozproszyc się! Rozproszyc się!

Kolejny strzał, kolejny żołnierz ścięty z nóg.

– Biegnijcie! Biegnijcie, kurwa!

Pięć kroków, i żołnierz, który krzyczał, padł z rozszarpanym gardłem.

Daniels rozejrzał się zdesperowany wokół siebie. Żołnierze za nim zaczęli się wycofywać.

Snajper nie przestawał ich kosić, w tempie jednego strzału co pół minuty.

Dawał sobie czas na wycelowanie. I każdy strzał trafiał w cel.

Z odległości ośmiuset metrów – jak obliczył Wagant biegnący na czele drugiej grupy szturmowej – nie było to łatwe, ale nie było też niemożliwe.

Po pierwszych strzałach padł na ziemię. Oczami szukał desperacko Danieli, ale dziewczyny nigdzie nie było widać.

Mógł tylko mieć nadzieję, że nie jest w grupie czołowej.

Sytuacja była opłakana.

Jeden jedyny snajper.

I zbyt długi odcinek drogi do przebiegnięcia na otwartej przestrzeni.

Wystrzelałyby ich wszystkich jak kaczki, jednego po drugim.

Ktoś próbował odpowiedzieć na ogień, ale ich broń nie miała nawet połowy zasięgu karabinu snajpera. Mogli tylko narobić hałasu, nic więcej.

Wagant patrzył bezsilnie na rozgrywającą się przed nim scenę oświetloną potężnymi reflektorami stacji.

Jakiś idiota z przodu rozkazał ludziom biec dalej, zamiast rzucić się na ziemię i wtopić w śnieg. Nie było radia i innych środków łączności, żeby odwołać ten głupi, samobójczy rozkaz.

Wagant próbował znaleźć sposób, żeby ich uratować, a przynajmniej ograniczyć tę masakrę.

Na drodze leżał przewrócony duży autobus, który mógł służyć za osłonę.

Pod warunkiem, że się do niego dotrze. Był piekielnie daleko.

Kolejny strzał.

I jeszcze jeden.

Wagant był świadkiem śmierci dwóch żołnierzy.

Z bezsilności zagryzł wargi do krwi.

Co miał robić?

Co mógł zrobić?

Samuel podniósł głowę znad śniegu.

On też był w grupie czołowej jak Daniels i instynktownie nie posłuchał

rozkazów żołnierzy. Widział, jak padają jeden po drugim, gdy próbowali dotrzeć do zbyt odległego schronienia za przewróconym autobusem. Na próżno. Za żadne skarby nie daliby rady. Głęboki śnieg utrudniał ruchy, a w biegu było jeszcze gorzej.

Snajper skosiłby ich wszystkich, jednego po drugim. Nie mieli drogi ucieczki.

Jakby na potwierdzenie, kolejny strzał powalił następnego żołnierza.

Wtedy rabin postanowił wcielić w życie swój plan. Jakkolwiek desperacki, pozostawał jedynym możliwym wyjściem.

Pomodlił się do Boga o siłę.

Drżąc jak liść, stanął na nogi. Odwrócił się do swoich ludzi i rozpostarł ramiona.

Wiedział, że stanowi doskonały cel. Ale ten teatralny gest był niezbędny.

– Bracia! – krzyknął.

A w duchu modlił się tymi słowami: *Boże Izraela, bądź przy mnie.*

– Bracia! Bóg dał nam ten dzień, abyśmy uczynili go dniem zwycięstwa! Zmierzamy z ciemności ku światłu! Bóg, który oddał w ręce Izraela Filistynów i Amalekitów, i Amorytów będzie z nami również tego dnia.

Samuel zamrugał kilkakrotnie, wykonał serię głębokich wdechów i wydechów. Czuł, że ma lekką głowę.

Niewiarygodnie jasną i lekką. Rozłożył ramiona jeszcze bardziej. Jego dłonie celowały w niebo. Wiatr nadymał mu kombinezon, wygrywał na nim pieśni.

Samuel czuł się jak nieprzytomny, był bliski radości.

Spojrzał na przerażonych żołnierzy leżących w śniegu. Pokręcił głową i krzyknął ze śmiechem: – Nie lękajcie się!

W odległości stu metrów John Daniels patrzył na niego z niedowierzaniem. Już miał się poderwać i pobiec, żeby powstrzymać to

szaleństwo. Ale wtedy usłyszał w środku głos Alessii.

Słuchaj.

Tylko to jedno słowo. Ale wystarczyło. John przywarł do śniegu i patrzył, jak młody rabin bawi się w stracha na wróble pod ostrzałem snajpera.

Alessia uspokajała go w głowie czymś, co nie brzmiało jak słowa, ale jak jakaś pierwotna mowa, pełna uniwersalnych znaczeń.

Spokój, spokój. Spokój. Wszystko się ułoży. Jego Bóg jest przy nim.

- Jego Bóg? – wymamrotał John. Ale w tej samej chwili zrozumiał.

Bóg, którego Samuel wzywał na pomoc, był tym Bogiem od starożytnych, Bogiem cudów i sprawiedliwości.

Młody rabin znów wzniósł ręce do nieba.

Wydawało się, że czas się zatrzymał, że skumulował się w tym jednym momencie. John spodziewał się, że w każdej chwili może paść strzał.

Ale nic takiego nie nastąpiło.

Nawet wiatr ucichł. A z nieba przestał padać śnieg.

Samuel podniósł głowę. Wciągnął głęboko powietrze. I znów przemówił: – Wczorajszej nocy modliłem się. Długo się modliłem. – Rabin skandował słowa, robiąc długie przerwy, jakby chciał, żeby każde słowo wryło się w umysły słuchających. – Modliłem się do Boga o zwycięstwo. Długo o to prosiłem. Całym sercem. Ale nie dostałem odpowiedzi.

John zastanawiał się, czy przy murach stacji słychać było te słowa. Teraz, kiedy śnieg przestał padać, dobrze widział budynek.

Chociaż wolałby, żeby było inaczej.

Na murach wisały ciała. A kolejne były właśnie wieszane przez uzbrojonych ludzi obsadzających górne partie i zewnętrzne gzymsy imponującej budowli z lat trzydziestych. Dziwaczne połączenie architektury dawnej z nowoczesną w stylu nazwanym niegdyś sarkastycznie asyryjsko-mediolańskim.

W sto lat po wybudowaniu obiekt wyglądał na tysiącletni.

A to, co się tam działo teraz, mogłoby należeć do przeszłości jeszcze bardziej zamierzchłej.

Ciała przytroczone do muru łańcuchami były małe.

To były ciała dzieci.

Ich głowy wisiały na bezcielesnych szkieletach, niczym w rzeźni z horroru. W niektórych przypadkach oprócz głowy został jedynie kręgosłup.

Było to coś przerażająco upiornego, przekraczającego wszelkie ludzkie pojęcie.

Ta wystawa miała doprowadzić napastników do rozpacz.

Zadziałało.

Z gardeł żołnierzy obojga miast i Chinosów wyrwało się westchnienie. Westchnienie, a później jęk rozpacz, ryk śmiertelnie ranionego zwierzęcia. Nawet Alberci byli wstrząśnięci tym koszmarnym widokiem.

Nie odwracając się w stronę murów, ale jakby widząc tę scenę, Samuel krzychał przez łyż: – Modliłem się do Boga, ale na próżno. Bóg nic mi nie odpowiedział.

– Bo twój Bóg nie istnieje, palancie – ryknął jakiś głos z wysokiego muru.

Samuel cierpliwie pokręcił głową. I znów przemówił do swoich ludzi: – Tak samo i ja pomyślałem tej nocy. Ale przed kilkoma minutami, gdy szedłem tą doliną śmierci, a wróg triumfował, wtedy Bóg do mnie przemówił!

– I co ci powiedział? Do zobaczenia wkrótce? – zadrwił z niego nieprzyjaciel.

Wybuchł opętańczy chór wrzasków i śmiechu.

Samuel bardzo wolno odwrócił się twarzą do stacji.

Powietrze falowało od energii. Czuli ją żołnierze. Czuli ją także John – potężną i nieujarzmioną energię. Ze zdumieniem dostrzegł, że włosy na głowie rabina wyprostowały się, jakby otaczało go jakieś pole elektryczne.

Samuel spojrział na mury, na upiorne przedmioty, które kiedyś były żywymi ludzkimi istotami, a teraz ubierały budynek w koszmar, barwiąc go na czerwono. Patrzył na nie zrazu z litością i bólem, które przeszły w zimną wściekłość.

Głos, jaki wydobył się z jego gardła w zupełnej ciszy, wydawał się obcym głosem. Był natchniony, pełen mocy.

– Usłyszałem głos Boga tak wyraźnie, jakby mi mówił do ucha, a głos ten mówił: „Oto oddaję w twoje ręce nieprzyjaciół twoich, jak niegdyś uczyniłem z Amalekitami i z Kananejczykami, i z Filistynami, i z każdym innym niegodziwym ludem, który ośmielił się sprzeciwić ludowi mojemu”.

– Samuel wzniosł ramiona, wskazując na mury stacji ociekające krwią i światłem. – W imię Pana wszechmogącego, Boga chwały i sprawiedliwości, ogłaszam, że to gniazdo zła zostanie ofiarowane w całopaleniu. Pan w perzynę obróci te mury i w ręce swych synów odda tych, co w nich mieszkają, by zostali wytępieni jak chwast, by dnia nowego ich obecnością nie kalać...

Padł strzał. Kula przeszła ze świstem tuż obok głowy rabina i nawet jej nie musnęła.

– Pan oczy im przesłoni, a ich serca przerażeniem zdejmie...

Padł kolejny strzał, i tym razem kula trafiła w śnieg u stóp młodego rabina, który sprawiał wrażenie nawiedzzonego.

– Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulęknę, bo Ty jesteś ze mną.

Również trzeci strzał – rzecz niewiarygodna – chybił.

Snajper przestał strzelać. Z bramy stacji wyjechały w kłębach czarnego dymu dwa pikapy pełne uzbrojonych ludzi w kamizelkach kuloodpornych pomalowanych na czerwono. Skierowali karabiny automatyczne w stronę Samuela niczym pluton egzekucyjny.

Samuel uśmiechnął się z pogardą. I odwrócił się, krzycząc: – Zagrajcie na szofarach!

Na ten rozkaz sześciu żołnierzy z Bonoli otworzyło plecaki i wyjęło z nich kozie rogi. Podnieśli je do ust i na znak dany głową przez Samuela zadęli z mocą w te prymitywne instrumenty, wydobywając z nich płaczliwy dźwięk o niebywalej sile i głębi. Był to jęk pierwotny, jakby pochodził z pradziejów, ze świata przed człowiekiem.

Trzeba było nie lada wysiłku, żeby zdobyć te instrumenty.

Samuel przekonał Waganta, żeby wysłać ekipę poszukiwawczą do muzeum historii naturalnej, jedyne miejsce, w którym był cień szansy na znalezienie rogów nadających się do zrobienia szofarów. Znaleźli je przy kilku starych zabalsamowanych zwierzętach. Później przyszła kolej na znalezienie muzyków.

Samuel wpadł na ten pomysł, bo pamiętał pewną rzecz, którą usłyszał od swojego ojca. To właśnie ta historia zainspirowała jego poszukiwania.

Ojciec powiedział mu, że kiedyś angielska stacja telewizyjna BBC wpadła na pomysł, aby zwrócić Auschwitz muzyce, pięćdziesiąt lat po Holokauście. Naziści w tym obozie śmierci wykorzystywali muzykę na różne perwersyjne sposoby.

Muzyka towarzyszyła milionom niewinnych przy umieraniu w komorach gazowych, a ciała palono przy dźwiękach skocznych walców Straussa. BBC sprowadziła do Auschwitz muzyków z całego świata, którzy zagrali w miejscach potwornych zbrodni, aby muzyka je oczyściła. Ojciec Samuela widział film dokumentalny o tym muzycznym egzorcyzmie.

Ze łzami w oczach wspominał scenę, kiedy orkiestra intonowała na szofarach utwór sakralny w ponurym lasku, w którym kiedyś kobiety i dzieci musiały się rozbierać przed śmiercią przy dźwiękach orkiestry polowej. Osvaldo Golijov, młody argentyński kompozytor, postanowił, że uroczyste dźwięki szofarów zabrzmią właśnie w tym przerażającym miejscu. Aby oznajmić ceniom zbrodniarzy sprzed lat, że ich zbrodnie były daremne. Że naród, który chcieli unicestwić, pozostał przy życiu. Że życie zwyciężyło.

A teraz ten sam instrument, wskrzeszony z przeszłości, wznosił dźwiękiem swój sprzeciw wobec okropności tych zakrwawionych murów.

Z zakamarków pamięci Samuel wydobył słowa Talmudu, aby wypędzić demona. Wzniósł ręce ku niebu i krzyknął w stronę krwawych murów: – Szczeźnij, bądź przeklęty, rozbity i wypędzony, synu zgnilizny, synu nieczystego, synu takich jak Shamgaz, Merigaz i Istemaah.

Wydawało się, że powietrze drży.

– W imię Boga – zagrzemiał Samuel – murze, nakazuję ci: RUŃ!

Szofary zagrały mocniej swą żałobliwą pieśń, a do ich nieopisanie smutnego, sugestywnego dźwięku dołączył inny, nie mniej imponujący.

Warkot silników, a ponad nim – jakieś dziwne dudnienie.

Od prawej strony, z bocznej ulicy, wyleciał długi, potężny strumień ognia. Dosięgnął pierwszego wozu nieprzyjaciela i zamienił jadących w nim w ludzkie pochodnie. Do pierwszej strugi ognia dołączyła kolejna, i następna – po drugim pikapie, który eksplodował kulą ognia, przyszedł czas na mury i ich obrońców przyczajonych na dachu i na występach fasady. Syk ognia był imponujący, niczym oddech smoka. Kiedy trzy pojazdy wpadły na plac przed stacją, John rozpoznał w nich trzy tajemnicze ciężarówki przykryte połowymi plandekami.

– Ogień grecki – odezwał się znajomy głos przy jego uchu.

Daniela była roześmiana.

Jej piękna twarz była czerwona z wrażenia i od blasku płomieni.

– To pomysł Isaaca. Prawda, że fantastyczny?

– Niewiarygodny – odparł Daniels. – Z tymi rogami też. To też wymyślił Isaac?

– Nie. Nie wiem, czyj to pomysł. Ale to cud, że zadziałał.

Cud, powtórzył w myśli John. *Podobnie jak ten nieomylny snajper, który chyba trzy razy z rzędu. Po prostu cud.*

– A teraz w drogę! – krzyknęła Daniela. – Musimy wykorzystać przewagę! Nie potrwa długo. Ciężarówki nie mogą wjechać na stację!

I pobiegła. A biegła długimi krokami, jakby się unosiła nad śniegiem.

Jest bardzo piękna, powiedział głos Alessii w jego głowie.

John się uśmiechnął.

– Tak. Jest bardzo piękna.

Piękna jak wojsko w szyku bojowym... Tak mówi Biblia, czyi nie?

– Tak.

A teraz ruszajmy. Jest bitwa do wygrania.

John Daniels chwycił swój karabin i rzucił się do ataku w stronę murów wciąż ociekających krwią i światłem w miejscach, których jeszcze nie dosięgnął ogień. Gryfy i pegazy patrzyły na bitwę swoimi obojętnymi oczami z kamienia.

Wdarli się do tak zwanej Galleria delle Carrozze, ogromnego otwartego atrium, kiedyś mieszczącego postój taksówek, którego dekoracje naśladowały dawne rzymskie pałace.

Daniels nie miał czasu na przyglądanie się szczegółom.

Pędził już ku niemu Syn Gniewu z czerwoną od krwi szablą w dłoni.

John uniósł karabin ruchem, w którym nie rozpoznawał samego siebie, szybko odbezpieczył i wypalił dwa razy prosto w głowę mężczyzny.

Jego twarz eksplodowała tysiącem fragmentów. Mężczyzna natychmiast zwałił się z nóg.

John przeskoczył nad jego ciałem. Nie dał sobie przyzwolenia na choćby krótką myśl o tym, co zrobił przed momentem.

Przebiegł przez ten otwarty plac, skacząc ponad licznymi ciałami wroga. Niektóre z nich były potwornie spalone. Ale również żołnierze krucjaty złożyli ciężką daninę krwi. Przynajmniej dziesięciu z nich leżało na ziemi, martwych lub zbyt ciężko rannych, by móc się podnieść.

W jednym z trupów rozpoznał jasnowłosego niedźwiedzia z ciężarówki. Iwana. Trzymał jeszcze w dłoni swoją maczetę. Wokół niego leżało sześć nieprzyjacielskich ciał.

John wyszeptał modlitwę i poszedł dalej.

Kiedy wszedł do właściwego budynku stacji, znalazł się w olbrzymim holu z marmurowym sklepieniem. Sala była czarna od dymu i zapuszczona, ale nadal tchnęła wielkością.

Naprzeciwko znajdowały się wielkie schody. U ich szczytu, za barykadą, rozlokowało się gniazdo karabinów maszynowych. John rzucił się instynktownie w bok, unikając serii, która skosiła trzech Chinosów za nim. Przywarł do ziemi, gotowy odpowiedzieć na ogień, gdy za jego plecami rozległ się chór dzikich wrzasków.

Alberci atakowali niczym rozwścieczone bawoły, nie zważając na kule, które kosily ich niczym kombajn zboże. Rwali do przodu jak opętani, a kiedy dotarli do podnóża schodów, wyrzucili w górę ceramiczne bryłki.

Kule poszybowały tukiem i spadły na stanowisko wroga, które natychmiast zajęło się ogniem.

Daniels przypatrywał się tej scenie jak zaczarowany.

Te granaty też były wynalazkiem Isaaca. Działały na takiej samej zasadzie jak ogień grecki. Dawne patenty, wskrzeszone w ponurych czasach.

Nie czekając ani chwili, aż płomienie przygasną, Alberci rzucili się w górę po schodach, a ich szturm był tak zaciekły i szybki, że nieprzyjacielska zaporą padła. Synowie Gniewu rzucili się do bezładnego odwrotu.

Alberci puścili się za nimi, strzelając do nich na oślep. Kiedy przebiegali obok rannego, dobijali go ciosem maczety lub kordelasa, w które byli uzbrojeni.

Widząc, jak walczą, John zrozumiał, że absolutny brak zdolności strategicznych nadrabiali bezgraniczną odwagą i agresją. Przeszli po obrońcach stacji niczym kosiarka po łące. Gdzie podziła się legendarna zaciekłość Synów Gniewu?

Ich siła?

Wagant zastanawiał się nad tym, kiedy biegł po starych ruchomych

schodach, prowadząc do ataku swoich ludzi i nie spuszczać z oka Daniela. Poprzedniej nocy zmienił reguły gry. Dziewczyna nie była już dla niego wyłącznie przyjaciółką i towarzyszką broni. Stała się jego częścią, i to w takim stopniu, że jeszcze poprzedniego dnia uznałby to za niemożliwe.

Wagantowi nie było łatwo z tymi uczuciami. Bał się, że może to źle wpłynąć na jego zdolność do walki: osłabić jego siły, uczynić zależnym od czyjegoś życia...

Kiedy biegł, jego wzrok, zamiast skupiać się na wrogu, wędrował często w jej stronę.

Daniela natomiast była kompletnie pochłonięta tym, co robiła. Wagant był świadkiem sytuacji, kiedy przewidziała dwa cięcia i uniknęła ich, po czym rozwalila nieprzyjaciela jednym strzałem z pistoletu. Aż przyjemnie było na nią popatrzeć. Dla niej walka zmieniła się niemal w taniec, zabawę w uwodzenie samej śmierci. Jej ludzie byli oczarowani tymi kocimi ruchami, doskonałą celnością i złością, która potrafiła przekształcić się w zabójczą energię.

Dotarli aż pod wielkie tablice, które niegdyś informowały o przyjazdach i odjazdach. Za tukami znajdowały się perony.

Pociągi, od dawna już nieczynne, zmieniono w zastępcze mieszkania i zabezpieczono niedbale przed promieniowaniem płytami betonowymi powyrywanych z peronów.

Kobiety i dzieci biegały tam i z powrotem z pochylonymi głowami ze strachu przed kulami. W ich oczach było przerażenie.

I to wszystko? To jest cała ta legendarna forteca Synów Gniewu?, zastanawiali się napastnicy, aż do chwili, gdy dotarli do wejść na perony, gdzie zrozumieli w końcu swój błąd.

Każdy peron broniony był przez dwa karabiny maszynowe, jeden skierowany na zewnątrz, drugi w ich stronę. A gdy podnieśli wzrok, zobaczyli nad swoimi głowami, na tarasie, który kiedyś był poczekalnią dla pierwszej klasy, jakieś dwadzieścia wycelowanych prosto w nich

karabinów szturmowych.

Dwa opancerzone wozy z szybkością błyskawicy odcięły drogę od strony schodów i zasypały gradem ognia z ciężkiej broni maszynowej oddziały krucjaty, które zmuszone zostały do szybkiego i krwawego odwrotu, pozostawiając na polu bitwy około tuzina zabitych i rannych. Zresztą bardzo szybko automaty zamieniły także i rannych w bezkształtną masę nieruchomych ciał. Wtedy wieżyczka jednego z wozów wycelowała w mężczyzn i kobiety uwieczonych między nimi a peronami.

Wagantowi wystarczyło jedno mgnienie do namysłu. Rozejrzał się wokoło. I dokonał jedyne go możliwego wyboru: położył na ziemi swój karabin i podniósł ręce do góry.

Rozbrojono ich i spędzono w jedno miejsce jak bydło. Rzucono ich na kolana, z rękami na karku.

Byli agresywni, pełni buty.

Daniela wzbudziła ich ciekawość, i nie tylko. Nigdy nie widzieli uzbrojonej kobiety wśród nieprzyjaciół, a jej uroda ich podniecała. Wpychali łapy pod szorstki materiał munduru, macając jej piersi. Dziewczyna wiła się na wszystkie strony, próbując uciec od tych zachłannych łap, ale było to po prostu niemożliwe.

Synowie Gniewu przyglądali się ze zdumieniem uzbrojeniu wroga. Szczególne wrażenie zrobiła na nich kamizelka kuloodporna Marcosa. Syn króla mambo nie został złapany od razu, lecz podczas bezładnej ucieczki Chinosów. Dorwali go w jakiejś wnęce, kiedy usiłował się ukryć.

Chociaż próbował zachować zimną krew przed swoimi ludźmi, jego twarz była ziemista.

Postawili go na nogi i kazali wyskakiwać z kamizelki.

– Ej – zagadał, próbując wziąć się w garść – możecie ją sobie wziąć. Tam, gdzie mieszkam, mamy ich całe mnóstwo.

W odpowiedzi dostał jedynie pięścią w twarz. Splunął krwią, wstając i patrząc krzywo na typa, który mu przyłożył. Ale uznał, że lepiej się nie

odzywać. Zwalisty Syn Gniewu miał na głowie maskę hokeisty, a na szyi obrożę z ludzkimi uszami.

Był zakrwawiony, ale to nie była jego krew.

Marcos oddał drogocenną kamizelkę z kevlaru Synowi Gniewu, a ten z kolei położył ją u stóp mężczyzny, który schodził po stopniach. Szli za nim dwaj goryle uzbrojeni po uszy.

– No dobrze, dobrze – odezwał się z uśmiechem mężczyzna, ubrany na czarno od stóp do głów. – Zobaczmy, kim są nasi goście.

Był średniego wzrostu, bardzo szczupłej budowy ciała. Miał celowo zaostrzone zęby, przez co wyglądał jak pies.

I rzeczywiście przypominał dobermana. Nosił lustrzanki Ray– Ban. Kiedy je zdjął z wystudiowaną powolnością, John zrozumiał, dlaczego je nosi. Oczy miał czerwone, nabiegłe krwią.

Podobny do agresywnego psa mężczyzna cechował się jednak czymś swojskim, choć ksiądz nie potrafiłby teraz powiedzieć, co to było.

Natomiast Wagant rozpoznał go natychmiast. Pamiętał doskonale tę złowrogą twarz z kadru celownika swojego karabinu. I pożałował, że nie nacisnął wtedy spustu.

Przybyły obejrzał swoich jeńców na pozór zdawkowo, ale w rzeczywistości z absolutną uwagą, jakby chciał z nich wyssać wszelką informację.

– To naprawdę niegrzecznie wpadać tak bez uprzedzenia. I bez zaproszenia. Skąd przybywacie? Ty mi to powiedz, grzesznico.

Słowo to zapaliło po raz kolejny czerwone światło w głowie Johna.

Doberman podniósł dwoma palcami podbródek Daniela.

– No co? Połknęłaś język?

Jego kościsty, ostry palec wskazujący przesunął się po zarysie szczęki Daniela, po policzku.

– No więc? Czekam.

– Odpowiedz Diakonowi! – rozkazał Syn Gniewu w masce. Mówił

dziwnym, sepleniącym głosem, jak opóźniony w rozwoju.

W tej samej chwili John Daniels zrozumiał, dlaczego mężczyzna doberman wydał mu się taki znajomy. Na kołnierzu czarnej kurtki widniał złocony znaczek: odwrócony krzyż z wiszącym głową w dół Stworem Nocy.

Symbol koszarnej sekty tego opętańca Gottschalka, kaznodziei z nedorzecznego kościoła na kołach.

Diakon odwrócił się do niego, jakby przechwycił jego myśli.

– A może ty będziesz bardziej skłonny, żeby przemówić?

On i typ w masce hokeisty, niemal dwa metry samych mięśni, podeszli do Daniela złowieszczo spokojnym krokiem.

– To zdecydujecie się, będziecie mówić czy będę musiał wykroić wam prawdę nożem?

– Jesteśmy z Bonoli – odrzekł ksiądz.

Człowiek w czerni pokręcił głową.

– Nie pierdol. Tam masz Albertów, a tych dwóch to Chinosi. Wyglądacie jak dawna Legia Cudzoziemska. Albo pospieszycie się z tą prawdą, albo zabiję jednego po drugim. Zaczynając od tej waszej kurwy.

Wagant przygryzł język. Po chwili rzekł: – Zostaw ją. Ja wszystko ci powiem.

Diakon odwrócił się w jego stronę. Otworzył usta w przerażającym uśmiechu rekina.

– Nooo, dobrze, dobrze. Trafiliśmy na takiego, co nam opowie wszystko. No to słuchamy. Z niecierpliwością czekam na waszą historię.

Nie wchodząc w szczegóły, Wagant opowiedział historię wielkiego sojuszu i wspólnego celu. Diakon kiwał głową.

– A więc mieliście zamiar nas wyeliminować, odzyskać bombę i wrócić do tego pięknego codziennego życia w waszych norach? Ale z was egoiści! A słyszeliście kiedykolwiek o dziele bożym? Nie? No właśnie. To jest dokładnie to, co robimy tutaj. Dzieło boże. A wy chcielibyście nam w tym

przeszkodzić? Marzyciele. My zwyciężymy, a wy będziecie wypełniać nasze rozkazy.

– Rozkazy stada morderców kanibali? – wybuchnął Wagant. – Takich bydlaków jak wy? Nigdy!

Diakon prychnął z rozdrażnieniem.

– Jesteście pozbawieni wizji. To wy jesteście bydlakami. My jesteśmy nowym, które nadchodzi, a wy jedynie przeszkodą na naszej drodze. Zmieciemy was i pójdziemy dalej swoją drogą. Wyeliminujemy te piekielne Potwory grasujące w katedrze i podyktujemy stacjom tego miasta prawo boże. – I zwrócił się spokojnym tonem do mężczyzny w masce, wskazując na Waganta: – Zabij go.

Po czym odwrócił się, nie racząc już nawet na niego spojrzeć.

Bydlak chwycił Waganta za ramię, a drugą ręką zdarł mu maskę z twarzy. Wyjął z za pasa maczetę.

Wagant zamknął oczy.

John i Samuel modlili się. Daniela, trzymana przez dwóch Synów Gniewu, płakała i trzęsła się jak liść.

Wagant był już gotów na cios w skroń i zapomnienie. Ale cios się spóźniał.

– Wagant...? – wybełkotał zamaskowany bydlak.

Szef zwiadowców otworzył oczy.

– Wagant, nie rozpoznałem cię z początku...

Syn Gniewu zdjął maskę.

Waganta zamurowało. Patrzył z niedowierzaniem w te błękitne oczy, niewinne jak u dziecka. Przypomniawszy sobie swój ból i złość, kiedy zabrali go Synowie Gniewu. Przerazenie z powodu jego pewnej śmierci.

– Vasco... – wyszeptał, ciągle nie dowierzając i patrząc na bliznę po uchu nedorozwiniętego chłopca. Uchu, które podniósł ze śniegu tamtego dnia wypełnionego czarną rozpaczą.

– Cześć, Wagant.

Słyszając te słowa, Diakon odwrócił się gwałtownie.

– Co robisz? Kazałem ci go zabić, fajtłapo!

Olbrzym był wewnątrznie rozdarty. Patrzył to na swego pana, to na odnalezionego przyjaciela. Maczeta drżała w jego dłoni.

Diakon wybuchnął śmiechem.

– To twoi starzy przyjaciele? O to chodzi? Nie myślisz chyba, że mogą cię zabrać sobie z powrotem, co? Nie po tym, jak zeżarłeś im szczeniaki...

Vasco drżał. Wyglądał jak góra podczas trzęsienia ziemi. Wreszcie wrzasnął i ruszył biegiem w stronę swojego pana.

– Nie! – krzyknął Wagant. – Nie zabijaj go! Weź go żywcem!

Nie uszło jego uwagi poważanie, z jakim Synowie Gniewu odnosili się do tego człowieka.

Vasco zawahał się, zwalnając kroku. Ten brak zdecydowania o mało co nie skończył się dla niego fatalnie. Ale zanim żołnierze na balkonie zdolali wycelować, olbrzym chwycił Diakona za ramiona i podniósł przed sobą jak szczenię.

– Nie ruszać się albo go zabije! – krzyknął Wagant.

Wstał błyskawicznie i rozbroił jednego z goryli. To samo zrobiła Daniela. Sytuacja była krytyczna. Kolejni krzyżowcy – dwaj Alberci – rozbroili swoich strażników.

Wszystko zależało od reakcji ludzi z balkonu i tych z obu wozów pancernych.

Przez niemal minutę sytuacja tkwiła w martwym punkcie.

Potem Wagant z uśmiechem rzekł głośno do Vasca: – Zabij go.

Prawa dłoń Vasca dalej trzymała Syna Gniewu w żelaznym uścisku. Lewa uniosła się ku jego obnażonej szyi.

Wtedy Diakon pisnął cienkim głosem: – Nie strzelajcie! Nie strzelajcie!

Obrońcy patrzyli po sobie niezdecydowani.

Krzyżowcy wykorzystali tę chwilę. Daniela i któryś z Albertów rzucili się w stronę wozów pancernych, strzelając na oślep, a ich ludzie ruszyli za

nimi do ataku, który z pewnością okazałby się samobójczym, gdyby Synowie Gniewu nie pozwolili sobie na tę chwilę fatalnego dla nich zawahania.

Zamiast otworzyć ogień do atakujących, karabiny z obu samochodów milczały. Kilka celnych strzałów i Daniela wskoczyła na platformę pojazdu, po czym skierowała lufę ciężkiego automatu w stronę balustrady na górze. Albert zrobił to samo na drugim samochodzie.

Górne piętro stacji eksplodowało odłamkami szkła i betonu. Synowie Gniewu padali jak muchy w czerwonej mgiele.

Rozpętało się piekło. Obrońcy poszli w rozsypkę, a krzyżowcy wykorzystali to, rozbrajając ich i biorąc do niewoli.

Jednak szybko zrozumieli, że broniących jest za dużo i że istnieje tylko jeden sposób, o wiele prostszy, na opanowanie sytuacji.

I zaczęła się rzeź.

Synowie Gniewu padali dziesiątkami. Jediną rzeczą, jaka przerywała na chwilę tę rzeźnię, była konieczność załadowania broni. Krzyżowcy nie wybierali między żołnierzami a cywilami. Zabijali każdego, kto się ruszał i nie potrafił odpowiedzieć na bezustannie powtarzane pytanie, które stało się jak upiorny refren.

– Gdzie są nasze dzieci? GDZIE SĄ NASZE DZIECI?

Odpowiedź znaleźli na końcu peronu. Tam gdzie kiedyś mieściła się restauracja ze specjałami z grilla.

Były jeszcze nawet czerwone tablice informacyjne wielkiej amerykańskiej sieci.

A w powietrzu unosił się zapach pieczonego mięsa.

Kiedy Crismani i pozostali krzyżowcy weszli w końcu na stację, wszyscy jej mieszkańcy, a raczej ci, którzy ocaleli, czyli mniej więcej setka, siedzieli związani pod ścianą restauracji. Mężczyźni, kobiety, dzieci.

– Co robicie? – spytał Sergio, widząc, jak czterech Albertów ciągnie w stronę jeńców niesamowicie ciężką ladę baru.

Odpowiedział mu Samuel. Wzrok rabina był zimny, nieobecny.

– Wymierzamy sprawiedliwość zbrodniarzom.

Crismani spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Jakim zbrodniarzom? Widzę tam dzieci.

– Wszyscy są zbrodniarzami.

– Nie mówisz serio!

– Odejdź, Sergio – powiedział cicho Wagant.

Crismani popatrzył na niego. Nie widział jeszcze Waganta tak bladego.

– Co się dzieje...? – wymamrotał.

– Znaleźliśmy wasze dzieci. Są tam, w środku. Wszystkie są w środku.

Syn Samuela też – odpowiedział Wagant.

I wybuchnął płaczem.

Jeńcy trzęśli się jak osiki, kiedy Sergio wyszedł z ubojni.

Miał tak zapadnięte oczy, że wyglądał jak nieboszczyk. Szedł wolno, jakby dźwigał na plecach jakiś straszny ciężar.

Szedł wzdłuż szeregu więźniów, aż zrównał się z mężczyzną dobermanem, którego Vasco nazywał Diakonem.

Patrzył na niego długo, bez jednego słowa. Nagle złapał go za ramię.

Diakon wrzasnął z bólu.

Crismani pociągnął go za sobą aż do lady. Podniósł i rzucił na drewniany blat z taką siłą, że połamał mu żebra.

Diakon darł się jak opętany.

Crismani uderzył go wielokrotnie w twarz. Potem kolbą karabinu połamał mu ręce i nogi.

Z rekiniej mordy wydobywało się bolesne rżenie.

Pozbawiony możliwości ruchu Diakon przyglądał się przez łyzy, jak Crismani zdejmuje kombinezon połowy.

A ten nie odezwał się słowem, wyciągając ostry nóż, którym rozpruł czarne ubranie więźnia.

Kiedy mężczyzna o zębach rekina był nagi, Sergio podsunął mu nóż

pod oko.

– Jeśli pragniesz szybkiej i czystej śmierci, mów, gdzie jest bomba.

Diakon skomlał z zaciśniętymi wargami.

Końcem ostrza Sergio wydłubał mu prawe oko.

Ku niebu wzniósł się skowyt.

– Okrucieństwo wygląda zupełnie inaczej, kiedy jesteś po złej stronie ostrza, co? – powiedział cicho Crismani.

I powtórzył pytanie: – Gdzie jest bomba?

Diakon pokręcił głową.

Nóż zaczął mu powoli rzeźbić nos.

Potrzeba było kwadransa, żeby Diakon w końcu przemówił, wyszeptując pięć słów do ucha swojego oprawcy, i kolejnych dwudziestu minut, by życie wyciekło z niego ranami, które Sergio zadał mu na całym ciele, przed oczami struchlałych jeńców.

Metodycznie poodcinał mu palce nóg, a później rąk.

Wydłubał drugie oko, a potem obciął uszy. Rany przyżegał woskiem ze świecy, a inny płynny wosk wylewał mu na skórę.

– Lubisz zapach pieczystego? Lubisz? – powtarzał po wielokroć, podsuwając płomień do intymnych części ciała Diakona. Kiedy już były czarne, a wrzask przeszedł w nieprzerwany jęk, Crismani odciął zwęglonego penisa i jądra i na siłę wcisnął mężczyźnie do rekiniej paszczy.

Diakon udławił się własną krwią.

Umieranie trochę mu zajęło. A cierpienie obecne było w każdej sekundzie tej niekończącej się agonii.

Kiedy ciało Diakona przestało się ruszać, Crismani wytarł sobie zakrwawione ręce szmatą i założył z powrotem kombinezon.

Odwrócił się wolno ku pozostałym, jakby do tej pory był sam zupełnie gdzie indziej.

– Bomba jest tam – rzekł, pokazując wieżę wysoką na sześć pięter, która górowała nad peronami, kilkaset metrów od stacji.

Spojrzał na Samuela, który przyglądał się więźniom.

– Zróbcie to, jeśli naprawdę musicie – powiedział. I ruszył w stronę wieży, zapominając o rzezi, której dokonał, i ignorując tę, która miała nastąpić. Skupił się na zadaniu, które miało trzymać go z dala od tego, co było dookoła.

Gdy się oddalał, podnosiły się już krzyki więźniów, których wyciągano z grupy i po kolei zabijano strzałem w tył głowy.

Crismani usłyszał za sobą kroki. Odwrócił tylko lekko głowę.

Szedł za nim John Daniels, katolicki ksiądz.

Crismani zignorował go. W głowie miał kłębowisko myśli. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek jeszcze będzie mógł spokojnie zasnąć. Nie przez to, co zrobił temu potworowi, który sobie na to po wielokroć zasłużył, ale przez zgodę na stracenie jeńców. Ilu z nich nosiło w sobie jakąś winę? Z pewnością nie dzieci. Ale znał już odpowiedź na swoje rozterki.

Bóg, którego wielbili dzisiejsi zwycięzcy, był Bogiem sprawiedliwości, ale i zemsty. Bogiem strasznym, który nie znał litości. I to był dobry Bóg na takie czasy.

– Nie – odezwał się głos za jego plecami.

Sergio odwrócił się.

Gdyby nie znał prawdy, pomyślałby, że źle widzi. Bo ojciec Daniels jakby się rozdwoił: był on, i był na niego nałożony obraz dziewczyny. Ale to ksiądz wypowiedział to „nie”.

– To nie Bóg nakazał tę rzeź. To my, ludzie. Bóg jest przebaczeniem. Bóg jest miłością.

– Bóg kocha także kanibali? Kocha zbrodniarzy? Kocha to, co robią tu teraz nasi?

– Bóg jest miłością. Miłość wszystko rozumie.

Crismani pokręcił głową. I odwrócił się z powrotem w stronę starej wieży kontrolnej na końcu peronów.

Wielkie stalowo-szklane zadaszenie stacji było, o dziwo, prawie

nienaruszone. Ponad dachem padał gęsty śnieg.

Crismani ruszył dalej.

– Idę sam. Nie chcę żadnego towarzystwa.

Ksiądz przystanął.

– Bóg jest miłością, Sergio – krzyknął jeszcze raz w kierunku szczupłej sylwetki chłopaka, który oddalał się zgarbiony, jakby dźwigał na swoich barkach jakiś ogromny ciężar.

Sergio splunął.

– Udowodnij mi to – odrzekł.

I podniósł ze znużeniem rękę.

John nie wiedział, czy go pozdrawia, czy może mówi basta.

¹ Iz 9,1; tłum. Biblia Tysiąclecia, wyd. V (przyp. red.).

24 | Czy kiedyś przestanie padać śnieg?

Sergio wspiął się na zardzewiałą drabinę. Wiatr chłostał go na równi ze śniegiem. Wchodził powoli, z głową ciężką od myśli. W swoim dwudziestotrzyletnim życiu nie zaznał jeszcze takiej niepewności i takiego rozdarcia. Był obowiązkiem, a obowiązek jest wszystkim. Wszystko musiało być zrobione właściwie, i był na to tylko jeden sposób.

Chwilę wcześniej podchodził do starej wieży kontrolnej stacji ze zboląłą duszą.

Odgłos strzałów towarzyszył mu przez całą drogę, sprawiając, że wzdrygał się przy każdym z nich. Każdy strzał to było jedno zgaszone życie. W jakim celu? Jaki sens miało zabijanie w świecie, który i tak umierał? Powinien o to spytać rabina.

Ale w jego oczach Samuel nie był już tą samą osobą. Nie po tym, jak zdecydował z zimną krwią o śmierci tylu niewinnych.

Bo przecież byli niewinni. Jedyłą ich winą była przynależność do wrogiego plemienia. To, co teraz z nimi robili, nie było bardziej moralne od tego, co wiele lat wcześniej naziści zrobili z jego narodem.

Ale przecież i on nie mógł się uważać za niewinnego. Jeżeli w tym, co teraz robili tam jego towarzysze, była jakaś wina, to on miał w niej swój udział.

Jeden strzał, jeden krok.

Jeszcze jeden strzał i jeszcze jeden krok.

Sergio był w połowie drogi, kiedy strzały wreszcie ustały. Szedł dalej

w ciszy, słuchając szelestu swoich kroków w śniegu.

Szara, stara jak jakieś średniowieczne ruiny wieża górowała nad pejzażem zardzewiałych pociągów i powieszanych linii trakcyjnych.

Sergio ruszył ku tej upiornej budowli krokiem starca, a nie młodego mężczyzny.

A teraz wspinał się po starej metalowej drabince. Lodowaty chłód żelaza przenikał do jego rąk nawet przez grube rękawice. Metal wydawał ostrą woń. Podobną do krwi.

Na samym szczycie wszedł na podest i znalazł się przed jakimiś drzwiami.

Nie były zamknięte na klucz.

Sergio otworzył je, trzymając broń w gotowości.

Ale wystarczyło jedno spojrzenie, by przekonać się, że nie ma się czego obawiać. Ostatnie ślady w grubej warstwie kurzu na podłodze musiały pochodzić sprzed wielu dni.

Pomieszczenie było duże. W świetle przedostającym się tu z trudem przez brudne szyby wyglądało nader ponuro.

W oknach brakowało kilku szyb i skorzystały z tego szczury, aby wygospodarować sobie w wieży małe królestwo. Było tam pełno oczywistych śladów ich panowania: nadgryzione kartony, wszechobecne drobne odchody i charakterystyczny zwierzęcy zapach, rozpoznawany przez każdego mieszkańca podziemnych tuneli jako swojski, podobnie jak niegdyś zapach trawy czy ziemi.

Światło dostawało się tam w zależności od stopnia zabrudzenia szyb. Niektóre z nich były tak zniszczone, że wydawały się matowe. Sergio skierował się do ciemnego narożnika. To tam na koźle leżała bomba.

Crismani rozpoznał ją dzięki opisowi ojca Daniela. Ale mimo to zdziwiony był jej banalnym, zwyczajnym kształtem.

W jego wyobraźni bomby wyglądały inaczej. Było coś niewiarygodnego w tym, że przedmiot nie większy i niewiele różniący się

od walizki mógł zniszczyć całe miasto.

Podszedł tak blisko, że mógł dotknąć palcami powierzchni urządzenia.

W gruncie rzeczy niewiele się od siebie różnimy. I ja, i ty jesteśmy tak urządzeni, żeby zadawać śmierć. Jedyne różnica polega na zdolności niszczenia.

Oderwał od niej palce i usiadł na podłodze, naprzeciwko bomby.

Zdjął maskę. Szczurzy smród, niefiltrowany przez maskę, był nie do zniesienia. Ale on na to nie baczył. Był ponad takie rzeczy. Był już ostatecznie ponad tym.

Po raz kolejny zastanawiał się, co zrobić z tak strasznym przedmiotem. Takie przedmioty zabiły już zbyt wiele ludzi.

Oddać Danielsowi? Puścić go z tym do Rzymu, żeby wysadził w powietrze zwyrodnialców z Nowego Watykanu?

A może powinien zachować ją dla siebie i swoich ludzi?

Co było lepsze, a co gorsze?

Pokręcił głową. Miał same wątpliwości.

Wróciło do niego wspomnienie chmury Potworów na szczycie wieżowca, które go tak poruszyło. A jeśli rację mieli Synowie Gniewu? Jeśli należało zniszczyć te piekielne istoty?

Sergio uśmiechnął się. To już nie było jego zmartwienie.

On już swoje zrobił. A przynajmniej próbował. Nie dał rady uratować dzieci, ale przynajmniej ochronił miasto przed tymi fanatykami.

To już nie było jego zmartwienie. Już nie.

Otworzył kaburę. Wyjął pistolet.

Patrzył przez wybitą szybę na padający śnieg.

Czy kiedyś przestanie padać? Czy niebo będzie kiedyś znowu błękitne, a słońce przestanie być wrogiem?

Może.

Kto to wie.

To nie zależało już od niego.

To nigdy nie zależało od niego.

Oparł plecy o ścianę. Zamknął oczy.

Starał się nie myśleć o tym, co potem.

O ile w ogóle jest jakieś potem.

Wypowiedział półgłosem zasłyszaną w dzieciństwie modlitwę.

Ręka z pistoletem zbliżyła lufę do ust.

25 | Kolejne pożegnanie, kolejny początek

Odgłos wystrzału poderwał wszystkich.

Popatrzyli w stronę wieży.

Daniels od razu pojął, co się stało. I od razu podjął decyzję.

Pluton egzekucyjny złożony z pięciu Albertów i pięciu ludzi z Bonoli wycelował już karabiny w kilkanaścioro dzieci, które jeszcze pozostały.

Z tych najmłodszych. Od dwu do dziesięciu lat.

Trzęsły się ze strachu.

Widziały śmierć swoich rodziców i starszego rodzeństwa, których prowadzono pojedynczo na koniec peronu, gdzie czekał na nich mężczyzna z pistoletem. Miał zakrwawione ramiona. Krew i strzępy mózgu spływały mu po masce przeciwgazowej. Za nim stał inny, który miał za zadanie ładować i podawać mu pistolet, żeby egzekucja szła sprawnie.

Rzeź przerwano, gdy przyszła kolej na dzieci.

Mężczyzna, który miał podejść po kolejne dziecko, nie miał serca tego zrobić.

Kiedy Sergio sądził, że wszyscy więźniowie zostali zabici, kiedy postanowił się zabić, przy życiu pozostawała jeszcze dwudziestka dzieci.

– Co jest? – zapytał Samuel zniecierpliwiony tym wahaniem. – Dalej. Już prawie koniec.

– Nie mogę tego zrobić.

– Ty to zrobisz – rozkazał wtedy rabin innemu, który też doprowadzał jeńców na stracenie.

Praca dwóch ludzi skróciła całą operację. Jeden prowadził ofiarę do kata, a drugi szedł w tym czasie po kolejnego więźnia. Jak na taśmie fabrycznej. Wydajnie i brutalnie.

Tory były jedną wielką zbiorową mogiłą. Zwłoki leżały jedne na drugich i sięgały już prawie wysokości peronu.

Na szczycie tej piramidy spoczywały małe ciała. Jasnowłosa dziewczynka, która nie mogła mieć więcej niż czternaście lat, patrzyła w niebo szklistymi oczami. Ciepło martwych ciał szybko rozpraszało się w mroźnym powietrzu.

– Prowadź następnego – rozkazał Samuel.

Ale kolejny wybrany mężczyzna też pokręcił głową, odmawiając posłuszeństwa.

Samuel spojrział na dzieci. W przerażeniu chwytaly się jedne drugich. Nie sposób byłoby oderwać je od siebie i zastrzelić każde z osobna.

Wybrał więc dziesięciu ludzi do plutonu egzekucyjnego.

Żołnierze stali już w szyku, z karabinami wycelowanymi w dzieci.

Patrzyli na rabina w oczekiwaniu na rozkaz. Jeszcze chwila i wszystko miało się skończyć.

Wtedy John Daniels wyszedł z tłumu przyglądającego się wszystkiemu i stanął przed wystraszonymi dziećmi.

– Zejdź mi z drogi – ryknął Samuel.

Ale John nie posłuchał. Podniósł z ziemi jedno z najmniejszych dzieci i trzymał je na rękach. Berbecę położył głowę na piersi księdza. John pogłaskał go po głowie. Spod jego palców skoczyła wesz. Włosy małego były brudne, cuchnęły. Ale były koloru dojrzałej pszenicy. Koloru sprzed wielu lat, niemal zapomnianego.

Rabina zdumiał ten gest.

– W imię Najwyższego, John, zejdź mi z drogi. Niech sprawiedliwości stanie się zadość.

– Jakiej sprawiedliwości?

Słowa te zabrzmiały jak policzek. Samuel rozdziawił usta.

– Boga i sprawiedliwości w to nie mieszaj. Nie mają nic wspólnego z tą masakrą. Strzelajcie, jeśli chcecie. Ale mnie też będziecie musieli zabić.

– I mnie – odezwała się Daniela, kładąc karabin na ziemi i stając u boku księdza.

Pluton nie stał już w szyku. Ludzie patrzyli po sobie z niepewnością.

Usta Samuela drżały z wściekłości. Miał ochotę wziąć któreś z dzieci i rąbnąć nim o ścianę. Albo samemu chwycić automat i strzelać.

Ale w tej samej chwili jakaś kobieta spośród żołnierzy z Bonoli wyszła z szeregu i też stanęła między dziećmi a plutonem.

Napięcie sięgało zenitu.

Tylko Marcos i trzech stojących przy nim Chinosów wydawali się rozbawieni tą sceną.

– Pożarli nasze dzieci! – wrzasnął rabin. – Muszą zostać ukarani! „Ten, co lituje się nad okrutnymi, w końcu będzie okrutny dla litościwych” – zacytował słowa z Talmudu.

Kobieta pokręciła głową.

– Ty miałeś jednego syna, Samuelu. Ja straciłam dwoje. Wzięła z rąk Daniela jasnowłose maleństwo i przycisnęła do piersi.

Od stojącego tłumu oderwały się inne kobiety i podeszły do dzieci.

Pluton rozproszył się.

– To Bóg każe nam wymierzać sprawiedliwość! – wrzeszczał Samuel, wyciągając pistolet i celując w jedno z dzieci.

John spojrzał mu w oczy.

– To już nie jest sprawiedliwość. To zemsta, Samuelu. A ja ci mówię, że już wystarczająco się zemściliśmy. Synowie Gniewu nie żyją.

– Nie wszyscy!

– A ja ci mówię, że wszyscy. Te dzieci nie mają z nimi nic wspólnego. Zabiliśmy już dzisiaj zbyt wielu niewinnych.

Kobieta przytaknęła. Trzymając dziecko mocno przy piersi, ruszyła

z powrotem ku swojej drużynie.

– To moje dziecko – powiedziała.

W jej ślady poszła kolejna kobieta, a później mężczyzna, sierżant z Miasta.

– To jest moja córka.

– To jest mój syn.

W końcu pod murem został tylko John Daniels. Patrzył Samuelowi w oczy.

– Widzisz? Synowie Gniewu nie żyją. Już ich nie ma. I nikt z nas nie chce zająć ich miejsca. Kiedy mi opowiadałeś o swoim nawróceniu, zacytowałeś zdanie z Talmudu. Powiedziałeś, że to śnieg ci je podpowiedział w chwili rozpacz. Ale nie powiedziałeś całego zdania. Tylko część. „Nie uważaj niczego za niemożliwe”. A całe zdanie brzmi tak: „Nie potępiaj nikogo i nie uważaj niczego za niemożliwe”.

I zamilkł.

Rabin patrzył z egzaltacją na stojący przed nim tłum.

– Oszaleliście? Chcecie wziąć te potwory ze sobą? – wrzasnął.

Kobieta z Bonoli odwróciła się.

Dziecko, które trzymała na ręku, też spojrzało z przerażeniem na Samuela.

– Ja tu nie widzę potworów. Jeśli ty je widzisz, to znaczy, że są w tobie – odpowiedziała. I odwróciła się do niego plecami.

Rabin stał nieruchomo. Wyglądał, jakby mu przybyło dwadzieścia lat.

Opuścił rękę z pistoletem.

– Ale jeden potwór tu jeszcze jest. Nie wszyscy zginęli – wrzasnął nagle jakiś głos z tłumu.

Wszyscy się obejrzel.

Marcos wycelował swój automat w Vasca. W świetle pochodni twarz Chinosa w masce przeciwigazowej wyglądała demonicznie.

Lufa kałasznikowa wypluła serię strzałów. Trzy trafiły Vasca w pierś,

otwierając tyle samo krwawych gejzerów.

Pozostałe rozpruły powietrze gdzieś daleko. Vasco zachwiał się. Spojrzał oszołomiony na swój przestrelony tors.

Jego błękitne oczy uciekły. Olbrzym padł na kolana, zanim runął na ziemię jak drzewo rażone piorunem.

Marcos podszedł do niego, dumny jak paw.

Znów miał na sobie kamizelkę kuloodporną i niesamowitą pewność siebie wspieraną obecnością trzech ochroniarzy u boku. Czuł, że w jego życiu na ziemi otworzył się nowy rozdział. Rozdział potęgi i chwały.

Przestąpił nad olbrzymim ciałem, które powalił. I stanął przed tłumem.

– No to teraz sprawiedliwości stało się zadość. Teraz, kiedy ten potwór kanibal został usunięty. Jego pysk czerwony był od krwi naszych dzieci.

Od hipokryzji tej gnidy Johnowi przewracały się flaki.

Marcos podniósł ręce i obracał się wolno tak, aby spojrzeć w twarz wszystkim obecnym.

– Możecie wrócić do waszych stacji, dumni, że wygraliśmy naszą wielką krucjatę. Wracajcie i powiedzcie tym, co zostali w domu, że Synowie Gniewu są już tylko koszmarem z przeszłości, tak jak wkrótce Stwory Nocy.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał John.

– Chcę powiedzieć, że teraz mamy broń, która może zmieść ich na zawsze. Możemy uwolnić Mediolan od tej zarazy.

– To właśnie chcieli zrobić Synowie Gniewu! I w tym właśnie im przeszkodziliśmy! – zaprotestował John.

Marcos zakpił z niego: – Tak, polecam ci twoje Potwory. Miały nam pomóc, i co? Co zrobiły? Nic. Nic. Pozwoliły nam ginąć, nie ruszyły jednym mięśnieniem, żeby nas ratować, kiedy byliśmy o krok od całkowitego zniszczenia.

John szukał oczami Waganta. Jedyne, który mógł się postawić Marcosowi. Ale szef zwiadowców poszedł gdzieś na wyższe piętra, żeby

znaleźć snajpera, który zdziesiątkował ich w pierwszej fazie szturmu.

Albertom chyba przypadła do gustu ta scena. Nie kiwnęliby palcem w jego obronie. Rozróby i porachunki to był ich żywioł.

Daniels sam musiał stawić czoło księciu Chinosów.

Zamknął oczy. Pochylił głowę.

Wiesz, co powiedzieć, usłyszał głos Alessi w swojej głowie.

A inny głos – głos Mnicha – dodał cicho: *Nie czas na nieskazitelność gołębia, lecz na spryt węża.*

John otworzył oczy. Podniósł wolno głowę.

Głos popłynął mu z piersi niczym zimna, przejrzysta woda. Jego palec wskazujący wycelował w Chinosa.

– Ty mówisz o potworach. Mówisz, że nam nie pomogły. A ja mówię, że pomogły. Dziś odnieśliśmy zwycięstwo. Wróg został zniszczony, nie stanowi już niebezpieczeństwa. Gdyby Stwory Nocy nam pomogły, zwycięstwo nie byłoby nasze.

Zwyciężyliśmy sami, nie potrzebując ich pomocy. Zjednoczyliśmy siły i nasze cztery wspólnoty zlały się w jedną. I ja mówię, że to jest największa sprawa, prawdziwy sens tego dnia. Ty myślisz sobie, że zabiłeś potwora. A zabiłeś jednego z nas. To czyni z ciebie mordercę.

Lufa karabinu Carlosa uniosła się. Daniels postanowił to zignorować. Westchnął głęboko i ciągnął: – Teraz chciałbyś sobie wziąć bombę i unicestwić Stwory Nocy. A przy okazji zniszczyć całe centrum Mediolanu i spowodować setki, może nawet tysiące kolejnych ofiar. I co dalej? Kiedy już to zrobisz, wystarczy ci to? Będziesz zadowolony?

Te słowa sprawiły, że Alberci, wcześniej średnio zainteresowani, zaczęli słuchać księdza uważniej.

– No i kto nam zagwarantuje, że użyjesz tej bomby przeciwko tym, których nazywasz Potworami? Ja na twoim miejscu bym odpuścił.

– Milcz, księżo.

– Wiesz, co ja bym zrobił na twoim miejscu? Zatrzymałbym ją i użył do

trzymania w szachu całego Mediolanu.

Marcos pokręcił głową, ale nic nie powiedział. Wyzywając śmierć, John nie zlekceważył przeciwnika.

– Potem, ale dopiero potem, użyłbym jej przeciwko Stworom.

– Przestań! – ryknął Chinos.

John poczuł nad sobą powiew śmierci. Ale przynajmniej zrobił, co mógł, by zasiać ziarno zwątpienia wśród obecnych.

Widział jak w zwolnionym tempie Marcosa podnoszącego broń, jego palec sięgający do spustu.

Addio, pomyślał, nie wiedząc dokładnie, do kogo kieruje to słowo.

Oczy Chinosa lśniły złym blaskiem zza soczewek maski.

Nagle jedna z nich eksplodowała.

Szkło rozbiło się na tysiące kawałków, a mózg Marcosa rozprysnął się promieniście na ścianie za nim, rysując wokół jego głowy czerwoną aureolę.

Ciało osunęło się na ziemię i znieruchomiało.

Daniela skoczyła z innymi żołnierzami obojga miast, żeby rozbroić trzech ochroniarzy księcia.

John omal nie zemdlał. Zdołał jednak utrzymać się na nogach.

Dobra robota, odezwał się głos w jego głowie.

Mało brakowało, odparował.

Ale wszystko poszło dobrze. Wszystko pójdzie dobrze. Jesteśmy na dobrej drodze, odpowiedział mu Mnich.

Na dachu wschodniego skrzydła stacji Wagant oparł kolbę snajperskiego karabinu M40 o balustradę. Odwrócił się w prawo i uśmiechnął do trupa obok.

– Dbalesz o swoją broń jak trzeba. Dzięki.

Snajpera znalazł po półgodzinnym poszukiwaniu.

Ucieszył się, że przeczucie go nie myliło.

Mężczyzna, który nie był w ciemnię bity, zmienił pozycję, przenosząc się

z frontu stacji na boczne skrzydło, żeby wziąć na cel napastników, gdy ci tylko wejdą.

Wagant zaszedł go od tyłu. Mężczyzna miał na głowie futrzaną czapę. To było głupie z jego strony. Ale i normalne dla kogoś, kto przywykł do zabijania na odległość, z bezpiecznej pozycji. Wróg był dla niego zawsze dalekim obiektem w teleskopowym celowniku. Nie spodziewał się, że może go zaskoczyć od pleców.

Wagant zbliżył się do niego po cichu i klepnął w ramię.

Snajper wybałuszył oczy ze zdumienia. Nóż zwiadowcy wszedł mu w gardło jak w masło.

W tym momencie Wagant mógł już zejść na dół z cennym łupem. Ale powstrzymało go od tego coś, co zobaczył mimochodem na dole.

Położył się obok trupa i przyjrzał się scenie przez celownik.

Widział, jak Marcos morduje Vasca. I bierze na celownik Johna Danielsa.

Wagant nigdy nie strzelał z takiej broni. Ale chodziło o strzał z odległości mniejszej niż pięćset metrów, do tego pod dachem stacji nie było wiatru.

Wyczekał na odpowiedni moment, wstrzymując oddech.

Złożył się, wycelował.

Strzelił.

Oko Chinosa rozprysło się.

Kiedy wrócił do swoich, a wszyscy mu gratulowali, Wagant wzruszył tylko ramionami i powiedział: – Ale celowałem w czoło.

John Daniels widział padającego Marcosa i jego eskortę rozbrajaną przez żołnierzy.

Wszystko działo się w niewyobrażalnie zwolnionym tempie. Mógłby wręcz przysiąc, że widział lecącą kulę, widział, jak przebija szkło wizjera i tonie w mózgu Chinosa, powalając go.

Rozejrzał się wokół. Dopiero teraz dotarło do niego, że kiedy

rozgrywało się to wszystko, zdążyło już wzejść szare światło dnia. Ogień, który szumiał gniewnie w ciemnościach nocy, oświetlając tę krwawą łaźnię, zdawał się teraz blady i niegroźny. Płomienie, które zmieniały twarze w upiorne maski, już nie czerwieniały, i w świetle świtu ludzie znowu zaczęli wyglądać na to, czym byli: na mężczyzn i kobiety, no i na dzieci, które straciły swoich rodziców, by znaleźć nowych pośród ich zabójców.

Trudno uwierzyć, że wszystko to jest wola Twoja, pomyślał.

Zobaczył kobietę głaszczącą trzymane na ręku dziecko, które odpowiedziało jej uśmiechem.

Trudno też uwierzyć, że ziemia przykryta tym śniegiem zakwitnie jeszcze na wiosnę, szepnął głos Mnicha.

Gdzie byłeś? Gdzieście się podziali?

Jesteśmy, gdzie jesteśmy. Co za różnica? Zapytaj raczej o to, o co naprawdę chcesz zapytać.

Dlaczego nie pomogliście? Wielu z nas zginęło dzisiejszej nocy.

Ale nikt z naszej przyczyny, odpowiedział głos w jego głowie. To wy podejmowaliście decyzję, to wy podjęliście walkę i zwyciężyliście. Ta bitwa nie zwiększyła dystansu między nami, a stałoby się tak, gdybyśmy stanęli do boju. Wręcz przeciwnie – skróciła ten dystans.

Co teraz będzie?

Tego nikt nie wie. A z pewnością nie ja. Myślę, że jeszcze musimy porozmawiać. Spotkać się znowu. Moim zadaniem było doprowadzić cię tutaj i sprawić, żebyś odnalazł to potworne urządzenie. Ale tobie udało się o wiele więcej. Stworzyłeś lud. Jest twój. Nie jesteś już osamotniony w swojej podróży. Ja też z tobą pójdę.

John zobaczył Waganta zbiegającego ze schodów. Daniela pobiegła w jego stronę. Wpadli sobie w ramiona, ściskając się tak mocno, że John wystraszył się, iż zrobią sobie krzywdę.

Nic nie może zboleć w takim uścisku, szepnęła Alessia z uśmiechem.

Kapłan spojrział na żołnierzy, którzy właśnie zaczęli szukać swoich

zaginionych towarzyszy pośród martwych. Po operacji rozpoczynał się czas bólu i opłakiwania.

John Daniels pochylił głowę i wypowiedział modlitwę nad ostatnią ofiarą tego straszego dnia. Winni czy niewinni, sprawiedliwi czy grzesznicy – nieważne: zbyt wielu poległo. Nadszedł czas, by wszystkich traktować równo. Czas, by powiedzieć „koniec” zabijaniu. I pomyśleć o przyszłości.

Zastanowił się nad słowami Mnicha.

Stworzyłeś lud. Jest twój.

Ale on nie chciał, żeby wszystko tak się potoczyło.

Nie wykorzystam już nikogo, przyrzekł sobie lub swojemu Bogu.

Przyklękając, uczynił znak krzyża na czole Marcosa, a potem kolejno na czołach straconych Synów Gniewu.

Potrzeba było na to trochę czasu, ale przyłączyli się do niego dwaj mężczyźni i kobieta, by wesprzeć go w tej czynności.

Gdyby przez szklany dach stacji spłynął promień słońca, John nie mógłby się poczuć bardziej poruszony.

Albo bardziej wdzięczny.

Epilog

I tak, ja Mika, obywatel Mediolanu, mąż Elisabetty, ojciec Johna i Chiary, i Giulia, oświadczam, że wszystko to widziałem na własne oczy i słyszałem od tych, którzy tam byli i widzieli wszystko na własne oczy.

Był taki czas, kiedy wszystko to się zdarzyło, a my byliśmy tego świadkami.

Czas cudów, w którym człowiek posłany przez Boga zstąpił pośród nas, by przynieść nam światło.

Ja tam byłem, kiedy człowiek ów przybył i śmierć pokonał, i byłem, kiedy odzyskał wzrok, i byłem, kiedy na zawsze nas opuścił.

Odszedł o zmierzchu.

To był prawdziwie smutny dzień.

Miesiąc minął od zdobycia stacji centralnej i od zniszczenia Synów Gniewu.

Przeglądając stare papiery Diakona, John znalazł dowód na to, że był jakiś związek między potwornym Davidem Gottschalkiem, opętanym kaznodzieją, z którym ojciec Daniels zmierzył się w Wenecji, i kardynałem w czerwonych szatach, który władał Rzymem.

Co było dowodem na to, że Synowie Gniewu nie zginęli w Mediolanie i że John miał znów stawić im czoło.

To wtedy postanowił udać się w drogę.

Jego pierwszym celem miała być Florencja.

Florencja, która wyglądała na źródło tego zła.

Wagant i Daniela chcieli mu towarzyszyć. Ale John na to nie przystał. Mówił, że miasto za bardzo ich potrzebuje.

Sojusz z Albertami był zdecydowanie nietrwały, a posunięć króla mambo nikt nie mógł przewidzieć. Śmierć jego syna wstrząsnęła nim o wiele mniej niż wieść, że bomba zostanie wywieziona z Mediolanu. Nie przyjął jej dobrze. Pozostawał do tego wszystkiego problem zagospodarowania stacji centralnej. Ta strategiczna forteca kontrolowana była przez połączone siły okupacyjne wszystkich trzech zwycięzców, ale Chinosi dążyli do przyłączenia jej do swoich terytoriów, proponując w zamian prawo wolnego przejścia obywatelom obojga miast i Albertom. Gdyby król mambo chciał to przeforsować, stacja centralna mogła skończyć jak Berlin w 1948 roku: stałaby się odizolowanym przyczółkiem na terytorium wroga.

Z drugiej strony byli Alberci: nieprzewidywalni, w ciągłym ruchu. Nieustannie szukający guza. Zniknięcie Synów Gniewu zaburzyło polityczną równowagę miasta: próba wykorzystania tego przez Albertów była nieuchronna. Na dodatek pozostawało jeszcze kilka stacji – Zara, Pasteur, Lima – których garnizony nie chciały się poddać, pomimo śmierci Diakona. Strategiczna stacja Loreto została zdobyta po ciężkich walkach, co pozwoliło odizolować od siebie trzy ostatnie stacje Synów Gniewu. Ale buntownicy stanowili nadal jakieś zagrożenie.

Przy tylu zmiennych, jak podsumował John, nie można było pozbawiać obywateli obojga miast najlepszych dowódców.

Wiele się zmieniło, odkąd nas opuścił.

John mawiał, że z przeszłości najbardziej brakowało mu muzyki.

Teraz ją mamy.

Pewnego dnia, ku wielkiemu zdumieniu Chinosów, ktoś podrzucił jakiś przedmiot w samym środku stacji Cadorna. Nikt nie wiedział, czyja to sprawka i dlaczego właśnie na stacji Cadorna. Było to najwyraźniej coś, co pochodziło z zewnątrz.

Ale ktokolwiek to przyniósł, pozostawało pytanie, jak udało mu się

niezauważenie pokonać zapory ochronne, które teoretycznie odcinały stację od wszystkiego.

Nikt nie potrafił na nie odpowiedzieć.

Przedmiotem tym był wytwór rąk ludzkich, produkt technologii sięgającej czasów sprzed Stanu Zagrożenia. Ale nie do końca. Niektóre jego części zrobione były z tej dziwnej czarnej żywicy, o której opowiadał kiedyś ojciec John.

Były tam też różne inne małe przedmioty. Krgżki wyglądające jak z metalu, ale bardzo lekkie, zamknięte w poniszczonych plastikowych pudełkach. Jeden z handlarzy Chinosów orzekł, że to płyty kompaktowe z muzyką. I pokazał nam, jak się je wkłada do tego urządzenia. Za pierwszym razem mu się nie udało, ale w końcu wsunął płytę właściwą strong do czarnej szczeliny.

Ku zdumieniu wszystkich, aparatura zaświeciła i zaczęła mruczeć. Były w niej małe światełka, czerwone i zielone, i takie szkiełko z igielkami podobnymi do wskazówek licznika promieniowania. To było magiczne, bo te światełka były najwyraźniej elektryczne, a urządzenie nie było podłączone do prądu.

Usłyszeliśmy jakieś kliknięcie, a później z aparatu wypłynęła urokliwa muzyka, nigdy wcześniej takiej nie słyszałem.

Byłem tam wtedy. Rozplakałem się, kiedy ją usłyszałem. Wielu innych płakało. Może nawet wszyscy, ale niektórzy próbowali to ukryć.

„Mahler” – tak było napisane na tym srebrnym krążku. „Symfonia numer 5”.

Nikt z nas, ani z Chi nosów, nie rozumiał znaczenia i celu tego daru.

Odkupienie od króla tej niebywałej rzeczy kosztowało nas dużo. Dwadzieścia karabinów maszynowych i dwie skrzynie amunicji. Ale byliśmy wtedy szczęśliwi i nieświadomi. Niebezpieczeństwo wydawało się czymś z przeszłości. Rzecz jasna, było inaczej, ale wtedy, parę miesięcy po rozprawieniu się z Synami Gniewu, tak właśnie się czuliśmy.

Zanieśliśmy triumfalnie aparat do Bonoli. I pewnego wieczoru puściliśmy wszystkim muzykę z tych krgzków.

W tych pudełkach z płytami były też kartki, takie małe ksizgeczki. Pisano w nich o tej muzyce i o tym, kto gra. Niektóre były bardzo zniszczone, prawie nieczytelne. W paru pudełkach w ogóle ich nie było. Ale nas wtedy interesowała tylko muzyka. Ciekawość dotyczgca wykonawców miała przyjść później.

Daniełę zamurowało, kiedy słuchała krgzka pieśniarki o imieniu Alice. Ostatnia pieśń nosiła tytuł „Recesja”. Była z tekstem włoskiego poety, który nazywał się Pier Paolo Pasolini.

Jej słowa były takie: Będziemy oglgdać połatane spodnie;
czerwone zachody słońca nad wsiami bez aut,
pełnymi biednych ludzi,
co powrócg z Turynu lub z Niemiec.

Starzy będą panami swych marnych murów niczym senatorskich foteli;
a dzieci będą wiedzieć, że zupy jest mało, i co znaczy kawałek chleba.

Wieczór czarniejszy będzie od końca świata, zaś nocą słuchać będziemy jedynie świerszczy lub grzmotów...

Ta pieśń przyprawiała o dreszcze.

Kolejne strofy miały coś z uroczystego tonu proroctwa.

Miasta wielkie jak światy pełne będą pieszych,
w szarych ubraniach z jedyną prośbą w oczach nie o grosz, lecz tylko
o miłość,

jedynie o miłość.

Małe fabryki na zielonej łąki najpiękniejsze łono w załom rzeki w samo
serce starej dąbrowy rozpadać się będą po trochu co wieczór,

ściana po ścianie,

blacha za blachą.

Dzieci przywierały do siebie, ale dorośli też, w obawie, żeby nie okazać
słabości. Te wersy, ich harmonia, dotykały najgłębszych strun serca.

*A stare pałace będą jak kamienne góry samotne i zamknięte jak niegdyś.
Powietrze poniesie woń mokrych łachmanów.*

Wszystko będzie odległe.

A pociąg i kurier przemkną z rzadka niczym we śnie.

Mówią, że czasem, w niektórych pustych tunelach, możesz usłyszeć odległy dźwięk jadącego pociągu. Że kiedy przyłożysz ucho do szyn, czujesz ich drgania, jakby naprawdę któryś ze starych pociągów przemierzał tunele metra, ciemne trzewia tej wiecznej nocy.

Bandyci twarze będą mieli jak kiedyś i krótkie włosy na karku i oczyswych matek czarne od księżycowych nocy,

a zbrojni będą jedynie w nóż.

Kopyto końskie dotknie ziemi,

jak motyl lekkie,

i w ciszy przypomni, czym był świat i czym będzie.

W naszym świecie nie ma koni.

Ale może kiedyś będą.

Powtarzam sobie, że może w jakiejś odległej kryjówce pod ziemią przetrwała para, z której odrodzą się konie.

Ale chociaż ich nie ma, choć nikt z nas ich nie widział, sens tego końskiego kopyta w ostatnich wersach jest dla nas jasny.

Daniela nauczyła się pieśni na pamięć i zaczęła ją śpiewać, bez akompaniamentu, bo nikt z nas nie umiał grać na żadnym instrumencie, poza szofarami, te zaś nie zabrzmiały więcej od czasu upadku stacji centralnej, i mam nadzieję, że już nie zabrzmia.

Ludzie coraz częściej prosili Danielę, żeby im śpiewała, aż sześćdziesięcioletnia piosenka stała się ich pieśnią, a później pieśnią Miasta, a później ktoś jednak nauczył się grać na starych instrumentach odnalezionych w ruinach, i pieśń jeszcze wypiękniała. Fakt, że ten, kto ją napisał, na prawie czterdzieści lat przed końcem świata, potrafił ten koniec zobaczyć i jeszcze dojrzeć w nim nowy początek, przyprawiał nas o zawrót

głowy.

*Kopyto końskie dotknie ziemi,
jak motyl lekkie,
i w ciszy przypomni,
czym był świat i czym będzie.*

Jesteśmy tym, czym jesteśmy z powodu zła wyrządzonego światu. Ale i dzięki dobru. I chyba to samo można powiedzieć o tych dziwnych istotach, z którymi przyszło nam dzielić Ziemię. Bo przecież i one, jak my, ją odziedziczyły, więc wyobrażam sobie, że będziemy zastanawiać się nie nad tym, jak ją im odebrać, ale nad tym, jak z nimi żyć na niej w pokoju.

John zapytał Obywateli, kto z nich chce mu towarzyszyć w podróży.

Zgłosiło się wielu. On wybrał pięciu.

Isaac zaprojektował dla niego sanie, które bez trudu ciągnąć mogła jedna osoba. W saniach był też składany namiot z wojskowego materiału zapewniającego ochronę przed promieniowaniem. Alberci byli zachwyceni tym projektem.

Wykonali sanie w rekordowym czasie, a później zrobili jeszcze cztery egzemplarze dla siebie.

W dzień odjazdu u bram Bonoli zgromadził się wielki tłum.

Poprosiłem, żeby wzięli mnie ze sobą, ale John się roześmiał i odmówił.

– Kiedy dorośniesz, wrócę po ciebie – powiedział. – I pokażę ci Rzym. To przepiękne miasto. Jest zrujnowane, ale to majestatyczne ruiny.

John uściskał Waganta, Danielę i wszystkich, którzy w ten sposób właśnie chcieli się z nim pożegnać.

Cieszył się, widząc, że na szyi wielu wisały małe krzyżyki zrobione z najprzeróżniejszych materiałów.

Prosili go, żeby się za nich modlił, a on odparł, że jeśli chcą, to może dla nich odprawić mszę.

I tak, kiedy przygasało światło słoneczne, ojciec John Daniels wymawiał dawne modlitwy, a tłum odpowiadał mu, zrazu niepewnie,

a później z coraz większą śmiałością, nakładając coraz więcej głosów na głos księdza.

Kiedy skończył, pozdrowił wszystkich ręką i założył uprzęż do ciągnięcia sań. Pozostali mieli go zmieniać w podróży. Ale przez pierwszą część drogi chciał ciągnąć je sam.

Patrzyliśmy, jak znikają w padającym śniegu i w ciemności.

Kiedy zniknęła ostatnia postać, zapadła ściskająca za serce cisza. Po chwili rozkrzyczało się jakieś dziecko, a jego matka zaśpiewała kołysankę, żeby je uspokoić.

Tego dnia wróciliśmy do naszych schronisk, przysięgając sobie, że nigdy nie zapomnimy ojca Johna. I niektórzy dotrzyмали słowa.

Ja to widziałem i opowiedziałem wam zgodnie z prawdą.

Johnowi i pozostałym zapewne przydarzyło się jeszcze wiele, ale ja tego nie widziałem i nie mogę wam o tym opowiedzieć.

Może inni opowiedzą o tym, co zaszło w kolejnych dniach i tygodniach, i czy podróż ojca Danielsa zaprowadziła go do upragnionego celu.

Dzisiaj wiem, że świat jest o wiele większy, niż wydawało mi się w dzieciństwie, i że jeszcze większe od świata jest ludzkie serce.

Nauczyłem się tego wszystkiego od nadzwyczajnego człowieka, jakim był ojciec John Daniels.

Dlatego każdego wieczoru, nim zapadnie zmierzch, zapalam świecę w najwyższym oknie Miasta, w mieszkaniu należącym dawniej do Wag anta.

Zapalam ją, by prowadzić naszych przyjaciół w ciemności nocy.

I by ich pamiętać.

Zapalam ją, zamykam drzwi, i wracam znów pod ziemię, do mojej rodziny.

I chociaż jej nie widzę, choć dzielą mnie od niej zamknięte drzwi, puste i ciemne schody, to wiem, że jej płomień rozświetla noc.

Tak jak wiem, że wszyscy, prędzej czy później, wrócimy do domu.

Podziękowania

Serdeczne dzięki dla rabiego Tzvi Freemana z Chabad.org za to, że zgodził się na zamieszczenie w rozdziale 16 cytatu ze swojego wymownego artykułu *What is Tsimtsum? Presence Through Absence* (http://www.chabad.org/library/article_cdo/aid/2047206/jewish/Tsir

Dziękuję czytelnikom książki *Metro 2033: Korzenie niebios*, którzy swoimi sugestiami i krytycznymi uwagami pomogli mi wymyślić i napisać tę książkę.

Dziękuję przede wszystkim Dmitrijowi za to, że przyjął mnie do swego fantastycznego świata.

Doskonale się w nim poczułem i mam nadzieję, że – prędzej czy później – znów go odwiedzę...



- | | | |
|-------------------------|-------------------|-----------------------------------|
| TERYTORIUM OBOJGA MIAST | STACJE NIEZBADANE | STACJE ZATOPIONE |
| CHINOSI | STACJE PORZUCONE | Z ZAJEZDNI |
| ALBERCI | STACJE ZBURZONE | NAZIEMNE ODCINKI DRÓG |
| SYNOWIE GNIEWU | UL | PRZEJŚCIA I TUNELE TECHNOLOGICZNE |